

II/1535/I Konin

© ARCHIWUM WSCHDNIE

D Y T Y R A M B

d l a

mojej Mary...

oprac. Lesława
Domańska z domu
Koralewiczówna

zam. w Koninie 62-510
ul. Sosnowa 5 m 84

O czym RZECZ będzie ? ... no "rzecz" ta będzie o jednej z brunatnych plan , którą są nbrukane na i ręce i czoła sowieckiego aparatu partyjno-rządowo-inkawudziistowskiego, bowiem działali in corpore - a mianowicie : o w y w o ą e n i u Polaków z sześciu wschodnich województw Polski - na S y b e r i ę w 1940 roku !!! Jeszcze teraz umie się strachu ciarki przechodzić, kiedy po czterdziestu latach próbują nasywać "rzecz" po imieniu. No ... niby, że to historycy się debierają do tych "plan" - owszem ... obwodzą je ściarką ... ale w takim oddaleniu że nie mówiąc o samej planie - konturów jeszcze nie dotknęli - wiem! działają proforma, bo nadal się boją ! Kiedy więc 16 kwietnia 1983 r w Miesiąc Pamięci Narodowej słyszę jak w telewizji nasz historyk nawołuje ażeby ocalić od zapomnienia każdy !! fakt, nie czekać ani chwili dłużej - zapisać swoje relacje, trzeba je koniecznie ustrzec, bo tylko dokładna "czysta", źródłowa "pamięć" jest tworysem dla historyka - oczywiście, że na końcu jednak !! dodać !! "pamięć" ... jest to ... instytucja niezwykle delikatna i trzeba się w niej poruszać rozsądnie" ... no i właśnie, co jeden prawdę przywiedzie ze swojej pamięci - to drugi mu ją "w y g ą z a - d z i" rozsądnie... To zapewne gwoździ przestrogi pan historyk zupełnie zresztą uczciwie upominał - mimo, "te" wywody On mnie namopirował do ponotowania faktów, nie czekać ani chwili dłużej, bo smuś jakiemuś historykowi poszukać choć na udowodnienie sowietom, plan!

Ten swój "początek" bardzo ograniczę
- bo w "relacji" wszystko wyjaśniam, ale
"to" koniecznie muszę podkreślić : **t e
j e s t t o m o j a** absolutnie
subiektywna relacja i ocena faktów utkwio-
nych bardzo głęboko w pamięci czterasto-
letniej wówczas ^gLesława Koralewicz -
mieszkancki Tarnopola.

Wywożeniu Polaków z tej części Polski
w głąb nieprzebytych tajg, stepów sybe-
ryjskich i kozymskich śniegów nie było
końca.

Jaż bez Ojca - bo sowieci zdążyli się
z Nim rozprawić przed paroma dniami,
wtrącając Go do więzienia - znalazłam się
z Mamą i dwoma braćmi - a także z moimi
współmieszkańcami miasta w transporcie
- nie ufermowanym z katorżników pędzo-
nych pieszo, ani z kibitek, ale tym ra-
zem z bydłowych wagonów kolejowych -
lecz droga była ta sama - tym razem
nie przez cara, a przez następnych cie-
miętycieli Narodu Polskiego - przez
s o w i e t ó w wykryzoną wiedką...
z Polski na Syberię ... na zagładę...

... t : m : ...

1-2-70

SYBERIA - KAZACHSTAN

..... :::::

"Strach - głód - wszy"

I. Tobołki

Rok 1940-~~sty~~

... kiedy 30 kwietnia 1940 roku ~~!!!~~
bardzo wczesnym rankiem sowieccy żołdaci
konwojujący "szalon" rozryglowali wierze-
je bydłęcych wagonów wypełnionych po brze-
gi nami - Polakami - a stojąc "w drzwiach"
pokrzykiwali "budzcie was wygrużać" tak!
~~tzn. będziemy was wyładowywać (- coś za~~
~~stosowne określenie dla ludzi) - nie~~
spuszczając oka z twarzy mojej Mamy, aby
według Jej reakcji "ustawić" w tej sytuac-
ji siebie, bo ja nie wiedziałam czy to
~~nie, czy kiedy stąd wyjdziemy będzie jesz-~~
~~cze gorzej aniżeli teraz, a na twarzy mo-~~
jej Mamy przez całą chwilę malowało się
przerażenie: "gdzie o n i nas zawieźli?!"
i chcą nas wysadzić tutaj i - na końcu
świata ?!!!" Żołdat nagle, mówił, że za
chwilę będą podjeżdżać "gruzowiki" i trze-
ba się na nie "załadować". W wagonie
zawrzało - ale zanim opuścimy to piekie-
ko trzeba mi parę słów poświęcić! Wagon
miał pośrodku przejście na szerokość wie-
rzeji, a "boki" po obu stronach były zabu-
dowane szerokimi półkami z desek z grubsz-
oczyszczonymi z zadziórów. Jedna niżej -
a druga wyżej. My dzieci na tej półce
niższej mogliśmy swobodnie siedzieć nie
pochylając głowy - na górnej chyba było
gorzej, bo spierano się aby tam umieścić
małe dzieci, stąd więc było wiadomo, że
dorosłym i tu i tam było niezwykle trudno
żyć". Na "naszej" półce była pani Johowa
z córką, może 15 letnią i synem chyba w
wieku mojego starszego brata, obok byłem

my tzn. moja Mama Franciszka Koralewicz
mój starszy brat Staszek co to w grudniu
skończył 17 lat, mój młodszy brat -
~~niewzwykle mi bliski do dziś~~ - Mietek -
teraz w marcu skończył 10 lat i ja ich
~~(jedną) siostrę~~ Lesława - co to w lutym
skończył 13 lat. Dalej gnieździła się
pani Konopkova z dwojgiem dzieci - Sta-
siem i Mirką, pani Niemożewska z matką,
i pani Kamasowa ze swoim ~~drobiastym~~
czterema synami, najstarszy z nich był
chyba niewiele starszy ode mnie. Na pód-
ce nad nami było tyleż osób - tzn. też
około 16-stu no i po przeciwnej stronie
wagonu tak samusieńko i w tych sąsied-
nich wagonach, których nie zliczyłam by-
ło zupełnie tak samo. Jak na moje "od-
czucie" wzrokowe, "szarań" był bardzo dłu-
gi. Środek wagonu zajmowały tobozki, któ-
rych nie dało się wtłoczyć w otchłan
półki, no a szczególnie na noc były wyj-
mowane z półek aby zrobić miejsce na le-
gowiska. Jak to w bydłych wagonach -
rozsuwane wierzeje są z obu stron, ale
wagony bydłace z przeznaczeniem transpor-
towania w nich ludzi miały z jednej stro-
ny wierzeje zabite "na głucho" i przy
nich w wyciętym na wylot otworze w pod-
łodze był wmontowany blaszany lejek nie-
co szerszy od rynny. (To też wkrótce
wokół tego blaszanego lejka narastała
z dnia na dzień coraz grubsza warstwa
kału) Ani gazety ... ani papieru ... ani
ligniny ... eee!!! o czym ja wogóle
mówię ... Dbano więc tylko o to - choć
z trudem, aby nieco więcej miejsca było
wokół tego blaszanego lejka. Każdego za-
łatwiającego oszaniła jego rodzina prze-
wagnie, kapą, kocem lub jakimś pledem,
- tak też kiedy musiała tam "wejść"
matka, często dzieci musiały ją oszanić
trzymając cały czas ręce do góry.

1940r

Samo osłonięcie nie zatrzymywało oczywiście smrodu, który przez cały dzień "szedł" stamtąd - 72 osoby w tym byłym wagonie, czyli ... "szalet" publ. zajęty był na "okrągło". "Chodził i spalił w tej samej odzieży. Mama, nie kazała się nam rozbierać na noc, sądząc, że i inne matki też nie rozbierały swoich dzieci do spania i same obok nich kładły się ubrane. Cały ten okres 18 dni - wagonowych dób wymagał trwania w stanie jakiegoś czuwania, no i przede wszystkim było poprostu - poprostu zimno i toż to kwiecień! Przez blisko trzy tygodnie nikt się nie mył, bo ani czym, ani w czy ani gdzie. 72 osoby razem na takiej nie dużej powierzchni, z tego chyba 30 parę kobiet - młodych i starszych, nie mówiąc o podlotkach, w każdym razie w czasie "Okresu" wymagały przecież nie tylko jakichś warunków, ale i przestrzegania szczególnej higieny... - to wiem dzisiaj a wtedy poprostu czułam smród "w powietrzu". Drugim takim miejscem okupowanym na okrągło" były cztery okienka "pod sufitem", tak bowiem to akurat odczuwała stojąc na jakiejś skrzynce cały czas na "paluszkach". Każdy chciał wyglądać jak najdłużej - i trzeba było drugiego wyczekiwania na swoją kolejkę. Nie było dnia - aby w następstwie tego wyglądanego okienkiem nie toczyły się wśród kobiet spory: proszę pani . . . ja dokładnie pamiętam jak wczoraj mijaliśmy te same drzewka i to jesiorko! a ja pani mówię, że wracamy! toż to widać! - nooo! konwój nam tego zaraz nie powie, bo są skompromitowani! - oczywiście, że "s w i a t" się o nas upomni! nareszcie! ... Tak było co dzień przez osiemnaście dób... drugi dni, które nie kończyły się nocą. Można było całą noc oglądać kobiety się-

1940

dzące na tobołkach, trwające w niemej zadumie, albo gorąco modlące się i między nimi też moja Mama, - a inne . . . oicho płaczące. Zapamiętałam sobie jak jedna kobieta niemal codziennie opłakiwała swoje sąby pozostawiona w szklance...

"patrzcie ten sowiet nie pozwolił mi po nie wrócić" - "ale jak mogłam zapomnieć" co ja bez nich zrobię... Wówczas też nie rozumiałam jeszcze na czym polegała ta jej tragedia, dzisiaj sądzę, że szok w którym trwała - połączył "to wszystko" w całość. Ile razy musiałam wstawać w nocy, tyle razy widziałam ją siedzącą nieruchomo na tobołku z otwartymi oczami...

~~nie spała!~~ Początkowo wieczorem inicjowano śpiewanie pieśni religijnych, po kilku dniach było już coraz mniej chętnych - aż do zupełnego zaniechania.

Z niecierpliwością każdego ranka, czy ranoj przedpołudnia czekałyśmy - szczególnie my dzieci na rozryglowanie "drzwi" - kiedy to "szałon" natrzymywano na jakiejś stacji kolejowej abyśmy się zaopatrzyły w "kipiatok" (war, wrzątek) - wówczas to biegliśmy z czym "się dało" przeważnie z czajnikami, wiaderkami, pod pod wskazane nam miejsce, gdzie z kranu przytwierdzonego do kotła, każdy nalewał sobie tego "życiodajnego" płynu. Przyuczyliśmy się do tego posiłku ... śniadanie-obiadu z "kipiatkiem", - ho! ho! nie kiedy pod wieczór też zatrzymywali "szałon", aby raczyć nas "kipiatoczkiem"

Uknuło mi z pamięci co było z chlebem... natomiast zapamiętałam, że kilka razy zdarzyło się dostać nam zupę, którą oni - zupełnie słusznie! - nazywają "szczy" to prawdopodobnie nazwa kapuśniaku - ale "szczy" to była w całym tego słowa znaczeniu najstosowniejsza nazwa tej wody z pływającymi z rzadka liśćmi.

1940 r.

Mój mózg pracował na zwiększonych obrotach wogóle ... a teraz, (i) tutaj ... szczególnie ! gdyż "sprawy", które wynikały z "naszej" sytuacji nie łatwo dały się pojąć. Np. konwój ... po co ten konwój - każdorazowe zamykanie nas, ryglowanie ! jak aresztantów, przecież to same bezbronne kobiety z dziećmi ! Coprawda ten sałdacki konwój, który z chrzęstem i trzaskiem rozwierał nam te wagonowe wrota i dawał pozwolenie na opuszczenie wagonu - tzn. abyśmy biegli po kpiatki - a czynił to z całą powagą - nie powiem - bo zaskarbił sobie moją wdzięczność, bo z tym "kpiatkiem" wiązałam zaspokojenie głodu, nadzieję przetrwania, nadzieję na powrót ... do domu ... Nie miałam wtedy jeszcze głębszej wyobraźni, aby sobie podpowiedzieć, że nie po to postawili na nogi cały aparat (nie tylko!) enkawudzistowski i wtłoczyli nas do tych wagonów i wiozł nas pod ostrym konwojem już kolejny dzień ... i noc ... bez przerwy "dokądś - tam", aby raptem ... nas wrócić. Pomimo - tego mojego uczucia wdzięczności - od tego czasu datuje się moje określenie, które zakorzeniło się we mnie na dobre - a dotyczyło nie tylko konwoju, ale wogóle "ich" wojskowych ... określałam ich jako "sowieckich sałdatów" - co w moim mniemaniu nabrało pogardliwego brzmienia - w Tarnopolu bowiem "stało" wojsko (były duże koszary) i z ulicy wyniosłam utrwalony "obraz" sympatycznej sylwetki żołnierza. Zapamiętałam, że mundur - to a t r ó j wyjątkowy, który nie tylko upiększa sylwetkę, ale daje żołnierzowi poczucie zobowiązującej odrębności, uwypięła postawę sprawności fizycznej, zahartowanej, przystosowanej do stanu "gotowości" szermierką - to żołnierz ! ... mój Polski Żołnierz z moich

1940

dziecimnych lat!! anie z "tych rzeczy" nie odnalazłam w tych chłowieczkach co-
prawda też w mundurach ... ale noszonych bez "godności" - zaniedbanych, bezgranicznie brudnych "niedoczesanych" ba! zgolonych - i nie dodać już niechlujnych, bo to już byłoby za dużo ... no ale jak się ustrzec od takiego określenia chociażby po spojrzeniu na te buty, no nie mówię żeby zaraz od Bat'a, ale każdy nosił takie jak po starszym bracie i ... nigdy nie czyszcik. To śmieszne - ale ja wtedy myślałam, że to zwykłych przypadkowych cywilów poprzebierali za "wojskowych" no ... w każdym razie nie było w "nich" "godności" i znacunku we mnie /wzbudza! Jak już niemalże na samym wstępie wspominałam, że podczas tego chaosu w ciasnocie - jaki zapanował w wagonie tego ranka, cały czas prawie, że nie spuszczałam oka z mojej Mamy i) ^{Patnie to była} Nagle zauważyłam jak moja Mama raptownie, jakby się przebudziła zaczęła "zlepiać" te tobołki z pomocą Staszka, czyniła to z jakimś nerwowym pośpiechem - jakby tanta myśl, ustąpiła miejsca tej "nowej": teraz ... jakby mi obawiała, że sądami cofną decyzję - jakby: czytała w Jej myślach: jak wyjdę stąd z dziećmi - poczuję ulgę ... by nie wiadomo gdzie !!! byle już nie tutaj w tym wagonie ... wtedy jeszcze trudno było przewidzieć co "oni" nam zgotowali "tutaj". Obok Mamy - wiązały swoje tobołki wszystkie matki - mieszkanki "naszego wagonowego piekiełka. Tanta połowa opusta szła. Teraz my - też pomagaliśmy wynosić swoje rzeczy ... a a a i właśnie i nie! nie było ani jednej walizki ... S A M E T O B O Ł K I ! - nieodłączny atrybut tułaczy ... Kotłowanina - tobołków i ludzi otępiających, no może teraz nieco, nieco ożywionych nową sytuacją i ... wagon

Buty

Tanto

Mo

głowy

1940_v

pustoszał ... a kobiety i dzieci sadowiły si
się na na ciężarówkach, siadając na swoich ka
tobórkach, które były już tylko wspomnieniem
"d o m u " a który się nagle rozpadł, - nie
istnieje ... i teraz "gdzieś" nas jeszcze
powiozą ... a jednak dopięli swego! i nikt
im w tym nie przeszkodził ... Znaczą, to
- że znikąd nie było protestu ... a tak na to
liczyliśmy ... powinnam dopisać, że był to
kolejny zawód, ale jeszcze tym razem tego
nie napiszę. [Zanim jednak tak "zupełnie wyjdę z wagonu" - dosssyczę resztę - bo jestem rozdrażniona, ^{jak} nadęnięta śmija, ... bo na moją pamięć czas nie działa uspokajająco - oczyszczająco - jakby sobie tego nasi "aparatchycy" nadal życzyli - no, bo i jak sobie tu nie rozdrapać zlekka zaledwie zastrupionej rany, szczególnie właśnie w przeddzień czterdziestej rocznicy wywołania przez Sowietów kolejnej "tury" Polaków przypadającej na 13 kwietnia - a tu 12 kwietnia 1983 roku nasz historyk pan prof. Popiołek w audycji telewizyjnej gęsto i pokornie się tłumaczył i wyjaśniał Międzynarodowej Komisji Sanitarnej powołanej w Jaskie !!! już w lutym 1945 roku ... do nadzorowania przesiedlanych Niemców po Rzeszy ... , a która to wniosła protest "w związku z niezapewnieniem Niemcom przesiedlonym z Polski do Rzeszy zaraz po wojnie ... odpowiednich !!! warunków sanitarno - higienicznych ..."
Niema to zupełnie znaczenia, że jak ogólnie wiadomo - droga nie była chyba dłuższa niż 800 - 1000 km conajwyżej i nie przebiegała na odkrytych konnych furmankach (sic!) - dobrze, że jestem zahartowana na stal, więc słuchając tego na własne uszy, nie wpadłam w szal i nie pękło mi serce - skoro więc jeszcze żyję ... to dosssyczę i resztę!
Sowieci wywozili Polaków nie na odległość 1000 km i nie do przygotowanych na "bytowanie" siedzib i nie w ciągu jednego czy dwóch

1940

dni - a ile takich deportacji dokonali przez półtora roku - mam koleżankę w Ziel. Górze, została wywieziona w przeddzień wybuchu wojny niem.-sow. - i nikt ! z cywilizowanego świata nie powołał "komisji" - eee! co ja tu wymyślam "komisji" ! nikt nie wyraził swego oburzenia - sprzeciwu w imieniu bezbronných obywateli polskich na totalne sowieckie bezprawie.

Na warunki, w jakich nas Polaków - sowieci deportowali - to taka ew. "Komisja" nie znalazłaby określenia, ale co innego o Niemców - o nich trzeba się zatroszczyć - nawet pokonani zawsze to "nadludzie" - a my Polacy? ludzie z pogranicza "yeti", a "ktoś-kiedyś" mówił, że kultura nasza "ciąży" do śródziemnomorskiej. A pa profesor ...jeszcze że Polska była zniszczona pożogą wojenną nie mogła zapewnić wówczas lepszych warunków przesiedlanym Niemcom ...

trzymajcie mnie, bo pęknięcie ze śmiechu w tym momencie ... a któż to z tych trzech mocarstw w momencie powoływania Komisji nie orientował się w jakim stanie znajduje się Polska ? i jakie warunki może , a jakich nie może zapewnić przesiedlanym Niemcom - no należy się spodziewać, że szczególnie "to-to jedno" mocarstwo było tak zatroskane warunkami dla przesiedlanych Niemców -" nieprawdaż toż to już szczyt parodii współczuwania! No i o czym tu dalej mówić ? czyżby po tych już pięciu latach ! sowietom umknęło z pamięci w jakich warunkach dokonywali deportacji z Polski ? a np. 10 lutego 1940 roku "pierwszy rzut" - skierowany do głębokiej tajgi i w okolice Barnauku jak opisują i opowiadają naoczni świadkowie - w wagonach niemowlęta wiezione zamarzały, zrozpaczone matki nie chciały wprost w to uwierzyć , nie pozwalały

1940r

ich sobie odebrać - wyrwać ze swoich
 objęć, okrywały je ... w nadziei, że
 ożyją, ukrywały je w swoich tobołkach
 aby nagrobek im usypać "tam" - to jest
 niewyobrażalny obraz ludzkiej tragedii
 - nie wiem czy sama wówczas nie wybrała
 bym "trotyl" - ale wyboru nie było.
 Następny "rzut" 13 kwietnia 1940 roku
 ten transport już zgromadził na wynisz-
 czenie - żeby się nie wyrazić jaśniej
 na zgładzenie: same matki z dziećmi
 - rodziny wojskowych i policjantów
 internowanych po 17 września 1939 roku!
 do obozów w Kozielsku, Starobielsku,
 Ostaszkowie - i wogóle rodziny: aresz-
 towanych, wtrącanych do piekła łagrów,
 obozów i więzień - obraz widziany moimi
 oczami przylotową sukcesywnie, bo w jed-
 nym zdaniu czegoś takiego nie da się wy-
 powiedzieć. Jestem tylko pewna powodu -
 dla którego pan profesor w telewizji nie
 powiedział tak np. : Sz. Międzynarodowa
 Komisja Sanitarna w Jałcie - w 1945 roku
 powołana! czyż nie jest to kiepski żart
 z Jej Strony, że roszczenia swoje -
 wynikające z nieodpowiednich warunków
 w jakich przesiedlano Niemców, nie to
 już, że dochodzi po blisko czterdzieści
 latami - ale to, że dochodzi tego ...
 w Polsce! a czy Szan. M. Komisja Sanit.
 pamięta? - a przecież powinna! jaki
 wpływ miała wówczas Polska na postawie-
 ny Jej wymóg - któryś lepiej od "trzech
 mocarstw" wtedy wiedział jak wyglądała
 Polska Ziemia - była zdeptana spalona
 i rozgrabiona - a dla czegoż więc Sz.
 Międzyn. Komisja Sanit. nie zwróci się
 we właściwym kierunku - a no bo ... się
 boi. Tak i ja się boję, ba! wszyscy
 się boimy - nie! nie tylko my, którzy
 jesteśmy cały czas w "zasięgu ręki"
 niepodlegającego żadnej kontroli "Apara-
 tu" - a czy świat ... przypadkiem się

1940v

też "ich" nie boi ? no właśnie już uściślamy pojęcie "ich" tzn. do "mocarstwa - Zwycięzcy" - więc czy coś "im" rzucił w "twarz" przez te czterdzieści parę lat? - śmiało rzecz można, że nie - owszem coś tam okrucali "węzną w bawełnę" - ale ani granica wg. Curzona, ani Łagry, ani deportacje, ani Katyń, ani obozy, więzienia, ani stracenie 16-stu Polskich generałów podstępnie ściągniętych do Moskwy - nie! dotąd nie! ciągle mgliście! coś tam "szepczą" na temat "białych plam" - ależ jakie one "białe" toż to krwawe plamy - piętna nie do wywabienia z czoła, ręk i mundurów "triumwiratu" (partyjno-rządowo-enkawudzistowskiego) To mocarstwo było bezsprzecznie najbardziej "zainteresowane" losami Polski, ale o Komisji Sanitarnej dla Polaków przesiedlanych z zagarniętych Ziemi Polskich do "Macierzy" - nie pomyślano, a o Niemcach - pomyślano! A o półtora miliona obywateli polskich z sześciu wschodnich województw - par exelans w czasie p o k o j u - decyzją "triumwiratu" sowieckiego deportowanych ... na zagładę, bo uwzględniając to, że ludność ta nie była przystosowana do bytowania w warunkach z pogranicza dzikiego plemienia ani do ciężkich prac fizycznych no i ani do klimatu panującego w tajgach, w Archangielsku i na bezkresnych stepach kazachstańskich - nie pomyślano! i wówczas nie było ... nie znalazło się nawet jedno mocarstwo - nie mówię o trzech jak to w przypadku Niemców uczyniono które chociaż wniosłoby protest ... a przecież nie tak dawno ... bo ... we wrześniu 1939 roku obiegła świat wiadomość o strasznej napaści

1340v

Niemiec hitlerowskich na Polskę - z całym impetem ! i nagromadzonym żelastwem ! aby i ogniem i mieczem zmieść i zgnieść Polskę z powierzchni ziemi ... i o bezprzykładowym bohaterstwie Żołnierza Polskiego ... na Westerplatte, nad Bzurą ... i szeregu innych starciach - gdzie w nierównej walce ... odpierał !!!
powtórzę : odpierał !!! ataki Niemców - więc nie był to kraj nieznany jakiś zapomniany ... no ! - no i nie !!!
a transporty szły sukcesywnie "formowane" przez ... półtora roku !!! do dnia w którym Niemcy "ich" dopadli . - No i kiedy chodziło o Niemcy o kraj już wtedy pokonany - niezwłocznie ! mocarstwa w tym oczywiście litościwie "wschodnie" zajęło się serdecznie jego mieszkańcami bo Polska "sama" powysyłała by ich do Rzeszy pieszo szczując psami. Bardzo ! bardzo ! gorzkie to "doświadczenie" i starajmy się my "p a l i a c z k i" usilnie abyśmy tego wszystkiego nie zapomnieli bo liczyliśmy jednak na "zachód" . - ▽
Załadowane ciężarówki odjeżdżały ... na torze stał teraz opustoszały "szalon". Wkrótce też został za nami samotny budyneczek dworcowy z napisem "Pawłodar" raczej barak przypominający niż stację kolejową. Jeszcze dobrą chwilę jechaliśmy zupełnym pustkowiem i połą drogą zanim dojrzeliliśmy przed sobą zabudowania - należało się domyślać, że to właśnie jest ta miejscowość "Pawłodar". Przed nami teraz jechały tylko dwie ciężarówki z wysoko załadowanymi tobołkami i między nimi siedziało po kilka osób a wśród nich na jednej ciężarówce siedział mój starszy brat. Ciężarówka - na której siedziała moja Mama na tłumoczku a ja i Mietek tuż przy niej - nie została wyładowana po brzozi tobołkami, gdyż naniej właśnie usado-

s. 9-13

MG

1940

wieni zostali wszyscy nasi już "dobrzy" znajomi z naszej półki i z tej "nad nami", Dziwne, że cała masa ciężarówek jaka znajdowała się przy "szakonie" gdzieś zniknęła nam z pola widzenia i teraz jechały tylko trzy ciężarówki ... co mnie nie wydawało się to takie "bezpieczne" - takie bez znaczenia. Mimo, że wszyscy siedzieli ciasno przy sobie - zimno zaczęło mocno dokuczać, przenikało nas mroźne suche powietrze ... już syberyjskiego klimatu. Pewnie trudno będzie wytrzymać tak bez plandeki, czyba, że droga nie będzie długa. Mama okrywała nas coraz mocniej - bo ja się poprostu trzęsam - być może, że nie tylko z zimna, ^z pewnością i ze strachu. Ten ukazujący się nam nieznany "świat" - zupełnie odmienny krajobrazowo od tego, który zostawiał tak tysiące kilometrów za nami. Jawił się jako ... obcy ... onieśmielający, i perspektywa ... życia "t u t a j" ^z pewnością wszystkich napawała lękiem. Do tego otoczyło nas "zjawisko" już całkowicie nam nie znane - wprost zaskakujące - to panująca tu "poświata" : Słońce wytoczyło się już sporo ponad horyzont - nie ma mgły - a w powietrzu śółko - dookoła jakby unosił się "mikropył z gliny" - to zjawisko swoją dziwnością tak mocno mnie "uderzyło", że zachowałam je w swoich oczach i w swojej pamięci do dziś. Prosto z polnej drogi wjechaliśmy w ciągnącą się bez końca ulicę, ale ... w pewnym miejscu zupełnie nieoczekiwanie skręciliśmy w prawo zjeżdżając bardzo stromą drogą biegnącą w wąwozie, a zmierzającą ... ku brzegowi, ogromnie wtedy niespokojnego Irtysza. Każą ciężarówkę - tych przed nami, buksowały i nie mogły przebrnąć przez głębokie koleiny rozjeżdżonego

1940w

piachu - no i "nasza" ciężarówka też głośno warczała. Przebrnięcie tego odcinka prawdopodobnie robi wrażenie na nas - a ci co nas wiozą muszą chyba być do tej drogi przyzwyczajeni, bo nawet nie wyjrżeli z szoferki. Na brzegu nie stałiśmy długo - wkrótce pojawił się prymitywny prom, jak "skrzynka" miotany przez fale - jakoś tam dobił do pomostu i po wyrzuconej "kacie" na której widok zdrętwiałam, gdyż była dziurawa, prawie spróchniała. Po niej jednak ~~(i)~~ wjechała ciężarówka pierwsza, potem druga, potem "nasza" - następnie zaprzęgi - niesamowite! wozy zaprzężone w oteplone wozy z wielkimi, grubymi rogami, wchodziły leniwie i były gęsto obsiadłe muchami. Odbiliśmy! Prom zakłósał się jak na moje odczucie bardzo niebezpiecznie, zresztą cały czas kołysał się bardzo mocno, musiałam przytrzymywać ręką buzię aby obok nie było słychać jak bardzo się trzęsę - wydawało mi się, że już ... za chwilę ... "dokona się!". Wystarczy aby się ta "podłoga" nieco przechyliła na tych wielkich (szósty) falach - a ciężarówka

się zsunie i zatopi. (Ja się dotąd z "promem" nie zetknęłam" nie mówiąc już o rzece, takakiej rzece). Myśli biegły błyskawicznie: dobrze, że jesteśmy razem - ach! Staszek - szkoda, że nie jest razem! - ale tamta się też nie ostać! a jeżeli? no on ma już 17 lat jest "duży", ba! wydawał mi się jakoś wtedy wręcz dorosły - więc on może nawet już mógłby bez Mamy! - w razie czego ... A prom tymczasem wśród głębokiego kołysania na tych wysokich rozhukanych falach z nadmiaru wiosennych wód, dobił do zupełnie płaskiego - przeciwnego brzegu Irtyża. [Ta droga była bardzo silnym

1940

wstrząsem dla mnie - a teraz, stąd obejrzawszy się "za siebie" tzn. na tamten niezwykle stromy brzeg z zabudowaniami Pawłodaru odetchnęłam z ulgą, że przynajmniej "to" już się skończyło. Po zachowaniu konwoju widać było, że wieść nas zamierzają dalej... "Ludzkie osiedle" za nami - a przed nami jak widać - pustkowia, w które znów ruszają jednocześnie tylko te "nasze" trzy ciężarówki. Konwój z nami się w rozmowy nie wdaje ani jak daleko pojedziemy, ani dokąd jedziemy, zresztą - i tak jestem przekonana, że nikt nie orientowałby się. Spokojni i przekonani, że im "przestępcy" nie pociągają dwaj sądacy - konwojenci siedzą w szoferce.

✓ Spewnością jak ruszyliśmy spod wagonu - było około 7-ej rano. Nie pamiętam czy coś jedliśmy... zresztą! co? Na ciężarówce panowała cisza i smutek. Od czasu do czasu ktoś wraz z głębokim westchnieniem "wyrzucał" wstrząsające pytanie: i dokąd "oni" nas wiozą? a tymczasem mijała szósta godzina jazdy czy drogi - a licząc już tylko po 45km na godz., to już od rana ujechaliśmy ok. 270 km - Sangkhabając się w tę bezkresną, przerażającą równinę, zupełnie przez nikogo nie zamieszkaną. Nie mineliśmy przez ten czas nawet jednej chatki czy drzewka... wogóle ani śladu jakiegos "życia" - psa, kota, owiec, bydła... nie!!! Bezkresny step o niskiej trawie wyrastającej "tu i tam" z piasku. [Okolo drugiej po południu jak ^zpod ziemi wyrosło nam "sioło" - kilka glinianych chatek o płaskich dachach - i paru ludzi, z nich ku nam zbiegających ba! biegnących! Teraz zatrzymały się wszystkie trzy ciężarówki.

1940

Z szoferki wyskoczyli konwojujący nas i
~~sałdaci~~ - jeden już był najpewniej tu-
 tejszy - mongoł skośnooki, a drugi ro-
 janin. Do nich podeszło kilku mężczyzn
 z tego "siola", ale trzymał "rzecz"
 tylko jeden - nastąpiła bardzo głośna
 "wymiana zdań" - następnie widziałam
 jak ten głośno rozprawiający mongoł
 uderzył w "tam-tam" na odgłos którego
 przybiegło kilku mężczyzn, między sobą
 chwilę 2gadali" - i ten "pierwszy"
 widocznie "najważniejszy" znów powrócił
 do konwojentów którzy stali przy cię-
 żarówkach i znów rozmowa była głośna,
 - chyba nie tylko ja odniosłam wrażenie
 że się kłóca, parę zdań padło po ro-
 syjsku, ale widocznie rozmowa po rosyjs-
 ku sprawiała tamtym trudność, przeszli
 więc na swój mongolski - dla nas zupeł-
 nie, ale to zupełnie nieczytelny język
 [Nasi pozeskakiwali z ciężarówek i przy-
 glądali się raczej niż przyskuchiwali
 tej rozmowie - kłótni. Z tych rosyjskich
 kich paru słów - więcej domyślił się
 się aniżeli zrozumieli: że ta "gmina"
 rajon - Jermak z prezydentem tego
 "rajona" na czele, absolutnie nie wy-
 raża zgody na przyjęcie takiej ilości
 zesłańców - i jak widać, kobiet z dzie-
 mi, bo nie ma dla nich ani zajęcia, ani
 "kwartir" - tzn. kwater-mieszkań.
 Decyzję tę prezydent Jermaka podjął
 po zasięgnięciu opinii - prawdopodobnie
 radnych zwołanych tym gongiem no i pa-
 rą razy padło słowo "kzykkuriam" co
 w naszych uszach, przynajmniej w moich
 brzmiało jakby się obrzucali brzydkimi
 słowami. Ucieszyliśmy się, że nas nie
 chcą - może więc zawrócimy na stację!
 Chwilę tu jeszcze zabawiliśmy, bo wnet
 przyniesiono kilka samowarów i pozwoło-

nie rozumieli

1940

no nam nabrać sobie z nich "kpiatku"
 - a widać było gołym okiem że prymityw
 i że o herbacie nie może być mowy. Wte-
~~dy było to już dwudziestoparolecie~~
 sowieckich rządów. Mama czymś tam nas
 posiliła - wszyscy zresztą coś tam
 przeknuli i myślę, że tuż po trzeciej
 ruszyliśmy w dalszą drogę. Nie było
 wątpliwości że jedziemy "przed siebie"
 że nie zawróciliśmy ... Dalsza jazda prz
 przebiegała w takim samym męczącym kra-
 jobrazie. Jak daleko okiem sięgnąć -
 pustkowie, zapierający dach - bezkres!
 straszny w swej dali. Pustkowie i my...
 w nim się zagłębiający, a mnie zaczęła
 prześladować obsesyjna myśl - przeraka-
 jąca : o nie! stąd się nie wraca ! to
 chyba jakaś mongolska pustynia! jeżeli
 by konwojenci-sałdaci kazali nam tu wy-
 siąść ... i by sobie odjechali ... to
 nikt na nasz "ślad" by nie wpadł!
~~a my z rozpaczy i z głodu !!~~ Boże!
 jakżeś się pżył tych koszmarów - to
 chyba mnie opanowuje jakieś szaleństwo!
~~Tak!~~ Tak! lepiej niech już jadą ... by-
 leby tylko ... nie zepsuł się samochód
 na tym pustkowiu. Ach! jak to dobrze, że
 jest Mama !!! Ona będzie wiedziała! ...
 w każdej sytuacji będzie wiedziała! &
 Teraz już się ściemniało ... było znów
 około pięciu godzin jazdy od południa
~~to zn.~~ tzn. że od rana przejechaliśmy
 te 600 km., ale coś to? raptem cięża-
 rówki się zatrzymują, to może jakieś
 sioło, lepianki, ludzie - "nasi" kon-
 wojenci znów "wyskoczyli" - podbiegło
 do nich kilku mongołów - tu też rozmowa
 była bardzo głośna, ale długo nie trwała
 & W jej następstwie konwojencji, powró-
 ciwszy do ciężarówek dali "przekaz"
 - ~~wygrabaćcie skarby~~ - wyładujcie

1940

się - a prędzej ! Zdjęliśmy swoje rzeczy
 i ustawiliśmy jak nam kazali bliżej le-
 pianki, która była nieco oddalona od po-
 zostających "domostw". Samochody opróżnio-
 ne zawracają, a konwojenci powiedzieli
 nam, że już się z nami segregują, pozostawiając nas pod opieką "preśdiedaciela"
 - przewodniczącego kołchozu ... Kżyk -
 Kuriana (achi to "to"), tu będziecie
 mieszkać i pracować powiedział: "budzie-
 cie żyć i robotą - szkoła to zrozumieć,
 wskoczyli do szoferki i ciężarówki odje-
 chały. Zostaliśmy [... pod osłoną za-
 padającej nocy ... oszupiali ...] a woko-
 ło nas coraz liczniej gromadziła się
 ludność tubylcza. Z niedowierzaniem
 wpatrywaliśmy się w siebie - a zapadają-
 cy mrok prawdopodobnie ukrywał nasze
 przerażenie, "oni" też przyglądali się
 nam z wielką uwagą - stanowiliśmy, wraz-
 jennie zresztą - dużą zagadkę dla siebie
 Kobiety - mongołki, kulili się i do
 siebie tuliły patrząc jak nasze kobiety
 -matki stojąc przy swoich tobołkach arzu-
 conych przed chwilą na ziemię - zrazu
 cicho pochlipywały, potem coraz głośniej
 płacząc, przeszły do jawnej rozkrzycza-
 naj rozpacz - w szoku - zupełnie bez
 przesłonięcia wśród głośnego płaczu bity
 głową o ścianę - trzaski w ^{głowy} nią zaciśnię-
 tymi pięściami, widziałam jak gryzły
 swoje ręce ... Ten wstrząsający, zbior-
 -owy wyraz rozpacz i najgłębszej bez-
 -silności, podziakał na mnie ... eee!
 wręcz wycisnął piętno! Ten obraz jest
 nie do zatarcia! Dotąd ... ciągle była
 droga ... jazda ... nie było żadnego
 wyobrażenia co będzie u jej kresu, ...
 a moją wyobraźnię dotąd kształtował i
 kończył "dom", a "ta" oto rzeczy-
 wistość - ach! jakaż okazała się strasz-

1940

- a nadomiar jeszcze teraz, w obliczu zbliżającej się noży. Z tego ataku rozpaczki matek nad nieznanym losem jaki je i dzieci czeka tutaj na tym bezkresnym stepie, wśród nieznanym nam ludzi mongolskiego plemienia..... zaczęły wyprowadzać szczególnie dzieci, które domagały się - chciały pić, jeść i spać. Ludność tubylcza jeszcze się nie rozchodziła - coś tam między sobą "gruchała" a przewodniczący jak potrafił - tak zachęcał do wnoszenia rzeczy i mocno kaleczoną ruszczyzną tłumaczył, że daje nam "kantor" w posiadanie. Zrozumieliśmy kantor ^{to} biuro, więc tutaj "na codzień" mieści się kołchozowy urząd - jednym słowem "budynek administracyjny" - Boże! toż to lepianceczka z której przed chwilą usunęli z ziemi wojłok i wynieśli parę teczek papierów. Wchodząc do środka trzeba było zejść dwa stopnie w dół - następnie z długiej siemi było wejście do trzech oddzielnych izdebek. Do dwóch tubylcy wnosili wnosili jakąś słomę czy siano i rozcieliłi je na podłodze, - tak więc przygotowywali nam miejsce na nocleg. Do tej najdalszej izdebki wnosiliśmy za Mamą swoje tobołki i zaraz czynili to też wszyscy. Mama już zajęła miejsce, rozwiązywała tobołki z pościelą i mościła legowisko, potem odszukała zawiniątko z kaszą, wyjęła garnek i skoik ze smalcem. Wkrótce ktoś przyniósł zapalony kaganek, który od tego wieczora ^{po} poczwszy - rozświecił nam mrok swym migotliwym światełkiem - wbrew przewidywaniom - towarzyszył nam bardzo, bardzo długo. W tym migotliwym świetle, każdy rozkładał i ścielił swój barłóżek. Tak więc przez środek izdebki utworzyło się wąziutkie przejście, a po obu stronach były przygotowane posłania, ciasno jedno przy

drugim. W drugiej izdebce też krzątano się przy poskaniach, ale narazie jeszcze nikt się nie kładł. Żadna z izb nie była zamykana - stałe więc ktoś z naszych starał się być przy naszych rzeczach, resztą i tak bez przerwy czegoś szukaliśmy w czeluściach zawiniątek i kręciliśmy się między izbą a podwórzem. Z zaciekawieniem zaglądaliśmy do trzeciej izdebki w której krzątały się mongołki. Jedne rozścielały na podłodze płachty, następne przynosiły w wiaderkach mąkę i wysypywały ją na te płachty. Inne wreszcie - a może nawet to były te same - były resztą tak do siebie podobne, że nie myślałam, że też będę mogła je kiedykolwiek od siebie odróżnić - to były wrasenia "na pierwszy rzut oka" - przyglądałam się, no nie tylko ja - jak w tych stożkach maki robią "dołki", wlewają w nie wodę i "karabiają" ciasto, gniotą i gniotą to ciasto, jak na zwyczajne kukułki, - a sporo tego! Przedstawiciel osobiście doglądał tych prac, interesował się, coś z nimi rozmawiał - no a po niedługim czasie okazało się, że to ciasto było przygotowywane dla nas na chleb. W niecałe dwie godziny od chwili naszego przyjazdu chleb był upieczony, a przedstawiciel chodził bardzo zadowolony - zdaje się, że z siebie i z tego przedsięwzięcia, nie dowiedzieliśmy się czy uczynił to z własnej gościnności czy też miał taki "prikaz" aby po całym dniu jazdy dać nam po kawałku chleba. Matki wносиły na dwór garnki i nie bacząc na ciemność, wygrzebywały w ziemi dołki, które miały spełniać za chwilę rolę paleniska. Wrzucaliśmy w nie kępki traw, bo nic innego nie było w pobliżu i rozniecaliśmy ogień pod garnkiem, przy

1940

lepiance zawrzało gdyż dzieci bardzo się w to zaangażowały i traktowały "to" jako rodzaj zabawy. ~~X~~ Tabylcy do tej pory uparcie się nam przyglądający - szczególnie kobiety - zaczęły przynosić i stawiać przy nas wodę w wiaderkach, a dzieci ich przynosiły wysuszone krowiance ^{ciuch} "bobki" na opał. Wkrótce w garnkach kipiało - bo te "bobki" zarzyły się doskonale. Teraz każdy już miał coś gorącego w kubeczku i każdy z nas dostał właśnie po kawałku chleba świeżo upieczonego, ~~X~~ który mnie wydał się ogromnie smaczny. Jedliśmy przeważnie na stojąco, na chodząco, tylko młodsze dzieci siedziały już "w pościeli" i tam je matki karmiły. Po czym wszyscy jako-tako nakarmieni upadli na swoje posłania. Znow się zdziwiłam że nigdzie w pobliżu nie było ubikacji - ~~X~~ ^{spewnością} jutro w dzień sprawa się wyjaśni. ~~X~~ Mamę jakoś bardzo dręczyła sprawa - a raczej nie "sprawa" - tylko poprostu brak drwi! Obserwowałam jak "z drugą" panią z niepokojem tych drzwi poszukiwały, zaglądały ... do ... "tu" + do "tam", nawet do tej izdebki gdzie mongolki piekły dla nas chleb, - niestety, "drwi" nie odnalazły, ~~X~~ wszystko co (by) zaniepokoiło mamę - natychmiast mnie się udzielało, byłam prawie pewna, że Jej podajrzliwość na jakieś "podkoże". No i Mama ułożyła się między mną a Mietkiem, a Staszek przy samej ścianie i Mietku. Tej nocy do mnie "nie przyszedł sen" - a jeżeli ... to bardzo późno i zdaje się że odtąd datuje się moja skłonność do bezsenności. Zdaje mi się również, że roztropność mojej Mamy uchroniła mnie od nieobliczalnych skutków jakie wywołują strach i ~~niepokój~~ brak poczucia bezpieczeństwa. Teraz to już wiem napewno, że całą noc obecność i bliskość Mamy dawała mi ciepło i bezpieczeństwo, nawet ~~chyba~~

1940

nawet chyba Jej emanacja była mi balsamem i jak powiedziałam uchroniła mnie od następstw przynoszą i pozostawiają w ludzkim organizmie głębokie wstrząsy powodowane przeżyciami "ponad siły" chcę przez "to" jakby odpowiedzieć matkom - to są truizmy? więc tylko przypomnieć, żeby nawet "w normalnych" warunkach nie pozbawiać y dzieci swojej - na nie "emanacji" - spodobało mi się to słowo i wydaje się mi bardzo adekwatne - i nie zapominajmy w jaką siłę są wyposażone przez Najwyższego!

Słyszy się jak niektórzy mówią - nie smrużyłam oka tej nocy - a ja nawet tej nocy - przy Mamie - wręcz zaciskałam powieki, bo spodziewałam się tak prędkiej zasnąć... a "uchylając" je od czasu do czasu widziałam jak moja Mama, siedząc tuż przy mnie w pościeli, modli się gorąco, szeptem - wypowiadając słowa modlitw Jej tylko znanych, bo ktoś kiedyś słyszał np "o mój cudowny w Milatynie Boże - niech mnie Twoja łaska w potrzebie wspomóż" częstą ha! prawie w każdym Jej pacierzu słyszałam też i tę modlitwę Jezusa - Twoje Boskie Serce odbiera nieprzeliczone mnóstwo sniewag i złości i ja Ciebie wielbić jak należy nie umiem ale w nagrodę niesę Tobie serca wszystkich Świętych w niebie i do nich w pokorze dołączam niegodne serce moje... potem następowała modlitwa do św. Jacka potem do św. Katarzyny Sjeneńskiej, do św. Franciszka z Asyżu, do Miłosierdzia Bożego... że naprawdę nie liczę ile modlitw umiała na pamięć i odmawiała je w takim skupieniu i koncentracji, że u niejednego zapewne wzbudzała podziw a u niejednego... drwinę. Do dziś nie wiem czy tej nocy spała. Sądzę jednak, że taka część tej najokropniejszej nocy jednak nastąpiła, był czas kiedy wszystkich

1940

ogarnął głęboki sen, a następnego dnia kiedy się obudziłam musiał już być późny ranek, bo większość naszych już była na nogach. Też ubrałam się czymprędzej. Wynikła kwestia gdzie i jak się nareszcie umyć. Dzień co prawda był słoneczny, ale wiatr wiał bardzo chłodny - no więc na dworze mycie było niemożliwe - zresztą w obrębie lepianki nie było nawet żadnego osłoniętego miejsca. W izdebkach wykluczone, bo same posłania i tylko przez środek wąziutkie przejście, a gdyby nawet i to "zgarnąć" to ciągle wszyscy chodzą "tam i z powrotem", w kociu łącznie z dziećmi jest nas tutaj ze trzydziści kilka osób - wreszcie... w czym się tu umyć? Póki co - polewaliśmy sobie na podwórzu wodę z garnuszka na razem stulone ręce, więc twarz i nieco szyi się zamoczyło, ale problem z myciem naprawdę narastał. Po trzech tygodniach "wspólnoty" w zamkniętym wagonie, każdy musiałby już wreszcie się umyć, no i coś przeprać. Z praniem poszło jakby łatwiej - ani dzisiejszy chłód i zimny wiatr nie przeszkodziły matkom w praniu - bo penetracja terenu pozwoliła znaleźć i "ustrojne miejsca" - (bo istotnie ubikacji tutaj nie było) - i rzeczka. Tak więc bezpośrednio w tej rzeczce, w lodowatej wodzie prały najpotrzebniejsze rzeczy dzieciom i sobie. Moja Mama zabierała nad rzekę również parę rzeczy i tam je przepierała - nie pamiętam efektów tej przepierki - tylko grabiejące ręce od tej lodowatej wody. Wiosna w tym klimacie nie śpieszyła się, bo na obrzeżach rzeczki leżały całe tafle lodu - początek maja - a one się jeszcze nie stopiły. Również nadbrzeżne witki, jedyne krzewy w tej okolicy były jeszcze bezlistne - widocznie chłód jaki tu dotąd panował nie pozwolił się

1940r

in-rozwinąć. Nazwy rzeczki nie pozna-
 liśmy, ale się już zorientowaliśmy, że
 ona jest tutaj "źródłem" wody do picia
 prania i td. - He! he! [Mama naszej lepiant-
 ce prezydent osobiście teraz "zainsta-
 talować" czerwoną flagę - myślałam, że
 to dla uczczenia przybycia tutaj "zesłań-
 ców" z dalekiego kraju, a tu mi mówią, że
 to dzisiaj 1 maja i u "nich" to wielkie
 święto! Zbliżało się południe - znów
 dookoła lepiantki zakopciły się polowe
 kuchenki-dółki. Prezydent "czuwa"
 i polecił, aby wokół każdego dółka oczyś-
 cić siemią z trawy, bo "pajęsiot pożar"
 - a w tym suchym klimacie ogień po zie-
 mi rozprzestrzenia się błyskawicznie
 i grozi ludzkim zabudowaniem - pojeł-
 my co mówił i dostosowaliśmy się do jego
 uwag. Oczywiście słowo "zabudowania" nie
 wchodzi w ogóle "w grę", ale chwilowo nie
 znajduję odpowiedniejszego słowa na okre-
 lenie tutajszych przedsi ludzkich. [Mama
 zajęta najpierw praniem - teraz snów
 przygotowywaniem jakiejś zupy, nie zda-
 żyła "zabrać" tego naszego legowiska,
 więc my, tam, ja z Mietkiem, bo od na-
 leżności przywykliśmy się wzajemnie wspie-
 rzać - zajęliśmy się układaniem -
 uporządkowaniem naszych "t o b e k k ó w"
 - co zresztą wokół nas też wszyscy czy-
 nili. [Od chwili opuszczenia domu - aż
 do tego momentu, problem "rzeczy", tam,
 zawartości tobołków zupełnie dla mnie
 nie istniał, ale właśnie teraz kiedy
 się w nie zapętlam, kiedy czuję się
 między nimi... jak w domu bez ścian, do-
 tykam je po kolei, układam... i wracam
 myślą do tamtej nocy, to przecież nie
 tak dawno obudził nas komet w okna -
 następnie do "bramy", godzina trzecia
 czy czwarta nad ranem 1 13 kwietnia!
 (1940 roku) 4+3) zarwali ze snu, nie wsta-
 jąc z łóżek i zapartym tchem nadszuchuje

1940r

my ... Mama już na "nogach", nie zapala światła, podchodzi do okna, zlekka uchyla zasłonę i przez "szparę" zauważa coś - szybko odsuwa się od okna. Łomot się powtarza i jest coraz niecierpliwszy, słyszymy, że schodzi z góry - z piętra pani Trojakowa, nasza gospodyni - t.j. właści- cielka domu przy ul. Korzeniowskiego 8, w którym mieszkamy, otwiera "bramę" - drzwi, kilka osób "głośno" wchodzi do sieni, no ... Teraz już łomotanie w drz- wi naszego mieszkania, nie ma więc już wątpliwości, że chodzi znów o nas. W- wie znów, bo tydzień temu w taki sam spo- sób przyszli i ... zabrali Ojca - Mama otwiera, cofa się w głąb mieszkania jak rażona prądem, bo wchodzący sałdaci trzy- mają karabiny z nasadzonymi bagnetami "go- towi do atakowania" - jeden z nich rzu- ca w kierunku Mamy pytanie "wasza famili- lia" ? - Mama ledwie wydobywając z sie- bie głos odpowiada : tak ! moja !, ale towarzyszący obu sałdatom - cywil, szorstko zwraca uwagę, że nie chodzi o to "czy to wasza rodzina" - sałdat pyta o "wasze" nazwisko - no więc Mama mówi : że Francis- ka Koralewicz - sałdat : Stanisław etc kto ? - syn ..., a Lesława ? a Mieczys-ław ? - * teraz stojcie ! nieporuszajcie się, my zdsiekajemy obysk waszej kwartiry - no raczej byle jasne - nie ruszajcie się z miejsc, my dokonamy rewizji w wa- szym mieszkaniu. * Jeden z nich stał w drzwiach między kuchnią a pokojem * trzy- mając karabin "na ostro" wycelowany przed siebie. * Sądzę, że pilnował nas - przestępców żebyśmy nie pouciekali, a dra- gi z cywilem przystąpili do pełnienia swoich obowiązków z całym zaangażowaniem. Otwierali kolejno wszystkie szafki, szafy i rzeczy z nich wyrzucali na środek miesz-

1940

kania na podłogę, a nate "wysypywali" zawartość szuflad i wreszcie na wierzch dokładali bez szacunku "jak szmaty" książki - rozrzucali je najpierw pojedynczo wyjmując z etażerki - następnie rozrzucając je po podłodze, opróżniając doszczętnie półki z książek, gazet i czasopism. Mieszkanie przekształciło się w rumowisko, bez możliwości poruszania się w nim: tu walała się koszula, tu kapelusz Ojca, tu "Rycerz Niepokalanej" tu zdjęcia, tu gwoździe, blaszki, obcęgi ze Staszka szafki majsterkowiczowskiej. Pani Trojakowa stała jak posąg - wycierając ręką policzki, sądaci kazali Jej zostać - więc stała ... bezradna ... Mama głośno szlochała - patrząc na tę poniżającą scenę i co tu mówić dewastację - czyba jeszcze nie podejrzewając co też ponad to - mają dla nas w sanadru, ale nie dali nam na "to" długo czekać. Kiedy dokonczyli ten swój pierwszy "akt" występu, jeden z sądatów wyjął z torby świeży papierek i rozpoczął "akt" drugi - wyczytawszy znów nasze imiona i nazwiska - jakby upewniający się, że od chwili ich przybycia nikt z nas się stąd nie ułotnił - no i teraz znów z całą powagą oświadczył: sebirajcieś - zbierajcie się, będziemy was stąd zabierać ... Mama jakby wpadła w szok - wrzasnęła głośnie dokąd? poco!! - a sądat ze spokojem - zabieramy was na pierewospitanije - najpierw połączycie się z mężami, - tak więc zaraz, w tym miejscu dodam, że Ojca mojego Stanisława Koralewicza - emerytowanego od 1931 roku funkcjonariusza Policji Państwowej - w takiej samej scenarii zabrano w nocny parę dni temu t.zn. 4 kwietnia 1940! roku i na dzisiaj po wypłakaniu przez Mamę - NKWD właśnie żaskawie wymaczyło Mamie "widzenie się z Nim i chyba podanie paczki". - ale jak

1940

kania na podłogę, a nato "wysypywali" zawartość szuflad i wreszcie na wierzch dokładali bez szacunku "jak szmaty" książki - rozrzucali je najpierw pojedynczo wyjmując z etażerki - następnie rozrzucając je po podłodze, opróżniając doszczętnie półki z książek, gazet i czasopism. Mieszkanie przekształciło się w ruinę, bez możliwości poruszania się w nim: tu waliła się koszula, tu kapelusz Ojca, tu "Rycerz Niepokalanej" tu zdjęcia, tu gwoździe, blaszki, obcigi ze Staszka szafki majsterkowiczowskiej. Pani Trojakowa stała jak posąg - wycierając ręką policzki, sądaci kazali Jej zostać - więc stała ... bezradna ... Mama głośno szlochała - patrząc na tę ponizającą scenę i co tu mówić dewastację - czyba jeszcze nie podejrzewając co też ponad to - mają dla nas w sanadru, ale nie dali nam na "to" długo czekać. Kiedy dokonczyli ten swój pierwszy "akt" występu, jeden z sądatów wyjął z torby świeży papierek i rozpoczął "akt" drugi - wyczytawszy znów nasze imiona i nazwiska - jakby upewniwszy się, że od chwili ich przybycia nikt z nas się stąd nie ułotnił - no i teraz znów z całą powagą oświadczył: ~~sobirajcieś~~ - zbierajcie się, będziemy was stąd zabierać ... Mama jakby wpadła w szok - wrzasnęła głośnie dekad? poco!! - a sądat ze spokojem - zabieramy was na pierewospitanije - najpierw połączycie się z mężami, - tak więc zaraz, w tym miejscu dodam, że Ojca mojego Stanisława Koralewicza - emerytowanego od 1931 roku funkcjonariusza Policji Państwowej - w takiej samej scenarii zabrano w nocny parę dni temu t.j. 4 kwietnia 1940! roku i na dzisiaj po wypłakaniu przez Mamę - NKWD właśnie kaskawie wyznaczyło Mamie "widzenie się z Nim i chyba podanie paczki". - ale jak

1940

wynika z tego co się " dzieje" - widzenia w więzieniu nie będzie - poprostu niedługo się spotkamy. Wysłuchawszy tego Pani Trojakowa zapytała niesmiało, czy ja może odejść - pozwolili jej...
 " wy " - zwrócił się do Mamy " zabierzcie parę rzeczy: pościel, odzież - no tak około 30 kg na osobę , bo za chwilę pojedzie "maszyna" t.zn. ciężarówka i na nią wsiadziecie. Mama - usłyszawszy, że wkrótce "będziemy" razem z Ojcem - zobaczyłam , że działa jakba pod wpływem środków dopingowych - może nie używam tu właściwego określenia, ale widzę, że Mama przestała głośno płakać, i siadała się w tym apokaliptycznym chaosie. Rozłożyła jedną kapę z Łóżka i wrzucała na nią rzeczy, potem drugą, jeszcze w pleś - w koc w worek, w te nasze szkolne teczki, - i tak dorobek całego życia rozpadał się. Sama ! -przecież nie było się kogo poradzić co zabrać - sama dokonywała błyskawicznie segregacji, że to bardzo potrzebne , to też potrzebne, a to konieczne , to pamiątka rodzinna więc trzeba jej strzec - więc! należy ją ze sobą zabrać ! nawet w największej "człowieczej " rozpaczy, wypędzona w parę minut z domu z trojgiem dzieci - z mieszkania, które stanowiło dorobek całego życia : Nie zapomniała o krzyżyku misyjnym, który stał stale przy Jej Łóżku , jak Jej Godło - i o swojej przemalowanej figurce Niepokalanej Początej - Matce Boskiej - Lurd - którą czciliśmy, bo nas do tego przyzwyczaiła, - i dla Niej , Mama na półeczce "urządziła" ołtarzyk . Ja wyrosłam na kulcie "Lurd". Odkąd mój wzrok rozpoczął rozpoznawanie przedmiotów - odtąd pamiętam w naszym ciepłym domu, niedużą z pięknej porcelany figurkę Matki Boskiej w białej szacie ze złotym różańcem w ręce i złotym kształtnym napisem: Notre

1940r

279

Dane de Lourdes . Wiedziaka - dokładnie
znałam wcześniejszą historię naszej lurdz-
kiej figurki. Moja Mama opowiadała, że od
młodości widywała ją w domu swojej
Babuni - w 16 roku życia odjeżdżając ze
swego rodzinnego Krakowa do Brzeska na
Podolu dostała tę porcelanową figurkę od
swojej Babuni - "jako opiekunkę na dro-
gę życia". Ciocia Wojtyńska - po stracie
swojej 20 letniej córki Wandy - zapropo-
nowała swojej siostrze, aby przysłała jej
"na trochę" swoją córkę - i tak moja
Mama została "młodym człowiekiem" i już stale za-
mieszkała na Podolu. Kiedy w czasie I Woj-
ny światowej toczyły się tam boje i prze-
chodziły fronty - musieli opuszczać swo-
je domostwa i "wędrować" często nawet
przez linie bojowe z kilkoma kuferkami,
przenosząc się z Krosna do St. Sącza -
innym razem z Przemyśla do Tarnowa czy
Nowego Sącza i z powrotem - Głęboko w
kuferku swoim "odziedziczonym" po swo-
jej niedawno zmarłej ciotecznej siostrze
na grudi... właśnie w kuferku tym
ukrywała i wszędzie ze sobą przenosiła
swoją ulubioną i czerzoną ogromnie - figur-
kę Matki Boskiej z Lurd - ale i też ta
figurka "pochodziła" z Lurd. Z tamtej
więc wojny wyszła "cała". Po swoim
zamatowaniu figurka - jak właśnie sięgnę
pamięcią do swego bardzo wczesnego dzie-
ciństwa - umieszczona była na półeczce
przykrytej zwisającą nieskazitelnej bie-
liserwetką, rzęsiście ozdobioną białą
koroneczką, wyprasowaną na gładkość zakon-
nego kornetu, na niej wśród precyzyjnie
wprost ułożonych z obu stron bukietów
- stała ~~zawsze~~ nasza figurka z
Lurd. Tego faktu nie mogłam pominąć -
i ograniczyć się tylko do "wzmianki"
bowiem ... figurka ... wróciła do Polski

49577



RZECZPOSPOLITA POLSKA
RÉPUBLIQUE POLONAISE
ПОЛЬСКАЯ РЕСПУБЛИКА
TYMCZASOWY
PASZPORT-PASSEPORT-ПАСПОРТ

Nr 677/42

Obywatel polski
Citoyen polonais
Польский гражданин

Niemcewska Halina
Немцевская Галина

zamieszkały w Pawłodar

domicilié à

проживающий в Павлодар

w towarzystwie żony -
accompagné de sa femme
в сопровождении жены -

podpis posiadacza: Halina Niemcewska
signature du porteur:
подпись владельца:



data urodzenia
date de naissance

число и год рождения день, месяц и год рождения 12/II - 1906 r.

miejsce urodzenia Pawłatice, woj. Łódzkie

lieu de naissance Павлатице, воев. Лодзь

stan cywilny Zamężna

sejmowe - положение замуженная

zatrudnienie nauczycielka

profession , учительница

profesja , учительница

wzrost średni

taille moyen

twarz owalna

visage ovale

czarna włosy

cheveux noirs

ciemne oczy

yeux foncés

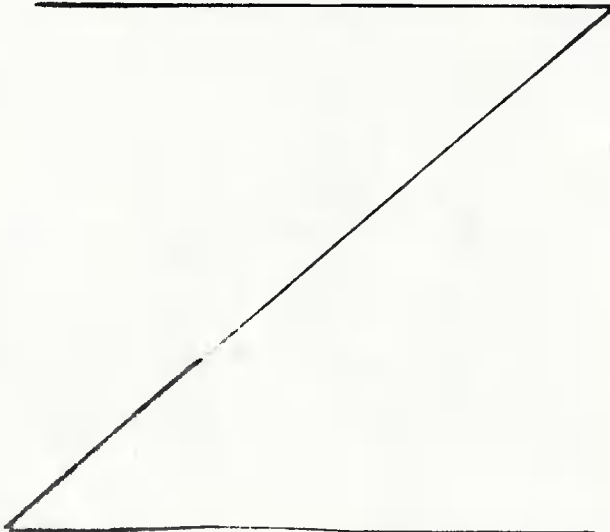
niebieskie

znaki szczególne -

signes particuliers -

особые приметы -

żona - femme - жена



DZIECI-ENFANTS-ДЕТИ

imię
prénom
имя

wiek
âge
возраст

pleć
sexe
пол

Bogdan

Bogdan

6

m. m.

Kraje na które paszport niniejszy jest ważny 21/II.

Pays pour lesquels ce passeport est valable 21/II.

Страны для которых сей паспорт действителен 21/II.

Uprasza się wszystkie władze państw cudzoziemskich oraz poleca się wszystkim władzom polskim okazać w razie po-

trzeby pomoc i opiekę osobom wymienionym w paszporcie.

Les autorités des états étrangers sont priées et les autorités polonaises sont requises de prêter au porteur aide et assis-

tance en cas de besoin.

Упрашивается-сям власти всех иностранных-держав и поручается всем польским властям оказывать в случае надобности

пред'явителю сего паспорта всякую помощь и-оказание.

Termin ważności paszportu kończy się z dniem... 31/II - 1944 r.

Ce passeport expire le... 31/II - 1944 r.

Sей паспорт-важен до... 31/II - 1944 r.

действителен до
o ile nie będzie wznowiony.
à moins de renouvellement.
если не-возобновлен будет возобновлен.

pieczęć
sceau
печать



podpis
signature
подпись

DELEGAT AMBASAD R. P.
LICKINDORF
ATTACHE

Miejsce i data Pawłodar
Lieu et date Павлодар
Место и число Павлодар 2/II - 1942 r.

19h04

92. 8
i jest do dziś czczona/, teraz już w mo-
im "domu" - co absolutnie traktuję
jako rzecz niezwykłą - no i stała się
kolejna "rzecz niezwykła" - ja byłem !
w 1983 roku !!! w Iard !!! - jakżeż bym
mogła takie fakty pominąć - prawda ?

2 }
A teraz snów jestem na Syberii - wśród
tobołków. Na zawsze też pozostanie dla
mnie, ale i Mietek też to potwierdza, ta
jemnicą - skąd znalazła w sobie tyle si-
ły - wprost niezwykłej roztropności,
przede wszystkim zaś wyobraźni! - aby
w tym chaosie dokonać takiej segregacji.
Pamiętam jak szokowana, czerwona na
twarzy od ciągłego schylania się, wysiłku
w pośpiechu, i gorąca - sgrzana, bo pot
z czoła Jej doskownie się lał - a Ona ...
"zlepiła" tobołki - przekazując je Stasi-
kowi do związania "męską siłą". Teraz
kiedy z pomocą Mietka składam i porządku-
ję rzeczy aby je związać na resztę dnia
- zarówno ich ilość - jak i "ciężar
gatunkowy" stanowi dla nas zdumiewającą
zagadkę - zważywszy to i ciągle jeszcze
mając przed oczami warunki w jakich od-
bywała się ta penetracja. Złobu łózek
zdarte - nasze kapy kangarnowe, które
się teraz tak poniewierały, a dla mnie
były one niezwykle piękne - no i nigdy
rzeczywiście nie spotkałem już tak pię-
nej tkaniny dekoracyjnej (z jednej
strony wiśniowo-malinowego, a z drugiej
grozdkowo-popielatego koloru i obie stro-
ny były niezwykle "uroczyste") w nie by-
ły związane cztery poduszki, piernat,
kołdra, pierzyna i Ojca futro. W plecie
były zawinięte Ojca ubrania zdaje się,
te dwa - koszule i bielizna, skarpetki
i meszty i Staszka świąteczne ubranie.
W kocu - zmiana pościeli, ręczniki, firan-
ki zwinięte w kłębek - w pośpiechu zdar-

1940

te z karniszy, obrus, prześcieradko -
 Mamy szkatułka z drobiazgami, kałęcz, fikuśne zegareczki, broszki, kolczyki i to dokładnie zawinięte w jakąś serwetę w mojej teczce zawinięta też dokładnie w ręcznik a następnie w obrus porcelanowa figurka Matki Boskiej z lard o której już wspomniałam, krzyżyk, plik zdjęć, książka do nabożeństwa, też niezwykła pamiątka Mamy jeszcze z Krakowa - modlitewnik drukowany w Krakowie w 1876 roku, Ojca dokumenty - dekret emerytalny i inne papiery których nie oddali "na weswanie" sowietom i tę teczkę dostałam do ręki pod "opiekę", Staszka teczka zawierała jego książki z IV klasy gimn. i oprawiony rocznik "Płomyka" no i parę narzędzi bez których nie zrobił kroku - poprosił tu nosił je w teczce "przy sobie". W teczce Mietka parę żyłek, widelców, noży - pudełko z herbatą, kawą, cykorią, sito i ... wałek i. O Mietka trzeba było zadbać "od początku - do końca" - był poprostu dla nas "mały" - to też Mama go ubierała w sensie - dając mu kolejno, w co ma się ubrać. Ja ubierałam się jak codziennie do szkoły - ale o mój "strój" Mama wyraźnie dbała - tak więc o moich spódniczkach pamiętała - powciskała co tylko pod rękę wpadło. Staszek też ubierał się jak "do szkoły" - a o świątecznym ubraniu, bieliznie i bucikach też Mama nie zapominała - toż to Jej najukochańszy syn - wreszcie sam! sabrała parę swoich sukienek, a ubrać się lubił i potrafił - swetry, spódniczki i co tam wpadło Jej w ręce i natrafił w pośpiechu w tym rumowisku pantofle, pończochy, bieliznę do spania. W kuchni - szybko kładła do worka garnki, rynki ze trzy lub cztery, garnuszki, jakie tylko były torebki z kaszami, mąką - smalec

1940-1

z "garnkiem i szojem". W domu zapasów żywności nie mieliśmy, bo po wkroczeniu Sowietów nie było zaco kupić ani też gdzie. W siódmym miesiącu "ich" ponoszenia - wszystko ze sklepów zniknęło, a nowych towarów nie dostarczano. Wtedy też stał się "mały cud" - ponownie zeszła do nas pani Trojakowa niosąc przed sobą worek - proszę weźcie to od nas "na drogę", trochę żywności - są tam dwie bochenki chleba, trochę boczku wędzonego, smalcu, kaszy gryczanej i kukurydzianej - rozpłakała się mocno i skinęwszy ręką odeszła. My nie płakaliśmy, - no ja to już wogóle "nie miałam" żez. Boiwna się we mnie "klarowała" natura - cierpiałam! ogromnie cierpiałam że nas wypędzają, gdzieś tam wywożą! że Mama jest taka do granic możliwości smaltretowana, ale żez "nie wycimnęłam! Pamiętam jak wyjeżdżaliśmy z bramy na ulicę, jak spotkaliśmy inne ciężarówki wiozące mieszkańców - a raczej mieszkanki Tarnopola w tym samym kierunku t.j. na stację kolejową - gdzie stał drugi pociąg złożony z bydzących wagonów. Mama jakby teraz była spokojniejsza, siedząc na ciężarówce na rzeczach trzymała Mietka na kolanach i mówiła do niego - jakby się sama uspokajając - zaraz się spotkamy z tatą ... w oczach Jej drgały iskierki nadziei - może nawet radości ... myśl swoją kołoczyła "w sobie" - "dla siebie" ... Boże! całe szczęście, że się połączymy - cóż ja sama z tym trojgiem! moje siły już są mocno nadszarpnięte, mam już czterdzieści trzy lata - cała młodość to wojna, linie bojowe, ciągle z Brzeżan do Czortkowa - trzeba się było przenosić, ciągle ucieczki, pakowanie się w pośpiechu, ciągła utrata tego co się już, już nabyło - ba!

1940v

zdożyło! zgromadziło! życie niespokojne, ale mile spędzone przy boku Ciooci Wojtyńskie, potem małżeństwo, ślub w Beremianach, potem zamieszkanie w Tarnopolu, życie pełne pracy w domu ale i pracy społecznej, potem dzieci - troski bo z pensji trzeba było utrzymać dom - ale teraz trudno! - niech będzie "co chce ale jak będą oboje razem, to już gdziekolwiek byśmy-~~tu~~ byli, będzie nam łatwiej! - a tak bez męża cóżbym poczęła sama z tym trojgiem jeszcze zupełnie niezaradnych, niesamodzielnych dzieci. Miał nadzieję - to poprostu wytrzymać, tymczasem na stacji z Ojcem nie spotkaliśmy się - no w czasie drogi to już było jasne, że "oni" tak nas oszukiwali ... a teraz! tutaj! ... toż kto "tutaj" trafi, jesteśmy tysiące km od Polski, teraz myślę że Mama nie ma już nadziei, że spotka się z Ojcem ... a może ... [Z rozmyślań nad tobożkami] wytrąciła mnie rzecz niebywała, która zaszła tego dnia po południu.

II. Kzyż-Turiana

(rok 1940 -sty!)

Już w południe zaczęły się gromadzić wokół lepianki, która stanowiła nasze schronienie, "rzesze" tubylców, przyszedłem zapewne z tym określeniem "rzesze" ale liczna grupa to była! - i po południu co odważniejsi i bez żadnego "czy można" ? weszli do pomieszczenia w którym spaliliśmy i trzymaliśmy nasze rzeczy. Za tą pierwszą grupą już wchodzili następni - bez ceremonii sadowali się na podłodze w zwartej "kupa". Dobrze, że sgarbkiem pościel - a oni usadowieni rozprawiali, zresztą bardzo głośno, co jest chyba charakterystyczne dla "dziczy" - ich mowa to dźwięki, które przypominały mi d

1940

złudzenia gruchanie gołębi. W każdym z tych gardłowych dźwięków wyodrębniło się słowo, które przekazywali sobie z ust do ust - dało się nam rozpoznać jako słowo "palak", - kiwali głowami, znów co odważniej podchodzili, "macali" nasze rzeckie znów coś gruchali - można było wyczuć zdziwienie w zwrocie który powtarzali jako "ajajaj !!!" bo ich "nieme" twarze niczego nie odzwierciedlały. Najbardziej jak tak śladzieliśmy naprzeciwko siebie, ~~do~~ nam się przyglądali z wielkim zaciekawieniem. Trudno byłoby zmierzyć kto komu bardziej, bo my też się im przyglądaliśmy z nie mniejszym zaciekawieniem.

- właśnie teraz z bliska i w biały dzień. Ogólnie - ludzie ci są niskiego wzrostu. Mężczyźni mają bardzo rzadki zarost - parę włosów na brodzie i w miejscu wąsów. Włosy czarne - ~~ci~~ bardzo czarne i proste sasywne - coś z gatunku końskiego ogona, oczy czarne mocno skośne /co drugi chyba miał bielmo/, ręce i nogi nieproporcjonalnie małe, skóra smagła, kości polieskowe "wysunięte", nos niezgrabny - ogólnie boirąc twarz tępa, nogi krzywe, krótkie przeważnie mocno rozwarłe w kolanach, ~~nie~~ krzywe - sylwetka krępa, powierzchowność niechlujna. Część kobiet, które tu siedziały, były wręcz zakwefione od stóp do głów ~~x~~ sawojem z przybrudnawego białego płótna - tylko twarz była widoczna w owalnym "kominiarskim" wycięciu + część ubrana była znów jednakowego kroju długie sukienki - z przodu znacznie podkasane, a z tyłu zupełnie długie - całość wykonana z szeroką falbaną suto marszczoną. Na sukience każda miała kabat z tego samego materiału, ale widać, że musi to być już materiał w pasy ~~x~~ kolorowe, też o dziwnym kroju. Mężczyźni jeszcze "występowali" w spodniach z owczej skóry - żywą wełną

1940

do "gołego ciała", skąd wiem? bo widziałam popękane, dziurawe i niepozaszywane, śmierdzące na odległość. Koszule "zawożone" - jak mawiała moja Mama - jak ta święta ziemia. Całość - wrażenie - dzikusów z plemienia mongolskiego. A jakie myśły na nich zrobili wrażenie? Myślałem, że też nie najlepsze, bowiem zorientowali się po naszej "sztywności", że ich ignorujemy - no i że nasze kultury nie mają ze sobą nic wspólnego. Kiedy już tak na niego się sobie "naprzyglądaliśmy" oni wstawali z podłogi, szybkimi kroczkami wychodzili, a zaraz wchodzili następni - sadowili się po turecku i znów przyglądali się nam i rzeczom nawet co śmiał się podchodzili i rzeczy dotykali. Następnego dnia powtórzyło się "to samo", ale nie zorientowaliśmy się jednak czy to ci sami, czy też mieszkańcy innych auków wioski i z jakiego "promienia" zlatywali się aby nas obejrzeć. Spodziewam się, że na tym odludziu "nasza obecność" stanowiła rzeczywiście niemałą sensację.

W czasie tych wręcz nieustających wizyt w ciągu całego następnego dnia zmienialiśmy się między sobą w pełnieniu dyżurów, bowiem nie wzbudzali w nas zaufania! W ciągu następnego dnia dzieci im młodsze grupkami "obchodziliśmy" teren - szeroko otwierając oczy - a niekiedy i usta ze zdziwienia na odmienną "wzwyż" co nas tutaj otaczało. Matki praży, myły, trzepały, przekładały rzeczy jakby ciągle im czegoś brakowało - jakby ciągle czegoś szukały i z wielkim "zawodem" przekonywały się, że "to" co teraz jest tak mocno potrzebne - zostało w domu "w kredensie". Przez następnych pięć - sześć dni jeszcze mongołki piekły dla nas chleb i po południu każdy otrzy-

1940

mywał swój dzienny "pajok" - jednorazowo! Przyglądałam się pilnie nowemu sposobowi pieczenia chleba, bez dzieży, bez drożdży bez pieca chlebowego! Od wczesnego ranka trzy mongołki gniotły ciasto, t.zn. pszenno - razową mąkę z wodą i to wszystko, ciasto, zupełnie jak na kluski, tylko że gniotły je tak długo, że nudziło się patrzeć. Kiedy - widocznie wyczuwały, że ciasto jest "gotowe" - każda swoją "kulę" dzieliła na trzy części, każdą część lekko rozwałkowywały - a wałek to zwykły ociosany drążek, znacznie cieńszy i dłuższy od naszych wałków - i kiedy utworzył się krążek grubości 7 - 10 cm o średnicy 20 cm, teraz kładły go na patelnię, wysmarowaną prawdziwym masłem, jeszcze palcem dziurka na środku "krążka" i przykrywały wierzch drugą taką samą patelnią z żeliwa - patelnie te nie miały rączek - Na ziemi w palenisku - bez drzwiczek bez rusztów tliły się rozżarzone "kiziaki" - bo tak nazywały się wysuszone bydłocze placki-nawóz, i w tym "palenisku" - w tym "nagarze" z kiziaków zmieściły akurat się te trzy patelnie. Patelnie kładły na rozżarzone kiziaki, następnie na wierzch nagarniały też grubą warstwę tego "nagaru" z kiziaków. Bez zegarka - im tylko znanym sposobem odgadywały, kiedy chleb jest upieczony. Każda z nich piekła swoje trzy "patelnie" i około południa kończyły "prace". Przestygnięty chleb - placek z jednej patelni dzieliły na cztery części i każdy z nas, po południu, otrzymywał taki kawałek "tortu" - każdy zapewne zjadłby cały taki "krążek" w ciągu dnia jak nie, bo ten wypiek był bardzo smaczny, ale niestety... otrzymywaliśmy - jak wspomniałam równe porcje tak dzieci - jak i dorośli. Poza tym nikogo nie interesowało co "mamy" jeść i z czego żyć. Matki zwróciły

Aghon

ciły się do prezydenta o przydział
 mleka, jakiegoś tłuszczu, - no wogóle
 aby coś jeszcze oprócz chleba... Rozmowa
 była ogromnie utrudniona, bo ani oni nas
 ani my ich - zupełnie nie rozumieliśmy.
 Prezydent przyprowadził ze sobą
 chłopca, też mongola, który ^{wymówił} (tamana rusz-
 czyną, ale już do "rozszyfrowania",
~~sresztą dużo, dużo lepiej niżeli pre-~~
~~sident.~~ Tak więc powiedział nam, że
 jest nauczycielem w tym aule - wsł i bę-
 dzie pośrednikiem w przekazywaniu na-
 szych spraw prezydentowi - i odwrot-
 nie. Matki przy nim dały upust swojej
 dotąd wyciszanej złości i rozkołatany
 nerwom - wykrzykiwały do "chłopca",
~~mongola - prawie, że po polsku sresztą,~~
 że na taką nędzę jaką oni tubylcy tu ma-
 ją - jeszcze i nas przywieźli! niech
 nas stąd natychmiast zabiorą - łaski nam
 nie robią - bo myśmy się tu nie prosili
 zostawili nas tutaj na głód i poniewier-
 kę, przecież dzieci dłużej tych warunków
 nie zniosą, już są wszy - nie mamy mydła,
 ani w czym - ani gdzie się umyć. Nie
 mamy za co kupić, bo nikt z nas żadnych
 pieniędzy nie ma, - nie wspominając o tym
 tym, że kupić nie ma gdzie, ale gdybyś-
 my chciały u waszych gospodyń kupić jajek,
 masła, mleka czy maki - przecież nie ma-
 my za co - czy wy to potraficie pojąć
 co my do was kałbity mówimy? ...
 odwracały się z rezygnacją, aby wytrzeć
 łzy z twarzy - oddalały się, bo znów ogła-
 niała je rozpacz. A oni pojęli! i nie-
 tylko to ogromne rozżalenie - ale i to
 dla nich obelżywe słowo "kałbit", które
 odtąd stale się między nami "kotkowało".
 Od samego więc początku już było wiadomo
 że się z nimi nie pokochamy - oni szeroko
 otwierali oczy - kiedy przy każdej okazji

1940-41

matki nanich - po polsku - oczywiście, że chodzi o język - wykładowały całe swoje napięcia nerwowe i rozpacz - ale "oni" nie znali sposobu aby nam pomóc, a na każdym kroku odczuwali zapewne, że ich obwiniamy "za niepoprzednie winy" - i jeszcze obrażamy - więc też się jeżyli i w naszą stronę bełkotali. Różnica była taka, że oni przyzwyczajeni byli już do swojej nędzy, zastanawiali się czy użyć tego słowa na określenie ~~śch~~ warunków i sposobu "życia" - ~~ale~~ kiedy już zdecydowałam na własne oczy zobaczyć starego kazacha, siedzącego przed domem w słońcu, i trzymającego oboma rękami długość nogawki, zdjętych z siebie kozuchowych spodni, który już nie wyjmował palcami wszody z tego kozucha i nie zabijał ich ogólnie znanym sposobem - przez duszenie ich paznokciami - tylko te zawieszane kłaki brał wręcał do ust i wszy zaprysał - dusił własnymi zębami, wysysając z nich krew, po czym dopiero wypluwając. ~~Je~~ ~~że~~ co? że nie do wiary! nie - nie odwracałam się i bo takie zjawisko jest raczej kuriozalne i musiałam go "obejrzeć" - zresztą nie tylko ja ... no rzeczywiście, że przeważnie na takie coś "gapiły" się dzieci - z dosłownym z obrzydzenia wykręcało i głowę "w drugą stronę" i wnetrzości. Pewnie, że wszystko powszednie - i wkrótce nikomu z nas (oprócz mojej Mamy!) nie zapierało tchu w piersiach, ani żołądek nie pchał się do gardła na tego rodzaju "widoki".

Przedśiadacz rozważył widocznie "żądanie" matek i pozwolił brać każdego ranka "na dziecko" po pół litra "odciągane" mleka na tutejszej fermie. Chodziłam z Mietkiem po to mleko i któregoś dnia kazaczka musiała napocząć nową beczkę - bo mleko było trzymane w beczkach - energicznym więc ruchem zrzuciła z

1940

beczki sztywną brezentową płachtę, ale niestety róg tej płachty, brudnej - lepiącej zanurzył się cały w mleku. Kazaczka wyjęła to szmacisko i bardzo dokładnie strzepywała z niego mleko do beczki, ~~na~~ ~~a~~ ~~przecież~~ beczka też się należy "szówko" - to zwykła drewniana "słodziówka!" i tego koloru - Dobrze, że Mama tego nie widzi, bo nie przełknęłaby nawet kropli, Much też już były roje. Często zdarzało się, że przed waniem nam mleka do banieczki - kazaczka zgarniała muchy poplone w mleku oczywiście, że całą dłoń zanurzając brała je następnie do buzi i dopiero po wyssaniu z nich mleka! wypływała te muchy na ziemię. Po tych "doświadczeniach" - pilnowaliśmy aby Mama przypadkiem nie poszła po mleko. ~~Nie~~ ~~mniej~~ - Później - kiedy się już z nimi jako tako porozumiewałam, zainteresowałam się tymi niebywałymi wyrazami skrupulatności, powiedziałabym uszanowania krwiowego "płodu" jakim jest mleko, bo też zauważyłam nawet, że wodę po opłukaniu naczynia po mleku nie wylewają gdzieś, tylko w takie miejsce żeby nie było możliwości deptania - chodzenia po nim. Dzisiaj myślę, że jest to u nich "ślad" "wschodniej czi dla krwi". A wtedy papytałam kazaczkę o "to" - odpowiedziała mi, że "u nas takoj zakon" - ~~takie więc~~ ~~swoje niesamowite obyczaje tłumaczyli~~ magicznym skowem "zakon" - domyslałam się że to ich takie mongolskie niepisane prawa obyczajowe. Do takich "zakonów" należało całkowite nie jadać wieprzowiny ~~ba!~~ nawet mówić "o niej" nie należało. Na swoją - widocznie dość pojętną uczennicę upatrzył sobie mnie - kiedy chłopiec - nauczyciel, "przy pomocy" którego porozumiewać się mieliśmy z prezydentem - i kazał mi mówić do siebie po imię

1940

niu - Abaj - co drugi w tym kołchozie miał na imię Abaj, Mama drżała ze strachu kiedy przychodził... i wołał mnie żebym z nim poszła, ale bała się go wypędzić "na cztery wiatry" - no więc szłam z nim - zabierał mnie do swojej szkoły... cha! cha! cha! jedna izba w lepianceczce, owszem były tam też ławki z pulpitemi, a na ścianie wisiała dość duża mapa, oczywiście! tylko zw. sowieckiego. Przy tej mapie przeważnie toczyły się "nasze rozmowy". Prosił mnie żebym pokazała na mapie gdzie się znajduje "twoja strona", - pojęłam, że pyta o moje strony - takich pływów językowych jak "strona" "rodzina" jeszcze nie pojmowałam - a to tak jak u nas jest szkoła państwo, kraj, ojczyzna... więc na tej mapie określiłam mu, że jesteśmy z innej części świata - tu jest Azja, a my z Europy, no i mniej - więcej "skąd". On skolei podkaształ mi, że znajdujemy się "oto tutaj" na mapie - w Kazachstanie środkowoschod. takie większe miasta to Omsk, Siemipalatynsk, Barnaul Pawłodar, położony nad samym Irtyszem - a my znajdujemy się o tutaj na wsch. części - raczej na wschodniej "ścianie" Kazachstanu o tutaj nad tą odnogą Irtysza, i pokazał mi w książce "fiziko-geograficzeskaja charakteristika Kazachskoj SSR" że gęstość zaludnienia, nie wliczając miast wynosi 2 - 3 mieszkańców na km² - powierzchnia Kazachstanu wynosi 2,7 mln km kw. i ludność "cała" z miastami łącznie wynosi 9,5 mln - odległość do Moskwy koleją wynosi ok. 4,5 tys km. sama republika ma długości ok. 3,5 tys, km a Irtysz stanowi prawie, że jego wschodnią granicę - tak więc coraz wyraźniej pojmowałam naszą sytuację - a mój "nauczyciel" w ciągu paru dni po-

8
7a

1940

Wyjaśniał mi, że "oni" - to niegdyś ko-
czownicze plemię mongolskie - dzisiaj już
osiadłe i że nazywają się Kazachowie i że
nazywanie ich "kazbitami" jest dla nich
nazwą obraźliwą - że znajdujemy się w
kołchozie Kzył-Kuriama to zn. czerwony
sztandar, że zajmują się teraz przeważ-
nie zagospodarowywaniem przyległych pól
pod uprawę pszenicy, a hodowla bydła,
owiec i koni jest już w tej chwili w
szczętkowym stadium, bo nawet krowy w ty-
nielicznym stadzie jakie posiada ten
kołchoz jest tu bardzo trudno wyżywić, bo
paszy niewiele, klimat suchy, step więc
pokryty jest tu rzadkimi kępami ostrej
trawy - a nieco siana, które uda się im
zebrać z zalewowej części doliny tej
odnogi Irtysza - na utrzymanie stada w
nimie nie starcza. Tak więc "podkształ-
cona" przez Abaja - przekazywałam naszym
aby też mieli orientację gdzie i między
kim przebywamy. Worientowałam się też,
że Mama stara się być dla niego życzli-
wa, choć to Jej przychodzi z trudnością,
bo się widocznie bała, że jeżeli dzikus
jak go nazywała "na wewnętrzny użytek"
zauważy nieprzychylność - może się w ja-
kiś sposób zemścić. Korzystał więc z ży-
czliwości i samawiając się czymkolwiek
często przychodził i kazał opowiadać mi
o "swoim świecie" - Ja po rosyjsku uczy-
łam się dopiero kilka miesięcy - i to
poprostu jako języka w szkole po wejściu
Sowietów, umiałam więc niewiele - i co on
z tych moich relacji wydedukował to tyl-
ko Pan Bóg wie. Ja jak umiałam tak malo-
wałam mu obraz tego przepięknego kraju -
a on cały zaskuchany - patrzył uparcie
nie spuszczaając ze mnie jednego oka - bo
drugie miał z bielmą i zauważyłam, że
tu dużo osób ma oko z bielmą (bo
nie mogą tutaj nie dodać, że bielmo na

20.10.40
HG

V6

2

1940

SS

oczach miała cała "klika korporacyjna" w Sowietach. W całym kołchozie było - no właśnie mam kłopoty z określeniem tego "co było", bo chciałam napisać około 10 zabudowań, ale najtrafniej je określić jako dziesięć lepiarek na dość rozległej przestrzeni "usadowionych", - a w dalszej części opisać to curioza, ale najpierw jeszcze o kawoczce - a "kawoczka" to nie kaweczka jak to sobie wówczas wydedukowałam kiedy wszyscy nasi biegli, bo odkryli kawoczku - otworzyli sklepik bo kawoczka to sklepik. Właśnie taki mały sklepik był też w tym kołchozie. Nasi ja kimś cudem dowiedzieli się, że jest tu sklep w tym kołchozie - mówię jakimś cudem, że zewnętrzenie nie było żadnego znaku ... i słusznie! bo i towaru też nie było! więc po prostu byłaby to cała maskarada z szafdem czy oknem wystawowym - więc sklep ten poszłam zobaczyć jak i inni. To szczególny rodzaj sklepu - może dlatego utkwił mi on w pamięci - to prawie symbol sowieckiego rozwoju gospodarczego i jego stanu posiadania. Parę ordynarnych półek - bez "ostrugania" - a na półkach nic, absolutnie nic ... na ladzie w torbie były koszmarnie krochmalowe - różowe cukierki, ale nasi po parę kopiejek zebrawszy - rozkupili je, tak że wne i ta torba z lady zniknęła. Kiedy zapytałam mojego nauczyciela kiedy przywożą do sklepu towary - odpowiedział mi, że parę dni temu, przed świętem 1 maja przywieźli do sklepu materiały i ich upragnioną herbatę w cegiełkach ("kirpicznyj czaj") - a materiały przywozi się tutaj tylko takie jakie tubylcza ludność nosi i wnet materiały te zostały rozkupione przez ludność tubylczą - gdyby przywieziono jeszcze raz tyle - też ludność rozkupiłaby - ach! więc towaru nawet takiego przy

W kołchozie był
mały sklepik
- kawoczka

1940

nitywnego - poprostu brakuje ... nie ma
 no to po co ten sklep? - jest sklep w
 każdym kołchozie musi być ... no ale też
 trzeba zaznaczyć, że poza herbata, nie
 ma tutaj zwyczaju kupowania art. żywno-
 ściowych, bo ludność tubylcza żywi się "po
 swojemu" starym zwyczajem i nie ma jak do-
 tąd nawyku do nabywania czegokolwiek z to-
 warów im nieznanych, tak więc przy okazji
 świąt są im udostępniane towary ze sfery
 ich "świata" - ale nawet nie w ilościach
 które zaspakajałyby ich potrzeby - tylko
 kto pierwszy ten lepszy - poświęciłam te-
 mu zjawisku nieco uwagi, gdyż ten sposób
 zaspakajania potrzeb funkcjonuje do dziś
 i dotąd sięgniesz i dotąd się ⁸²ślisz
 "R y n e k" i jego prawa - aż się go dop-
 rowadzi do stanu odpowiadającego temu
 systemowi t.j. do "stanu katastrofalnego".
 Wtedy nie byłam też jeszcze zorientowana,
 że ten niedawno osiadły lud "o ograniczo-
 nych" zdawałoby się potrzebach - jak to
 orientował mnie nauczyciel - wkrótce
 zechce od nas wszystko to co ze sobą tu
 mamy. Już po paru dniach przychodziły
 kazaczki przynosząc w zawiniątku parę ja-
 jek - nieśmiało pytały czy ktoś chciałby
 "miniać" albo za rzeczy, albo za herbatę
 a wkrótce by nam wszystko "wydarli" -
 interesowało ich "wszystko" co mieliśmy
 i zorientowali się, że pieniędzy żadnych
 nie mamy, a "chcemy" - czy musimy być,
 nauczyciel przekazywał mi, że jego współ-
 mieszkańcy odnoszą wrażenie, że musieliś-
 my być bogaci, mówili "palak bagat"
 nawet z tych "resztek" tak wnioskowali!
 Tak więc kazaczki przychodziły - "jedna
 przed drugą" przynosząc mąkę, jajka, masło
 i to było wszystko co mogli nam zaofero-
 wać i pytały - "miniać budziesz" - tych
 dwóch słów biegle się nauczyły - i się
 nimi porozumiewaliśmy, oczywiście, że mat-
 kix wyzbywały się kolejno rzeczy -

S. 29

1940

- a przecież "wszystkie" te co mieliśmy były nam najpotrzebniejsze - jesé jednak chyba trzeba przede wszystkim, zresztą i tak ... raz dziennie. Tak chyba minął tydzień ... Po tygodniu zjawił się przedniedzielnik ze swoim "tłumaczen" - przez którego oznajmił nam, że za darmo chleba i mleka (odciągane!) nam dawać już dłużej nie zamierza - i że najdalej pojutrze trzeba się do niego zgłosić do pracy, czas bowiem leci, a trzeba sobie zarobić na zimę (Boże!!!) - kto ile dni po osiem godzin przepracuje, za tyle dni otrzyma po zbiorach maki & czysta enigma) - Zdaje się, że nie tylko ja nie rozumiałam tego ich sformułowania "truda-dzień", więc do nauczyciela - tłumaczenie nie nie mniej było zawiłe niż sam problem. Osiem godzin pracy - to jest ten kołchozowy "truda-dzień", ale w ciągu jednego dnia można np. przepracować 12 godzin i w ciągu następnego dnia 12 godzin, tak więc w ciągu dwóch dni mamy już 3 "truda-dni" odnotowane są one w kołchozowych "rejestrach" - no i staraliśmy się aby właśnie tych "truda-dni" było jak najwięcej. Zbiory z pól kołchozowych wyniosą ... jakąś tam wielkość z tego kołchoz oddaje państwu nałożony haracz w formie "planu", część ziarna przeznacza się na karmę dla bydła, drobiu, część na siew, część t.zw. "rezerva" i to co się zostanie, będzie podzielona nie na kołchoźników - ale właśnie na ilość "truda-dni" wszystkich razem dniówek przepracowanych przez kołchoźników - tak więc jeden kołchoźnik który ma większą ilość przepracowanych "truda-dni" dostanie z podziału oczywiście więcej ziarna, a analogicznie ten co przepracował mniej, dostanie mniej - ale nie wynika z tego, że ten co ma "więcej"

1940

ziarna , będzie zasobniejszy, bo ilość wynikająca z podziału może być np. taka że zabezpieczy zaledwie mąkę na chleb i kluski do pastępnego przednówka i nie będzie mógł on sprzedać żadnej nadwyżki tak więc praca w kołchozie w efekcie niewiele zabezpiecza , no oczywiście, że gorzej będzie temu kto nie zarobi - więc będzie musiał pożyczać ... bo kupić też nie będzie miał za co. Z tego mocno zawilego procesu nasuwał się jeden wniosek że dla nas szansa na zarobek jest prawie żadna - bo coś te kobiety tutaj im mogą robić, ^{ma} nie np. wydawało się, że dla nich tutaj nie ^{ma} pracy na cały trud dzień - snują się, i nie widzę, żeby coś konkretnego robili w tym kołchozie a jesteśmy przecież już kilka dni . Wy z Mietkiem trzymaliśmy się "bliżej" mamy natomiast Staszek miał starsze towarzysztwo, córka i syn pani Johowej -nauczycielki żony wojskowego internowanego do obozu - córka pani Fricowej - żony kapitana - też internowanego do obozu, przypominam sobie , że miała już przed wywiezieniem wiadomość od męża i jeszcze dwoje czy troje młodych, których nazwisk nie zapamiętałam, bo ich mamy się przyjaźniły z innymi. Staszek często dokonywał "obochodu" terenu , czy tej miejscowości przeważnie sam. W czasie swoich "wędrowek" natrafił na "porzucony" traktor - i jak wieczorem relacjonował Mamie nieukrywając swego zadowolenia , że po obejrzeniu go i "dokręceniu" czegoś tam - ja się nie orientowałam czego on tam dokonał - co tam ponaprawiał - ważne, jak dla niego, że udało mu się go ^{traktor} uruchomić i podjechać nim do kołchozu. Przedsiadacieli uważał, że Staszek spada mu z nieba i nazajutrz zakomunikował Mamie , że zabiera Staszka na "pasznię" jako traktorzystę i tu wyspie-

1940

wał na jego cześć hymn pochwalny - gdyż traktor oddawna był unieruchomiony i stał sobie za kołchozem ... no a teraz jakżeż się przyda do wiosennej orki. Przybył więc nam nowy "termin" - pasznia - dokąd Staszek się miał "udać" i trzeba było znów się doinformować co to takiego.

Pasznia - to domek -lepiaszczka wśród bezkresnych pól - przeznaczonych do siania - należących do tego kołchozu i tam się przebywa - to znaczy cała ta grupa powiedzmy, traktorzystów i pomocników, "gońców", przywożących paliwo, chleb i mleko przebywa tam przez okres orki tego stepu i zasiewów. Przedsiębiorca powiedział, że jest to dość daleko więc nie będzie mógł codziennie wracać - a orka napewno potrwa parę dni, no sama orka ... ale i siew - następnie wymieniał nazwiska czterech kazachów - takie np. w stylu : Achmanbajew, Dżanżin, Urumbaj, Kubajdżan, oni też będą mieli pełne ręce roboty, bo ciągle coś trzeba naprawić, tu zaczepić a tam pług odczepić, donieść zboże - znaczy pszenicę, wysypać do siewnika odkręcić a tam znów zakręcić tak, że tych czterech kazachów i Staszek z nimi pojedą na tę "pasznię" do wykonania bardzo ciężkiej pracy jak nadmienię pod koniec Przedsiębiorca - dają im batana na zabicie - więc jedzenia im nie braknie ... Mama słuchając tego wszystkiego, że ... Staszka ma zabrać "gdzieś - tam" ... coraz szerzej otwierała swoje i tak duże niebieskie oczy - a w ogień by bez namysłu wskoczyła za dziećmi! - przez noc kwestię rozważyła i nazajutrz powiedziała Przedsiębiorcy, że ona ew. też tam może się na coś przydać, a że małych dzieci - to niby nas z Mietkiem nie może samych zostawić - więc pojedziemy wszyscy Jakżeż się ucieszyli kiedy do tego wyjazdu zgłosili się państwo Czechowscy - starsze

1940

już małżeństwo oboje dobrze po czterdziestce - wywieźli ich "za syna wojkowego". I znów Mama z Staszkiem związała tobołki - a około 10-ej podjechał wóz - to okropieństwo - bez boków, jak tym się wogóle wybierał w drogę! Zaprzężony w dwa te leniwe wozy. Pamiętam, że pod wieczór dojeżdżaliśmy do tej "samotni" - paszni. No, też już na tyle zdawałam sobie sprawę z tego, drugim powodem dla którego Mama nie sprzeciwiła się wyjazdowi Staszka na tę pasznię - na tę pustelnię, bo życie w ciemności tej lepianki w Kżyk-Kuriana stawało coraz trudniejsze, do zniesienia - nie tylko przecież tam wszyscy spaliśmy, ale każdy po swojemu poprostu żył - coraz trudniej było się godzić ze wszystkimi i ze "wszystkim". Zniecierpliwionym, z dnia na dzień coraz bardziej rozdrażnionym, podnieconym bezradnością - nie trzeba było "dużo" - zaczęły więc powstawać konflikty, był już sygnał, że lada moment się skompromitujemy, a na żadną zmianę warunków nie było "widoków". No to co? Skalei zastaliśmy na tej paszni - też nie było łatwe do przyjęcia. Mama i pani Czechowska po wejściu do lepianki i rozejrzeniu się tam stwierdziły, że rzeczy narazie niech jeszcze zostaną na wozie, a my "ogarniemy" z kurzu i pajęczyn izby - bo było ich dwie. Ja też urwałam takie suche zieliska na miotkę i zaczęłam zmiatać z wojłkowej "kaszmy" leżącej na podłodze kurz, śmieci i omiecione pajęczyny, ale obie panie stwierdziły, że tę kasznę trzeba jednak porządnie wytrzepać na dworze, więc wynieśliśmy ten wojłkowy czysto wełniany "dywan" - na dwór i najpierw położywszy go na piasku - deptaliśmy po nim "raz przy razie" nogami - a następnie trzepaliśmy go, unosząc w powietrzu - wszyscy musieli się w to zaangażować, bo ten wojłok jest ciężki, no i do tego czyba od

1940

"nowego" nie trzepany - kazachowie stali z boku i podśmiewywali się z tych naszych zabiegów. Oczywiście - że osiedliliśmy się w tej izbie przez którą się nie przechodziło, państwo Czechowscy pod jedną - a my pod drugą ścianą. Kazacy nie mieli ze sobą nic oprócz takich derek do przykrycia się i wrzucili je na podłogę w tej pierwszej izdebce co to się do niej wchodziło bezpośrednio "ze dworu". Ten wołkok - czy kaszma jak na "to" mówili, zauważyliśmy rozpostarty na ziemi w każdym pomieszczeniu w każdej izdebce, po nim chodzili, poza tym służył jako siennik, materac ba! Łóżko nawet tak więc po tym się chodziło i na tym się spało. Teraz niesamowita sprawa była z tym żywym baranem, który całą drogę beczkał niemilosiernie. Wspomniałem już, że przedsiedaciel dał nam żywego barana i powiedział że głoda nie zaznamy - a wieczorem cały baran był już w kotle, z tym, że Mama i pani Czechowska z wielkimi skrupułami proponowały im, aby część tego mięsa ich zdaniem "na nas" przeznaczono, dali nam w surowym stanie, że to my wg swojego obyczaju je ugotujemy. Sprawa zdawała się być nie do "przeskoczenia" - rozprawiali, rozprawiali nad tą propozycją i przy tym zachowywali się tak, jakby nie nas nie rozumieli - co zupełnie prawdopodobne, kiedy baran był już wypatroszony, odarty ze skóry i bez głowy, wtedy stali nad nim i zastanawiali się czyba czy wogóle nam dać, albo skąd tu uciąć ... i ile ... Aż tak zakomi mogą być tylko ludzie bardzo - i ciągle głodni - toś ręce się im trzęsły kiedy podawali Mamie i pani Czechowskiej po kawałku tego mięsa. Już później to się z tym ich zakomstwem jakoś "otrząskaliśmy". Przed tym - zanim opowiem o uczeniu z barana, wyjaś-

1840r

nie, że kuchni takiej jaka istnieje w naszym pojęciu t.zn. fajerkowej nigdzie tutaj nie spotkaliśmy - poprostu do swego trybu życia i sposobu wyżywienia, a może i zwyczaju, nie potrzebują innej - tę rolę spełnia tutaj wmurowana nad paleniskiem czy w palenisko, przy podłodze jakaś dziesięciolitrowa misa z czarnego "niepolewanego" żeliwa i pod tym tworem kuchennym bezpośrednio tli się ogień, bo kizlaki nie palą się płomieniem! Przy palenisku nie ma żadnych drzwiczek, a przepalone na popiół "kizlaki" wygarnia się z paleniska "na izbę". Przed lepianką stała dość duża beczka z wodą - najwidoczniej już wcześniej tutaj przypaszczona. Wspominam o wodzie, bo powinna być potrzebna do płukania mięsa - ale nie była! bowiem poćwiartowanego barana na płachcie na podłodze - "wsypali" do tej olbrzymiej żeliwnej misy, zalali wodą po brzegi i posolili - sól też tutaj leżała w worczku na ziemi - potem wszyscy usiedli "po turecku" i tak siedzieli przy tej bulgocącej misie spawnością dwie - trzy godziny stale dokładając do ognia i z niecierpliwością sprawdzając czy mięso już "odchodzi" od kości. Tak siedząc, rozprawiali bardzo głośno - a chwilami byli już tak podnieceni, że się przekrzykiwali. Wreszcie nadszedł moment rozpoczęcia pałaszowania! Wszyscy niemal jednocześnie wyjmowali rękami z tej misy mięso i trzymając takie kawały w rękach - żarli! Żyli! bez chleba, bez niczego (tam nie było ani kartofli ani kapusty!) jedynie od czasu do czasu popijając rosółem nabranym drewnianą kolorową żyzką - no oczywiście, że wszyscy tą samą bezpośrednio z michy. Wszyscy więc "umyli" w rosolu swoje ociekające tłuszczem ręce - a siedzieli dotąd przy misie, dopóki mięso

1940r

z ostatniej kości nie zostało objedzone - wtedy zduchnęli "kopcikę" i padli na wojtek - natychmiast zasypiając. Cały ceremoniał śledziliśmy z dwóch względów - pierwszy: to ciekawiło nas - jakie panują tu zwyczaje w "żywieniu" i dookoła żywienia panujące - a drugi: to ten co by nas czekało, gdyby Mama i pani Czechowska nie wpadły na pomysł wyproszenia dla nas po kawałku jeszcze "surowego" mięsa. Najpewniej z tej wspólnej michy trzeba byłoby koniecznie razem z nimi jeść gdyż odmowa wspólnego jedzenia jest wobec nich afrontem i oni już do takich ludzi żywią nieprzejdłą wrogość - tak mi tłumaczył "nauczyciel" żeśmy to tutaj miały na uwadze i przekazała "reżencie". Nie sądzę jednak abyśmy mimo głodu, bo też przecież przez cały dzień nie nie jedliśmy - mogli przełknąć takie tłuste mięso baranie, gotowane przez przypraw - no i tak jeść bez chleba, bez czegośkolwiek. Natomiast wiem, że Mama jeszcze wtedy! żeby nawet umierała to by napewno mięsa z tej michy nie przełknęła! - najprawdopodobniej narazilibyśmy się im - i nie wiadomo czy dalszy tu wspólny pobyt byłby możliwy. Takie to były nasze odczucia po paru dniach przebywania wśród kazachów w Kzyk-Kuriana. Mama posoliła "swoją" kawałek baraniny tymi grudami soli - jaka tam była - następnego dnia wypatrzyła w trawie i przyniosła "piórka" stepowego czosnku, nacierała, płukała i wreszcie w swoim garnku - upitrasika. Trudno było pojąć co myślał prezydent mówiąc: daję wam barana więc głodu nie zaznacie ... następnego dnia już z barana nie było śladu - a praca związana z orką dopiero się rozpoczęła. Teraz wyjaśniam sobie, że słowo "pasznia" pochodzi od "pachać" co znaczy - orać.

1940

Przy paszni zastaliśmy trzy traktory-
stacjonujące pod gołym niebem. ciekawe
jak długo? uważam, że miało to niemały
wpływ na trudności napotymane teraz przy
ich uruchamianiu. Widziałam, że kazacy ^{ona}
Staszek i pan Czechowski ogromnie się
namęczyli ^{pracy ich uruchamiania} nie mówiąc o wymorusaniu rąk,
twarzy i odzieży. Staszekowi - trzeba by-
ło przeznaczyć do pracy koszulę i spodnie
aby tylko to już niszczył przy tych trak-
torach. Kazacy - tak jak "chodzili", pra-
cowali - tak się kładli i znów w tym wsta-
wali i szli do pracy - wypiwszy czaj z ce-
żego samowara. Na zmianę narazie żadnej
odzieży nie mieli chyba, że było za ciep-
ło - to poprostu z siebie te pikowane ku-
fajki zdejmowali - a pod nimi - oczywiście
koszula "ze stójką" przy szyi, a
mój Ojciec dopiero do tego czegoś tzn.
tej "stójki" dopinał kołnierzyk i wówczas
koszula wyglądała normalnie - a tak?
- no i muszę dodać, że koszule były kolo-
ru szmaty po umyciu garnizowej podłogi.
Mimo usilnych zabiegów - od wszędy już nie
dało się w żaden sposób ustrzec. Tam -
opanowały one już tak ludzi, że nawet nie
próbowali z nimi walczyć ... a może i pró-
bowali ... ale już stali się wobec tego
zjawiska bezsilni! a kiedy nie ma wogóle
środków do tępienia, to pozostaje się
już tylko pogodzić z losem, żyć! Ciagle
jeszcze nie przypuszczałam, że zmierzamy
dzień po dniu w tym samym kierunku, że
ich los jest właściwie zwierciadłem naszego
losu. - Pożal się! ale oni tak żyją od poko-
leń ... a co będzie z nami? ... nie! nie!
my przecież niedługo wrócimy - przecież
to była pomyłka i i wkrótce pewnością
się wyjaśni ... Warkotu traktorów mieli-
my dość. Z ulgą patrzyliśmy jak się odda-
lają - a kiedy były już zupełnie małe

1940x

i warkot się gubił - mogliśmy głębiej odetchnąć ... Mimo, że widnokrąg jak stół ten malejący traktor dawał wyobrażenie o długości oranej polaci ziemi. Za pługami szedł następny traktor - siewnik, aby wsiad w nią ziarno pszenicy, zanim reszta wilgoci z ^{ziarna} niej nie wyparuje. Po paru dniach Staszek nieprzyzwyczajony jeszcze i chyba za młody do takiej pracy - wydawał się być już mocno zmęczony, tym bardziej, że te "mechanizmy" były już mocno "sfatygowane" i psuły się zbyt często a naprawa ... napotykała na niesamowite trudności, - rysował się przed naszymi oczami "sowiecki wirszaft" - państwo-
 we więc nieczyje !!! niech stoi na deszczu i spiekocie niech się rozlatuje na drobne części, niech się psuje - co mi tam! Staszek jak narazie robił wrażenie, że pracę tę traktuje jako rozrywkę - dla zabicia czasu - nie mówiąc o tym, że przede wszystkim "mechanizmy" go bardzo pociągały już od młodości - lubił się tym zajmować i był wówczas w swoim żywiole - w domu stale coś majsterkował. Między domowym majsterkowaniem - a tymi wielkimi traktorami zdaje mi się, że była duża różnica, ale kasacy wprost z niedowierzaniem przyglądali się jego pracy - jego "woli" - zaciekawiało ich to, że za wszelką cenę dąży do tego aby to pole srać! to było ponad ich możliwości - aby takie "coś" pojąć! Trudno też było znów mnie pojąć dlaczego Hoja Mama z panią Czechowską cały czas też tak sumiennie pracują^{o! a! a!} przedpołudniami przygotowywały glinę i jedna z nich reperowała ściany i podłogę wewnątrz lepianki, a druga zewnętrzne ściany i dach lepianki. Oboje z Mietkiem też znaleźliśmy sobie zajęcie - zbieraliśmy po stepie do worka suche "kiziaki" -

wirschaft

Aghon

pozostali prawdopodobnie po sześciu-
 nych wołach - kazacy nam "klarowali", że
 wiosna deszczowa, orka się przedłuża,
 przyprowadzają im więc tutaj krowinę.
 Moim odczuciem i bez deszczu powinni
 przyprowadzać tutaj tę fabrykę opału -
 tylko, że ta fabryka rzeczywiście nie
 miała się czym tu wyżywić - trawa nie
 dość, że rzadka to jeszcze ostra jak dru-
 ciki, na długo nie podtrzymałaby się kro-
 winy, ale mleko przydałoby się, przecież
 jeść trzeba - a nie ma co. [Pracę zaczy-
 nali] bardzo wczesnie rano ^{np} około je-
 denastej przerywali ją - ^{np} wychodzili
 znów około 15-ej ^{np} do 19-20 ej. praco-
 wali. Mama bardzo się starała aby jak
 Staszek kończył pracę przed i po południu
 miał coś gotowanego do zjedzenia - tak
 więc jedliśmy dwa razy dziennie, - można
 powiedzieć, że przed południem "coś tam"
 i wieczorem "coś tam". To rzeczywiście
 było "coś tam", bo jeszcze było trochę
 kaszy i trochę smalcu - to takie resztki
 z domu, ale to już na długo nie mogło
 wystarczyć. Mama "robiła" jedzenie bardzo
 oszczędnie - wplatając mąkę z żarna, któ-
 rą nam tutaj dostarczyli no i im kazakom
 też. To co jedliśmy - to napewno była po-
 łowa tego co-byśmy zjedli. W następnych
 latach wspominaliśmy ten okres - jako
 "jeszcze dobre czasy". Kiedy więc już
 wieczorem Staszek wracał z pracy wysma-
 rowany, brudny, Mama kazała mnie albo Nie-
 kowi polewać mu podgrzaną wodę na ręce
 - aby się najpierw umyć, ^{np} najbardziej za-
 pamiętałam to niesamowite mydło, które
 otrzymał Staszek - bo tylko jemu przysku-
 giwało - mydło to, to była poprostu gli-
 nka - popielata glinka w kawałkach. To
 się wogóle nie mydliło, tylko się tak ro-
 smarowywało na nogi i ręce, - bał napią-
 jak popielate błoto - a wodę? wodę też

1940

trzeba było oszczędzać. Staszek miał absolutne zadatki na pedanta - a tu w tych warunkach był niezwykle łagodny, cierpliwy, nałomówny, - ale w towarzystwie z re-
~~sonem i uśmiechem.~~ Tutaj nie było żadnego dla niego towarzystwa - do rozmów z kazachami się nie zmuszał - po umyciu i zjedzeniu, samotnie sobie chodził po tym stepie. Mama znacznie złagodziała - szczególnie tutaj swój stosunek do kazachów - nie wiedziałam, czy i nie potrafiłam skonstatować czy dlatego, że na tym pustkowiu i bezludziu bała się ich...
 jeszcze bardziej - czy też może już spadała jej podejrzliwość i obawy o agresywność tego niedocywilizowanego plemienia.
 Swoją drogą - to bezkresne pustkowia i my w tej "szalupie" - wśród nich - mogło mieć w sobie coś przerażającego. Kiedy nie mogłam zasnąć - snułam niesamowite domysły o wilkach, a szakalach... które otaczają tę chatę... a jakiś szeleści w tamtej izbie... no to już wydawało mi się, że zaraz będzie "po nas"! - no wogóle fantazjowałam i strach ogarniał mnie coraz większy - trzęsłam się, jakbym dostawała dreszczy. Często - właśnie szczególnie w nocy myślałam, kiedy ta "paszarnia" się wreszcie skończy. W ostatnich dniach maja powróciliśmy do Kzyk-Kuriama. Przewodniczący okazał nam, że jest ze Staszka pracy ogromnie zadowolony - nawet mówił o nim "makadoj traktorist" co miało być szczególniejszym dla niego uhonorowaniem - no i żeby jemu to jeszcze w jakiś sposób uwypuklić - "podkreślić"...
 to zaproponował Mamie - jeżeliby nie chciała do "kantoru" ^{syna makadoj} powrócić, to wskazać "mieszkanie" w opuszczonym cieletniku, jakieś... 500 m od Kzyk-Kuriama. Cieletnik - to tutaj taka szczególna obora - zagroda, a przy niej lepianka - na

musieli
domniemywać

dwie izby, prawdopodobnie było to "lokum oborowego, ~~ale~~ jak się zorientowaliśmy na miejscu - ten cieleśnik był już tylko legendą tego kołchozu, gdyż całość była już w całkowitej dewastacji, i należało domniemywać, że w takim samym stanie są izby nam proponowane do zajęcia. Państwo Czechowscy wyrazili chęć pójścia z nami, a nawet zamieszkania w tej izbie "prześciowej" - tej niby "kuchni", byle narazie nie wracać do tego "kantoru". Co tu dużo mówić - "wizja lokalna" ukazała te izby jako zupełnie nie możliwe do zamieszkania a mimo to - ani moja Mama, ani państwo Czechowscy nie zdecydowali się na powrót do "kantoru". Tego dnia nie było już czasu na jakies tam porządki, ale też wejście odrazu do wewnątrz tych izb nie było możliwe - bo pajęczyny i robactwo wisiało od sufitu po podłogę - tak więc tylko po wyrobieniu przejścia - jak w "buszu" i zeskrobaniu z szybek okiennych pajęczyn i muszych odchodów - jakoś - jakoś przemocowaliśmy. Nasi - którzy przybiegli wczoraj "z kantoru" z litością się nam przyglądali "w co my się pakujemy?" - Przez kilka dni Mama napracowała się znów bardzo, a nawet było bielenie ścian - /przedsiedacie! nawet przyniósł wapno!/, - potem smarowanie podłóg gliną, później dachu, oblepianie okienek, bo glina tu i ówdzie odpadła - bo trzeba dodać, że tu się okien nie otwiera, nie mają one zawiasów, tylko ramki wciska się w otwór i umacnia, tzn. zasmarowuje się gliną. Mama z nami - a państwo Czechowscy w swojej izdebce - nie żałowali ani czasu, ani trudu, aby to nazwijmy "ćwierć wyjście" jaknajlepiej przystosować do naszego bytowania. Np. żeby nie spać tak bezpośrednio na ziemi, Mama - a my oczywiście z nią, naściągaliśmy trawy uczepionej

1940

kępkami do krzaków rosnących na "zalewie"
 rzeczki. Staszek nadal chodził do pracy
 - tzn. reperował te graty-traktory i mi-
 wierki, które wskazał mu prelsiedaciel.
 Wtedy woale! - ale i dzisiaj nie potra-
 fił pojąć jak ten 17-tni chłopiec potra-
 fił sobie poradzić z tymi maszynami - na
 dobrą sprawę przecież nigdy dotąd się
 z nimi nie zetknął. Dotąd zaczęłam poj-
 mować, że najwyższym dobrem człowieka
 jest jego rozum i myśl - a dopiero póź-
 niej ręce. Przecież ten chłopiec, w mil-
 czeniu dżubał, zastanawiał się, przecież
 nie miał się kogo zapytać - no tak, ci
 jego towarzysze pracy, pokazali mu ta-
 kie wysypisko żelastwa zardzewiałego, więc
 i tam grzebał, ale najważniejsze były
 jego osobiste satysfakcje z tej pracy.
 A Mama z wielkim zadowoleniem prała i w
 tym kotle - w tej wmurowanej misie goto-
 wała bieliznę pościelową. Z wielkim poś-
 wieniem jeszcze usilnie walczyła z wsza-
 mi, aby jaknajdłużej ochronić nas od tej
 plagi. Było nas tu mniej osób, więc łat-
 wiej było o utrzymanie jakiejś czystości,
 przynajmniej wszy nie przechodziły z jed-
 nego poskania na drugie - jak w "kantorze".
 O czym ja jednak? wiedzieliśmy, że bez
 środków: jak mydło i soda - i tak wkrótce
 opanuje nas ta przeokropna wszawica, ale
 Mama jeszcze walczyła! dokładnie pamiętam
 jak z ubiczanych nad rzeką patyczków i
 suchych zdrewniałych gałązek wikliny, po
 spaleniu * ten z "nich" popiół wkładała
 do wody, * gotowała i tworzył się z tego
 żug - i w nim właśnie Mama prała i goto-
 wała bieliznę z jakimiś resztkami naszego
 "Jelenia". Pani Czechowska - rada - korzy-
 stała też z doświadczenia Mamy. Obok tej
 lepienki - była kiedyś obora, czy stajnia
 ale zimowe "burany" - huraganowe wiatry

Mama

AghoV

zmiotły już dawno resztki dachu i pozostały tylko nagie żerdzie - a odpowiednie przez nas poprzestawiane, służyły nam do wietrzenia rzeczy i pościeli jak też i wieszania prania. To wszystko tu w Kzy

- Kuriama jest takie prymitywne - takie "pseudo", że nazwy tych określeń których używam absolutnie nie mają się do "rzeczy" które widziałam, ale jakoś je muszę określać, więc dlatego co w drugim wyrażeniu używam cudzysłów - a żeby uwypuklić tę obcość zjawisk i rzeczy. Po paru dniach naszego zamieszkania w "cielętniku", poczuliśmy właśnie w naszym pomieszczeniu bardzo nieprzyjemny zapach. Mama z naszą pomocą - następnego dnia wynosiła nasze rzeczy na dwór "na żerdzie" i jeszcze raz gruntownie, wymiatała, bieliła wietrzyła. Po następnej nocy, okazało się, że stężenie smrodu ogromnie "wzrosło" i stało się już zupełnie nie do zniesienia - tym bardziej, że smród się "wykrystalizował" i wyraźnie można było rozpoznać, że pochodzi z rozkładającego się trupa - i co do tego nie można było już mieć najmniejszych wątpliwości. Co ja znów przeżyłam z tą swoją - uruchomioną wokół tego smrodu - wyobraźnią, to nie do opisanie. Ledwie, że doczekaliśmy ranka. Wraz ze świtem, Staszek z Mamą i pan Czechowski - opukiwali ściany i podłogę - no i znów zaczęliśmy wynosić rzeczy - rysowała się perspektywa powrotu do "kantoru", bo tu już nie sposób było przebywać - nie już mieszkać. Po wyniesieniu rzeczy - Mama zaczęła ściągać też trawę z podłogi, podścieloną pod nasze posłania i wówczas ... co też się ukazało Jej oczom! - zwołała nas i już wszyscy razem zaczęliśmy się bardzo serdecznie śmiać. Do trawy była przyczepiona już

1942

mocno pod wpływem naszego ciepła - rozkłada się nieduża ryba. Po usunięciu ryby, aby zatrąść i usunąć ten niesamowity smród, Mama "podymiła" jakąś trawę czy gałązkami - i to pomogło. Teraz już chatę mieliśmy w porządku. [Często chodziłam do kantoru do naszych - i któregoś dnia przysłuchiwałam się jak prezydent zwrócił się do naszych pań - żeby jednak wychodziły do pracy. Zapomniałam, że już parę dni temu też mówił - zapowiadał, że kto nie będzie pracować - to kompletnie nie ma tu na co liczyć. Dzisiaj znów przypomina, że dawane nam przez ten czas mleko, chleb i trochę maki - to byłaby jakby "zaliczka" - ale teraz zostanie nam to wstrzymane, bo mieszkańcy Kżyk-Kuriana się oburzają, że oni muszą pracować i nas żywić. Nasi, którzy nadal mieszkali w tym "kantorze" od dnia przywiezienia nas tutaj, teraz zazdrościli nam tego "mieszkania" - na "osobności", tam było coraz trudniej wytrzymać. Wynikały kłótnie - że nie do zniesienia warunki wpływały na krańcowe rozdrażnienie - a teraz jeszcze ten prezydent to już tak rozsiewał wszystkich tym swoim gadaniem, że doskakiwały do niego - wygrażając pięściami "przed nosem" - przekrzykując się przy tym - po polsku - jak on śmie - zapędzać nas do roboty, za ten kawałek chleba i to "odciągane" mleko a co z dziećmi, a cóż on sobie, taki kałmuk myśli, że się jeszcze będziemy tym kałbitom odwdzięczać pracą za to co nam zrobili - to niedość, że nas tu wywieźli, na tę poniewierkę, to jeszcze nam będzie grozić głodem - a niechże sobie dobrze ten kałmuk zapamięta, że się tu nie prosiliśmy, tak więc wtrącając w zdania słowo "kałmuk", "kałbit" z odrazą

1940

odwracali się rzucając na odchodnym - że jeszcze nas te kałbity popamiętają! Przedsiębiorca z tego krzyku i wygrażeń najpewniej i najgłębiej zapamiętał sobie słowo które być może nawet instyktownie odczytał jako obrażające go - "kałbuk" - czy "kałbit" - tak, że jeszcze może ze dwa razy jeszcze odważał się zwracać do naszych kobiet o wyjście rano do pracy, ale odzew był prawie, że żaden. Nauczyciel powiedział mi, że bogaci ludzie nie lubią pracować - a po waszych kobietach widać, że to m"bieżeruczki" że nigdy nie pracowały i dlatego pracy się boją bo nie robić nie potrafią - kiedyś z naszymi kobietami było to samo, ale teraz - co młodsze już się "do wychodzenia do pracy" przyzwyczaiły, nie puszczam mimo uszu sformułowania "wychadzić na rabotu" - należy więc poprostu "wychodzić do pracy" - istotnie z tego co widać - to "rękawów" sobie przy pracy nie urywają, nawet powiedziałabym, że pracę "oszczędzają" - i to co można zrobić dzisiaj, robią jutro pojutrze - już ich widziałam "w pracy" na tej pasznie - u nas to się nazywało "robi jak za pańszczyznę". Wynik nawoływania przedsiębiorcy był taki, że jednak kilka pań do pracy się zgłosiło - no m, in. oczywiście moja Mama - wiem, że wiązała z nią (z pracą!) z całą pewnością otrzymanie, chociaż tych bardzo "prymitywnych" produktów - jak mąka i mleko - z tym też wiązała możliwość przetrwania tego krytycznego okresu - zanim Anglia i Francja się za nami upomną. Zresztą oni już zapewne to czynią, tylko my o tym jeszcze nie wiemy - jesteśmy tu na takim odludziu i tak odizolowani że nie docierają do nas żadne wiadomości ze świata. No! nie można powiedzieć ... do Kyzł-Kuriana jednak docierała "Prawda" z dwu-

Vindringa

1940r

trzy tygodniowym opóźnieniem. Boże!!!
 ale cóż to za "prawda" - sama nazwa jest
 już parodią tego co ukazane jest na jej
 łamach. Jeden egzemplarz przychodził w ję-
 zyku rosyjskim - reszta egzemplarzy w ich
 języku i ich literami wg. jugurskiego al-
 fabetu. Ten egzemplarz "Prawdy" w języku
 rosyjskim przynosił mi do przeczytania
 - krzewiciel kultury w tut. kołchozie -
 Abaj. Owszem, czytać - czytałam, ale jesz-
 cze dużo słów nie rozumiałam - pozna-
 jednak słów Ojca i że język wroga trzeba
 znać - ogromnie się starałam rozumieć,
 czytałam, dociekając co to może znaczyć.
 - czasem poprostu dedukowałam. A z gazety
 wprost "ziało" sukcesami. Wszędzie plan
 zasiewów wykonany w 100%, nigdzie żadnych
 trudności, ani kłopotów, nie mówiąc już o
 katastrofach które się wogóle tu nie zda-
 rzały - wszyscy czuwają na swoich "poste-
 runkach" - a rozwój rozkwita w każdej
 dziedzinie. Jedna ze szpalt udawała
 że nie tylko żarówka, telefon, radio,
 proch to dzieło sowieckich uczonych, ale
 ostatnio właśnie udowodniono, że "koło
 zębate" to też chluba sowieckiej myśli!
 No takie mniej-więcej infantylne wiado-
 mości były publikowane w tym najpoważniej-
 szym partyjnym organie. Później, już tak
 mnie nie rozśmieszały te artykuły prepa-
 rowane "pod publiczkę". Pierwsza czoło-
 wa strona była "obłożona politycznie"
 - poprostu stereotyp! szczególnie podkreś-
 lana szlachetna rola partii i niezamącona
 niczym dynamiczna działalność w kraju...
 były też wzmianki o wzrastających z dnia
 na dzień efektach rozkwitającego sojuszu
 sowieckich i hitlerowskich Niemcami. Wzmian-
 ki były wprawdzie krótkie, ale wielkość
 czcionki między "garmondem" a "dwuterc-
 ją" świadczyły o wadze tego sojuszu dla

1940

sowietów. Artykuł, który wprost ścinał z nóg - p.t. "Dalszyje uspiewchi Citera" a w nim niezwykła wiadomość - przeczyta-
łam Mamie w całości - bowiem było w nim,
że 10 maja 1940 goda germanskaja armija
pod rokowodstwem gienierała iksiniakiego
podniała nastupienije - i stremitsa na
zaniatije teritoriji Franciji - wyruszo-
nyje wojskasosriedotoczywajutsa w Gałandi
ji i Biełgiji - no! że niemiecka armia
- czy siły zbrojne niemiec rozpoczęły
ofensywę i dają do zajęcia terytorium
Francji - uzbrojenie i wojska, gromadzo-
ne są na terenie Holandii i Belgii ...
a Mama na to wydeła usta - skwitowała tę
wiadomość zdawkową uwagą - że to kłamstwo
- jak i wszystko w tej "prawdzie" -
artykuł wybitnie obliczony na okadzenie
kolejnego kroku Hitlera - ale ukazując
ten krok jako sukces Hitlera, nie zdawał
li sobie sprawy, że to byłaby jego total-
na klęska - pociągnięcie samobójcze. Dzie-
ci nawet wiedzą, że Francja jest potęgą
militarną i to jeszcze powiazaną w soju-
sze ... i tak im więcej wprawiałam się
w czytaniu, tym bardziej utwierdzałam się
w przekonaniu, że to co jest publikowane
w "Prawdzie" - ma się akurat odwrotnie
do rzeczywistości. Jak też już powie-
działam - [] do pracy stanęły cztery panie
i moja Mama, co sprawiło, że między pania-
mi z "kantoru" nastąpił jakiś-taki po-
dział - już nawet między sobą bukowało
życzliwości. Dla tych czterech pań - pra-
cusiów" - jak je zaczęły nazywać w "kanto-
rze", preśdiedaciel znów postarał się o
wolne izby i one z wielką ulgą i chęcią
opuściły tę głołąną wrzawę, - gdzie z dnia
na dzień narastały konflikty, brud i wazy
co kresztą w tej ciemności - ciepłe i bru-
dzie już było nie do uniknięcia. [] Kiedy co
parę dni przychodziłam do "kantoru" aby

Aghor

się spotkać z dziećmi - wydawało mi się
 że zbłądziłam, że trafiłam na inny kantor
 - kobiety stawały się coraz bardziej za-
 niedbane, opuszczone - niedoczesane -
 niedo-odziane, rysy się "wyostrzyły"
 wskutek wychudzenia - stały się roz-
 krzyczane i złośliwe. * * * jeszcze nie tak
 tak dawno temu - kiedy mieszkaliśmy ra-
 zem z nimi w tym "kantorze" były takie
 wyciszone, obserwowałam je * * * jak popo-
 ludniami czy wieczorami siedząc w głą-
 bokiej zadumie na swoim "legowisku" przy-
 tulały ciepło do siebie swoje dzieci,
 często ocierając bezwolnie płynące łzy.
 Od tego czasu już minął miesiąc, ^z pewnością
 nadal wieczorami oddają się głąbo-
 kiej zadumie nad tą swoją egzystencją,
 która jawi się jako - prawie że bezna-
 dziejność, więc rozdrażnienie wzrasta
 - płaczą z tęsknoty za mężami, od których
 żadnych wiadomości nie ma - bo coż tu
 dotrzeć! - * * * pnie "tutaj" !!! same z dzieć-
 mi i ubywającą - resztką rzeczy - bez
 żywności, oddaleni od siebie setki kilo-
 metrów, nie sobie nawzajem podpowiedzieć
 ani pomóc - jak więc żyć? - jak trwać
 - co robić - wszystko się urywa - niewie-
 le już pozostaje nadziei - jak długo
 jeszcze? - właśnie ... jak długo ...
 jeszcze? a dobrawszy myślami do tego
 "miejsca" wołałam nie zatrzymywać się
 na tym pytaniu! trudno więc aby takie
 cierpienia nie wywierały piętna na wyra-
 zie twarzy. Kiedy tylko przedsiębiorca
 pojawiał się w "okolicy" kantoru - sły-
 chać było głośne wyzwiska rzucane pod
 jego adresem ... niech ten kałmuk się tu
 nie pokazuje, co on sobie myśli - niech
 coś z nami "zrobi", my już tu długo nie
 wytrzymamy - my tego kałmuka ... i tak
 właśnie już teraz wygrażały mu nie na

1940r

Sarty. Najgłośniej i naj odważniej i zupełnie czytelnie wyrażała swoje zdanie pani Konopkova. Powiedziała przewodniczącemu - że jeżeli nie ma tu dla nas miejsca, to dlaczego ty kałmuku nas tu trzymasz - postaraj się ty dygnitarzu komu... aby nas stąd spowrotem odesłali do domu! I pewnego popołudnia - przy końcu czerwca (1940r!) do Kzyt-Kuriana przyjechała milicja, z samochodu no - takiej jak to nazywają "suka" wysiadł milicjant, drugi pozostał przy kierownicy. Zjawisko to było o tyle godne odnotowania, gdyż przez dwa miesiące przewodniciciel spełniał wszystkie role i funkcje wobec nas - sam. Milicjant zjawił się nieoczekiwanie - mówił dobrze po rosyjsku mimo, że był kazachem - przyglądał się nam wszystkim jakby chciał sobie każdą twarz zapamiętać. Między kobietami "poszło" że pewnie przyjechał z polecenia aparatu Knuta Dużego zbadać jakie są nasze warunki bytowe, bo Anglia i Francja już się o nas upominają i wniosły pretest w tej sprawie - no już teraz będą musieli się z nami liczyć! nie! nie zgadzy! milicjant doszedł do grupki pań zebranych "na rozmowie" i zapytał wprost jedną z pań: "wy Konopka" (widocznie już miał ją dobrze opisaną), pani Konopkova odrzekła - ja! ...a coooo? a milicjant: pojedziecie ze mną ... i szczerze zeznanie jak jesteście tu traktowane ... - Pani Konopkova prawdopodobnie nie podejrzewa podstępów ... ale na wszelki wypadek wyraziła swoje żądanie - raczej postawiła warunek! - ale dzieci pojedą ze mną! a milicjant powiedział: "nie trzeba!" to długo nie potrwa ... pani Konopkova odjechała tak jak stała i ani tego dnia - ani następnego już nie wróciła ... Zresztą więcej jej nikt z nas - ani jej dzieci - nie spotkaliśmy!

Agkor

Niesamowicie smutny i trudny był los tych małych Konopków - Mirki chyba 8 letniej i Stasia - 11 letniego. Jeszcze parę dni przebywały wśród nas, ale po kilku dniach Prezydent zabrakł je na swoją "dryndulę" i dokądś zawiozł. Pytałam Abaję czy może mi powiedzieć jaki los czeka te dzieci - bardzo, bardzo niechętnie, ale wyjawiał mi, że pani "Konopka" została ukarana więzieniem - a jej dzieci zostały oddane do sowieckiego dziecięcego domu sierot. Zdaje się, że wszyscy zapomnieli - a ja po tylu latach jeszcze pamiętam o tym ogromnie smutnym losie jaki jeszcze oprócz wywiezienia - spotkał małych Konopków - i być może dzisiaj, nie mają już polskiego języka i niemal całkowicie zruszczeni - wynarodowieni - nie mogą się niczym "okazać" - wyrosli tam i tam się "plączą" z głęboko wciśniętym kolcem polskości ... a ile tam takich ...!!!

Jakże głęboko przeżyłam ich osierocenie i byłam wdzięczna losowi, że mam inną Mamę - aniżeli pani Konopkowa, chociaż walczyliwie - to ona nic złego nie zrobiła.

Prezydent musiał się dobrze "nagłówekować" aby - aby zapewnić, ujmując to współcześnie - "front robót" tej miniekipie kobiecej, która codziennie stawiała się do pracy. Na pierwsze - poszła pusta teraz - stajnia owiec nie czyszczone - "z gnoju" chyba od rewolucji. Nie tylko ja - ale wogóle mało kto wie - co owieczki potrafią przez parę lat "należać". Otóż - potrafią ze swoich odchodów - bobków ubić w stajence metrowej wysokości, a nawet wyższą warstwę swego "owczego" specyficznego nawozu - twardego nieczym kamień. Panie więc kilofami łupają bryłę po bryle tej nawozowej skały i wynoszą na zewnątrz układając je obok siebie tak, aby ze wszystkich stron owiewało je

1940r

powietrze, bo po wysuszeniu te bryły miały służyć też na opał, podobnie właśnie jak "kiziaki". Z dnia na dzień ręce Mamy były bardziej rozrانیone, bowiem pęcherze pękały i pod wpływem ponownego ucisku, robiły się głębokie rany. Po pracy Mama leczyła te obolałe ręce, pozostałe panie również czyniły co umiały, np. rano zawijały je grubo szalikami, albo szmatami i pracowały. Sens ~~x~~ tej katorżnej pracy był właściwie żaden, bo nie dostały za nią słamanego szelaga. ~~To zapisywanie~~ im tych "trudadni" - to były gruszki na wierzbie, a w aule nie było już dawno fermy owczej, - spodziewam się, że albo poginęły same z głodu i chorób, albo "dozór" stadka - zjadł je z głodu, albo też ... stadko rozkradli tutejsi kołchoźnicy. W ich chatach ^{Kolchoz} spotykało się po 2-3 owieczki - ale w "stado" już się nie bawili. Rzeczywiście panie stajnię dokładnie uszyły oczyścić - a wówczas prezydent dał im ... no właśnie! parę dni wolnego na wygojenie rąk, bo miał dla nich już następną katorgę. Na terenie - na który ta mała rzeczka wylewała, zebrano trochę siana, ze cztery chyba sterty. To siano trzeba było poprzemnieść z tej zalewowej części, na teren wyższy - na step bliżej aulu, znów ustawić w stertę i właśnie po ustawieniu sterty - wyznaczony krąg dookoła niej o promieniu 15-20 metrów oczyścić do jednego "żużla" i korzonka z trawy, aby w razie "zapalenia się stepu" ogień nie dotarł do sterty. Początek lipca był jak na naszą wytrzymałość, już bardzo upalny - co stwarzało dodatkową uciążliwość w tej bardzo ciężkiej pracy. Po pracy Mama wyciągała z tobołków rzeczy, przyglądała się im uważnie, rozmyślała - wreszcie odrzucała "na bok" t.j. do torby, a

1940

wieczorem zamienić u kazachów na mąkę, parę jajek - już wiedzieliśmy że jajka to "sumurtka", troszkę masła i trochę ziarna pszenicznego, bo ziarno liczyli taniej. * Kiedy Mama i Staszek byli w pracy, na nas z Mietkiem spadał obowiązek przyniesienia mleka, które nam z racji pracy Mamy i Staszka dawali za darmo - następnie od kazachów pożyczaliśmy żarna - tam. oni je nam u siebie udostępniali do zmielenia pszenicy - bo ten ciężar nie do udźwignięcia te dwa okrągłe wielkie kamienie z "korbą". Przez częste przebywanie wśród nich my z Mietkiem znaliśmy już wiele słów w języku kazachskim i coraz łatwiej się z nimi porozumiewaliśmy. Teraz już mogliśmy się im przyjrzeć od strony "pieleszy domowych". Wchodziliśmy do ich zagród i do mieszkań. Każda zagroda stanowiła jakby zupełnie oddzielną wysepkę na stepie - a wazystkie w tym zale porozrzucane bez "ładu i składu", a żadna nie tworzyła jakiegś regularnej przestrzeni zamkniętej na polu kwadratu czy prostokąta - przeważnie zagrody te miały kształt owalny. Całe "podwórko" otoczone było "murem" stworzonym przez lata - z warstw traw i gliny budowane powyżej wysokości człowieka. W ten "parkan" - ogrodzenie wtopiona była lepianiczka z reguły dwuizbowa, a do niej przylegała coś w rodzaju sieni-stodoła-stajnia-komora - co oni nazywali jednym słowem "serej" - a nauczyciel Abaj wyjaśnił mi, że to określenie przyjęło się z innego odłamu języka mongolsko-azjatyckiego i tam znaczyło pałac-harem-zajazd. Kazachowie widocznie przechodząc na życie osiadłe, zapożyczyli sobie tę nazwę, która dopasowała się im do tego wielkiego pomieszczenia przylegającego "do domu"

do 78 2.70.
tak!
ale nie
całkowicie

8

1

↓

Sko

↑

a przeznaczonego na trzymanie tu krowy, owiec, kozy czy kur. Trudno byłoby pominąć sprawy "kiziaków" jako sprawy nam dotąd zupełnie - ale to zupełnie nieznannej. W Kżyż -Kuriana jak wspomnianam prawie w każdej zagrodzie była krowina - ale oprócz tego była jeszcze kołchozowa "ferma mleczna" t.zn. stajnia na ileś tam ogonów. W maju rozpoczęto wyganianie bydła za auk przez dwóch pastuchów na koniach - ciągle się dziwiłam, że też te krowy nie poprzecinały sobie języków tą trawą, a za krowami ... biegły ślad w ślad kazaczki z uwieszonymi na nosidkach wiadrami - do tych wiaderek wrzucały - zbierając z ziemi gołymi rękami krowienie odchody, jeszcze ciepłe, z napełnionymi uwijając się jedna przed drugą - biegły wprost do aułu - do swoich zagród i wyrzucawszy zawartość wiaderek, znów pośpiesznie wracały "na trasę", którą przed chwilą podążały krowy - z tym odległości wzrastały wraz z oddalaniem się krów - i na dalszą drogę kazaczki już się nie docydowały, bo to jest jednak ciężar - ale ich zapobiegliwość i spryt w zbieraniu tych świeżych "placków" jest zdumiewająca - no i ten zupełny brak poczucia jakiegokolwiek obrzydzenia. Starały się więc obrócić kilka razy i kiedy miały na podwórku pokalną kupkę - dorzucały w nią resztki suchych traw, słomy i plew, poprostu co było z odpadów w "seraju" mieszały to i wyrabiały - cały czas gołymi rękami - placki wielkości kartki - arkusza papieru i ustawiało je płasko na ziemi w rzędzie. Starsze placki już porządnie przesechnięte ustawiały w daszki, później w większe "kupki" - a na końcu składały je w sterty i z wierzchu zasmarowywały skrzętnie i dokładnie całą przyzmę - być może przed wilgocią, albo przed pod-

1940

kradaniem tak się zabezpieczały. Z po-
 czątku rozśmieszała mnie ta grupka bieg-
 nących truchcikiem kazaczek za krowami -
 ale Abaj znów wyjaśnił mi, że inny opak
 jest tutaj nieosiągalny i problem ten do-
 piero po przezimowaniu tutaj się znacz-
 nie wyjaśni - zima bowiem tu jest bardzo
 długa i ostra i zapobiegliwość kazaczek
 oparta jest już na wieloletnim doświadcze-
 niu, odtąd już patrzyłam na to mięszenie
 ciepłego odchodu - zupełnie innymi oczami
 a nauczyciel często wracał do sprawy ki-
 ziaków - mówił: że mi tylko "podskazywa-
 jet" - podpowiada, abyśmy się już zabez-
 pieczali w opak, bo inaczej czeka nas
 "zamior 'z'" - chyba zvariował! coco?
 my tuuu do zimy? - toż lato trudno nam
 przetrzymać - rzeczy ubywa, bo stale ~~tr~~
 trzeba sprzedawać - zamieniać na coś do
 jedzenia - przecież tego nawet do jesie-
 ni nie starczy, a co on ... mi tu o zi-
 mie ... i powiedziałam mu, że jeżeli bę-
 dzie mi coś wspominać o zimie to nie bę-
 dę z nim ~~brużytsa~~ - czyli przyjaźnić się
 Coraz mniej czasu miałam na te dysputy
 Mama szła do pracy, więc na mnie spadał
 obowiązek, ułożenia i zaścielenia - t.j. ~~na~~
~~przyskrzycia pościeli~~, nanoszenia wody, go-
 towania, a raczej "przy"-gotowania jak
 np. upalenia maki na prażuchę, albo zag-
 niecenia ciasta na kluski, - potem nagrza-
 nia wody na mycie, - ~~bo i Mama i Staszek~~
~~przychodzili spoceni, zakurzeni, umorusa-~~
~~ni i mocno zmęczeni.~~ Do regularnych przed-
 południowych czynnoś ci kazała mi Mama
 włączyć wyczesywanie głowy gęstym grzebie-
 niem siebie i Mietka - ale skąd się wziął
 u nas ten grzebień? - toż to teraz praw-
 dziwe dobrodziejstwo. Nie mam pojęcia
 gdzie był w domu, a przecież tutaj okazał
 się wręcz niezbędny. Posiadanie w domu w
 - Polsce - czegoś takiego "wydaje mi się..

1940

ba! zabranie ze sobą czegoś takiego wyda-
je się przechodzić moje pejęcie ! a Mama
zabrała ! Przez czas tych poranionych
rąk, Mama nie mogła mi umyć głowy, a sa-
ma ... jeszcze nie potrafiła. Pani Cze-
chowska kiedyś właśnie widząc, że Mama
mnie - 14 letniej dziewczynie myje głowę
chciała wpłynąć na mnie wychowawczo ini-
by to kartując, niby zawstydzając mnie
do Mamy powiedziała: no! no! głowy sobie
jeszcze umyć nie potrafi - a zalotnik
tuż ! - jak burak czerwona zrobiłam się
wtedy ... i już jej ... nie cierpiałam
Mama dziwnie unikała kontaktów z domami
- mieszkaniem kazachów poza oczywiście
niezbędnymi - kiedy to trzeba było załat-
wić jakąś "wymianę" - wtedy zabierała
mnie ze sobą, bo nie potrafiła się z ni-
mi porozumieć - albo też nie chciała.

Byliśmy już na tyle zorientowani, że
jeżeli np. weszlibyśmy do ich mieszkania
i zastali ich przy "samowarze" t.j. przy
picu herbaty, kiedy to cała familia
siedzi na podłodze na tej kaszmie zapchlo-
nej przy niziutkim okrągłym stole -
wówczas najstarsza z rodu zaprasza wcho-
dzącego jednym słowem: "otrym" - siadaj
trzeba wtedy dostosować się do ich oby-
czaju i bez jednego słowa - nie tam ja-
kieś np. "dziękuję, jestem właśnie po her-
bacie" - tylko natychmiast należy usiąść
obok nich i z podanej filiżanki herbaty
- wlewając sobie na spodeczek, wypić tę
herbatę, bo inaczej nie ma co już drugi
raz do tego domu wchodzić - a moja Mama
po prostu ... nie rozumiała ... i koniec!
a na zaskarbieciu sympatii wogóle jej nie
zależało ... ale, co tu mówić! mogła so-
bie na to pozwolić, bo u nas miała wyrękę
Jak więc już wspomniałam my z Mietkiem ju-
po tych dwóch miesiącach znaleźliśmy wiele

1940

Taków i niedługo już się porozumiewaliśmy. Staszek zupełnie nie angażował się w te wymienne konszachty - a Mama najwidoczniej uważała to za właściwe, najczęściej nakłaniała go aby odpoczął - poletał, ale rzeczywiście, bez najmniejszej przesady kiedy wracał z pracy widać było, że zmęczony jest do granic wytrzymałości a w nim nie wzbudzał nawet współczucia, nie mówiąc głośno - dziwiłam się, że Mama widząc, że tylu naszych nie podejmuje pracy - nie namawiała Staszka aby rzucił tę pracę - przecież warunki w jakich ją wykonywał były nie do przyjęcia! - a korzyści żadne! Żelastwo rozpalone na żarze słonecznym, tylko mała izba przeznaczona na przechowywanie jakichś tam narzędzi. Staszek więc wyjęty był przez Mamę spod brania udziału w kontaktach - raczej konszachtach z kazakami - a my to zaakceptowaliśmy. My więc z Mietkiem przy tych kontaktach wynikających z handlu wymiennego znacznie lepiej ich poznawaliśmy i dostrzegaliśmy sytuacje, których nieraz nie potrafiliśmy sami sobie wyjaśnić czy wytłumaczyć. Tak właśnie było kiedy w jednej ze środkowych zagród zauważyłam, że czyni się tam gwałtowne porządki - oblepia się w pośpiechu "seraj" gliną - ściany i sufit były wyplecione z trzciny wiklinowej obrzuconej z obu stron warstwą gliny - ta glina widać nie była dobrze wiązka się z tą trzcina i właśnie wszystkie te przedwity zalepiano - reperowano i gdyby to robili we wszystkich zagrodach w czasie tych upałów, uważałabym to, że w czasie lata przychodzi okres remontowania swrajów i lepiarek - to jednak działo się na terenie tej jednej zagrody - ponadto będąc w mieszkaniu - właśnie w tej zagrodzie którą to tak pośpiesznie porządkowano - dostrzegłam w dru-

1940

giej izbie - przeciągniętą zasłonę na dłu-
gość i szerokość łóżka, bo spod zasłony
wyraźnie widać było nogi żelaznego łóżka
- co już było niemal ewenementem, a zsa-
tej kotarki słychać było tajemnicze sze-
lesty i ... jakby kwilenie malutkiego
dziecięcia - tajemniczości temu - powiem
"zjawisku" dodawało to, że w domu "krzą-
tała" się świeża - nowa gospodyni, bo
już kazaczki rozpoznawałam - i ona stara-
ła się "pozbyć mnie z domu" - załatwiała
mnie bardzo szybko, żebym jaknajprędzej
opuściła ten dom, nie ukrywała zresztą
że jest niezadowolona z mojej "tu" obec-
ności. Wkrótce też we wszystkich mieszka-
niach kazackich dało się odczuć pewne
podniecenie i obserwowałam jak kazaczki
przygotowywały i smażyły "kołobki" - tzn
kulczki - to może pewien rodzaj pączków
i nawet zdarzało się, że tu i ówdzie po-
częstowano nas takimi kulczkami - nie by-
ło w nich ani odrobiny cukru - a mnie
wydawały się ogromnie smaczne - były to
uformowane kulczki z ciasta kluskowego
i smażone w tej wielkiej misie ... na
czystym maśle, prawdopodobnie zbieranym
w tym celu od pół roku ... Następnego
dnia w południe wszystko się wyjaśniło -
bowiem z wszystkich zagród kobiety Kzyż-
-Kuriana podążały w kierunku tej uporządko-
wanej zagrody - niosąc przed sobą samo-
war oraz w sztywnej szmacie, usmażone "ko-
łobki" - z tym wszystkim sadowili się
wokoło zagrody i kiedy się "stawili"
wszyscy co powinni się stawić - rozkarmo-
no samowary rozlokowano się jak w obozo-
wisku i rozpoczęła się biesiada - a do
biesiadujących wyszła we własnej osobie
gospodyni tego domu z malutkim dziecię-
ciem na rękach. Sprawa prawie że się wy-
jaśniła - bo przyznam miałam też na uwa-
dze i smutną uroczystość: że tam ktoś za

A9404

kotarką leży śmiertelnie chory - tylko to
 kwilenie dziecka, owionięte było najwięk-
 szą niewiadomą. Sprawę znów musiałam
 "oprzeć" o nauczyciela - jako, że napraw-
 dę jeszcze wtedy interesowała mnie ta
 egzotyka - nauczyciel "cały w skowronkach"
 rad, że snów interesuje mnie jakiś szcze-
 gół z ich życia, wyjaśniał - i opowiadał,
 często jeszcze przerywając i zapytując
 "ponimajesz" - rozumiesz? gdybym nie ro-
 zumiała - prawdopodobnie rozpocząłby kwe-
 stię od początku ... tak więc wyjaśnił mi
 że kazachowie kiedy jeszcze byli - jako
 naród koczowniczy - to kobietę, dziewczynę
 którą sobie mężczyzna upatrzył na żonę
 - podjeżdżał na koniu w noc, pod jurte
 i wykradał tę swoją wybrankę - zabierając
 ją do swego obozu - mówię: słuchaj po ciemku,
 mógłby zabrać np. starą-kruchą
 staruszkę i co wówczas? - uśmiechnął się
 że nie! to się zdarzyć nie mogło, bowiem
 już w jakiś sposób przed tym kiedy "ją"
 dostrzegł w tym jej obozie dał jej "znak"
 że ją porwie ... pomyłki się nie zdarzyły
 - a tu ~~o~~ aule? no wiesz, teraz już się
 porozumiewają słownie i ona przed tym
 wtajemnicza w to swoich rodziców, że np.
 w przyszłym tygodniu zostanie "ukradzioną"
 - czy porwaną" z domu rodzinnego i przejdzie
 do Tanguza - a rodzice poprostu
 muszą się zgodzić, bo u nas Tanguz ma
 "rację" !! - i tylko jego decyzja się li-
 czy. Najczęściej mieszkają razem z rodzi-
 cami, dziadkami, zanim postawią sobie swo-
 ją zagrodę, a jeżeli wcześniej przyjdzie
 czas urodzenia dziecka - wszyscy muszą się
 wynieść i gnieździć w "kuchni" - no już
 szczególnie mężczyźni - a matka po uro-
 dzeniu dziecka pozostaje za kotarką w po-
 koju - w "konnacie" i tam przebywa 40 dni
 nie pokazując ani dziecięcia, ani "się"
 nikomu na zewnątrz - a mąż? - mąż też 40

1940

↓
dni nawet nie wie czy syn - czy córka,
a właśnie tu w tej zagrodzie świętują dz
dzisiaj "odsłonięcie" tajemnicy - kiedy
to żona z dziećmi z odsłoniętym miejs-
cem "gdzie trzeba" - wychodzi uroczyście
zza kotarki, odstrojona już w te swoje
białe zawoje - gdzie tylko twarz jest wi-
doczna - podaje stęsknionemu mężowi dziec
ko- i prawdopodobnie siebie (sic) a po
tym powitaniu w pustym mieszkaniu gdzie
nikomu wejść nie można - potem wychodzi
z dziećmi do gości. Dobrze, jak jest
lato! -ale jak oni zimą "świętują" to
Odsłonięcie - to już sobie nie wyobrażam
... ale już pytań nie zadawałam, bo wy-
jaśnienia znów trwałyby i trwały! Nie wy-
jaśniam więc czy goście zostali zaprosze-
nina to "odsłonięcie żony dla męża" -czy
też sam sobie wyliczyły dzień 40sty i le-
ciały na "sabat" - do dziś też nie wiem
czy te "wypieki", masło i jajka niosły
aby obdarować szczęśliwą matkę - czy też
dla siebie - aby nie sprawiać jej kłopotu
z przygotowaniem "sabatu". Niemniej przy
tej okazji wspomnę jeszcze o wyposażeniu
mieszkań i smakołykach tu. mieszkańców.
Do mieszkania nie wchodziło się bezpośred-
nie ze dworu, ale właśnie przez ten "se-
raj" - za między serajem a mieszkaniem
obowiązkowo trzeba było przestąpić bardzo
wysoki próg i wówczas już wchodziło się
do izby pierwszej - coś w rodzaju kuchni
- na podłodze położona była gruba kaszma
z owczej wełny - niby dywan zdobiona ja-
kimiś taśmami we wschodnie motywy - stół
o niziutkich nogach - zawsze okrągły -na
nim stawiano samowar i parę filiżanek i
talerzyków - z boku na ścianie półeczka
i tam jeszcze dwie, trzy - blaszane mi-
seczki a w szerokim kubku te specjalnie
werniksowane kolorowe łyżki - zupełnie
taro - odporne. Tu też jest właśnie ta

1940x

duża misa wmurowana w palenisko "na głu-
 cho". W paru izbach przy tej misie -
 na ścianie wisiały na gwoździu ściěrki
 a może ręczniki. W drugiej izbie mówio-
 no o niej "komnata" - śmiechu warte!
 kaszma na podłodze, która jest chodnikiem
 siennikiem i krzesłem - na niej się sie-
 dzi, leży "po herbacie" - i na niej ukła-
 da się pokotem cała rodzina. Ani szafki
 ani ławki, ani schoweczka - nic - popros-
 tu pusto !!! - jedno okienko i w naroż-
 niku na zawieszanej żerdce, poukładane
 są kołdry i poduszki bez powleczenia, więc
 wyswiechtane. Często zdarzała się jeszcze
 jedna żerdka - nieco niżej zawieszona,
 na niej był przerzucony jakiś przydzie-
 wek - kabał pani domu, kufajka i rubaszka
 pana ... ale to wyjątek. Tak więc bez
 wdawania się w jakiegokolwiek dedukcje -
 wiedziakło się ... że to co na "nich"
 i ew. na tej żerdce, to cały ich stan
 posiadania. Tam gdzie były malutkie dzie-
 ci - leżały w kołyskach, które nie przy-
 pominają naszych kołyszek. Ich kołyski to
 poprostu niziutkie malutkie żółeczka
 drewniane - do których żeby dziecko uko-
 lysać, zakłada się bieguny i jak dziecko
 zasnie to się je zdejmują, żeby dziecko
 nie wypadło. Dzieciątka te - wszędzie
 jednakowiusieńko - leżały bezpośrednio
 na szarobrudnych materacykach z wełny czy
 też waty, w których tuż pod pupcią była
 wycięta okrągła dziura - na materacyku
 nie było żadnego powleczenia i kołderka
 przykrywająca dziecko też była szaro-
 brudna, o pieluszkach zdaje się, że jak
 dotąd nic im nie wiadomo. Pod żółeczkier
 a raczej pod dziurą w tym materacyku wi-
 siała na zardzewiałym drucie - zardzewia-
 ła "banka" - tzn. puszka po konserwie, no
 i trzeba tu też dodać, że chłopcu jeszcze

1940r

nakładają kość - żeby siusiu przez nią spływało bezpośrednio do zawieszanej puszczyki. Kiedy dziecko się darło - to wtykano mu do tej maciupkiej buzi, jakąś szmatkę, a może coś tam było w tej szmatce - tego nie wiem, żadnego smoczka, żadnej butelki nie widziałam - kobiety "cały czas" karmią niemowlęta piersią i to mam wrażenie chroni je przed zakażeniami - ba! przed wymarciem! Matki takim już maledństwem wybierają wazy z tych ich rzadziutkich wazonów i duszą je między paznokciami - no one akurat nie były już takie "stare-zakonne"! Żeby nie wspomnieć o starszych dzieciach - którym "wyiskiwano" nosy przez matki - albo starsze maledństwo należało wręcz do popołudniowej sjeisty - a nawet chyba włączone do rozrywki w czasie towarzyskich spotkań kobiet przed chatami. Przy dzieciach żadne grzechotki, lub innej zabawki nie widziałam, a przecież na lalkę, jaka by nie była zwróciłabym wtedy napewno uwagę. No i ich jedzeniu poświęcę słów parę - tak! to wszystko było niezwykle egzotyczne! jadalі rano i po południu - rano na tym okrągłym stole można było spotkać właśnie te usmażone "kokobki", wysmażony ze zsiadłego mleka ser "rymszyk" - to ich specjalność: do tej wielkiej misy wlewali dobrze zsiadłe mleko i jakąś porcję słodkiego mleka - i to się dotąd gotowało dopóki nie została tylko sucha masa - masa ta po całkowitym wyparowaniu osiągała kolor pomarańczowy - jadłam! bardzo dobre! - na stole również było w miseczce masło, gotowane jajko na twardo - i na te jajka palcami brali z miseczki masło i kładli je na jajko i tak razem bez chleba to jedli. Gospodyni - była od nalewania do filiżanek herbaty-smoży, i elegancko ze spodeczkiem podawała każdemu

1940

gurt

kto siedział "po turecku" przy tym niezbyt dużym stole. Na stół też gospodyni rozrzuciła "kurt", lub suszone płaty ryb. Nie mam pojęcia jak i gdzie zdobywali oni takie ilości herbaty, że pili po dwie filiżanki wręcz esencjonalnego płynu - a pot przy tym spływał im z twarzy i z czoła ciurkiem, nie wycierali się, bo chusteczek nie mieli - tylko wszyscy jednakowo - wskazującym palcem ściągali począwszy od czoła poprzez policzki tę "rosę" - pot i strząsali go obok siebie na tę kaszmę. Tych zaskakujących widoków na wołowej skórze by nie spisał. Mama w godzinach - w porze - ich ewent. posiłków nigdy nie szła do nich - gdyż nie wyobrażała sobie przekłnięcia bodaj kawałeczka chleba przy ich stole, na który to kawałeczek chleba - gospodyni sama - obлизawszy palec kilkakrotnie żeby był czysty potem brała nim grudkę masła i położywszy na chleb - podawała gościnnie - następnie ponownie zlizując palec niezliczoną ilość razy przed następnym takim podaniem - następnej osobie. To był właściwie tylko akcent gościnności - bo głodu nie zaspakajał. Po południu też była herbata z samowara - ale przed tym z reguły jakiś makaron z mlekiem, albo kawałeczek mięsa gotowanego, baraniego, kurzego, czy Końskiego - wspominali, że kiedyś jedli duże ilości koniny - bo mieli nieprzeliczone tabuny koni - i konie dawały im jeszcze przysmak - kobyle mleko - mówili na nie "kunys" - nie mogę sobie wyobrazić jak to wogóle dało się przekłnąć - nie mówiąc już o jego właściwościach upajających - podobnych do efektów alkoholu. Zupernie już szczególnie takim przysmakiem, który jawiał się na stole przy celebransie herbacianym, - był "kur". No takiego - czegoś to już nasze podnie-

1940r

bienie nie było wstanie przepuścić do gardła, zresztą już sam surowiec potrzebny do "wytworzenia" tego kurtu mówił sam za siebie. Podstawę stanowiło zsiadłe mleko - chyba zbierane od pół roku sądząc po kwasie i smrodzie - do tego wsypywano jakąś tam ilość otrąb pszennych - i to znów się kisziło około tygodnia - po czym w czasie tych upałów, kazaczka rozpościła brezentową płachtę na dachu swojej lepianki i na tym brezencie przez dzień - dwa - trzy ustawiała malutkie kupeczki bądź były to "kopczyki" z tych otrąb - odciskając nieco w palcach ten smrodliwy płyn jaki wytworzył się z fermentacji zsiadłego mleka z otrębami - nadany kształt utrzymywał się i w takim stanie to się nasuszało. W każdą noc przykrywała je - a na dzień znów wystawione były na działanie promieni słonecznych - i tak na tym słonecznym żarze - suszyło się "to-to" tygodniami - a po osiągnięciu twardości szkła - zsypywały ten kurt do smacznego woreczka i to okropieństwo należało do wschodnich przysmaków - rarytas. Oprócz tego przy swoich serajach suszyli nanizane na sznurki połówki ryb - mimo, że je solili - okropnie śmierdziały na odległość i też ich nie spróbowałam ... zresztą jeszcze się ciągle suszyły. Wspominałam, że zaraz po "wysadzeniu" nas w tym kazackim aule - nie mogłam odszukać ubikacji - no więc właśnie tam nie ma i ani ubikacji, ani śmietników! - poprostu nie ma! Wszyscy to spostrzegliśmy już od następnego dnia. Później podpatrzyliśmy że wszelkie odpady - śmieci mieszają do kiziaków - a ubikacji nie potrzebują bo się zakatwiają na wolnym powietrzu ... kazaczki wychodzą ze swoich zagród ... właśnie nie zakatwiają się w obrębie swojej zagrody - wychodzą więc z czajnika-

1940r

mi w ręce - oddalają się jakieś 100 - 150 m i kucają na tym wolnym stepie jednak nie od razu wpadliśmy na to, że w ten sposób spełniają "te funkcje" - odkrycia tego dokonali oczywiście wazędobylskie - jak zwykle - dzieci, ba i odkryły nawet, że czajniki - tzn. woda w czajnikach służy do podmywania - zdumiałam się! istotnie potrzeba jest matki nauk - nie na papieru, nie na desek na sklecie wygódki no i innych jeszcze potrzebnych "materiałów" do stosowania chociażby elementarnej higieny - to sobie tak poradzili z tymi potrzebami fizjologicznymi, a mimo to nie zdarzyło się spotkać tak "ukucniętej" - byle gdzie, na widoku polki. No! ale też trzeba było widzieć taki czajnik ... - czajniki - wszystkie tylko mosiężne - pooblewane stale wodą - śniedziaki, całe były w takie zielonkawe "masy" no i wydawały taki specyficzny odór, który na mój nos działał na odległość - mój nos poprostu tego odoru "nie cierpiał". No oni też trzymali je w serajach, a nie w izbie - jeżeli więc kazaczka, albo i kazach wychodząc zabierali ze sobą czajnik - to już wszyscy wiedzieli - nawet w okolicznych zagrodach - w jakim celu pośpiesza w step ... No to wróćmy na "nasze podwórko" - po "aresztowaniu" pani Konopkowej zgłaszają się do pracy już większa ilość starszych oraz, młodzieży a nawet i dzieci, które to przedsiębiorca wykorzystywał do wyrywania co większych ostów-chwastów podrastających nieco wyżej nawet od pszenicy, - więc zawozili nas z samego rana wozem - wozami tam właśnie na tę "pasznię" i wieczorem wracaliśmy, kilka godzin jednak poświęciliśmy aby tam na tym

2.
7.12.19



8.12.19

A9h01

olbrzymim polu obalanym pszenicą pousu-
 wać co większe chwasty - które właśnie
 na tej wzruszonej pługiem ziemi rosły
 zupełnie bujnie. Pszenica przy końcu lip-
 ca osiągnęła już wysokość ok 20 cm, a w
 tym kłos miał chyba 6-8 cm. Najpewniej
 była to specjalna odmiana - która po osią-
 gnięciu tej wysokości - już dojrzewa-
 ła, a być może powodował to wcześniejsze
 dojrzewanie brak - niemal zupełny brak
 wilgoci. Na samym początku sierpnia -
 kolejny raz wracaliśmy z "paszni" - woły
 wlokły się leniwie, i jak zwykle nie po-
 magało nic nawożywanie cebel! cebel! a
 było to absolutnie konieczne żeby się
 pośpieszyły - bo już z daleka dojrzeliś-
 my stojące przy "kantorze" trzy ciężarów-
 ki. Wszystkim nam z radości mocniej ser-
 ca zabiły! - no ... nareszcie! tak to
 po nas - to napewno po nas! ~~No nareszcie~~
~~ta Angia i Francja ... się o nas upomnia-~~
~~ły - no już teraz wrócimy do domu -~~
~~wreszcie się skończy dla nas ta egzotyka~~
~~do której zupełnie nie przylegamy no i to~~
~~poniewierka ...]~~ Usiedliśmy z wozu i bie-
 gliśmy aby się jak najprędzej dowie-
 dzieć, usłyszeć na własne uszy, że to po
 nas. Przedsiębiorca - czekał aby wszyscy
 byli obecni i wtedy oznajmił, że jeszcze
 dzisiaj na tych oto "maszynach" opuści-
 my Kżyż - Kuriama, bo on zdołał przekonać
 władze "rejkomu" - ~~to później dopiero~~
~~ten skrót rozszyfrowaliśmy - narazie~~
~~słuchaliśmy przedsiębiorcy, że "kogoś"~~
~~tam "ze świecznika" zdołał przekonać, że~~
~~nie ma tu warunków, aby nas dłużej trzy-~~
~~mać - po zbiorach zaczęły się "chwata"~~
~~zacznie się oziębować, a tu ani mieszkań~~
~~ani pracy, a każdego jest biedny i nie~~
~~może utrzymać takiej licznej grupy matek~~
~~z dziećmi ...]~~ tą "gadką" rozwiak nam
 nasze nadzieje na powrót do domu ...

1940r

Mimo głębokiego rozczarowania jakiego
znowu doznaliśmy, nie żałowaliśmy, że się
rozstajemy, - no i prezydent też nie
płakał, tylko stał uśmiechnięty i z sie-
bie zadowolony, na odjezdne nie "rzucił"
nam nietylko że - ani centa - ale nawet
ani "dziękuję" ... [Mama i Staszek już
wiązali tobołki. Worek - w którym przed
trzech miesiącami, było jeszcze coś-nie-
coś żywności, teraz był już zupełnie pus-
ty i teraz posłużył do "zapakowania" rze-
czy - to wprost nieprawdopodobne jak nam
te tobołki zeszczuplały. Kiedy nas wieśli
tutaj 30 kwietnia to na wszystkich trzech
ciężarówkach tobołki wystawały wysoko ponad
"burty" - matki miały nawet obawy,
że dzieci im pospadają z tej wysokości -
a teraz ? ... po trzech miesiącach ...
ile rzeczy zostawiliśmy kazachom - zna-
czy wymieniliśmy ... ba! musieliśmy wymie-
niać - szczególnie za mąkę, bo innego
wyjścia nie było, przecież pieniędzy nikt
nam nie dał - nawet za pracę ! - teraz
klarował się już ten osławiony "wyzysk"
Słońce już się pochyliło ku zachodowi jak
wszyscy byliśmy usadowieni na ciężarów-
kach, ponieważ i tym razem nie było plan-
dek! to tobołki ułożono tak, aby jak naj-
więcej miejsca było w środku i żeby
można było siedzieć jak najniżej. Przy
sadowieniu się i jeszcze jakiś czas na
ciężarówkach było dość gwaro - niemal
radośnie, że wreszcie już stąd nas zabie-
rają - ale ... niebawem gwar ucichł i
każdy znowu pograżył się w rozmyśleniach
- a teraz znowu ... dokąd to ? ... jego-
wysokość rajkom nas - raczej zaskak - do-
kąd teraz nas wieżą ? tego pytania nawet
nikt nie odważał się wypowiedzieć głoś-
no, wiadomo już teraz było, że od odpo-
wiedzi może pójść groza - wyobrażenia

1940r

już nie opierała się na osobistej fantazji - mieliśmy już za sobą gorzkie doświadczenie. Samochody nie przystając - jechały całutką noc. Taki tu klimat, że po upalnym dniu następuje zupełnie chłodne noce - a jeszcze przyczyniać się do tego pęd powietrza, więc wszyscy się okrywali jak i czym mogli. Z ciężarówek jadących za nami - krzyczeli, że za ostatnią ciężarówką biegną wilki - a kobiety między sobą rozważały: że kto wie - czy jak będą głodne nie rzucą się na nas. No to już stanowczo za dużo tego strachu - a noc dłużyła się, ciężarówka trzęsła, a jeszcze bardziej nami - niepokój! ...co dalej! - co zobaczymy wraz z rankiem! Rano - między 8-9tą stanęliśmy w jakiejś miejscowości i niebawem znalazł się "ktoś" kto kazał nam tutaj wysiąść. Znow - zrzuciwszy swoje tobołki, drugi czas tak na nich siedzieliśmy. Niektórzy po pewnym czasie już się odważyli na obejście i obejrzenie najbliższego terenu a powróciwszy, informowali "resztę" o tym czego się dowiedzieli, a wiadomości, że "słimy" w miejscowości Patanin, że to jest sow-choz, że jeszcze w dalszym ciągu nie wiadomo, czy zostaniemy tutaj czy powieją nas jeszcze gdzieś indziej, ale około południa znow przyszedł "ktoś" kto wskazał nam nieopodal ziemiankę, do której "poka" - narazie możemy się schować. Ciągnęliśmy bez namysłu swoje rzeczy "pod dach", bo na dworze już od upału nie dało się wysiedzieć. Ta ziemianka do której się skryliśmy to była chyba oczyszczona stajenka - ciągle więc obracaliśmy się w sferze bydła - już nawet nie rozstrząsaliśmy tego, dlaczego? i za co tak nas Polaków poniżają? Przez chwilę nawet byłem zadowolona, że jestem pod dachem i w chłodzie - gorzej jak się zorientowa-

1940r

Żam, że sufit jest tuż przy ziemi i dzie-
 li go tylko wysokość okienek, na których
 prawie, że się opierał - bo okienka jak
 zwykle - Nie przepuszczają narazie jesz-
 cze światła - bo wymagały natychmiasto-
 wego przetarcia. Kiedy już było nieco
 jaśniej - zorientowaliśmy się już wszys-
 cy, że te ziemianki postarano się przy-
 tośować jako pomieszczenia dla ludzi, bo
 pod ścianami stały pryncie zbite z desek
 - to już dużo! że nie kazali nam spać
 w tej "piwnicy" na ziemi. Ulokowaliśmy
 się - ale się tam nie "poczuliśmy" -
 piwnica była olbrzymia! Z głębokich kątów
 - do których baliśmy się zbliżyć, wiało
 mrokiem, stęchlizną i myszami - jakżeż
 tu przebywać? Z początku wydawało się
 że tego się nie zniesie... a zamieszka-
 liśmy tam, jeszcze byliśmy zadowoleni,
 że nie jest tu ciasno. Pomieszczenie duż-
 więc ludzie w nich "utonęli". Mimo tej
 trudnej rzeczywistości, wszyscy się polo-
 kowali i znów "powykazili" nazwamątrz
 aby się szerzej rozejrzeć i zasięgnąć
 u ludzi "języka" gdzie właściwie się te-
 raz znajdujemy. Zdziwienie moje rosło
 bowiem po południu - przed wieczorem;
 powiedzmy - między ziemiankami zaczęły
 się gromadzić... same Polki... Tworzy-
 ły grupki i grupeczki i coraz szersze krę-
 gi ba! tworzyło się zgromadzenie! Wśród
 tego zgromadzenia dał się uchwycić i wi-
 leński, i białoruski i podolski ak-
 cent, - to dziwne! ale my kresowiacy mię-
 dzy sobą - dokładnie potrafimy na podsta-
 wie akcentu ustalić - "kto" z jakiego wo-
 jewództwa. Najpierw urywane - chaotyczne
 pytania - i "jednowyrazowe" odpowiedzi na
 nie - ale po tej pierwszej - zaspokojonej
 ciekawości, rozmowy zaczęły się nie tyl-
 ko coraz bardziej jękby to określić -
 "uporządkowywać", ale stawały się ciekawe

1940 r.

i poważne. Przede wszystkim ustalono między sobą przez niemalże najważniejszą, otóż że cała ta wielka grupa kobiet - była również wywieziona 13 kwietnia (1940 - czyli sowiecki aparat korporacyjny - zadziałał jednocześnie we wszystkich zagarniętych polskich województwach - i deportacja odbyła się sprawnie na całej polaci jednocześnie - i objęto nią ludzi o tym samym "niesprzyjającym sowieckiemu aparatowi korporacyjnemu" - obliczu - właśnie ustalano również między sobą, ponad wszelką wątpliwość, że wszystkie są żonami - a łącznie z dziećmi, raczej rodzinami polskich oficerów - wysokich i niższych rang wojskowych, a także funkcjonariuszy Policji Państwowej - którzy zostali zagarnięci przez armię sowiecką wkraczającą do Polski w dniu 17 września 1939 roku - jak również wykapywani, wywiezieni i aresztowani z domów, z ulic i w innych okolicznościach zabierani i wstawiani do więzień i Gos. łagrów. Wszystkie one ustaliliśmy, że łączy je ta sama tragedia - skierowały rozmowy "na tory" kto - i jakie - i skąd - posiada wiadomości od swoich mężów, braci, ojców, czy synów wówczas internowanych i aresztowanych. Nieodkaszanie - towarzyszyłam Mamie w tym spotkaniu towarzyskim - i na to co widziałam - szeroko, coraz szerzej otwierały się mi oczy ... też te panie wszystkie rozprawiły ze sobą z takim zaangażowaniem w temat - z wypiekami na twarzy, każda prawie wyjmowała z torebek noszonych przy sobie, woreczków czy kieszonek, bo każda nosiła je przy sobie - listy swoich mężów, od swoich mężów, synów i teraz z nowymi znajomymi dzieliły się treścią i wiadomościami płynącymi z tych listów - najskrupulatniej ustalając daty pisania i wysyłania a także i otrzymywania tych listów. Mówiły, że sensacją

1940r

prawie jest to, że listy nadchodzące te-
 raz jeszcze do Patanina - pochodzą z
 kwietnia i końca kwietnia zdarzają się
 z początku maja. Podczas czytania tych
 listów widać było "po charakterze", że
 pisane są "ręką" wprawną - jakby to dzi-
 siaj się określiło - wyrobionym charakte-
 rem. Przy dacie obowiązkowo podana była
 miejscowość gdzie-któ się znajdował,
 były to zapewne miejscowości - w których
 przebywali oni w obozach internowania,
 miejscowości te się powtarzały Kosielsk
 Starobielsk, Ostaszków i jeszcze coś mi
 się płacze Głazowka - czy Bierzowka
 czy coś - ale nie zapamiętałam tak jak
 te, których nazwy nie kojarzyły mi się
 z miejscowościami rosyjskimi - no i sły-
 szłam je "tysiącokroć" - bo żony i matki
 wojskowych stałe je między sobą powtarza-
 ły, no nie tylko ja - Każde dziecko wów-
 czas zapamiętało nazwy tych obozów - tych
 miejscowości - chyba odtąd, na całe życie
 ... Zapamiętałam sobie np. szczególnie
 dobrze panią Niemczewską - bo mówiła tak
 "z czeska" - no i ona też znalazła się
 teraz w gromadzie tych kobiet - wszystkie
 one wydawały mi się głęboko wstrząśnięte
 - a niektóre to żęły w czasie rozmowy.
 Każda trzymała w ręce jak wspominałam
 list - trójkącik, albo kartkę z zeszytu
 a nawet z pogniecionego papieru - jakby
 napisany list był na jakiejś kartce pa-
 pieru podniesionej z ziemi - zresztą
 wszystkie one już były podniszczone,
 te "trójkąciki" zlepione - stanowiły dla
 tych kobiet w tej chwili niezwykłą nie-
 wiażącą ich męsów, czy synów w więzienie
 niach, łagrach i obozach przebywających.
 Moja Mama jeszcze nie dostała takiego
 listu, to też pilnie wśluchiwała się w
 treści czytanych sobie wzajemnie listów,
 a ja jak już wspominałam - przy Niej

1940r

116

z rozdziewioną buzią... obie miałyśmy nadzieję, że może jednak Ktoś-gdzieś spotkał Ojca i może nadmienić o tym w swoim liście. Treść listów - była niemalże jednaka - i dopowieć banalna - tylko zakończenie... było pełne wyrwywających się z głębi obolałej duszy serdeczności - ale samych wyrazów było powściągliwie mało, bo i już miejsca też na tych skrawkach niewiele pozostawało. No, chyba dziecko "z pierwszej klasy" by się domyśliło - a cóż i dopiero ja - już świeżo upieczona ub. jesienną gimnazistka! - że w liście, są uwzględnione tylko takie treści i składowe określenia na które zezwala cenzura i im bardziej któremu z nich zależało aby jednak, chociaż ta karteczka doszła... czułam, że napisałby: że jest "tu" szczęśliwy i zadowolony czego i wam moi najdrożsi życzę z całego serca... dość często w listach były rzeczywiście takie wstawki na które my z Mamą czekałyśmy - np: z Edkiem się rozstałem w marcu... ale nie dokończono było to zdanie i na zawsze! - albo z Filipem zupełnie straciliśmy kontakt... no bo już go zaciukali! - przekaż Heli, że Józek ją mocno ściska i całuje... (a ja sobie dopisywałam ale jest tak już słaby, że sam nie ma siły napisać!). Z takich paru słów kobiety snuły swoje domysły - co też ich tam codziennie spotyka i w jakich się znajdują warunkach i okolicznościach i sytuacjach Pani Niemczewska też wyjąwszy z torebki list - trójkącik i w tej grupce przeczytała go na głos - m.in. było tam "spodziewam się, że nasza sprawa się wkrótce wyjaśni... (i rzeczywiście!!! się wyjaśniła - to był jedyny list, który pani Niemczewska otrzymała jeszcze przed wywiezieniem - a później... już był Katyń dbaj o siebie... i na końcu - bo listy

1940

były czytane "od deski do deski" - a przy słowach - myśl o mnie często, kocham cię bardzo, bardzo mocno ciebie całuję - twój Nimek - uśmiechała się wprawdzie przy tej końcówce - ale krople łez jak zawsze popłynęły jej z oczu ... a ja w tym momencie nie spuszczaając z niej oka w głębi snułam swoje myśli - nie do wiary, sądząc po niej - tacy starsi ludzie - pewnością ona ma już jakieś... ze 32 lata to on chyba jeszcze starszy... itakie rzeczy piszą jeszcze, "że kocham"! "że całuję"! no! no! tacy starsi, a jeszcze się kochają ... znaczy mówią o tym... toż dla mnie były to rzeczy wstydlive... w takim duchu się chowałam. Kiedyś jak pani Niemczewska była sama, zapytałam ją coż to za imię Nimek? - a ona bardzo łagodnie i z uśmiechem odpowiedziała, że to jest zdrobnienie imienia Hieronim. Pani Niemczewska ten swój list od męża miała już ze sobą w wagonie, bowiem dostała go z obozu już przed wywiezieniem. W dalszym ciągu mężowie i synowie tych kobiet listy pisali na swój adres domowy - być może - nawet nie wiedzieli i nigdy się prawdopodobnie nie dowiedzieli jaki los spotkał ich żony, matki, dzieci czy rodziców - tak więc listy z obozów - najpierw szły na adres "do swoich domów" w Polsce - część pewnością ginęła, bo adresata nie było już, a nie wszystkim starczyło odwagi aby taki list "odebrać" "przechwytać" - i poprostu trzymać ... aż kiedyś może się adresat odnajdzie - część kobiet w Pataninie wysłała listy zaraz po przywiezieniu ich do tej miejscowości - do krewnych, znajomych czy przyjaciół pozostałych "jeszcze!" "TAM!" - i oni właśnie właśnie przysyłali tutaj listy z obozów orientując w paru słowach w jakich okolicznościach ten list został

cała skłamała }

im doręczony, lub "przechwycony", aby go przez życzliwość przesłać teraz do Azji żonom - rodzinom, a trwało to nie tygodnie ale miesiące - między napisaniem listu w obozie czy więzieniu Ostaszkowa, Starobielska, czy Kozielska - a otrzymaniem go przez jego żonę w tym - tutaj Patani- nie. Listy, które panie - żony jeszcze w pierwszych dniach sierpnia otrzymywały pochodziły z marca, kwietnia ale i zdarzały się też datowane z początku maja i teraz pod koniec sierpnia nastąpiła już absolutna przerwa w otrzymywaniu listów i jakichkolwiek wiadomości z tych obozów. Moja Mama nie otrzymała ani jednego listu, ani jednej karteczki. Był Człowiek - i nie ma! jakby kamień w wodę. Jak ci sowieli się w tym maltrebowaniu ludzi wyspecjalizowali ... kto wie czy Niemcy nie kształcili się w "tej szkole" Nie spodziewam się, aby Ojcu sowieli zaoszczędzili okropności jakich dopuszczali się (Boże! przecież ten aparat funkcjonuje do dziś !!!) w więzieniach i gó- łagrach. Mama jednak, jeszcze dotąd ni- czego z rzeczy Ojca, które zdołała zab- rać ze sobą z domu - nie sprzedała... więc czeka... wierzy... Nieodłącznie to- warzyszyłam Mamie w wysłuchiwanie ubole- wań Polek - matek - żon, a Ona sama nie mogąc się podzielić żadną swoją wiadomoś- cią - do rozmowy włączała się dopiero wtedy kiedy rozmowy schodziły na temat "i co z nami będzie ?" Wtedy wspólnie ze wszystkimi zastanawiała się, jak postępo- wać, jak w tych warunkach trwać: mawiała - zobaczycie, że to długo nie potrwa, że przecież "ś w i a t" zauważy naszą "spra- wę" i nie pozostawi jej bez interwencji. Mama też dopytywała się o wszystko co do- tyczyło tej miejscowości w której się znajdowaliśmy. Określenie jej - orientacji była niewielka, bo mapy nikt z naszych nie posiadał. A kiedy z tych "orientacji"

data 83 87
↑

8
↑

wynikało, że właśnie do Pawłodaru się przybliżyliśmy i to znacznie, chociaż to bardzo trudno było określić odległość między Pataninem a Pawłodarem, ale tutaj mówili, że tak na "oko" to jakieś 12-14 km jest stąd do Pawłodaru, z prawdziwym zdumieniem słuchałam mojej Mamy - znaczy jej "kwestii" mówiła, że gorąco Bogu dziękuje za to, że nas przerzucili z tego bezkresnego pustkowia, z tego kazachskiego aulu Kzyk-Kuriama, w którym nie sposób było ani się z tymi dzikusami porozumieć, ani żyć między nimi - że dla nas to "przybliżenie do miasta" - miasta przy linii kolejowej ma wielkie znaczenie. Mówiła, że całą drogę z Kzyk-Kuriama drżała wprost i się gorąco podlika, żeby tę naszą trzydziestoparoc osobową grupę znów nie zrzucili na jakimś niedostępnym pustkowiu - stepie, albo w tajdze, albo jeszcze do jakiej kopalni nie zawieźli.. a ktoś tam! - i kiedy by nas odszukał. Cieszy się, że trafiło się nam duże skupisko Polaków - no ściśle Polek - i to dla nas tu wszystkich powinno być bardzo ważne - przecież zanim - tam gdzieś daleko kogoś odszukają - to my już wyjedziemy !!! - Nie - my nie mieliśmy pojęcia, ilu Polaków sowieci tu wywieźli i jak ta "corporacja sowiecka" pieczołowicie dba o to aby nas porozpraszać i zagubić w tym pustkowiu i tajgach abyśmy nigdy nie odnaleźli już drogi do Ojczyzny. Nie wierzyłam własnym uszom - ale przecież, Mama wyraźnie i z całym przekonaniem powiedziała przed chwilą "żebyśmy się nie rozproszyli, bo wyjedziemy" !!! - no więc Mama jest przekonana, że wrócimy - wierzy, że wrócimy ... serce mi łomotało - moja Mama wie!!!! - jeszcze trochę, aby tylko jakoś wytrzymać - napewno niedługo wrócimy, już przestaniemy się tak poniewierać... Więc z tego Patanina jest bliżej?

1 już nas prędzej znajdą ... w tych
"Polaków wieczornych rozmowach" przewija
ły się przeróżne wątki. Opowiadały na-
nie z Patanina, że już parokrotnie były
w tym Pawłodarze i mają przedseptaną ścię-
kę na "bazar". Skoro "bazar" było raczej
czytelne i wiadomo było o co chodzi, i w
jakim celu tam jeżdżą. Mówiły, że tam de-
piero spotykają się Polacy nawet z mocno
odległych "rajonów" i tam dopiero prze-
kazują sobie nawzajem przeróżne wiadomoś-
ci. Od niektórych, a zwłaszcza tych "z
ostatniego pobytu" na bazarze więc się
jeżył na głowie, tę wiadomość przesyła-
wano sobie wprost do ucha, bowiem sowie-
kie wtyki działały wszędzie - na każdym
kim kroku - a ta wiadomość wręcz huczała
do dziś się zastanawiam jak potrafiła
przeniknąć przez takie przestrzenie - tak
zapamiętałam nazwę Ketyń - i że w lesie
na białorusi, i że tam pomordowali sowie-
ci wojskowych - Polaków - internowanych
rok temu we wrześniu, co prawda żadna z
Polek nie uwierzyła w tę wiadomość, bo
na "bazarze" przekazywano sobie przeróż-
ne wiadomości od przepowiedni, wróżb i
"znaków" - aż po takie właśnie, i chociaż
tej wiadomości nie dawano wiary - bo cóż,
że "tam chodzi śluchy" - niemniej wma-
gało to nienawiść między nami a "nimi"
a kiedy już wogóle żadna wiadomość od
"nędzów" nie nadchodziła, wątpliwości us-
tępowały... Uderzyło nas tutaj, też to, że
w miejscowości tej nie było kazachów, a
okazało się, że wioska ta od dawna jest
miejscem osiedli - bowiem "sasiadzieli"
mieszkańcy tutaj, to zesłane z Ukrainy
z lat trzydziestych - a ich chatki i op-
lotki przypominały w jakimś stopniu tam-
to, - postawione przez nich na swojej
ojczystej ziemi. Ludzie ci dawali się
kryć przed nami - też zesłańcami, nie już
porozumiewać, ale nawet nie chcieli

1940 r.

się stykać, to jest zrozumiałe tylko dla tych, którzy dostali w swoim życiu ^{taka} taką strachu, że bali się - ciągle jeszcze czekając na kolejną "okropność" - ~~nieznanym~~ własnego cienia i tylko ukradkiem się zetknawszy z "naszymi" opowiadali o swoim nieprawdopodobnie ciężkim losie, i katorżnej pracy, w okolicznych "uczastkach" w chłwniach, gdzie wszystkie prace wykonywane są rękami ludzi - zesłańców - niewolników. Ciągłe noszenie, dźwiganie, stawianie się do pracy o świcie, wyczerpuje każdego, aż do zupełnego wyniszczenia. Teraz przywieźli Polaków - nowych ludzi do tej "niewolniczej pracy. Opowiadali też, że kazachowie byli zmuszani do pracy przy "świninach" ale dozór nie mógł sobie z nimi poradzić, uciekali, ukrywali się w stepie bo ich "zakon" nie pozwala na stykanie się ze świnia - więc zrezygnowali z kazachów, i wypełnili tę lukę zesłańcami. Ten wymysł prowadzenia tutaj hodowli - przy tym kompletnym braku wody, w gorącym klimacie, braku ściółki w zimie, jest decyzją, wbrew zdrowemu rozsądkowi, ale skoro robocizna jest zupełnie "za darmo" i bez żadnych kosztów "społecznych" - to właściwie ... dlaczegoż by nie zaryzykować - ze znajomych, właśnie Mama spotkała na jednym z "uczastków" w świninarni panią Błaszkwską, która kradzionymi makuchami uchroniła jak dotąd swoich pięcioro dzieci od głodowej śmierci. W samym Pataninie, gdzie właśnie od paru dni przebywaliśmy, panowały już inne "obyczaje" - odrazu tutejszy prezydent uprzedził tę naszą przybyłą grupę, że nie stawianie się do pracy - jest karalne, t.j. ^{zn.} opuszczenie pracy, grozi kara więzienia a za uporczywe uchylanie się od pracy - kara ciężkich robót w łągach i

1940r

niedalekich kopalniach jak np. Majkain-zołoto, to kopalnia znana w całym Kazachstanie z tego, że ludzie musieli tutaj pracować w zupełnie nieprawdopodobnych warunkach - zimno, ciemno i woda, mówię pracować, ale i mieszkać - słyszało się że teren otoczony strażą i dotąd żadna ucieczka nikomu się nie powiodła. Tak, więc znów przyswoiwszy sobie taki nowy termin podany przez przedsiębiorcę a mia-
progu
 nowicie "progół" - taki nowy "bicz" wszyscy bez słowa stawiali się do pracy. Polacy, którzy tutaj pracowali już te pa-
szamanów
 rą miesięcy byli zmordowani, bo pracę po-
 nad siły i w tym upale - polegała na do-
 wożeniu na taczkach ogromnych cegieł z
 gliny t.zw. "szamanów". Mama robiła przy
 oczyszczaniu form, a Staszek właśnie do-
 woził na taczkach te szamany dla "budowę"
 olbrzymich rozmiarów oborę, cielec
 - te szamany - cegły jak już powiedzia-
 łem, dopowiem tylko, że z niewypalanej
 gliny - trzeba było włożyć na taczki i
 wieźć po wąskiej trapce nały czas pod gór-
 rą i tam samemu zdjąć, - to absolutnie by-
 ło ponad jego siły - poszedł więc do "na-
 szego" enkawudnistowskiego opiekuna, bo
 przedsiębiorca stał szczerze niżej - i wy-
 kuszczył mu swoje racje, że znacznie
 bardziej przydałby się przy "maszynach"
 - traktorach, bo w tej pracy i czułby się
 sam znacznie bardziej przydatny i poży-
 tek z samej pracy byłoby znacznie większy
 "NKWD-stowski opiekun" - nie sprzeciwił
 się propozycji - a nawet doradził mu, że
 w "niedalekiej okolicy" jest miejscowość
 Dżok-Kuduk" - droga doświetlanej przysz-
 łości - tak się ta nazwa wykladała - i
 tam się znajduje "maszyno traktornaja
 stanoja" - trzeba by tam dojechać i zo-
 rientować się w możliwości zatrudnienia
 się tam do pracy. Dotarcie do tego Dżok-

1940r

- Ludzku było mocno skomplikowane - więc trzeba było czekać, aż się trafi "okazj".
 - a jeszcze też po południu! - żeby tutaj nie "popukać progę", bo przecież jak już wiedzieliśmy czekałaby go za to najłagodniejsza co prawda - ale kara więzienia czy aresztu, ale to jedno!!! wiadomo że nie do zniesienia. Już się tu trochę "rospatrywałam" - Polacy mieszkali w barakach, a tych co później przywozili to już lokowali w ziemianki. Wszyscy pracowali "za życie" - t.j. talerz zupy w stółce w południe, oraz racją chleba na dzień 60 dag i liter "abratu" czyli mleka po "centryfudze" - a zapłata ciągle w sferze obietnic, a uszczęśliwienie miało chronić "rahoczich" przed wyzyskiem. Kobiety przed niedzielą, uawiały się - organizowały - oczywiście za zgodą przedsiębiorcy - wyjazd do Pawłodaru - ^{Przed wyjazdem} musiał on wyrazić zgodę na wypożyczenie zaprzęgu - t.j. wozu bez boków i bez "dna". Ten dziwny wóz "trzymał się" jakby na słowie honoru - tylko na zasadniczej konstrukcji, żeby te cztery koła trzymały się kupy, a woły wkładały z pomocą człowieka głowy w jarzmo, zaciskane z obu stron takim żelaznym trzpieniem. Nie było żadnych lejców do kierowania, poprostu trzeba było zeskoczyć z wozu i bić batem np. prawego wołu żeby z bólu skręcał w lewo i odwrotnie żeby skręcił w prawo.... Jadący na wozie dla straszenia ich żeby szły przed siebie - pokrzykiwali na nie "cebe"! "cebe"! i one rzeczywiście wtedy nieco przyspieszały kroku. Sulify takiego podróżowania przeszliśmy w Kyzyl-Kuriama więc teraz to już nie była dla nas żadna rewelacja odbycie takiej podróży. Panie które się na tę wyprawę zapaliły - widząc że były podniecone, jakby się czuły już jedną nogą bliżej "domu"! - niestety

1940r

z Pawłodaru ... do Tarnopola ... parę ty-
sięcy km. [Moja Mama też odbyła taką
podróż - do Pawłodaru i wiadomości które
zdobyła wśród "naszych" na bazarze zu-
pełnie powaliły ją z nóg ... Wróciłam
ta sama - wiadomość właściwie pochodziła
od "rosjan", którzy mieli dostęp do ga-
zet "Prawdy" - "Izwesti" i była opubli-
kowana już parę tygodni temu - a miano-
wicie na pierwszej stronie było zdjęcie
Hitlera jak ze swoją świtą odbiera de-
filadę w Paryżu - 14 czerwca 1940 roku
a artykuł wokół tego zdjęcia rozpływał
się nad sukcesami hitlerowskich Niemiec.
- Rząd marszałka Petaina podpisał akt
kapitulacji Francji, to była dla nas wie-
domość ~~druzgocąca~~ - ażeby się nie za-
łamać poddawana przez Polaków w wątpli-
wość - jeżeliby tak było ... to już dla
nas nie ma ratunku ... teraz już tutaj
poginiemy ... "tam" w Europie, Hitler
opanowuje wszystkie kraje, wszyscy więc
są "sobą" zajęci ...! nie to niemożliwe!
Boże! ... a my? Boże! dlaczego poz-
walasz na panowanie "Zła" !!! czyż aż tak
ludzie Ci się sprzeniewierzyli !!! - Mama
mówiła, że już nie ma dla nas ratunku ...
Kolejna niedziela, znów powiodła naszych
do Pawłodaru - przez noc dojeżdżało się
z Patanina do Irtyza, nad ranem pierw-
szym promem przepławiano się na "drugi
brzeg" - tam jedno zostawiali pilnować
wozy i wozu, a reszta szła na bazar -
i po pewnym czasie wymieniali się, aby
wszyscy uczestnicy wyprawy mogli załatwić
zamierzone sprawy. Po południu już wyjeź-
dzali - przepławiali się znów i nad ranem
docierali do Patanina i zaraz musieli iść
do pracy. Jak na tym pustkowiu nocą - a no-
wet i w dzień znajdowali drogę - zupeł-
nie nie mam wyobrażenia. Którejś niedzie-
li z takiej podróży przywieziono ... zwło-

1940

ki * pani, która spadła z wozu, może się nawet zdrzemnęła, albo woły szarpnęły nieoczekiwanie - a kiedy leżała na ziemi wóz po niej przejechał - i było po wszystkim ... Zanieśli ją do stajenki i położyli na ziemi - podobno była cała posiniaczona a głowa zgnieciona kołami wozu, zanim się zajęto jej zwłokami leżała rozebrana na rozścielonym na ziemi sianie, a dzieci i nie tylko ... przez porozrychane szpary w drzwiach i ścianach przyglądały się tym zwłokom - i ja stan zwłok tej pani znam - ale tylko z relacji "podglądających", bo nie miałam odwagi tego obrazu pierwszych zwłok człowieka w swoim życiu, jako jeszcze takich zmasakrowanych - dokładać do swojej pamięci.

W Pataninie wśród Polaków powiało grozą - mówili, że trzeba zaprzestać podróży tym "umownym" zaprzęgiem, gdyż to jest już dla nas dostateczna przestroga. Ta pani była tutaj ze swoją młodą córką może 17-letnią a może 18-letnią. Ona też o świcie wyszła wraz z całą grupą, na spotkanie "powracających", jak to tutaj wszyscy czyniliśmy - kiedy "ktoś" z rodziny wracał z "wyprawy" do Fawłodaru. Opowiadała dziewczyna, której mama właśnie też wówczas "wracała" - że kiedy już z daleka zobaczyli, że wszyscy idą pieszo już się im wydawało, że coś jest nie tak - wóz jakby jechał pusty, wszyscy się zerwali i pobiegli naprzeciwko. Córka tej pani wypatrywała swojej mamy wśród idących - kiedy już dobiegli ... i ona na wóz zobaczyła zwłoki swojej mamy - zawiła prawie nieludzkim głosem, dochodziła do zwłok, błagała żeby mama do niej przemówiła, powtarzała że to nie jej mama, prosiła "powiedzcie gdzie ona jest" po czym usunęła się na ziemię - a znów mogła już iść

o własnych siłach i zdawało się, że szok minął, bo ona nie płakała - szła normalnie, nie, nie nie mówiąc - ale jakby się zapadła w stan snu, jak się ktoś do niej zwracał - coś mówił, to jakby się budziła bezwiednie potakując głową - zaszywały się w kącie w baraku w którym mieszkali z matką - całkowicie się wyizolowała, nie wychodziła i nie interesowała się tym dla niej najdroższym ciążem - swojej mamy - tym wszystkim zajęli się "starsi". Trumna na trumnę - skrzynię nie zdobyli, zwłoki więc zawinięto w prześcieradło - i następnego dnia tak owiniętą położyli znów na wozie i znów ją ciągnęły te tape wozy - teraz już na miejsce wiecznego spoczynku. Z trudnością przekonali córkę, że powinna też pójść - odprowadzić zwłoki, posłuchała w końcu i nie pozwoliwszy się prowadzić, szła samotnie - nie reagując, - jej córka - zupełnie jak manekin z wosku - będzie musiała tutaj na zawsze zostać! - zakopać swoją matkę! - nie wyobrażalne. W kondukcje pogrzebowym szła grupa chyba z 300 osobowa Polaków z Pataniki i innych pobliskich "uczestków", - oddziałów (filii) Pogrzebu - atmosfery pogrzebu - kobiety ofiary zdobywania środków "na przetrwanie" nie da się usnąć z pamięci. Wszyscy szli w przytłaczającym niemym smutku, aby ją odprowadzić ... i pozostawić już w tej ziemi! - ona już nie wróci ... nie zobaczy Polski-swojej Ojczyzny ... a my? czy my ... też? tak kolejno ... tutaj? A teraz już cmentarz! zupełnie nie wiem skąd było wiadomo - że to cmentarz ... były pagóreczki, zaróśnięte trawą, dziwne że wyższą aniżeli ta bezpośrednio na stopie romosa, - a te pagóreczki te spowrocią mogiłki - ale dlaczego aż tak daleko od "ludzkiej siedziby" - a może to w tym upala droga się "wydłużała", ale chyba

1940

to jednak było bardzo daleko. Grób - zaczęli kopać dopiero teraz kiedy wszyscy się razem zebraliśmy. Kobiety inicjowały modlitwy - a po pochowaniu tej pani (w prześcieradle!) na nią sypali piasek - a po zasypaniu grobu, jeszcze wszyscy odmawiali modlitwy i znów w wielkim smutku i w ciszy wszyscy ruszyli z powrotem tylko kilka osób pozostało jeszcze wraz z klęczącą przy mogile córką - ci co się nią opiekowali - mieli z nią kłopoty, bo się wyrywała i wracała na grób. Ciekawe czy zdawała sobie sprawę z tego, że tutaj ... na grób swojej mamy już nigdy nie przyjdzie - bo naprawdę to było daleko i na kompletnym pustkowiu.

Nasz "enkawudzistowski" opiekun" powiadomił Staszka, że prezydent "maszyno-traktornej stancji" w Dżoż-Kuduku wyraził zgodę na przyjęcie Staszka do pracy - i nas tam przewieziono "z rzeczami". To już był okres żniw - więc maszyny i traktory trzeba było utrzymać w sprawności. Jak się to tutaj na miejscu okazało, było to absolutnie niemożliwe - bo ani części ani narzędzi nie mieli. Brygadzystami byli tutaj kazachowie i dogadanie się z nimi było dla Staszka niezwykle trudne. Staszek z każdym dniem był coraz bardziej rozczarowany i pracą, i stosunkiem "dozoru" - do niego, jak również przygnębiony stawianiem mu zadań niemożliwych do spełnienia i rzucaniem grób, że jeżeli nie uruchomisz tej maszyny to "pod sąd oddadź!" - pójdź pod sąd! - tak więc kalecząc po rosyjsku próbowali się między sobą porozumieć, z tym, że domyślałam się, że Staszek z technicznych nie znał. Przy przyjmowaniu go do tej pracy - obiecywali, że dostanie ileś tam rubli, opał, talony na stółkę, kartki na chleb - nie spodziewał

1940x

się, że zostanie oszukany, bo poza kart-
 kami na chleb i talonami do stołówki ni-
 czego więcej nie otrzymał a pracował już
 dwa miesiące. Kiedy maszyny zaczęli spre-
 wadzać z pól - i kazach-brygadziści po
 nr.nr. orientował się że przed wysłaniem
 jej w pole była w "rękach" Staszka - to
 teraz bez przerwy mu groził: no teraz, za
 to brakoróbstwo pójdziesz pod sąd ! albo
 do Majkainzołoto - to brzmiało już wogó-
 le jak zgroza, każdy wiedział, że stam-
 tad już się nie wraca - złoto wydobywa
 się w najokropniejszych warunkach, woda
 zimno i ciemno bez odpowiedniej odzieży
 i wyżywienia. Staszek mówił Mamie, że
 już dłużej w tej pracy nie wytrzyma- ale
 dokąd tu pójdziesz - do jakiej pracy jeżeli
 się stamtąd zwolni. Czułam, że jest mu
 bardzo trudno, bo problemy są prawie nie
 rozwiązywalne - ale, że nawet Mama nie
 mogła mu podpowiedzieć ... co ma zrobić?
 Znowu zastawaliśmy sami z Mietkiem, bo
 Mama poszła do pracy. Właśnie tak - ni w
 pięć - ni w dziesięć, stał sobie pośród
 stepu drewniany budynek i zastanawiał
 swoją dziwnością - stał na półtora metra
 wych palach nad ziemią, czy od ziemi i
 miał przy suficie wąskie okienka - nie
 pamiętam jak Mama i jeszcze kilka Polek
 dostało się tam do pracy. Ten budynek
 to był taki mini elewator, a kobieca gru-
 pa miała za zadanie przewietrzenie znaj-
 dujących się tam zapasów pszenicy. W płac-
 chach i w workach wносиły one ziarno
 z tego budynku po schodkach drewnianych
 rozsypywały na rozpostarte wielkie płach-
 ty, co pewien czas je przemieszczając z
 miejsca na miejsce, a wewnątrz tymczasem
 czyściły, omiatały, bieliły. Mama też dos-
 tała talon do stołówki - więc chodziłam
 po te dwie porcje do "banieczki" - Mama
 mi mówiła co mam dosypać, a żeby "dorobić

28
tej zupy , żeby wystarczyła dla nas ex
czworga. Mamie zanosilaam obiad - i zosta-
wałam tam "chwilę" - Mama zawsze po zjedze-
nieniu musiała się trochę zdrzemnąć pod
cieniem tego budynku - a potem znów
stawiała do pracy. Teraz o tym Dżoż-Kuduku
- to się wykladało jak "droga do ..."
a dokądby - jak nie do świetlanej przysz-
łości ... do komunizmu ! W porównaniu
do tych poprzednich aużów, w których to
pobywaliśmy - to Dżoż-Kuduk już był nieco
"wyższą formą" osady. Była np. cała
ulica zupełnie nowych domków i drewnia-
nych i murowanych, niektóre nawet z ogro-
dzeniem, a w "środku" osady już rosło
kilkanaście wysokich drzew, na moją zna-
jomość "rzeczy" to takie "osiko-topole"
bo listki na nich ciągle się poruszały,
i tuż przy tych drzewach było takie ba-
jorko, no musiało mieć swoją głębokość
jeżeli przy tych upałach nie wyschło,
nieopodal był budynek - baraczek z kanto-
rem predsedaciela, direktora traktor-
noy stancji, oraz kwartira milicjaniera
a przy domu stajenka dla jego środka loko-
mocji - konia! Oddzielnie stał budyne-
czek w którym się mieściła stołówka i tu
w południe spożykali się wszyscy mieszk-
kańcy Dżoż-Kuduku. Nieopodal był właśnie
nie plac - gdzie pod gołym niebem nagro-
madzone były maszyny żniwne i traktory
a przy paru daszkach, a raczej to wyglą-
dało jak zadaszone stragany - tam właśnie
pracowali ci traktorni mechanicy, wszyst-
ko to w sumie robiło raczej wrażenie zło-
mowiska , aniżeli stacji maszyn i narzę-
dzi użytecznych. Polacy, którzy zostali
przywiezieni tutaj bezpośrednio z trans-
portu, byli już zaprzyjaźnieni między sob-
bą, młodzieży było niewiele, a i ją wo-
żono gdzieś tam - daleko, na sianokosy
nad Irtyszem, chociaż to już była pora -

1940

jesienna - tak, że spotkanie się nie dochodziło do "skutku", bo po pracy byli oni bardzo zmęczeni - a co gorsze, opatrywali swoje ręce i nogi pogryzione przez komary, t.zn. te rany wyglądały na pogryzienie je przez baki, to były "gule" ropiejące i nawet po "wyleczeniu" pozostawiały głębokie blizny - widziałam u dziewczyn nogi z takimi właśnie ranami - nikomu więc nie "było" do nawiązywania przyjaźni czy spotkań towarzyskich.

W Działach

Wszyscy Polacy mieszkali w jednym takim długim baraku - mieszkali to duże słowo przebywali obok siebie na "piętrowych" pryzach, nas natomiast "zrzucili" z drugiej strony tego baraku - tutaj też pomieszczenie nie nadawało się do "zamieszkania" - ale nie mieliśmy nic ani do wyboru, ani do powiedzenia. Mama w Pataninie wystarała się - spodziewam się, że za "jakąś" cenę, zdobyła takie dwie drewniane skrzynie, zamykane na skobelki z klódką, - my nazywaliśmy je "kufierki" - Teraz już część rzeczy, a szczególnie porcelanowa figurka, zapakowana była do kufierka co przy przewożeniu nas dawało więcej bezpieczeństwa tym drogom dla Mamy pamiątkom. Pomieszczenie w którym mieliśmy zamieszkać było beznadziejne. Izbę rozdzielala "postawiona" przez środek ściana działkowa, rozdzielając tę izbę na dwie wąskie "kiszki" - w ścianie działkowej było miejsce - otwór na "fajerkową" kuchnię, ściana więc się nieco podgrzewała, bo tutaj już mieszkali dwie rodziny, które musiały mieć dostęp do tej kuchni - tak więc w tej kuchni nie można było się rozpościerać ze spaniem. Mama więc nasze pośłania rozpościerała wtedy kiedy już się "tanci" przestali "kręcić" - bo spaliliśmy w wąskim korytarzyku, a skoro tylko wstaliśmy już trzeba było pośłania natychmiast sprzęt-

1940v

ną, t.zn. zwiżaliśmy to razem i tak
 w tym korytarzu ten tłumek cały czas
 musiał leżeć. Pomimo tych wszystkich
 trudności, ponieważ, głodu - nocie mia-
 ła spokojna, obok mnie była Mama, mój
 balsam na wszystko, prosto nie wierzy-
 ła już po tych wszystkich przykładach
 jej niezwykłej operatywności, że może
 się nam coś przy Niej stać - byłem już
 utwierdzona, że znajdzie sposób na życie
 w każdej sytuacji - no a mój stopień
 przewidywania nie sięgał jutra! Copraw-
 da Mama też "o jutrze" nie nie wspomi-
 nała. Między nami nie było wówczas naj-
 mniejszych zgrzytów. Mama idąc do pracy
 zostawiała nam "polecenia" że mamy na-
 nosić wody, że trzeba też nabierać ki-
 siaków, a tu było znacznie więcej takich
 jak my chętnych, więc trzeba było penetro-
 wać nieraz dość dalekie tereny, z wodą
 tutaj były naprawdę kłopoty - mieszkańcy
 "dążyli" sobie studnie do których nie
 pozwalali nam dochodzić - a studnia
 "osiedlowa" też miała tylko rano trochę
 wody, bo później już została wyczerpana.
 Rzeki w pobliżu nie było - więc my z
 Mietkiem braliśmy te nasze dwie baniecz-
 ki (2litrowe) i jeżeli nie zdążyliśmy
 zaczerpnąć wody już z tej osiedlowej
 studni, musieliśmy prosić - a często
 błagać gospodarzy o użyczenie nam wody.
 W tej sytuacji - o praniu prawie, że nie
 było mowy. Coraz bardziej zarastaliśmy
 brudem - jak i wszyscy zresztą tutaj
 Polacy. Stąd też Polacy jeździli woźami
 do Pawłodaru - a nawet już przedsięwzię-
 łą "puszczali się" pieszo - mówili
 coś o 15 - 17 km do Irtysza, a potem to
 już ten prom i w Pawłodarze. Pod koniec
 września do Pawłodaru wybrał się też i
 Staszek. Po powrocie opowiadał Mamie, że
 spotkał dużo Polaków, a wielu z nich za-
 mierza przenieść się do Pawłodaru - liene

1940

csą się z tym, że trzeba będzie tutaj już płacić za mieszkanie, że o pracę w mieście jest trudno, ale będą podejmować jakąkolwiek pracę. Byli też "chłopczy" starzy znajomi z Patanina i właśnie z nimi był umówiony, że w przyszłą niedzielę się znów spotkają w Pawłodarze i będą wspólnie się wspierać w decyzjach, bo praca i praca w tych sow-chozach jest nie do zniesienia, - a Staszek wogóle się już zwolnił z tej "trektorniej stacji". X X X W ciągu października mimo chłódów był w Pawłodarze kilkakrotnie i po ostatniej "bytności" coś Mamie mówił o Begarmistrze który wprawdzie zgodził się na przyjęcie Staszka w "termin" - ale zupełnie nic nie obiecywał, ani mieszkania, ani pieniędzy - a sobie podobno też nie obiecywał, że Staszek przy tej pracy wogóle wytrzyma bo to jest ślęczenie. Sprawę tę komplikował zupełny brak pieniędzy i brak możliwości wynajęcia jakiejś "kwartiry" tam w Pawłodarze. Mama - aby nie stracić tej zupy-lury w stołówce i kartek na chleb podjęła się znów pracy "karsaulszczyka" (stróża!) bo tanta się skończyła, zresztą już była prawie, że zima. Nie pamiętam dokąd chodziła, i czego właściwie pilnowała. Staszek tymczasem już ze dwa tygodnie nie wracał do Dżoż-Kuduku, - przecież nie mogą powiedzieć "nie wracał do domu" - bo to co teraz dostaliśmy na "mieszkanie" trudno do czegośkolwiek przyrównać. Najmocniejszą stroną tej sieni - naszego locum była ciepła ściana - wprawdzie na bardzo krótkim odcinku, ale do niej przysunęliśmy te dwa nasze "kuferki" i to było takie nasze "przytulenie" w tym baraku - znaczy w tej barakowej długiej sieni, przez którą wszyscy przechodzili. Dokąd jeszcze nie dokuczał taki ziąb to było niezauważalne - ale teraz każdorazowe wchodzenie

1940

do sieni ciągnęło za sobą smugę zimna która dotkliwie dawała się we znaki na naszym legowisku rozpostartym na podłodze na wprost drzwi i im było zimniej na dworze tym przebywanie w tej sieni było trudniejsze. Nie zdarzyło mi się usłyszeć żeby Mama, albo Staszek przynieśli jakąś zapłatkę - jakieś pieniądze za swoją pracę, ale mnie, która - ten ustrój wiązała z totalnym uciskiem, nieszczęciem "drugiego" człowieka - ten wyzysk ~~nie~~ był dla mnie wręcz oczywisty - demagogię poznawałam stopniowo. Teraz już trzeba było kupować "kiziaki" aby coś ugotować. Odkąd nie było Staszka - przynosłam tę zupę ze stołówki i czekaliśmy do Mamy powrotu, bo tylko raz dziennie mogliśmy jeść "coś gorącego". Każda "rodzina" do tej kuchni podchodziła ze swoim koszykiem kiziaków - a upitrasiwszy zabierała ze sobą do swojej "kryjówki" swój koszyk z opałem. W tej sytuacji - nawet zgromadzenie jakiejś ilości opału nawet żeby ktoś miał takie możliwości - nie było absolutnie możliwe. A tu coraz zimniej! Mama była już teraz bardzo zaniepokojona, bowiem wiedziała, że raczej zimy tu nie przetrwamy. Nastęły mrozy, ostre wiatry, ale nasze Polki mimo to do Pawłodaru chodziły, znajdując w swoich rzeczach ciągle jeszcze coś do sprzedania. Od Staszka nie było wiadomości, więc Mama pytała tych powracających którzy tak byli z nami bliżej - czy przypadkiem może zetknęli się ze Staszkiem, ale nikt akurat z tych się nie zetknął - natomiast biali, że droga bardzo ciężka, tyle tylko, że już teraz nie trzeba się przeprowiać promem, bo już jest Irtyś tak zamarznięty, że samochody ciężarowe przejeżdżają - a przecież to dopiero pierwsze dni listopada.

1940r

Teraz nastały już bardzo krótkie dni i dlatego zdawało mi się, że Mama wraca z pracy coraz później. To oczekiwanie na powrót Mamy zapamiętałam jako koszmar nie długie godziny szamotania się z głodem, bo w "domu" nie - ale to nie już do jedzenia nie było. Tymczasem Mamy powrót z pracy uzależniony był "od chleba" i to jest właściwe określenie powodu nie wnikając narazie w to - bo jeszcze wtedy nie potrafiłam zastanawiać się nad tym czy racjonowanie chleba w czasie pokoju i spokoju, nie jest przypadkiem - skutkiem stopniowego przekształcania gospodarki na wyższy stopień (dewastacji!) t.j. na gospodarkę kolektywną, czyli niczyją a tym samym jej wyniszczenie a nie "przyparzenie" - no i w związku z tym wprowadzone przez Dużego Knuta uproszczenia w postaci jak już wyżej napisałam "racjonowania chleba" - każdy mi z pewnością wybaczy to, że odbiegłwszy od tematu wtrąciłam swoją refleksję - ale piszę po latach i bardzo trudno mi się od tego ustrzec - Mama pracowała w pobliżu t.j. w uczestku - filii Dłok-Kuduku nazywanej tutaj Uczastek Maszko-Zawod co hucznie brzmiało jak "fabryka maszka" - a w rzeczywistości była to "Komórka produkcji maszka" przy tym Państwowym Ośrodku Maszynowym w Dłok-Kuduku. Przy tym "uczestku" był "karijok" - kiosk, i przy nim wszyscy tam zatrudnieni - (a i w pobliżu) - po pracy, ustawiali się w kolejce i oczekiwali na chleb. Chleb był wypiekany w "innym uczestku" i stamtąd go rozwozili, a w "kiosku" rozważyli po 40 dkg na "człowieka" i po problemie! nie ma chleba nieświeżego! suchego! nie ma problemu nadmiaru! ani braku! - po "rozdzieleniu" sprzedawczyni zamykała karijok do następnego popołudnia. W czasie oczekiwania w kolejce - Mama n

1940

wiązała sympatyczne kontakty z rosjankami tam zamieszkującymi. Osiedle to bowiem było usytuowane w dużym oddaleniu od Dżok-Kuduku. Któraś właśnie z tych tam zamieszkujących rosjanek wtedy w kolejce zaproponowała Mamie żeby przeszła do nich na "Maszko-zawod" do pracy, bowiem poszukują właśnie sprzątaczek, bo dotychczasowa jest już w przededniu rodzenia. Mama się wogóle nie zastanawiała, bo to co dotąd "robiła" - toż to nie praca dla kobiety! ale tu wogóle o pracę dla kobiety było bardzo ciężko - i tak przy poparciu tej rosjanki Ławrionowej - Mama rozpoczęła nową pracę. W dalszym ciągu więc chodziliśmy z banieczką do stołówki po tę jedną porcję zupy - licząc, że z ilości kucharka doleje nieco tej mocno roso wodnionej zupy, a Mama z tej "nowej" pracy przynosiła oprócz chleba litr mleka, a także kawałeczek masła, bo ci co przy tym pracowali - kradli, i dzielili się pomiędzy sobą i z Mamą też. - a rosjanki dzieliły się z Mamą czym miały i mogły. Każda dla siebie trzymała Krowę, świnie, parę kur - Łaska tych rodzin dała się odczuć w naszej już zupełnie beznadziejnej egzystencji. Mama chodziła do pracy codziennie, mimo że naszko "wyrabiali" jeżeli pamiętam dwa, lub trzy razy w tygodniu. W linii prostej - idąc z naszego baraku trzeba było przejść przez puszczki step - a dalekim horyzoncie rysowały się dachy domostw - otóż i tam właśnie może dwa, może dwa i pół km od nas znajdowało się to osiedle maszkozawodu. Nie wiem skąd zwożono tę śmietanę - ale sądząc z tego, że żadna gospodyni w Dżok-Kuduku nie sprzedawała normalnego pełnego mleka - tylko z śentryfugi - tę śmietanę dostarczały okoliczni mieszkańcy, którzy starali się chociaż po krowinie mieć w

1940 r.

wyrabiano

tej swojej zagrodzie. W ciągu dnia opra-
cowywano taki jeden pojemnik, z którego
 "wychodziło" kilkanaście skrzyneczek
 masła - te skrzyneczki z cieniutkiej dyk-
 ty też robili tu na miejscu. Wokół tego
 produkcyjnego pomieszczenia, zamieszkiwa-
 li pracownicy - kosjanie, np. tuż miał
 domek z trzema izbami - z których jedna
 była "kantorem" - sam pan dyretrob z ro-
 dziną, następny domek miał "maszynista"
 z rodziną, maszynista zajmował się całą
 maszyną - na zewnątrz tej mleczarni
 wystawał niewysoki komin z grubej rury,
 i kiedy ta maszyna była "w ruchu" stam-
 taś wydostawał się dym - poprzedzony mia-
 rowym odgłosem pach! pach! pach! była
 to maszyna na ropę, bo jak xprzychodziłam
 tam do Mamy to ciągle przewijał się prob-
 lem przywiezienia "niefci" - więc ropy,
 ale te rewiry mnie nie interesowały. Dalej
 mieszkała rodzina, w mieszkaniu której
 wyrabiano te skrzyneczki, jeszcze też by-
 ła stajnia dla wielbłądów i wołów, a w
 pobliżu mieszkali ci cobyli "izwożoznikami
 woźnicami, i ci co doglądali tych zwie-
 rząt, no i na miejscu też mieszkali ci,
 którzy zajmowali się wyprodukowaniem -
 przetworzeniem tej śmietanki na masło.
 Po zakończeniu produkcji wszystkie kotły
 i urządzenia mimo, że strasznie prymityw-
 ne musiały być wyparzone, wymyte z podłog-
 kami włącznie. Biegłam tam nieraz i zas-
 tawałam Mamę szorującą drewniane stołki
 wodą ze sodą - potem zmywając te zimne
 kamienne podłogi - ręce miała jak raki
 czerwone, a mnie nie kazała mazać rąk
 w tej zimnej wodzie w wiadrze "od podłogi
 Najtrudniej było jej umyć ten wielki bla-
 szany kocioł i bańki - przy otwieraniu
 drzwi na dwór, wchodziły do wnętrza całe
 wielkie kłęby pary - taka była różnica te-
 temperatur, ale Mama ciągle musiała wyno-

1940r

sieć coś tam na dwór, względnie wnieść - spoczną z mokrymi spękniętymi rękami. Kiedy patrzyłam na ten Jej wysiłek bez cienia zniechęcenia - w duchu podziwiałamⁱⁿ moją Mamę, że potrafi wykonać taką jak na moje odczucie gigantyczną pracę - podczas gdy w domu u siebie w Tarnopolu do umycia naczyń i do cięższych prac służebnych przychodziła pani Czopikowa, - ba! ja nie wysłałam nawet, że moja Mama potrafiła tak ciężko pracować. Dodać ko- niecznie muszę, że oprócz tego była tam w jednej kajucie pralnia - mogła to już wykonywać inna osoba, ale Mama podjęła się prania fartuchów, ręczników i ścierek aby wykorzystać tutaj też miejsce i sodę na przepieranie naszej pościeli, - no tante rodziny też tam się opierały, więc Mama takich skrupułów nie miała - najgorsze było suszenie, ale rosjanek pozwalały na roświeżenie w swoich komórkach, bo w tym czasie ten cykl suszenia trwał pa- rą dni i trzeba było spać pod niepowleczo- ną pościelą, - to pomijając już względy estetyczne, bo już ich prawie się nie dostrzegało, ale po prostu było dużo zim- niej. Teraz już nawet się nie zauważało czy "powleczenia" były prane czy też nie wszystko już było szare - i co najgorsze od wszaw, pcheł popatrzone i od naszych rośdrapanych - poranionych miejsc na ca- łym ciele. Te krwawe plamki raz przy razie niczym nie dały się wywabić, - niczym! nie poza wodą i tą skradzioną odrobiną so- dy w zasięgu ręki nie było, a ci co mia- kali z nami nawet tego nie mieli! - tak więc wazy wędrowały od jednych do drugich mnożąc się w odzieży i w głowie - opanowu- jąc nas całkowicie. Mimo Mamy zabiegów, które już nie dawały żadnych rezultatów zanim zasnęliśmy przyłożywszy głowę do poduszki słychać było szmerów żałujących

Aghov

po niej wsz^oo. Z początku jeszcze się bałam, że mi do ucha wejdą, a później dłoń nią naosłep "przejechawszy" co pewien czas po poduszce - zasypiałam. Im było zimniej tym było brudniej - kiedy czekał^omy na przyjście Mamy z wielką niecierpliwością - zziębnięci, drapaliśmy bez przerwy swoje zaszawione głowy, a kiedy po baraku nikt się nie kręcił, przeglądaliśmy odzież, ale to co się dało "wybrać" to była tylko część - ciągle skądś się brały i na nas wchodziły nowe masy - jakby spod ziemi. Jednak jeszcze, mimo tak dokrwierającego zimna Mama kazała się rozbierać do spania - dla mnie to była męka, jakżeś głęboko utkwiły mi ciernie tego wręcz boleśnie dla mnie odczuwalnego zimna. Chciało mi się płakać z zimna. Chciało mi się! - ale byłam twar^oda jak granit ...nie zapłakałam! A Mama długo jeszcze siedząc już w pościeli na tej zimnej podłodze rozszkanej - modliła się cicho, szczerze, głęboko i serdecznie myśląc, że lodowiec by stopniał od gorąca Jej modlitwy. Następnego dnia znów wstawała energiczna, niezgnuśniona, ...a my ... za nią! - ... minął znów dzień! i następny ... to i dobrze, byle by jakoś przetrwać. Mama miała "metę" u Ławrionowej - maszyniściny - u niej po pracy szykowała i pakowała do torby co tylko miała się "trafić" - zadowolona, że znów dostała kawałeczek masła, sera, że znów nieś sie dzieciom coś tak niezbędnego jak cukier, czasem trochę śmietany, albo mąkę od Ławrionowej. Wyobrażam sobie dzisiaj - jaka musiała być z tych okrucieństw zadowolona, cóż tam upokorzenia! podpowiadała sobie zapewne: wszystko zniosę Boże! byleby dzieci^oczymś nakarmić, byleby je ochronić od męki głodowej śmierci. Po tej ciężkiej pracy szła przez puściutki ścieg

1940x

przyspieszając kroku - czy mgła, czy buran - zamieć zapierająca dech, czy mroś boleśnie zamiały ręce, twarz i nogi - brnęła przez tę nieprzenikniętą ciemność. Przychodziła rozbierała się i my odtąd nie odstępując Jej asystowaliśmy przy gotowaniu. - bo Mietek ogień już pod "kuchnią" trzymał - tak, że około 21-22giej już jedliśmy - oczywiście mieliśmy równe miseczki, bo broń Boże, żeby też ktoś z nas miał łyżkę więcej! - zupa była mierzona chochelką bardzo skrupulatnie, zdaje się, że bez niej nie doszlibyśmy do porozumienia przy dzieleniu. Staszek nie przekazywał przez nikogo wiadomości, ale chyba musiał coś tam robić, żeby mieć pieniądze na noclegi, na obiady, - tak! żeby chociaż jeden raz dziennie coś zjeść - to z głodu się nie umrze - Mama chyba coś mu dała "na w razie czego"! Nas miała przy sobie - a tego najstarszego syna już w duchu - tęgniała ... to bardzo długi proces ... też go w swoim życiu poznałam. Zapewne Staszek pragnął Jej pomóc - "oni" się poprostu wyczuwali - ale dać znać powinien. Tyle ludzi wędruje tam i z powrotem, dlaczego, więc? - a jeżeli niczego pocieszającego niebyło? - to część swoich trosk nosił i znosił sam! nie kładąc ich na Jej szczupłe barki! Widziałam - jak Mama wieczorem szykowała do zabrania ze sobą nazajutrz ostatnią swoją sukienkę - a może nie miała nadziei, że byłaby okazja na jej ubranie - a tak! znów mękę, a może nawet kawałeczek mięsa dostanie, bo szykowało się tam świnioobied u kogoś. Uprzedzała nas, żebyśmy się nie niepokoili - bo w miarę pogarszania się warunków atmosferycznych, ten chleb przywożą coraz później, więc i będzie wracała później. Tamci wszyscy mieszkają "na miejscu" i nie odczuwają tej

1940

uciażliwości, wynikającej z przywołania
 chleba. Mama tymczasem "wyfasowała"
 piny - to takie kapee z wojłoku prasowane
 go (wałenki) - no nareszcie! że Jej to
 dali, to w tamtejszych warunkach zimowych
 jest niecodzienne. Ja, jechałem w kwietniu
 jeszcze w zimowej odzieży, stąd też teraz
 miałam jeszcze płaszczyk i buciki już je z
 ledwością wciągałam na wełniane skarpetki
 ale nawet żeby mieć skurezone pal-
 ce, to musiałam w nich chodzić, bo nic in-
 nego nie miałam. Miatek też chodził w
 swoim zimowym płaszczyku i sznurowanych
 polskich bucikach - obliczonych na nasze
 podolskie zimy, miał kłopoty ze sznuro-
 waniem, co on się naślinił tych koniusz-
 ków sznurówek i mimo to nie trafiał w
 dziurki, ale się nie zmiechał, bo zaraz
 rozpoczynały się haczyki i to powodowało
 że musiał się wcześniej zaczynać ubierać
 żeby iść po "obiad" do stołówki. W miesz-
 kaniu - tzn. w baraku chodziliśmy tak jak
 na dworze - jedynie po południu można było
 zdjąć płaszczyk, bo jak gotowali w tej
 kuchni kolejno wszyscy lokatorzy to ta
 zewnętrzna ściana wychodząca na naszą
 stronę ociepliła się nieco - każdy bowiem
 mocno oszczędzał kizlaki i dokładał do
 ognia tylko tyle ile niezbędnie było po-
 trzeba na zagotowanie, czy dogotowanie
 czegoś tam". Mama znów przysłała pójno,
 ale z radością wypakowywała z torby swo-
 je zdobycze, znów mieliśmy następnych pa-
 rę dni zabezpieczonych. Znów rozdzielając
 równo niemalże do kropli - posiłkaliśmy się
 się - Mama, też mimo, że ciężko pracowała
 brała sobie równą z nami porcję, a prze-
 ciż cierpiała na wrzody żołądka - miewa-
 ła "bólę głodowe" - a jeszcze ze swojej
 miseczki przelewała nam - dokładając ze
 swojej porcji do naszych miseczek po dwie

1940

- trzy tygodnie. Tak mijał dzień za dniem i ciągle oczekiwaliśmy, że lada dzień Staszek da nam znać, że już ścieżka jak to się mówi jest przedeptana i że przenosimy się do Pawłodaru. Tam dopiero trzeba będzie się zabezpieczyć w kiziaczki żeby nie "umarznąć" - tymczasem jednak Staszek nic ... a my byliśmy w Dżoż-Kuduku - w baraku i marziliśmy bardzo, ale cieszyliśmy się, że jeszcze dzisiaj coś jedliśmy. Polacy w stosunku do siebie stawali się coraz bardziej oziębli, zamknięci, każdy w tajemnicy przed drugim dążył - urządzać się, a wszystkich opano wywał skrajny egoizm - i co było bardzo już dostrzegalne u większości - apatia! Odrobnością tego stosunku Polaków do siebie - był stosunek Rosjan tam zamieszkanych do nas. Mieli dla nas tyle życzliwości i współczucia - i dzielili się czym mogli - ale ich zasoby ledwie dla nich też starczały i nie można było nachalnie nadużywać ich dobroci. Taki stosunek do drugiego człowieka - ma się tylko wtedy jeżeli samemu się przeżyje taką skrajną nudzę. Tak dobiegał do końca rok 1940 - ostatni miesiąc zdawał się już dla nas nie do przeżycia, trapiły już nie tylko wazy i głód, ale huraganowe wiatry i duże mrozy, w drugiej dekadzie uciszały się wiatry, ale mróz nie słabł. Wieczorem widząc, że na dworze staje się już mgliście - ustawiliśmy z Miwkiem na oknie "kopciłkę", żeby to światło było zauważalne i widoczne z daleka, a kiedy minęła już 9-ta (21-sza) i Mama jeszcze nie nadeszła, przylepialiśmy nasze nosy do szyby, chuchając żeby sobie zrobić taki wizjer i dla światła i przez niego wpatrywaliśmy się w czeluść nocy, podsuwając sobie wzajemnie powody dla których Mama jeszcze nie mogłaby dojść, że w tej

1940r

mglistej poświacie pewnością jest trudno iść szybko. Mama nie przyszła ani o 10-ej, ani o 11-ej i położyliśmy się spać bo jeszcze rozważyliśmy ewentualność, że może żona maszynisty - u której Mama się "pakowała" - rozbierała i zbierała po pracy - odradziła Mamie żeby szła w taką niewyraźną pogodę... tak ... tak ... ona napewno Mamę nie puściła... Ach! Gdzież być może! - Napewno. Spaliśmy spokojnie - mimo, że w baraku było bardzo zimno gdyż mróz znów potężniał. Następnego dnia około 8-ej obudził mnie Mietek - był co najdziwniejsze ubrany i ... zziębnięty, a z tego co mi pośpiesznie mówił, obudzona - jeszcze nie nie rozumiałam! Taki zaniepokojony, ba! wystraszony powiedział ... ale już po krótkiej chwili pojąłam zupełnie dobrze co do mnie mówił - Mamę tam nie ma! Mama wyszła wczoraj ok. 20³⁰!! - po tym właściwie nic nie pamiętam - aż dopiero pamiętam zapierającą dech mroźną powietrze, bo oboje biegaliśmy całą drogą do "Maszozawodu" skąd Mietek niedawno sam wrócił z hucobą dla nas wieścią ... ale nie! to nieprawda! coś pokręcił - czegoś nie zrozumiał! Jak wchodziliśmy do mieszkania "maszyniście" (bo tak Mama ją nazywała - widocznie te nazwiska nie były do "zapamiętania") - ona powitała nas z przerażeniem w oczach - opowiedziała szczegółowo, że pod koniec pracy robili z reszty śmietanki lody, bo pracownicy od czasu do czasu uszczęśliwiali śmietanki na ten cel, więc sprzątanie się opóźniło, ale cieszyła się, że coś słodkiego ma w tej banieczce dla dzieci, dość późno też wczoraj przywieźli chleba - czekała, nawet nie proponowałam aby nie czekała, bo każdy z nas czeka na chleb "do końca" - jak przywieźli chleb i fos-

1940

dzielili go zrobiło się późno - proponowałam żeby została, bo nie tak, że ciemnica, ale jeszcze jakby jakaś mgła naciągała. Iść będzie ciężko, ale absolutnie nie chciała zostać "bo dzieci czekają" są głodne - może innym razem podziękowała serdecznie i poszła ... i tu żzy spłynęły po twarzy tej sympatycznej kobiety. Usiłowała jeszcze nas zatrzymać - ostatecznie dietiszki, pokuszajecie czy nibud - ale głodu nie czuliśmy, przynajmniej ja! mimo, że wczoraj nie jedliśmy, a szczególnie wieczorem tej naszej "obiado - kolacji, która musiała starczyć do następnej - a około południa wypijaliśmy po garnuszku mleka z kawałeczkiem chleba co Mama nam zostawiała idąc do pracy - Teraz podziękowaliśmy, bo śpieszyliśmy się do baraku, może niepotrzebnie się niepokoiły bo Mama już wróciła...! W powrotnej drodze nie rozmawialiśmy ze sobą wcale. W baraku jak się przekonaliśmy - Mama jednak jeszcze nie wróciła. Zaczęliśmy się radzić najbliższych sąsiadów, wtajemniczając ich w to wydarzenie. Większość była zdania, że trzeba czekać - a domysłów co mogło zająć było tyleż co ludzi. Póki co idźcie na obiad - obiad przynieśliśmy do baraku jak zwykle, ale sąsiedzi przekonali nas, że powinniśmy jednak zjeść - pewnie, że ciągnęło nas do tej lury jak do narkotyku, ale co będzie jak Mama przyjdzie zziębnięta i głodna! - Wnet jednak problem jedzenia znów całkowicie się usuwał, pochłaniało nas oczekiwanie, zniecierpliwienie, wychodzenie i wypatrywanie czy na drodze nie ukaże się nasza najdroższa sylwetka! Znów się ściemniało a Mama - nie przyszła, dlaczego tak długo nie wraca? ... ale jeszcze ludzie w baraku się "kręcili" - pocieszali nas, że gdyby

1940

coś się stało, to już by nas zawiadomiono ... i właśnie padła ta ostateczna możliwość "gdyby coś się stało" !! - nie!nie! - Trzeba znów kopciłkę wstawić w oknie jak w te poprzednie zimowe wieczory, zawsze to łatwiej trafić idąc na "świąteczko, jeszcze jakiś czas chuchaliśmy na szybę i palcem powiększaliśmy kółeczko na zamarzniętej szybie wypatrując na zmianę - może za chwilę się już pokaże Jej sylwetka, rozpoznawana przez nas nawet w ciemności ... nie przychodziła ani z tej ani "tamtej" strony! Usnęliśmy siedząc na naszych "kuferkach - skrzyneczkach" pod tą ocieploną ścianą a która byłaby znacznie cieplejsza gdyby była Mama, bo po powrocie z pracy Mamy zaczynało się krzątanie przy kuchni. Siedząc tak na kuferkach, byliśmy cały czas blisko drzwi żeby otworzyć natychmiast jak tylko da się się słyszeć jakiś szmer pod drzwiami, żeby przypadkiem nie czekała już na zimnie ani chwili. Minęła tak środa 13-go grudnia 40. Czy ten feralny rok 1940 - się nie skończy! A co jutro? ... Kiedy nadeszło jutro t. zn. czwartek 14go grudnia, rankiem znów poszliśmy do "Maszozawodu" wyobrażając sobie, że gdzieś tu, albo u "maszyniściny" natychmiast Mamę spotkamy, przecież nie ma dla nas istnienia bez Niej!! Boże! czy Ci tu też za zimno? - czy nie ma Cię tutaj! czy nie dostrzegasz nas tutaj - a my dwie niewielkie istotki na tym pustym ośnieżonym stepie kierujemy do Ciebie swoją w tej chwili jedyną myśl - niech się tu zjawi teraz! zaraz! dzieci nie mogą żyć bez Mamy... Zapukaliśmy do drzwi "maszyniściny" - otworzyła nam, ale nie potrafiła ukryć przerażenia, widząc nas znów u siebie o takiej niezwyklej porze. Była bardzo zatroskana naszym losem, nie

podadło co powiedziała nam wczoraj nie wiedziała, więc się nie zatrzymywaliśmy. Na odchodnym wręczyła nam zawiniątko, powiedziała, że jest tam chleb - pajek -
- racja chleba należna Mamie i troszkę masła a także, żebyśmy teraz weszli do "dyrektora" - bo dyrektor chciałby się z nami - ~~dziś~~ widzieć. Na "Masłozawodzie" dyrektorował rosjanin. Kiedy weszliśmy do jego kantoru - wstał i powitał nas "zdrastuj dzietiszki" i kzy potoczyły się z jego oczu - przez moment zdawało mi się, że coś wie... i za chwilę nam powie, ale nie nie wiedział, poprostu miał wyobrażenie o naszym losie jaki czeka nas... ~~ale nie! tej myśli nawet nie można dokończyć!~~ ^{pow.} poradził nam, że to już drugi dzień nie wiemy gdzie wasza Matka X trzebaby ~~isć i i~~ ... - "zajawio milicjaniera czte wasza mama pocierjałaś" mówił, że trzebaby już zgłosić milicjantowi ^{pow.} w czuwającemu na posterunku w Dżoż-Kuduku, że nasza Mama "sie zgubiła" ~~sch!~~ to po imieniu tak określa się tutaj to ~~zni'mięcie~~ naszej Mamy ... Odrazu uczułam wdzięczność dla tego człowieka który wyraźnie powiedział "pocierjałaś" - zgubiła się, a nie zaginęła, tak tak - oczywiście że to nie to samo, jak coś czy ktoś zaginie ^{jak} zgubi się - to się odnajdzie. Boże! dobrze że nie powiedział że Mama zaginęła, to jest najpewniej zyczliwy nam człowiek, on wie! - zaginęła, zgłosimy więc zaraz milicjantowi i Ją odnajdziemy!.. Po powrocie opowiedzieliśmy naszym sąsiadom, że dyrektor kazał nam iść na posterunek i zgłosić to zaginięcie Mamy - milicjantowi ... z sąsiedzi, szczególnie pani Stella co ~~to~~ mieszkała obok nas w - takiej barakowej kajucie z drugą taką też starszą panią, - dopilnowała abyśmy przed pójściem zjedli tę lurę stołówkową z chle

bem. Propozycja dyrektora była dla nas tak olśniewająca, że zgodziliśmy się na to zjedzenie najpierw, a dopiero potem na pójście do milicjanta. ~~No~~ ^W tę kolejność już teraz można zachować - a za chwilę milicjant przedsięwzięcie środki i Mamę naszą odnajdą. Urząd milicjanta to był pokój i mała poczekalnia. Milicjant wyszedł do nas, do poczekalni - szybko wstałam, Nietenk tuż i jako starsza, tłumaczę, że moja - nasza - Mama potierjałaś, nie dotarła już z pracy we wtorek na noc, że wczoraj cały dzień i całą noc Jej oczekiwaliśmy - no i dzisiaj już jest przecież czwartek i też Mamy nie ma, nie mamy pojęcia co robić i dlatego tu jesteście...

A milicjant obyły z wszelakiego rodzaju odpowiedziak niemal z życzliwym uśmiechem - ~~(odpowiedź~~ tę pamiętam przez wszystkie lata mojego życia, zabrzmiała ona w moich uszach złowieszczo i nieprawdopodobnie mnie rozczarowała, rozwiązała całą moją nadzieję, odtąd bowiem już nie istniało nic co by dawało czy stwarzało nam jakąś nadzieję, że Mama kiedykolwiek wróci i że Ją kiedykolwiek zobaczymy - od tego momentu z moich oczu polały się łzy, w tym momencie się rozplakałam, a nigdy dotąd!

~~Milicjant powiedział: mianowicie "a~~
cztoż ja mogu zdiełać - za waszej mamoj sto doroh - a ja budu koshadź ganiać po po sciepi ... a po chwili - a jeśli jejo wołki sjeli ? !! i bezradnie w tym miejscu rozłożył ręce. To się wykladało na to, coż ja mogę zrobić - za waszą matką sto dróg - a ja będę po stepie za nią ganiać konia - a jeżeli, jeżeli ją wilki zjadły tak! istotnie i taka możliwość istniała, ale chociażby usiłować, wykazać dobrą wolę a nie litość szczególniejszą dla konia aniżeli dla mojej Mamy! Wybiegliśmy stamtąd i biegliśmy przed siebie, zatrzymaliśmy

Aghon

my się dopiero daleko od domostw i wyliś-
my z rozpacz między niebem a ziemią,
~~a znikąd przyszłości~~ - a może stąd prędzej
niebo nas usłyszy - zostaliśmy sami
na tym wygnaniu, każdy zajęty sobą, do ko-
go teraz? ani ojca... ani Matki ...co
począć ... co począć ... ? ~~W~~ To był mój
pierwszy paroksyzm rozpacz i goryczy,
coraz głębsza świadomość kompletnej bezsi-
łości wobec braku czegoś takiego jak
"mózg" naszej Mamy! Od czasu wywiezienia
nie wydorosłałam tak, jak teraz dorośla-
łam z godziny na godzinę, ale tylko w sfe-
rze "myśli" - a nie w sferze decyzji, ta
sfera była odległa, pewnością kilka
osób conajmniej zaczęły mi podpowiadać co
jeszcze powinienam lub nie powinienam w tej
sytuacji ... Bożeeee! zniż się - szepnij!
Nie wiem jak długo trwała ta nasza głośna
rozpacz wyrażana wobec nieba i ziemi,
potem ... było już tylko ciche łkanie
i łzy, już niewysychające łzy - zupełnie
bezwolnie i bez przerwy spływające z oczu.
Cóż ci ludzie co chodzą obok nas, oni
tego nie rozumieją! Im milicjant nie po-
wiedział, że wilki mogły rozszarpać ich
matkę ... - a nam tak właśnie powiedział
żeby jednak jakoś zebrać myśli, żeby się
jakoś zmobilizować! Po powrocie owinaw-
szy się w koce, znów usiedliśmy pod tą
naszą "ścianą" i tak minął ten ciągnący
się bez końca grudniowy wieczór, potem
noc, potem dzień ... Ten piątek to też
był okropnie długi, "nasi" przychodzili
coś mówili, coś nam radzili, ale ani ja
ani Mietek nie potrafiliśmy "kontaktować"
- nie pamiętam nawet pół słowa z tego co
nam mówili, przynajmniej ja - wołałam aby
się do mnie nikt nie odzywał, chciałam
stamtąd uciec, ale gdzie się ukryć -
przecież na dworze syberyjska zima, mrozu
nikt nie mierzył, ale pewnością był "tę"

1940

gi" - miałam jakiś żal, jakąś niechęć do otaczających nas ludzi o to, że mają "szczęście" ! (?) - Kiedy chciałam się podnieść aby poprawić na sobie koc - nogi nie mogły ustać, chyba nie paraliż? pewnie zimno do tego doprowadziło, a może poprostu ścierpłam, ~~paraliż~~ jednak utkwiło mi w pamięci, że miałam kłopoty z utrzymaniem się na nogach i to też jeszcze potęgowało moje przerażenie, a z drugiej strony pragnęłam aby tu nikt nie przychodził, nie gotował, nie rozmawiał - a my tak będziemy siedzieć - a potem ze znużenia zaśniemy, i razem umrzemy ... tak właśnie tak będzie najlepiej ... nie ma już co, ani po co się stąd ruszać. W sobotę po przebudzeniu (ach to już 16 - go grudnia 1940 roku!) czułam się już bardzo słaba, ogarniała mnie całkowita obojętność na otaczający świat, chciało mi się właśnie już tylko spać. Miałam od czasu do czasu wstawać - ale nie wiem po co, gdzie wychodzić, czym się interesować o czym rozmawiać, co robić. No i wpadłam nagle w taki fajny stan ... nie ...

W odrętwienie, zobojętnienie, tym bardziej że albo mi się wydawało, albo rzeczywiście nie zainteresowanie otoczenia - zmalało. Nie wiem czy w południe, czy było to po południu - ktoś głośno i energicznie zapukał do drzwi - poprosiłam. Wszedł bardzo wysoki młody pan i co najdziwniejsze zapytał czy tu mieszka Leszka Koralewiczówna - "tak" powiedziałam "to ja", - powiedział, że cieszy się, że nie musi znów chodzić i pytać - szybko teraz powiedział że wraca z Pawłodaru - pieszko - że noc przebył u kazacha, stróża siana na zalewie Irtysza i tam ... spotkał moją !!! Mamę !!! że potrzebna jest Jej pomoc lekarska natychmiastowa, bo odmrożenie któremu uległa jest tak głębokie i roz-

1940/

ległe, że skutki mogą się okazać tragiczne. — Doskoczyłam do niego jak sprętna no właśnie Niebo zsyła kogoś, kto odnalazł ślad do naszej Mamy! — nieprawda! wilki Jej nie rozszarpały! żyje! Istnieje! Znow Ją zobaczę, koszmarny sen minął dzięki temu sympatycznemu chłopcu. Mieszkał w innej miejscowości, śpieszył się aby dojść zanim się ściemni — zboczył do Błock-kuduku aby nam dać znać, powiedział mi to dokładnie gdzie to jest — opisał a ja starałam się nie uronić z tego ani słowa — nie omieszkał też doradzić mi co powinnam ze sobą zabrać — pierzynę koniecznie, bo jest bardzo zimno, a twoja Mama jest u kresu sił więc coś lekkiego i ciepłego. Nie wiedziałam jak mu dziękować — jeżeli żyje, niech wie, że pamiętam to niezwykle spotkanie i za to co dla nas uczynił jestem mu nadal ogromnie wdzięczna. Toż od tej chwili byłam cała w radości — i kiedy jest mowa o Zmartwychwstaniu — to ja takiego przeżycia doznaję, oczywiście nie wnikając w tym momencie co mnie ~~on~~ jeszcze czeka. Teraz sprawy potoczyły się bez namysłu ustalonej kolejności — najpilniejsza sprawa to zabezpieczenie "podwozy" — czyli wozu, bo jutro trzeba Mamę stamtąd zabrać i zawieźć do szpitala. Pojedziemy razem. Niej nie! razem. — Mietek musi tutaj zostać z rzeczami, ja muszę w Pawłodarze absolutnie odnaleźć Staszka. Co z tym Staszkiem? On nie wie! Ile ma zaoszczędzonych sił i nerwów — Boże znow jego czy i gdzie odnajdę. Najpierw poszliśmy do "Masłozawodu". Opowiedzieliśmy maszyniście — a później z nią "dyrektorowi" o tym, że już właśnie Mama się znalazła — on najlepiej mówił że "pocierjakaś" no i się odnalazła wszyscy teraz debatowali nad tym dlaczego jest tak daleko, skąd się tam wzięła?

1940

Toż stamtąd już do Pawłodaru ze 4 - 5 km
~~no jeszcze trochę i się wszystko wyjaśni.~~
 "Direktor" przyrzekł, że między 9-10 tą
 jutro przysła sennie i woźnicę, żebym się
 przygotowała i to co mam zabrać. Mietek
 poprostu wiedział, że tak teraz musi być!
 On tu "z rzeczami" zostanie, a ja Mamę
 zawiozę do szpitala, tam udzieli Jej niez
 będnej pomocy, może nawet nie zostanie na
 dłużej, odnajdę Staszka i Staszek natych-
 miast przyjedzie i zabierze Mietka i rze-
 czy do Pawłodaru, bo gdzieś tutaj prze-
 cież już cały miesiąc mieszka! Boże! więc
 znów pozwolisz się nam zebrać razem.
 Wszystkie poszwy na pierzyny i kołdry wyg-
 lażały tak samo przed praniem, jak i po pr-
 aniu - poprostu były "jak ta święta zie-
 mia" - teraz mam czystsze szmaty do pod-
 łogi. Cóż miałam robić, zabrałam jedną
 poduszkę, koc i pierzynę - którą świeżo
 powlekłam. Chociaż wszyscy mieli taką
 samą sytuację i my i "oni" (tamtejsi) -
 ale i wtedy to było żenujące dla mnie
 wieść w takich szmatach zawszawionych
 Mamę do szpitala. Żyją tu bez mydła, bez
 wody, bez Radionu i zdają się nie być
 nawet oburzeni - a może to były ich tylko
 "dobre miny", bo oburzenie spowodziłoby
 na nich nie przykre skutki! - ale wręcz
 nieszczęście. ~~W~~ W Mareszcie z Masłozawodu
 przyjechał saniami - zaprzężonymi w wielb
 kładz. jednogarnbego, młody kazach, umięją-
 cy i rozumiejący po rosyjsku prawie wszys-
 tko. W drzwiach baraku widziałam jeszcze
 jakiś czas jak stał bardzo smutny Mietek.
 - jak mogłam się powstrzymać od łez?
 Droga wydawała mi się nieskończenie dłu-
 ga. Jak - przebywali ją "nasi"? i to prze-
 ważnie pieszo, bo czym? właśnie ten młody
 pan wczoraj zapewne pieszo szedł tędy.
 Takie pustkowia ... a gdyby powiało? to
 ani znaku, że droga właśnie tędy przebiega.

Aghor

ga, no ale ani wczoraj, ani dzisiaj nie wieje. Ciągłe spoglądałam na zegarek -bo ojca zegarek zabrałam ze sobą. Niedosć, że długo i daleko - to jeszcze na dobitkę wielbłąd nie omieszkął zademonstrować swój charakterystyczny upór. Zupełnie bez powodu zatrzymuje się - kładzie się na ziemi i odpoczywa - i sam sobie wymusza czas na taki odpoczynek, ani prośby ani groźby na niego nie działają jest jakby zupełnie ogłuchły, a jeżeli okazuje się mu swoje znecierpliwienie i wywija się mu nad głową batem - a już jeżeli by tym batem go ściągnąć, to potrafi ziać wodą - nazywają tu że tak potrafi "opluć", że suchej nitki na zostawi na woźnicy - ale nie tylko, a z miejsca się nie ruszy. Całe szczęście, że nie plukł tylko się położył. Doświadczony przez częste z nim przebywanie - kazaczonok uśmiechał się, że jeżeli nie będziemy na niego zupełnie zwracać uwagi - to te fana berie miną, tymbardziej, że leżenie na śniegu nie jest dzisiaj najprzyjemniejsze. Rozgrzmaszenie przeszło mu i ruszyliśmy dalej. Byłam pełna podziwu - kazaczonok doskonale się orientował dokąd trzeba jechać. Tak więc ok. 14-ej czy 14³⁰ wjechaliśmy w okolice stogów - to były cztery godziny jazdy, nie wiem ile jest wstanie wielbłąd przebyć drogi na godzinę, ale myślę że uwzględniając tę przerwę godziną - to pozostałe trzy godzinę po 7 - 8 km - spodziewam się, że droga którą przebyliśmy miała około dwudziestu paru km. No wreszcie wjechaliśmy do zagrody "stróżka". Zeskoczyłam z sady i pobiegłam do chaty, serce waliło mi jak młotem, bo oto za moment już spotkam się z Mamą - żywą! zabiorę Ją stąd i wszystko się odmieni. Wbiegam do izby i nie widzę Jej ...nie

ma ... Boże! nie to niemożliwe ..., Kazach - gospodarz wziął mnie za rękę zorientował się, kto jestem i odwrócił mnie - i coś zobaczyłam? Na podłodze przy tej ich kuchni, leżało coś skurzonego - to do potworka było podobne - zaważałam się czy to rzeczywiście jest Mama - po czarnej jakby spalonej skórze na twarzy toczyły się dwie stróżki z oczu i powieki się poruszały - po głosie w tym strzępie człowieka rozpoznałam moją ... naj ... Mamę. Ręce nieruchomo spoczywały na podłodze, widać że nie może się poruszać, podnosiła głowę i szybko opadała - dopiero teraz moje oczy objęły jej nogi - dojrzałam stopy - to było straszne zielono-siwo-czarne, palce niemal bez skóry z powy-
wlekany na zewnątrz mięsem, w górnej części jakby zupełnie pozbawione ciała takie kości kikutki - to jest nie do opisanie. I na tych nogach kazach - wyprowadzał Ją na dwór - kiedy musiała się zakatwić. Wówczas wkładała na te otwarte rany - te brudne "pimy" (walenki) i skowycząc jak zwierzę z bólu wychodziła wsparta całym ciężarem ciała na kazacha - później mi mówiła, że już rano w niedzielę opanowywał Ją całkowity bezwład z bólu i przy siusianiu przewróciła się w śnieg - i doszło do tego, że już następny raz musiał Ją cały czas trzymać. Tak więc - środa - czwartek - piątek - sobota - i pół niedzieli, powiedziała mi później, że chyba wieki dłużej nie trwają. Ponieważ nie pamiętam, czy w tym wszystkim wogóle tym kazachem podziękowałam - to znaczy, że spewnością nie! Teraz mimo upływu lat chylę czoła przed Nimi - i bardzo! bardzo Im dziękuję.

1940

Razem jakoś wynieśliśmy Mamę i pojecha-
 liśmy. Mama prawie cały czas płakała nie-
 wiele się wówczas po drodze dowiedziałam
 tylko tyle, że prosto z "masłozawodu"
 szła do domu i baraku ciągle nie było,
 że nad ranem kazacy brali siano z tej za-
 lew owej części Irtysza i Mamę znaleźli
 i odprowadzili do tego domu i że zupeł-
 nie nie wiedziała co dalej ma począć -
 nie było przez kogo przekazać, bo kaza-
 chowie najprawdopodobniej nic nie rozu-
 mieli kogo-by powiadomić, oni sobie nie
 zapamiętają naszych nazwisk, a poza tym
 trudno im wogóle wytkumaczyć - tym bar-
 dziej, że Mama tylko po polsku, a oni
 tylko ciut po rosyjsku. Kazach prawdopo-
 dobnie myślał, że Mama przez parę dni "wy-
 dobrzeje", a tu wprost przeciwnie - no i
 z Nieba spadł ten młody Polak, którego
 Mama prosiła na wszystkie świętości żeby
 koniecznie "coś" zadziałał, tym bardziej
 że "ci ludzie" już tracą cierpliwość do
 opiekowania się - są niezwykle prymitywni
 wyrażają swoje opinie i uczucia wprost
 - ale nawet palając dotrzeć, nigdzie
 bym nie dotarła - z bólu tracę świadomość
 No i Mama jeszcze - czy Staszek dał znać
 a kiedy przeczącą kiwnęłam głowę powie-
 działa "ach Boże!" i głośno zapłakała.
 A kiedy zapytała "jak M. etek" - to ja już
 teraz nic też mówić nie mogłam, bo zapła-
 kałam nad jego losem: Mietek został samiu-
 tenki, beze mnie, bez Mamy, bez jedzenia,
 bez pieniędzy, bez opału, z wszami, z zim-
 nem - 18 grudnia 1940 roku!! Zapatrzona
 w tę niesamowitą twarz spalonego człowie-
 ka, wogóle nie zauważyłam, że przejeżdża-
 my już ulicami Pawłodaru no i niedługo
 już stanęliśmy przed "bolnicą" - czyż mo-
 że być stosowniejsza nazwa szpitala?
 Mamę znów wniesli - Ona już o własnych

1940

siłach nie była wstanie się poruszać, -
 Mnie co prawda już do środka nie chcieli
 wpuścić - ale jakoś się wdarłam żeby zob-
 aczyć gdzie Ją ulokowano - nie uściskaw-
 szy Jej nawet z litości żeby tych ran
 i na twarzy i rękach nie dotknąć żeby Ja
 nie zadawać dodatkowego bólu, musiałam
 wyjść ... Dobrze, że się nie papytała do-
 kąd teraz ~~ja~~ pójdę ... do tego momentu
 jeszcze się nad tym nie zastanowiłam -
 ale kiedy wyszłam na dwór z Mamy rzeczami
 kazaczonok zmierzał w moją stronę i ogre-
 nie miłosiernie do mnie mówił, że on wie
 wie - bo czasem jak jechał do Pawłodaru
 i na wóz się przysiadł "polaczki" to za-
 wozik je na ul. Frunze do Cioci Lipy i te-
 raz mnie tam też zawiezie, tam polaczki
 się schodzą więc pewnością dowiem się
 od nich czegoś o Bracie. Dzisiaj myślę, że
 chyba niemożliwe, żebym się do niego nie
 uśmiechnęła w życzliwej podzięce. Pod-
 wiózł mnie tam - już się dobrze ściemnia-
 ło. Tę panią zastałam - zapytałam czy
 w tej sytuacji, w jakiej się znalazłam
 mogłaby mnie u siebie przenocować, że
 mam tu starszego brata i jutro będą się
 starała go odszukać (jeszcze zupełnie
~~nie wiedziałam jak mam to zrobić~~): Cioci
 Lipa - bardzo serdecznie się zgodziła,
 wskazała mi skrzynię na którą nogę zko-
 żyć pierzynę - już właśnie niesioną prze-
 kazaczonka-woźnicę, no! Mamy rzeczy, koc
 i poduszkę. Kazaczonok powiedział do wi-
 danija - zniknął za drzwiami i mnie zu-
 pełnie nawet jedna myśl za nim nie po-
 biegła, że za "dziękuję" siedział tyle
 godzin "na mrozie" i że teraz znów cze-
 ka go ta jazda kilkugodzinna samego w
 ciemnościach i w siarczystym mrozie!
 Ja już lokowałam się na tej skrzyni dłu-
 gości normalnej kawki, przykrytej jakimś
 kachmanem i kiedy już sobie tę "gawrę"

1940

zgotowałam - zaczęłam rozmawiać z Ciocią Lipą, podczas której "padłam" - zasnąłam głębokim snem. Podobno tego wieczoru przyszło tam parę osób - młodych Polaków ale ja się nie obudziłam. Niewiem, czy Ciocia Lipa opowiedziała im o mnie i kogo chcę odnaleźć - i oni dali znać Staszce, bo to byli koledzy tam się już zaprzyjaźnili. Staszka więc nie musiałam - na szczęście szukać - bo nazajutrz rano "przyleciał". Opowiedziałam mu zdarzenie tylko od momentu zobaczenia Mamy, tamte poprzednie przeżycia były nie do opowiedzenia. Teraz razem poszliśmy do "bolnicy", - to co zobaczył na własne oczy - ten "strzęp" - to na tyle nie mieściło się w jego wyobraźni - że zrobiło mu się niedobrze, do wymiotów włącznie, potem się rozpłakał - i kiedy znów wrócił mógł chwilę pozostać. Mama jęczała i wykrzykiwała się z bólu - nie było mowy aby z Nią się porozumieć. Siostra nie ~~kazała~~ ^{pozostawiła} się nam przy Niej dłużej zatrzymywać. Po drodze mówił mi, że to co zobaczył przechodziło absolutnie jego wyobrażenie, tymbardziej że przeżycie w cieple w bolnicy spowodowało dalsze pogorszenie - psucie się przy kościach tkanki - więc poprostu smród wydierał się z tych ran i trzeba było dużego samozaparcia żeby go znieść. A Ona - sama? Jakżeż Ją te rozjątrzone rany musiały boleć. Siostry nie kazały nam się zatrzymywać przy Mamie, bo przejście niebyło szerokie, więc ciągle trzeba było się wycofywać - a Mama tylko szukała nas oczami i cały czas płakała - ja też już nawet przy Niej nie potrafiłam się wstrzymać. W powrotnej drodze Staszek powiedział mi że wokół niego nie jest wesoło. Mieszka z trzema Polakami, "młodymi ludźmi", że za

1940

mieszkanie płacę ileś tam do spótki, że jakoś tam dzięki temu, że znalazł dla siebie stosowne zajęcie "utrzymuje się na powierzchni" - byłem pewna, że dostaje za tę swoją pracę jakieś wynagrodzenie. Powiedział mi też, że przyjdzie po mnie ok. 14-ej i pójdziemy do stołówki. W stołówce pomimo tasiemcowej kolejki wyweszliśmy odrazu do środka ale jeszcze trzeba było czekać na zwolnienie się miejsca przy stole. - Hanie, z tej "ste-powej głuszy" na pierwszorzut oka wydawało się, że zmieniam "kraj" - tak więc przy "obiedzie" dowiedziałam się, że tu trzeba przyjść ze dwie godziny wcześniej ażeby tę zupę i tę kaszę zjeść w jakim - takim stanie, bo te olbrzymie garnki zestawiają z kuchni i stawiają przy okienku - tak, że wszystko to stygnie z wielką szybkością - i staje zupełnie nie do przełknięcia. - Jak dla kogo - pomyślałam dzisiaj jem conajmniej od trzech dni po raz pierwszy coś w takim "stanie", że za komie spoglądałam na resztki w talerzach - jadłam, ale nadal czułam głód, marzenia o pozjedaniu tych resztek spełzły na niczym bowiem "oficjantki" (kelnerki) zbierały szybkie talerze. Przy obiedzie dowiedziałam się, że Staszek najpierw z siebie zaprzyjaźnił z tym rzemieślnikiem, który reperował maszyny do szycia, zegarki, potrafił lutować dziury w garnkach i złamane szufelki do węgla - a kiedy Staszek tak uparcie mu pomagał - przeszło to w "nawyk" - Staszek traktuje to jako niezwykły traf, który pozwoli mu na opanowanie sposobów naprawy tych "mechanizmów" i ma nadzieję zacząć to robić po pewnym czasie na własną rękę, bo coś tu trzeba robić... Nikogo z kolegów już nie dopuścił do warsztatu, zresztą pracy za dużo nie ma, bo tu stan posiadania tu-tejszej ludności - jeżeli - wogóle tako-

1940r

kowa tu się znajduje, ale Staszek praw-
 dopodobnie patrzył przez pryzmat "kolej-
 ki stożówkowej" na sprawę, a w niej rze-
 czywiście kazachów się nienal, że nie spo-
 tykało. Ten rzemieślnik-rosjanin teraz to
 już nie tylko, że uczciwie wtajemniczał
 Staszka w arkana "werku" i maszyny do szy-
 cia, ale również dawał mu parę rubli, jak
 później jego koledzy mi wytłumaczyli to da-
 wał mu poprostu te pieniądze tak od sie-
 bie z litości, zdaje się, że powiedzieli
 mi o tym dlatego, żebym zdawała sobie
 sprawę z bardzo trudnej sytuacji - bo oni
 np. nie mogą znaleźć żadnego zajęcia, dla
 mieszkanie płacą jak dotąd - pieniędzmi
 za sprzedane rzeczy, W Prawdopodobnie nie ma
 pracy dla tamtejszych - a co dopiero dla
 naszych, którzy mimo braku jakichkolwiek
 perspektyw masowo napływali - docierali do
 miasta. Każdy żył w skrajnej nędzy - żeby
 tylko ze sprzedanych rzeczy utrzymać miesz-
 kanie - i w nadziei, że jakaś praca
 mu wpadnie. Trudno było nie brać pod uwa-
 gę tego, że miasto ani nie pomieści, ani
 nie zatrudni nikogo więcej - ponad tych
 co już się "obsadzili", - ale Polacy mi-
 mo to ... Władza Knuta Dużego jakby nas
 Polaków wogóle nie zauważała - wszyscy
 przecież byli "w o l n i" - a że są w
 nędzy i głodzie, toż w końcu ... o to cho-
 dziło ... nawet szpilek do nakłuwania nie
 potrzeba się starać, żeby krew stopniowo
 z każdego wyciekła, tanio, bez rozgłosu
 wkrótce ... i będzie po Polaczkach!!!
 Jaka jest różnica między tego rodzaju za-
 bijaniem przez totalne niszczenie czło-
 wieczeństwa przez brud, smród, głód i zże-
 ranie żywcem przez wszy - a ... piecem
 krematoryjnym? Codziennie rano szłam
 do tej "bolnicy". To był taki wolno sto-
 jący budynek jedno-piętrowy, trudno mi
 określić na ile żózek X - może trzydzieś

ci i tutaj mieścił się oddział chirurgi-
czny - wyłącznie! Dyrektorem tego oddę-
żu, chirurgiem i ordynatorem był w jed-
nej osobie dr. Iwan Iwanowicz Aleksan-
drow, a oprócz niego było jeszcze dwóch
młodych lekarzy - ale nigdy ich nie spo-
kałam przy mojej Mamie. Pierwszą po ...
Iwan Iwanowicz - była pielęgniarka Gala
i ona na mnie przywykała "jedno oko" -
a mnie wydawało się zupełnie oczywiste
że mogę tutaj codziennie przychodzić.
Codziennie więc widziałam mękę mojej
Mamy. Wpatrywałam się uparcie w twarz
pokrytą jednolitą skorupą czarnego ses-
rupionego naskórka jak po wysuszającym
się pęcherzu. W przekonaniu, że odmroze-
nie twarzy i rąk pozostawi bliznę jak po
zdarłej z ciała - skórze. Tymczasem po
paru dniach na policzkach zaczął się po-
kazywać na policzkach normalny dla twarzy
naskórek. Pielęgniarka Gala, która mojej
Mamie okazywała moim zdaniem więcej uwa-
gi aniżeli to wynikało z jej obowiązków
przyzwyczaiła się do mojego siedzenia
przy Mamie i często pozostawiała przy
Mamie dodatkową kromkę chleba. Mama cała
w radości, że może mi dać "coś" zjeść
uśmiechać się zaczęła tą zaskorupiałą
twarzą pierwsze do niej - i poprosiła ją
aby mnie rozczesła i zaplotła ponownie
włosa - a Gala nazajutrz zabrała mnie do
dyżurki i umyła mi głowę - wyczesując
obolałą od strupów głowę co na dwa-trzy
dni dawała ulgę, a potem sytuacja się
powtarzała, z tym że Gala nie mogła się
zaangażować w pilnowanie mojej "głowy".
Czapkę na głowie nosiłam w dzień i w noc
bo w mieszkaniu u Cioci Lipy było niemal
że jak na dworze. Ona sama zresztą cały
dzień chodziła w "szubie" - płaszczu
i czapce z wielbłądziej wełny i też bez
przerwy drapała się po głowie. Gdyby nie

1944

[Ciocia Lipa - moje losy, nasze losy potoczyłyby się mam wrażenie w ten sposób, że "kazaczonok" przywiózł by mnie spowrotem do Dżoż-Kuduku, a po paru dniach zabraliby nas do "domu dziecka", - a Staszek gdyby po paru tygodniach po nas przyjechał - co bardzo wątpliwe - bo sam się ledwie jakoś utrzymywał, nie trafiłby już na nasz ślad, najwyżej odszukałby Mamę w "bolnicy" - trudno też powiedzieć czy Mama przetrzymałaby taką wiadomość? Teraz jestem codziennie od rana przy Mamie, Mama tą kromeczką chleba nieco łagodzi mój głód - rzeczywiście bykam głodna, a w zasięgu moich możliwości nie było - właśnie nie było po co sięgnąć ... i ten głód taki doskwierający i ten mój codzienny udział w nęce Mojej Mamy, którą trudno opowiedzieć, spowodował, że płakałam bez przerwy - to było krańcowe rozklejenie się, a najgorsze było to, że na na dworze, na tym trzaskającym mrozie musiałam się stale wycierać - chodziłam z opuszczoną głową, żeby nikt nie patrzył na moją i bez tego brzydką twarz - a powieki i nad górną wargą to był ciągle pękający - jęczący się strup, no jedna rana. Do tego mojego rozmyślenia dochodziły myśli o Mietku. Toż ja jeszcze poszłam do Mamy - od Niej dostałam ten kawałek chleba i w południe ze Staszkiem do stołówki ... chociaż już teraz nie codziennie, za to Ciocia Lipa gotowała sobie codziennie zupę późnym wieczorem i jeżeli siedziałam wówczas w mieszkaniu na tej swojej skrzyni - dawała mi, dzieliła się ze mną tą zupą - nalewając mi małą miseczkę - wprowadzie codziennie sobie obiecywałam, że wyjdę na ten czas niby to "w sprawie" - ale nie starczało mi na to silnej woli - teraz nawet dla eksperymentu trudno się doprowadzić do takiego

1940

wygłodzenia - do takiego atakowania myślą jedzenia! A Mietek! - ktoś jemu tam może coś dać - kiedy "nasi" wszyscy już gonili resztkami i każdy miał swoje problemy, ~~że~~ wspomnę tylko o tych mieszkających w baraku najbliższej nas - ~~to~~ w malutkiej "kajutce" ulokowały się - pani ze swoją chorą umysłowo matką, ~~już tutaj~~ ~~spoczątku nie na długo~~ - a teraz już nie wraca jej świadomość wogóle, pani - wychodząc zamyka tę swoją matkę, a ona spoczątku to znosi - a po jakimś czasie zaczyna się zachowywać gwałtownie - coś można od niej - od tej pani oczekiwać dla Mietka? - W następnej kajutce też mieszkają dwie panie - obie bardzo chore jedna pamiętam, że miała na imię Stella i przyjechała ~~z Krakowa~~ z Krakowa do koleżanki do Tarnopola "na lato" gdyż ta się tego lata "śle czuła" - obie kulturalne i życzliwe, ale też dla Mietka z ich strony nie spodziewałam się pomocy. Z drugiej strony baraku było oddzielne wejście - i tam "wspólnie" mieszkała duża grupa Polaków, zajrzałam tam kiedyś przez otwarte drzwi - ta "czelność" robiła wrażenie stajni przez środek było przejście, a po obu stronach piętrowe barki - ale to było jeszcze na początku września, kiedy to ich z rana zabierali do jakiejś pracy - a teraz zimą pewnie siedzą też wszyscy skuleni i głodni - tak, że napewno już zobojętnieli na swoje nieszczęście - a gdzież tu dopiero żeby się zainteresowali kimś "zza ścian". Z Mietkiem byłam tak związana, że nie schodził mi z myśli. Cierpienia więc mnie absolutnie przerastały. Teraz już nie należałam na Staszka aby go jaknajprędzej tutaj przywiózł, ale się wręcz kłóciłam "że jest bez serca" i albo niech mnie tam do Dłóż-Kuduku zawiezie. Staszek mnie wyłuchiwał zupełnie milcząco - i ze stoic-

1940r

kim spokojem tylko odpowiadał mi, że też cały czas o tym myśli, ale ja mu nie wierzyłam - ja poprostu myślałam, że on jako starszy brat powinien wiedzieć, ba - że wie co i jak trzeba załatwić - nie zdawałam sobie sprawy, że patrząc na mój stan zdrowia i nerwów nie chce mnie jeszcze pognać tym, że jest wobec tego stanu rzeczy zupełnie bezradny. Żeby pojechać do Dżoż-Kuduku trzeba by kogoś "upolować", przejechać przez Irtysz i tam stać na tym trzaskającym mrozie na rozstajnej drodze i dopytywać się - ktoby w tamtą stronę właśnie podążał - a przecież tam sianie nie "ciągnęły" sznurem jedno za drugim, bo o samochodach to się już wogóle nie mówi, no i rzecz bodajże najważniejsza - to żeby się z kimś zabrać, trzeba zapłacić, a teraz stamtąd? ta sama historia, przecież są dwa "kuferki" i jeszcze jakieś tobołki, a także worek... Kiedyś kłóciliśmy się przy Cioci Lipie, bo ona sprawę знаła - i Staszek spokojnie, a może mi powiesz gdzie "te" rzeczy złożył? ja bez namysłu - jak to gdzie... tutaj!

A Ciocia Lipa która już naszą nową doskonale "rozbiierała" - wtrąciła się i rzekła - o nie! owszem być tutaj w ciągu dnia ew. możecie, ale rzeczy - t.j. mieszkać u nas - to nie! Trzeba więc się starać - dopytywać o jakiś "ką" - no i właśnie! zapłacić! a tu już niestety nie było co sprzedawać - Ciocia Lipa dokończyła, że przecież już o tym "Stanisławowi mówiłam - tak więc tę kwestię omawiał już z Ciocią Lipą, ale mnie o tym nie powiedział..

Właściwie mi było później, że jestem dla niego taka niesprawiedliwa, bo rozsądkanie tego zaciągniętego węzła jest wprost niemożliwe! Do kogoś tu z tymi kłopotami? Tak zupełnie do nikogo - przecież Mamy

1940

nie można było wtajemniczać w te kłopoty ale Ona napewno sobie z nich zdawała sprawę, a może ból jaki znosiła przesłaniał wszystkie inne cierpienia ... [wieczorem spotykali się tutaj u Cioci Idy - młodzi Polacy i właśnie z ich rozmowy między sobą wychwytiłam nowy problem - otóż zanim ktoś z Polaków tutaj w Pawłodarze zechce zamieszkać musi uzyskać "zezwole- nie" komendanta NKWD. Dotąd udało się ta- kie "coś" uzyskać tylko paru Polakom, bowiem komendant NKWD wymagał do zameldo- wania zaświadczenia z pracy - a dobrze przecież wiedział, że tutaj nie ma gdzie się podjąć pracy, Polacy jednak coraz liczniej napływający do Pawłodaru jakoś się dogadywali z tym, że nigdzie na dłu- żej się nie zatrzymywali - bo "gospoda- rzem" groził wysoki sztraf - kara! Inni! - ale Staszek nie! Właśnie ci młodzi Pola- cy rozmawiali o tym że Staszek miał dzi- siaj umówioną audiencję u tego "burego knuta", aby zanim przywiezie Mietka uzys- kać pozwolenie na zameldowanie i wszyscy niecierpliwie czekali z "czym" stamtąd wróci. Właśnie wrócił - ale sprawy nie za- łatwił, bo "on" musi nad sprawą "podu- mać" - i dumanie miało trwać około dwóch tygodni czy coś w tym rodzaju, - dla nas ten termin powtórnej wizyty u tego "burego knuta" wydawał się tak odległy, że nie mogło być mowy aby jeszcze tak długo cze- kać z przywiezieniem Mietka.

Tak więc jak już wspomniałam od niedzieli czyli od 18 grudnia 1940 roku codziennie rano - a to i po południu szłam ulicą Abaja do bolnicy. Mama nie tylko 18 - go ale jeszcze 19 - go i 20 - go leżała na ko- rytarzu, bo tak się te nogi - ciało psu- i rzeczywiście smród był nie do zniesie- nia. Ja w pierwszej chwili kiedy przycho- dziłam z powietrza odczuwałam go podwój-

1940

nie - natomiast Mama leżała z zamkniętymi oczami a z bólu wykręcała sobie palce jęcząc przy tym boleśnie, - jeżeli ktoś odmroził sobie kiedykolwiek palec, albo ucho to miał właśnie namiastkę takiego bólu i może mieć jakieś o tym wyobrażenie. Pielęgniarka Gala, pocieszała Mamę że już jutro Iwan Iwanowicz wstanie - bo już dzisiaj temperatura mu opadła - leżał bardzo chory - i że polecik na jutro przygotować Mamę do operacji. Pielęgniarka Gala stanowczo zabroniła mi przychodzić do bolnicy przez następne dwa dni. Tak więc 21 i 22 grudnia nie wychodziłam nigdzie, wówczas zapoznałam się bliżej z rodzoną siostrą Cioci Idy - Ciocią Szurą, obie były dobrze po pięćdziesiątce siwusięńkie. Ciocia Ida - Alimpiada Afanasjewna nie pracowała, była cały czas poprostu "w domu" - a Ciocia Szura - Aleksandra Afanasjewna była felczerem i pracowała w bolnicy - bruceloznoj, no wtedy nazwa wydawała mi się podobna do dżumy, choroba kryjąca się pod tą nazwą też wydawała mi się z rzędu nieuleczalnych i dlatego tak ją zapamiętałam. Aleksandra Afanasjewna - była co prawda dyspodyczna - ale trudno byłoby nawet zupełnie układnej osobie egzystować w tych warunkach w jakich się im przychodziło... Kiedy Ciocia Szura wracała z pracy lub z dyżuru w mieszkaniu zastawała gwar i ciasnotę, bowiem popołudniami zbierali się tutaj młodzi Polacy. Obie akceptowały ten stan, chętnie przysłuchiwały się rozmowom, ba nawet brały w nich udział tyle tylko, że po rosyjsku, ^Wniekiedy tylko dawały wyraz swemu zniecierpliwieniu ale było to robione w sposób godny naśladowania. Obie panie nosiły w twarzach ślady petersburskiej arystokracji - Olimpia wspominała i to jeszcze szeptem, że

1940

rodzice zaraz po rewolucji zostali tutaj zesłani - tutaj też już pomarli, a one obie zostały i tak mając przez nich pozostawiony dach nad głowę - egzystują - w niemej nienawiści do sprawców ich tragedii. Ten drewniany, chylący się już od prężnicy - domek, był własnością ich rodziców i one już w nim dożywają swego żywota - nie mając najmniejszej nadziei na powrót do rodzinnego miasta Petersburga. Niemniej - domek, takim jakim go sobie zapamiętałam jest niby odbicie w lustrze polityki "triumviratu" (partii - Stalina - NKWD) gnębienia, aż do ostatecznego zgnębienia - inteligencji rodzimej! a cóż dopiero nas Polaków!! Dwie niemalże puste mieszkania, bez wyrazu upodobań i charakteru ludzi którzy w nim mieszkają - przebywają... ^{W dawny} w pokoju dwa ^{były} okna bez firanek - wieczorem zaś Olimpia kasłaniaka je szczelnie jakimś spranym kapami, szczególnie wtedy kiedy naschodzą li się Polacy, pośrodku stał stół bez krzeseł, przepraszam resztki jednego ~~krzesła stały w narożniku~~, każde żelazne łóżko na którym spały obie przykrywając się niepowleczoneą kołdrą i rzucały na nie swoje zimowe płaszcze - przy drzwiach stała jeszcze dwudrzwiowa szafa z wypadającymi drzwiami, i "ros przy rasie" stoczona przez korniki. Ach rzecz ważna! w pokoju wisiał t.zw. "kołchoźnik", którego nazwy nie potrzebują przetłumaczyć. W balnicy też wisiały takie "kołchoźniki" przemawiające jedynym partyjnym stylem, którego jedynym urozmaicheniem były niezwykle nawet miłe głosy prezenterów. O! i to był mieszkanie, bądź co bądź inteligentki - z profesją wzbudzającą szacunek w każdym społeczeństwie, tym samym więc społeczeństwo w postaci pensji wynagradzać powinno

1940

za włożone usługi rtw wyższej użyteczności, nooo! ale tego tu nie widziałam.

Ciocia Szura - czyli Aleksandra Afanasjewna chodziła przez cały czas jak ją pamiętam w jednej popielatej sukience, jak również Ciocia Lipa - Alfyjda Afanasjewna nosiła przez cały czas jedną i tę samą odzież a głowę wiązała chusteczką w mieszkaniu a wychodząc na dwór na tę chusteczkę wdziewała robioną na drutach czapkę z owczej wełny - właściwie to w samej sukience jej nie pamiętam, bo rano już wdziewała na siebie płaszcz i chodziła w nim przez cały dzień, zdejmując go do spania. Obie drapały się i po głowie i po ciele. Ciocia Szura nieraz odpinała sukienkę i drapała się tak zawzięcie, że na ciele widać było krew od zadrapań, a jeżeli weszł wpadła jej w palec to paznokciem dusiła ją zawsze na parapecie i w tym samym miejscu - domyślałam się, że parapet był w tym miejscu jakiś wgłębiony. Ciocia Lipa przez cały dzień snuła się w kuchni - tak właśnie już tutaj u nich była murowana kuchnia z tzw "fajerkami" - bardzo często otwierała małe drzwiczki u dołu kuchni i wybiegała z wnętrza sadze. Ja się "gnieździłam" na tej dość dużej skrzyni za drzwiami, przy oknie stał niewielki stół i ... jedno normalne krzesło. Nie zauważyłam żeby ciocia Lipa się myła, zresztą ja też nie, bo rozebranie się w tych warunkach było absolutnie niemożliwe. Codziennie około godz. 17-ej - 18-ej schodziła do piwniczki pod podłogą w kuchni i przynosiła stamtąd wiaderko pyłu węglowego - czekałam na ten moment z wielką niecierpliwością, bo ten rytuał zagodził nieco temperaturę w mieszkaniu i to^{ca} Wyczytna z tą podpałką pod kuchnią budziło we mnie ogromne zdziwienie i przyglądałam się temu wszystkiemu, bo nigdy nie dałabym wiary, że można tym palić, ba! że ten pył wo-

Aghay

góle się będzie palić - a jeszcze co mi się wydało już nie do pojęcia, to - to, że do tego pyłku wlewała trzy-cztery garzki wody zimnej mieszała to i po trochu wkładała na rozpalone drowienka. Następnie obierała kartofelki wielkości kulek kręgielnych - było tego no - taka nieduża miseczka i to wsypywała do dużej ilości wody i gotowała dotąd dopóki te kartofle zupełnie się nie rozgotowały. Ciocia Szura wracała z pracy około 18-j - 1830 chyba, że miała dyżur na oddziale - wtedy ciocia Ida nalewała każdej z nich większą porcję tej zupy, no i .\X. codziennie .\X. mnie .\X. też małą miseczką. - Nie wiem czy nie zachowywałam się wtedy jak niecierpliwiony piesek, któremu podaje się jego miseczkę z jedzeniem, nie przypominam sobie abym jeszcze kiedykolwiek jadła coś równie smacznego jak ta najprymitywniejsza z sup. Marzyłam o tym abym kiedykolwiek mogła zjeść jej tyle ile tylko bym zapragnęła - że ostere takie miseczki .\X. i naraz. W bolnicy nie byłam zgodnie z przykazaniem Gali ani we czwartek, ani w piątek. Ciocia Szura wychodząc do pracy w sobotę rano - obudziła mnie i przykazała abym jeszcze przed południem absolutnie nie szła do bolnicy. Staszek przyszedł nieco wcześniej niej ze słowami : " no i co? " - ale nie wiedziałam - wcześniej więc zabrakło mi do sześćki i "po obiedzie" razem poszliśmy do Mamy, Dzisiaj właśnie mijał tydzień pobytu Mamy w szpitalu i była to sobota 23 grudnia 1940 r! Jutro więc Wigilia! Z lekarzem nie mogliśmy rozmawiać bo znów się położył - a nam Gali powiedziała żebyśmy z nią nie rozmawiali, "nie męczcie Jej - stan Jej jest ciężki" . Staliśmy oboje przy Jej łóżku - teraz już leżała w sali szpitalnej. Po pewnym

Aghor

czasie Mama wolniutko podniosła powieki ale nie szukała nas oczami - patrzyła przed siebie i nagle zaczęła bardzo płakać, żkać, niemal spazmować! a wśród żkania powtarzała - mam uciete stopy - jestem kaleką - jestem kaleką ... już jestem kaleką, nie wam teraz po mnie, ciężar ciężar, tylko ciężar! Płakała, bardzo rzewnie płakała - do pocznijemy teraz - co wy poczniecie - jeszcze Mietka tam zostawiliście na pastwę losu, mówiła to wszysko głośno płacząc - zasłaniając sobie twarz rękami, a od ich ciężaru na ustach pękał naskórek, ciekła krew na policzku też przerwała się ta czarna skorupa i z tych pęknięć sączyły się strużki krwi... a leżała tak blada, że w głębi dziwiłam się skąd się w tym ciele znalazła krew. Ja pierwsza - a Staszek za mną, ukiękliliśmy przy Jej łóżku, położyliśmy nasze głowy na Jej ręce, którą przytrzymaliśmy na kółdrze i nie przemówiliśmy do Niej ani słowa... ja nie wiem skąd się bierze tyle łez u człowieka - cały Jej rękaw był mokrą. Kiedy podniosłam głowę, Staszek już stał i patrzył niemo - Mama leżała nie poruszając się - zastygła w rozpacz - ale też nie zdawaliśmy sobie sprawy, że nie może się ruszać - ani nawet zmieniać pozycji, że anitekaz, ani za parę tygodni ani miesiący nie podwignie się z tego łóżka. Teraz już - zupełnie spokojnie powiedziała "wczoraj skończyłam 18-ście lat - no to zabramiało jak przypomnienie" - że też w takim momencie o tym pomyślała ciągle jest przy nas - a my staliśmy tak przy Niej do "ciemna". [Ze szpitala każde z nas poszło w inną stronę. No właśnie! już się zarysowują odrębne sprawy - stosunek do wieku i osobowości - zresztą, nawet lepiej - bo każde z nas miało co innego do przemyślenia i do przetworzenia w tym

1940r

swoim mózgu. Nie wiem akurat czy wtedy, ale może np. Mama myślała: dobrze, że chcą oni są razem - a my nawet gdybyśmy szli razem ... to on już był może myślami przy "młodzieży" do której teraz zdążyć - a ja chciałam być na "swojej" skrzyni u cioci Lipy. Czasem - wydaje mi się, że nigdy nie byłam dzieckiem, bo czy dziecko ma taki swój wewnętrzny świat... dociekań, własnych przemyśleń, żeby nie powiedzieć nawet zadumy - jeszcze ta prax przedwigilijna aura. Ten wieczór wnoszący w moje życie rozpaczliwe treści. Tych, dla czego cisnęło się tyle, a przecież niemal każde musiało pozostać bez odpowiedzi. Następtwem niemożności odpowiedzi rodziła się w myślach żalozna i gorzka konstatacja o zupełnej bezsilności człowieka, wobec losu zgotowanego mu przemocą silnego człowieka - wiele lat jeszcze będą stroszyć swoje małe skrzydełka i usiłować "nać prawem dżungli" - aż przyjdzie moment śmiertelnego zmęczenia i rozpędzie się i utonie w ngle cały ten czar sensu życia zamknięty w tym, że człowiek jest kowalem własnego losu. Tak też i nazajutrz t.zn. w Wigilię Bożego Narodzenia 1940r. rozpoczęłam drogę do szpitala ze swoimi kotkującymi się w głowie myślami: dlaczego? ... po co? ... przecież to kalectwo to niepotrzebna kolejna ofiara! dlaczego my tu jesteśmy? ,dlaczego sowięci wymierzili nam nóż w plecy, dlaczego tu trąbią, że przynieśli narodowi wyzwolenie dlaczego strzelali, - ośa za perfidia? ! dlaczego zabrali Ojca - dlaczego nie ma od Niego żadnej wiadomości - dlaczego tyle tysięcy ludzi - Polaków dało się zamknąć w wagony bydłocę i wywieść - dlaczego Polscy oficerowie zostali przez tych Sowietów pomordowani w Katyniu - dlaczego ja - 14-letnia dziewczyna jestem ska-

1940

sana na takie pasmo cierpień ponad moje siły - dlaczego jesteście na progu absolutnego głodu i unicestwienia, dlaczego wszyscy zjadają mnie - ~~beł nas żywcem~~ - dlaczego ten mały Mietek jest teraz sam znęcany strachem że się nie pokarzemy, że cierpi głód a może już kompletnie zeszkabł - Boże ! te wszystkie dlaczego kierują w Twoją stronę !!! Uczyli mnie od małości, że moja Ojczyzna to "Przedmurze chrześcijaństwa" i - a pozwoliłeś żołdakom Ją rozedrzeć na strzępy - teraz nie ma już Polski mojej najdroższej Ojczyzny, a my się tułamy.... nawet nie sądzę powiem... ginie my ? Wiem ... nie pomożesz mi tego wszystkiego pojąć - tak jak nie pomogłeś pojąć Polakom przed 100 laty tej ogromnej tragedii narodowej - i wówczas zanosili do Ciebie błagalne wezwania - a Ujejski w "Chorale" napisał "od takich modłów bieleje włos" !! Jestem rozszlochana, rozdygotana - a zbliżam się do szpitala - Panie!!! Boże mój!!! abym nie straciła resztki ufności - uratuj mi Mamę ... tylko z nią mamy jeszcze jakąś szansę ... - Staszek znów nie "dotyka" sprawy Mietka, nie nie wspomina, co z nim się tam stanie i kiedyż go wreszcie stamtąd przywiezie. Dzisiaj Mama napewno znów zapyta o Mietka przecież to Wigilia Właśnie Mama! - już nie będzie chyba mogła chodzić !!! dlaczego nie zobaczyłam tych stóp - czy dzisiaj starczy mi sił aby unieść każdą i zobaczyć co sprawiła ta operacja - z którą wiązałam tyle nadziei, Boże ! nie pozwól Jej zwarować!! - też troje bezradnych dzieci i Matka kaleka w tym "tłtaj" świecie gdzie zdrowym żyć bezgranicznie trudno. Dzisiaj specjalnie wyszłam do szpitala później i szłam jak tylko można było na tym mrozie - jak-

najwolniej, aby już tam było po obiedzie bo wiem, że przy mnie Mama sama nie mogłaby przełknąć jedzenia, a tu też jak na złość też się opóźnili, powiedziałam Mamie, że byłam na obiedzie w stołówce (albo Staszek nie przyszedł po mnie widocznie nie miał pieniędzy) i że musi zjeść te parę łyżek wody z kaszą, czy mąką - i kawałek chleba, bo opadnie z sił. A sądząc po zupie - nie rozpieszczali tu chorych - i jak tu nie dodać! w czasie pokoju i rozkwitu państwa "wielkiej komuny" Wyszłam na korytarz - ażeby Mamie i sobie ułatwić zniesienie tego wszystkiego. Nieco później przyszedł Staszek. Mama była dzisiaj spokojna. Może udawała przed ranną - właściwie granica między udawaniem a rzeczywistością nie jest uchwytana - a może przynajmniej do pewnego czasu. Spodziewaliśmy się, że przeżycia ostatniego tygodnia już tutaj w szpitalu, ból - jaki znosiła był z pogranicza wytrzymałości potem nakłóza, operacja - efekt operacji - szok! wszystko to sprawiło, że straciła poczucie czasu, że może nie pamięta, że to dzisiaj Wigilia Bożego Narodzenia, - chociaż - właściwie to wczorajsze przypomnienie Staszekowi, że skończył właśnie 18 lat - dawało nieco do myślenia! Dzisiaj najwięcej mówiłam ja, żeby tylko Mama leżała spokojnie i nie rozmawiała, bo widać było, że rozmowa to duży dla Niej wysiłek. Np. zauważyła, że nie mam się w co przebrać - a jutro takie Święto! Staszek miał ze sobą swoje rzeczy - więc jako - tako się prezentował. Ja już miałam znów brudne włosy - ta rana obejmująca górną wargę i nos rozszerzała się i wyglądała fatalnie - i tylko Mama się spytała czy bardzo mnie to boli, tylko Ona się tym zainteresowała - mimo swego bezgranicznego cierpienia. Nadeszła szpital-

1940

na kolacja - przynieśli w kubku kipiater
kawałeczek chleba i kawałek białego sera.
Chcieliśmy wyjść - aby spokojnie zjadła,
ale Mama spojrzęła na nas - w oczach już
miała łzy - i powiedziała, podzielimy
się tym chlebem zamiast opłatek. Kazała
mi wyjąć z szafki kawałek gazy, że już
rano poprosiła Galę o nią - i rozłożyła tę
gazę tu przed sobą na kołdrze - wzięła
ten "kusoczek" chleba w swoje - jak opuch-
nięte, czarne, rozczapierzone palce i sa-
ma rozłamała na cztery części - teraz już
zaczęła bardzo płakać - pomodlimy się te-
raz - powiedziała, składając te swoje
zgrabiake dłonie, my wstaliśmy i razem
z nią głośno odmówiliśmy naszą modlitwę
- Pacierz - i później "Panie pobłogosław
ten dar..." W pokoju stało sześć łóżek
na których leżały kobiety też po jakichś
operacjach. My odmawiając pacierz płaka-
liśmy - bardzo płakaliśmy, mimo woli spoj-
rzałam na łóżka, one też płakały ...
Nie ma tu z nami Mietka - ale dla niego
jest ten malutki kawałeczek chleba - pro-
siłam aby Mama jednak go później zjadła.
Mama powiedziała, że cały czas o nim myś-
li, jak on tam istnieje, samiuśku zos-
tak i trzymając nieudolnie ten dla niego
przygotowany kawałeczek chleba tak mówiła
"przed siebie": "biedne dziecko, biedne
dziecko - Matko Najświętsza pomóż mu
wytrwać" i teraz rozdzieliła ten kawał-
eczek chleba na dwie części i nam podała
- pamiętajcie o nim - przecież jak go
z tamąd nie zabierzecie - kazała - to
on tam sennie, a wam życzę dodała abyście
cie więcej takich smutnych wigilii w ży-
ciu nie przeżywali. Wśród kłan też cał-
owaliśmy Jej ręce - że to wszystko minie
i że znów będzie zdrowa i będą jak daw-
niej piękne Wigilie. Kobiety - które le-
żały na tej sali pewnością niewiele z

1940

tego pojnowały, ale siąkanie i wycieranie nosa jakie dawało się słyszeć - wskazywało, że cierpienia nie są im obce. Boże! a Mama zanuciła cicho swoją ulubioną kolędę "Anioł pasterzem mówił". Pielęgniarki dyżurne - mimo już późnej pory - "nie zauważały nas - a my z Mamą jeszcze zanuciliśmy "Bóg się rodzi" i zakończyliśmy - podnieś rękę Boże Dziecię, błogosław, nie oczywiście, że nie dokończyliśmy tej kolędy, bo naszej Ojczyzny wogóle nie ma, nie ma Polski, ani Polaków, sowietci powywozili ich w jedną stronę a Niemcy w drugą stronę. Mama jakby do siebie powiedziała "Boże? kiedy to się skończy!"? - a to był dopiero początek, związek sowiecki się rozwijał, miał pokój i spokój w oparciu o sojusz z hitlerowskimi Niemcami, a mieliśmy możliwość na własne oczy widzieć rozkwitający raj sowiecki "ja drugiej takiej strony nie znajdę gdzie tak wolno dyszyt czekowiek" - Zegnając się Staszek przy Mamie powiedział, że w tym tygodniu załatwi już sprawę mieszkania i przede wszystkim zameldowania, o mieszkanie jest bardzo trudno - i chcą bardzo drogo, zagadałam żeby już więcej na ten temat nic nie mówił. Mama widząc, że była już ogromnie zmęczona i zdaje się, że pozostałe chore też - musieliśmy już jednak wyjść. Przy bramie Staszek powiedział mi ty idź a ja tam później przyjdę. I tak sama wolniutko znów w tę ulicę Frunzego doszłam. Nikt nie potrafiłby przewidzieć ile jeszcze czekało mnie tu cierpień i trudnych przeżyć. Mroz trzeszczał pod nogami - niebo jasne wyiskrzzone, zanim doszłam to zdążyłam zawsze dobrze zmarznąć i w nogi i w ręce chociaż miałam zaręka-wek. Musiałam sprawiać już nieciekawe wrażenie, kiedy ciocia Lipa otworzyła mi drzwi i szeroko ~~na~~ na mnie swoje oczy

1940

Bąknęłam, że Mama po operacji, że ma ucięte obie stopy - i ona już nic mnie o nic więcej nie pytała. Było już dość moim zdaniem późno kiedy cała grupa młodzieży ze Staszkiem zapukała do drzwi cioci Lipy. Ciocia Sama była na dyżurze. Przynieśli ugotowaną pszenicę i placki upieczone na płycie kuchni - (tutaj przyjechała się nazwa "lepioszki") i jakiś "kwas" do piecia - wszystko to poustawiali na stole w pokoju, porozsiadali się na parapetach okiennych i na łóżku zanieśli też do pokoju i to jedyne krzesło z kuchni i pniaczek przy kuchni stale stojący, - było około dwunastu osób - dziewczęta i chłopcy w Staszka wieku 17-18-19 latki. Uraczyłam się tą "kutją" bardzo, bo byłam niemikosiernie głodna, - oni to czuli - wszyscy już tutaj znali to uczucie.

Jedzenie trwało bardzo krótko, pośpiewali kolędy i poszli jeszcze dalej - mówili, że będą tak chodzić - obchodzić do tych co znają i będą "kolędować" wtedy się tak głodu nie czuje. Jakżeż byłam im wdzięczna, że tak sympatycznie postąpili.

A ja siódmą noc kładłam się w tej samej odzieży w której chodziłam cały czas w dzień. Po ciemku palcami wyjmowałam kłosa-ce po ciele w odzieży wszy i nauczyłam się je zabijać po ciemku. W dzień się tylko drapałam bez przerwy, ale przy cioci Lipie wstydziłam się szukać na sobie w odzieży wszy. Zdarzało mi się już parę razy, że nagle budziłam się w nocy i dostawałam jakby drgawek - dreszczy, dygotały mi kolana i dzwoniłam zębami to tak jakbym się trzęsła ze strachu. Po jakimś czasie się uspakajałam i zasypiałam. Oczywiście nikomu o tym nie wspominałam, bo ja musiałam być zdrowa! Święta minęły jak "codzienne" dni - t.j. jak zwy-czajne dni - ale tutejsi mieszkańcy już

1940r

w połowie tego tygodnia zaczęli "krząć" z większym podnieceniem, bo tutaj przyjęło się witanie nowego roku i przebieranie się za "dziada mroza" - chociaż żaden nowy rok nie wróżył im polepszenia i nie nowego nie przynosił. - bo tutaj "sto lat małe" aby mi się mogło wprowadzić jakieś zmiany czy żeby się wogóle coś zmieniło. Ciocia Szura - pani Aleksandra obserwowała mnie znacznie baczniejszym okiem aniżeli bym sobie z tego zdawała sprawę - i właśnie przyniosła mi z pracy - mydło i ręcznik i powiedziała ^{no} Lenka musisz iść do "bani". Byłam przerażona, myślałam, że mnie poprostu wypędza, wycy-
tawszy przeżalenie w moich oczach - nie przyszło jej nawet do głowy że słyszę to słowo poraz pierwszy - tylko zaczęła do mnie przemawiać, że przecież "myśa" trzeba, że myć się przecież trzeba - ale ja jeszcze nie rozumiałam jaki jest związek między powiedzeniem "musisz iść do Bani" a tym, że mnie przekonuje, że myć się trzeba, wreszcie się jakoś porozumiałamy, że bania to "kaźnia" - i że tutaj wszyscy tam chodzą się myć, bo w mieszkaniach nie ma warunków. Poszłam. To znów był nowy szok. Przypuszczam, że nie tylko dla mnie. Kawał drogi było do tej kaźni ... no a przede wszystkim co się rzuciło mi w oczy to ... i tu kolejka! Jeszcze też nie byłam zorientowana, czy to przed nowym rokiem tak się połowie miasta zebrało na "mycie - zmycie starego brudu", czy też taka kolejka jest tu codziennie - to byłby dla mnie wręcz zaskakujący pęd do czystości i higieny osobistej. Mężczyźni stali przed "swoim skrzydłem" - a my przed swoim. Wreszcie dotarłam do tego środka, owionął mnie smród - wszelkiego, możliwego autoramentu i "pochodzenia" i spod pachy i spod ... ale już tutaj "w środku" to nie ma czasu się rozglądać, ani zastanawiać, tylko szybko robić to - co

1940

robiła ta jednorazowa "porcja" wpuszczonych razem ze mną kobiet. No ja jeszcze myślałam, że tam w "środku" poza nami nie ma nikogo, potem się przekonałam, że stamtąd wychodzi się tą samą drogą - co wchodzi - więc się z "umytymi" też spotkać trzeba. Robiłam teraz to wszystko co tante - t.j. rozbierałam się pośpiesznie jak one - potem swój tobołek z rzeczami - tak jak i moje poprzedniczki, oddałam szatniarce wzamian za żeton, a ta pośpiesznie wpychała te tobołki na półki w kabinie, satrzaskiwała blaszane drzwi - rzeczy więc były pewne jak w kasie pancerniej. Przy szatni stał stos blaszanych, mokrych miednic - nawet i fassonem nie przypominały naszych miednic - wziąłam więc jedną z nich taką ociągającą co wskazywało nato, że przed momentem "plechtały" się w niej te co wyszły. Każda nagusia - brała więc taką miednicę i wchodziła do następnej Hali. Już podczas otwarcia drzwi uderzał zgiełk, hałas, szum, plusk, i bardzo głośne rozmowy - prawdziwy hałmider - gorąco, ~~nareszcie~~ nareszcie gdzieś tu jest gorąco - nareszcie się nagrzeję - w tej olbrzymiej hali wśród kłębów pary, na szerokich ławach siedziały bądź stały mokre ciała - ~~apex~~ przez szacunek dla ludzkiego ciała nie użyję innego sformułowania. Ten obraz też przeszedł moje wyobrażenie - to było takie totalne mycie. Były tam dzieci z matkami, dziewczynki, pannie, kobiety jak ~~nie~~ jak również podtrzymywane przez inne staruszki i starusieczki, kalekie i sprawne. No! - a ten odór jest w pierwszym momencie nie do zniesienia, a już napewno trzeba dużego samozaparcia żeby przetrwać ten "kryzys węchowy" - bo to po pewnym czasie mija. Dodam, że wtedy jeszcze nie wiedziałam o chorobach "w" - tu

1940

zresztą nikt nie wymagał wykazania się
wynikami badań wykluczających choroby za-
kaźne. Długość mycia była określona.

Tobolki z odzieżą i bielizną przekazane
zostają przez "szatniarkę" do odwyszarni-
czyli do kabiny o wysokiej temperaturze.

Szatniarka posiada w tym zakresie swój
wyższy stopień wtajemniczenia ile czasu
i jakiej temperatury wymaga zniszczenie

- unicestwienie wszów np w 50 kg ilość
odzieży - po czym wchodzi na halę i ogła-
sza że numery takie-i takie już są "gota-
we". No... no ... urządzenia stają wręcz

na skalę powiedzieć by można "przemysło-
wą" przemyślane, przystosowane do tutej-
szych warunków bytowania - wręcz inwest-
ycja tutaj niezbędna ... "odwyszarnia"!!

Niektóre kobiety, co to już wcześniej
zdały się umyć - siedziały na ławkach

- byłam jeszcze wówczas z "takiej szkół-
ki" siedzenie i roglądanie się - żeby nie
powiedzieć przyglądanie się - uważałabym

za czyn nieprzystoity. Ho! ho! kiedyś
słowo "nieprzystoity" w dobrym wychowaniu

się liczyło. Nie mniej po tej pierwszej
bytności, nasunął mi się wniosek, że to

- że ludzie w swoich obyczajach mają uwzględ-
niony "strój" - to jest pomysł nadzwyczajny

. Do tego, że sobie tam głowy nie
umyłam nie powinnam się właściwie przyznać

- dotąd jeszcze nigdy sobie sama nie umy-
łam głowy, Mama - tylko Mama mogła i umie-
ła to czynić - no miałam też do Niej wiel-
kie pretensje przy tym, że szarpie, że

mydło mi ścieka do oczu - ale jednak sama
nie próbowałam. Nie jestem pewna - czy po

wyjściu stamtąd nie uśmiechałam się sama
do siebie, wydawało mi się, że zdjęłam

z siebie całe tony ciężaru - no i jak na-
razie nic mnie nie "kasało", jakżeż miła

jest ta ciocia Szura - pani Aleksandra,

1940

o takim czymś dla mnie pomyślała - a już do szpitala tego dnia nie zdążyłam. Następnego dnia - wiedziałam, że Mama jest nieco "lepsz" - opowiedziałam Jej tę swoją epopeję o łaźni - i żeby mi doradziła co powinnam zrobić "z głową" - no i właśnie Mama od razu wiedziała "co trzeba zrobić" kiedy weszła pielęgniarka Gala - balsam na wszystko - Mama poprosiłam aby mi znów umyła głowę. Zrobiła to bez słowa, ani sprzeciwu, ani zdziwienia ani jakiegokolwiek fumu - zabrała mnie ze sobą, umyła mi głowę - powiedziała, że mam dużo włosów, że musi mi czymś posmarować - błagałam żeby tego nie robiła, bo stracę resztę i tak już rzadkich włosów, śmiała się i nie posłuchała mnie i nałożyła mi chyba naftę na głowę. Posiedziałam u Mamy - włosy wyschły, więc uczesała mnie i odtąd już bez Mamy proszenia Gala pamiętała o mojej głowie, co w znacznym stopniu zmniejszyło na niej ilość włosów i gład. Wogóle to te końcowe dni tego 1940 roku były jakby nieco łagodniejsze - ta łaźnia i ta nafta Gali i może to i śmieszne, ale znacznie polepszyły mój nastrój, moje samopoczucie, bodziennie obserwowałam Mamę i wydawało mi się, że też jakby trochę lepiej się czuje. Strupy z twarzy się zluszczały, na rękach widocznie odmrożenie było "głębsze" to też i ręce i dłonie z paznokciami włącznie były jeszcze czarne, nabrzmiały i pękły. Tak sobie wyobrażam, że kiedy w tę noc szła, ręce Jej zamarzały, ale torbę z chlebem i butką z mlekiem nie mogła wypuścić z rąk - rzucić "to" - i schować zmarznięte na kość ręce chociażby "za pazuchę" nie tego zrobić nie mogła! bo niosła dzieciom pożywienie, o które jest tutaj tak bardzo trudno - tak więc

1340

zamarzły takie skurezone aż do utraty
czucia. Teraz jeszcze nie są rozprosto-
wane palce, - a najbardziej pękają rany
międzypalcami. Mama lekkie przedmioty
bierze obiema rękami tak jak kikutami, bo
palce są nieruchome - powiedziała, że ka-
dy dotyk palców w tym stanie do jakiegoś
przedmiotu chociażby kołdry - odczuwa jak
przyłożenie rozpalonego żelaza. Czy Ona w
wytrzyma ten ból rąk, nóg - to poczucie
swego kalectwa. W Sylwestra zastałam
u Mamy lekarza który ją operował - Iwana
Iwanowicza - a to wasza córka? no to po-
siedzi u Mamy, a Wy - zwrócił się do Ma-
my będącie dobrej myśli, pewnością w
następnego Sylwestra zatańczycie walca...
bardzo, bardzo Mamie pomóż! Powtarzała
to Staszce, poprostu rozważała taką
ewentualność i to było zbawieniem dla
Niej właśnie w tym czasie. Wkrótce nauczy-
łam się pomagać innym chorym w tej sali
- w tym szpitalu mało kto chodził, zatrzy-
mywano tylko ciężko chorych - ten oddział
ten budynek to była chirurgia, więc stany
ciężkie, a prawie nikt tu nie przychodził
w odwiedziny. W duchu się cieszyłam, bo
nikt nikomu nie pie przynosił, to dziwne
że i oni znoszą w swoim kraju "po rewo-
lucji" która miała przynieść ponoć godzi-
we życie - a tu nędza aż piszczy! Spędza-
łam w szpitalu długie godziny, tak, że ja
do nich a oni do mnie się przyzwyczaili.
Kiedy Gala przygotowywała salę do operacji
to dużo chodziła, coś nosiła, śpieszyła
się - a mnie mówiła - Lenoczka spójrz tam
do 5-tki może im czegoś potrzeba - no i
ja zaraz tam szłam i jak umiałam tak im
swoją pomoc niesłam. Na sprawy niesienia
pomocy bliźnim, reagowałam bardzo dojrza-
- bowiem to wypływało z mego "ja" wy-
chowanego na "prawie harcerskim" - nieśó

1940x

chętną pomoc bliźnim i być posłuszną prawu harcerskiemu" - a co było w prawie harcerskim to było dla mnie święte. Po wyjściu z bolnicy - oprócz siarozystego wiatru i mrozu owionęła mnie również samotność - nie wiedziałam jeszcze wtedy, że jest ona udziałem brzech-czwartych życia każdego człowieka i stopniowo - a napewno! od bardzo wczesnych lat trzecha do niej nawykłam - poprostu nie ma na nią innego "sposobu", i że im prędzej się to pojmie tym lepiej - tym lepiej się potrafiamy odszukać w swoim świecie. Wtedy się jeszcze gubiłam - ale miałam nadzieję, że kiedy Staszek już przywiezie Mietka z Dżok-Kuduku, wszystko nabierze innego sensu, chłopiec wprowadzi jeszcze mały 11 letni, ale rozbudowany i razem będącymi te ciężary syberyjskiego życia, kalectwa Mamy, braku środków do utrzymania się przy życiu - jakoś dźwigać. Boże co on je? i to tam samutki robi - a może już nie żyje? dlaczego mi to tak często przychodzi na myśl - sama widzę po sobie, że warunki w jakich się znajduję są "z pogranicza" - coś mi się dzieje z dziąskami - gniją czy co? Toż śmierć chodzi za każdym z nas Polaków krok w krok - a skłonił i z litości nad sobą i nad Mietkiem, i nad Mamą - i nawet nad Staszkiem, że nie może nic poradzić na to "wszystko" - bezwzględnie spływały po twarzy, właśnie ten płacz nie był do opanowania, a ciągle "smarowanie" nie pozwalało się goić jęczącej się pod nosem ranie, stała musiałam mieć w pogotowiu te chusteczki od Gali - a jakżeż ja się wzdziakałam tych strupów i ran. Ci co przychodzili do cioci Lipy - t.j. zn. pani Alimpiad momentalnie "achali!" nad tymi moimi ranami i "achali!" Najczęściej siedziałam w tym swoim kątku ze spuszczoną jak najniższą

1940

głową - twarzą. Wiedziałam, że dzisiejszego wieczora to całe Polskie towarzystwo zejdzie się tutaj u Alimpiady Afanasjewny - a ja jakżeż nie chciałam się z nimi spotkać. Jak ten Staszek sobie z tym "wszystkim" poradzi - narazie jeszcze może śmiać - rozmawia, śartuje, śpiewa. Owszem ci starsi jego towarzysze - chcieli mi jakoś pomóc, nawiązać ze mną jakiś kontakt, ale ja byłam zamknięta, nie umiałam potrafić, czy nie mogłam "wyjść" - po pierwsze, że oni byli starsi, a po drugie ja już rozumiałam, że robili to bo tak wypadało. Aleksandra Afanasjewna - jak zwykle nie chciała z tym mieć nic wspólnego - miała dyżur, a Alimpiadę Afanasjewną zastałam przy smażeniu pirożków - to po prostu ciasto jak na kluski, i zdobyła przed Sylwestrem trochę podrobów - zrobiła z tego farsz i zawiązała ten farsz w te ciasto i smaży - z własnych środków stara się Polakom zrobić przyjemność - to znaczy za pieniądze pani Aleksandry - ale żeby to tutaj "złocić" to trzeba bardzo dużego poświęcenia. Nie mam pojęcia na czym to pani Alimpiada smaży - a w każdym razie nie na smalcu, najczęściej się tutaj "ratują" jeszcze baranin tłuszczem. Pani Alimpiada smażyła to z wypiekami na twarzy - mówiła mi, że miała z tym tyle pracy, "że prawie zanotowała" to znaczyło coś w tym sensie że "straciła głowę" - to jej stwierdzenie nawet w najsmutniejszym nastroju wzbudzało we mnie uśmiech - bowiem brała to dosłownie. Fajerwerk wypalił - o północy wszyscy z domów wybiegają na dwór - na ulicę na i się "pozdrowiają z nowym годом" - co prawdopodobnie znaczy nowego roku, radują się przy tym, całują wszystkich - no i po paru minutach jest już po wszystkim - i wszyscy chowają się do mieszkań, bo mróz nie poz-

1941

wala na przebywanie na dworze. Tak wchodziliśmy w rok 1941 - czy, już bez odzieży, bez żywności, bez pieniędzy - bez nadziei na powrót z tej zsyłki. Oni - t.zn. tutejsi Rosjanie i wogóle tubylcy jakby ich tu dokładniej określić? no - np. "nierekomendowani" - żyjący też na pograniczu ubóstwa ale to też nie to określenie ... bowiem ich też żrą wszy! ... oni w ten wieczór wyrażając swą spontaniczną, niekłamana radość... może mieli, a może wzbudzali w sobie nadzieję na jakieś tam jutro ... w tym 1941 roku, chyba jeszcze nawet nie podejrzewając jaki będzie on tragiczny dla tego ich kraju. Podczas - kiedy dzisiejszej Sylwestrowej nocy przesyłają sobie wzajemnie "szczerze życzenia noworoczne" Niemcy i Sowiety ... już jedna strona trzyma w ręce nóż, aby go w niedługim czasie pchnąć sojusznikowi w plecy. Coprawda nie z pozycji sojusznika, ale doświadczyliśmy tego przed rokiem ... no właściwie nam ten nóż w plecy Sowiety pchały ze słowami - że to nas oswabdzają od "gniota panów i burżujów" - no właśnie ... i ten "dobry wujaszek" oswabdzający strzelał! rozstrzeliwał! Polaków na Syberię, żołnierzy polskich do obozów, więzień, łagrów, a gdzie było "za oczami" - zaciukał Polaka na miejscu. Ot! oswobodziciele! Jedno jednak jest pewne! Polaków się bali! i od pierwszej chwili swego panoszenia się na tych 6-ciu polskich województwach rozpoczęli totalne niszczenie Polaków, trudno domniemać czy liczyli się, że może dojść na tych ziemiach do plebiscytu, ale po poznaniu kultury tego enkawudzistowskiego i partyzanckiego młota - łatwo dojść do wniosku, że

1941

plebiscyt to byłaby gra fair play - a do takiej zagrywki trzeba trochę oglądy, tak więc wchodził w grę odwet i nienawiść do narodu Polskiego, a nas ... w jakiej sytuacji postawili nas tutaj - przecież za to co zrobił ten enkawudzistowski młódz, trudno było obciążać i winić ... i nienawidzieć każdego napotkanego tu Rosjanina trzeba było jakoś oddzielić "ziarno od plewy", ale narazie brakowało i nam i im zaufania, tym bardziej, że z każdym dniem coraz bardziej utwierdzaaliśmy się w tym że na każdym kroku jest "wyszczenie" i "podśluch" co wszystkich ludzi trzyma cały czas w napięciu i strachu, to ... tak wiem, że dla tych co tego nie przeżyli nie doświadczali jest zupełnie niewyobrażalne, te dygresje... to moje "oczyszczenie", zdjęcie z siebie pewnego ciężaru, zrzućcie stopniowe pancerza szczególnie z tej długoletniej przymusowej "niemoty"! [X] Już w pierwszych dniach stycznia - 1941 roku, odczułam to jakby Staszekowi się poszczęściło, bo przyszedł do Mamy do szpitala z wiadomością, że poszukiwanie mieszkania zostało zakończone sukcesem, znalazł bowiem przy polskiej rodzinie - "pół pokoju", która też chce rozłożyć koszt "kwatery" na dwoje. Sprawę zameldowania trzeba załatwić przed przeprowadzeniem się, aby gospodarza nie narażać na kłopoty i kary, tak więc Staszek i tę rozmowę ma już za sobą i enkawudzistowski aparaczyk dał Staszekowi "razrzeszenie" na przywiezienie do Pawłodaru "bratyszku" i później ma się zgłosić w sprawach meldunkowych, zameldowanie tutaj w Pawłodarze może być tylko dokonane w oparciu o zaświadczenie, że się pracuje - a ponieważ pracy nie ma, no więc koło się zamyka, aparaczyk powiedział

1944

dział Staszekowi - ponieważ chcacie być bliżej chorej Matki, no ... może się coś da zrobić. Nie wiedzieliśmy co może się kryć za tym "może się coś da zrobić" - narazie wydawało się, że też odrobinę "serca". Nawet nie odważyłam się zapytać z czego zapłaci za to mieszkanie, czym pojedzie do Dżok-Kuduku w ten zapierający dech mróz, skąd weźmie pieniędzy na zapłacenie "podwozy" wynajętej do przewiezienia reszty naszych łachmanów, już wypowieranych na podłogach chlewów, stajni i sieni. Żadnego pytania na temat pieniędzy Staszekowi nie zadałam ani przy Mamie ani "na osobności" - nawet nie wspomniałam aby mi dał jakiś grosz na "stołówkę". Byłam pewna, że Ciocia Lipa wieczorem wydziełi mi ze swojej porcji zupy tę malutką miseczkę, więc jakoś wytrzymam. Ach! niech się dzieje co chce - Dobrze, że już pojechał po Mietka. Zaraz też nie wrócił! Trwało to dobre kilka dni, a może i nawet ze dwa tygodnie. Zniecierpliwienie moje napinało nerwy do stanu bólu i gdyby nie ten ciągły płacz nie mogłabym się nawet pokazać u Mamy, a kiedy Mama poruszyła tę sprawę, że stanowczo już za długo ich nie ma - uspakajałam Ją, że pewnością nikt nie chce puszczać się w taką daleką drogę wołami w taki mróz. No ale stało się! Któregoś wieczoru wpada Staszek do Cioci Lipy - no! jak go zobaczyłam bez Mietka ... zamarkam! tym bardziej, że wydawał mi się jakiś taki zaniepokojony, zafrasowany - ale kazał mi się natychmiast zbierać, bo Mietka i "łachmany" już są na tej wynajętej kwaterze no i właśnie teraz mnie tam zaprowadzi. Drogi nie pamiętam, bo coprawda był już wieczór, ale wydaje mi się, że w ten wieczór miałam skrzydła. Jak weszłam na tę kwaterę - to skrzydła ... nie już nie było skrzydeł to był nowy

1944

Państwo u których podnajmowaliśmy tę część pokoju byli w komplecie - t.zn. matka w wieku mojej Namy (44 - 45 lat) córka - 17-18lat i dwóch synów starszych od córki. W szyscy wymyśli, duzi, uczesani - a obok my ...co jedno to mniejsze, co jedno to brudniejsze - nieuczesani, bo włosy aż twarde od wszów, gnidów i brudu. Mietek siedział w swoim płaszczyku na tych naszych łachmanach, zupełnie nie zareagował na mój widok tylko jego wzrok był zwrócony, był utkwiony w te kółka osób właśnie jedzących "coś tam" z talerzy przy takim zbitym naprędcie z jakichś desek stole. Boże! jak on wyglądał - takie straszedełko, włosy długie, pasma spod czapki zależały się w różne strony, wychudzony. Niebardzo wiedziałam co powinnam robić, ale widząc na twarzy Staszka i Mietka skrajne zmęczenie - zaczęłam przesuwając nasze tłumoczki do drugiej izby i na miejscu wskazanym mi przez panią [powiedzmy Kowalską] zaczęłam rozkładać na podłodze nasz barłóg. W izbie było ciemno, bo oni swoją kopciłkę ustawili na stole podczas jedzenia - a my swojej jeszcze nie zorganizowaliśmy. W duchu byłam zadowolona, że te nasze łachmany rozpościeram pod osłoną ciemności, bo nasi "gospodarze" z przerażenia by "padli" gdyby to wszystko w dzień zobaczyli. Na wierzchu rozpostarłam koc, czy też kapę i tak wszyscy troje wślizgiwaliśmy się w te pierzyny, obiecując sobie - przynajmniej ja, że się rozbiore "do reszty" jak tylko się zagrzeję. Ponieważ z tym spaniem mam kłopoty, więc mimo ciemności coraz wyraźniej "widziałam" - jak się to mówi "rozpatrzyłam się". Na to mieszkanie składały się dwie izby - śpiłyśmy w "pokoju" rzec można. Za naszymi głowami jest okno - niezaskłonięte, bo i po co

1944

kiedy szyba pokryta jest grubą warstwą lodu i szronu od samego spojrzenia na tę szybę aż zęb leci! Po przeciwnej stronie pod ścianą na wysokich krzyżakach, położona jest taka scena, deski - a na tych deskach urządzono jest leże dla całej rodziny pani Kowalskiej. Nawet w ciemności ta góra pierzyn wydawała mi się jasna. Tak! Prostu wszyscy byli dorośli i u-mieli jakoś zabiegać aby być w tych warunkach. Intensywnie myślałam jak tu - wypruć te olbrzymie płachty - przynajmniej dwie powłoki na pierzyny, bo na poduszki ^{zamiast} pewnością sobie poradzę. No tak! ale gdzie w czym i czym? ... Może czy starczy mi sił na to przedsięwzięcie. Wiedziałam, że w tym nikt mi nie pomoże - Staszek dokonał rzeczy gigantycznej przywiózł Mietka z tego "przedpiekła" w taki siarokysty mróz, no tak! ale on już jest starszy na już 18 lat. Gdyby to było lato - to poszłabym nad Irtyś - może bym sobie jakoś tam w wodzie pomoczyła, także piaskiem te krwawe plamki po pętlach i wargach - toż "oni" jak "to" nasze posłanie zobaczą w dzień, to nas stąd wypędzą, każdy się broni przed wstydami jak może - t.j., stara się aby ich ilość ograniczyć, bo tu cię już od nich obronić absolutnie nie można, gdzieś my się znów podzielimy, gdzie znajdziemy kwaterę. Z takimi prawdopodobnie myślami zapadłam w głęboki sen. Znów byliśmy razem, to ozdrowiłam, kiedy nas razem u siebie zobaczy. Następnego dnia obudziłam się chyba bardzo późno - "rodziny gospodarzy" już w łóżu nie było, Staszka też już nie było, a Mietek jeszcze spał, - teraz w dziennym świetle mogłam się przyjrzeć co zostało z tego dziecka - opuszczonego przez wszystkich w ciągu

1961

przeszło- miesiąca. Oczy wpadnięte - te jego nieco za wielkie oczy ... czyniły tę buzię jeszcze bardziej wychudłą, suche rączki, te włosy rozczochrane... no straszne! Zapewne ja nie wyglądałam lepiej, ale sobie się nie przyglądałam, w sumie oboje byliśmy brudni, zapyziali, zaniedbani, byliśmy w takim stanie jak chorzy ludzie - no... dzieci! Kamień by z siebie wycisnął łzy, a ja już od samego ranka płakałam, nie mamy kompletnie nic aby chociaż coś przeknąć. Żeby nawet wodę zagotować to trzeba było mieć opał przecież nie odważę się prosić pani Kowalskiej o parę kiziaków, to wszystko ma wagę złota, ale chociaż jak się obudzi dałabym mu gotowanej wody, - "kipiatku". Jak tu się powstrzymać od płaczu. Na pani Kowalskiej też musiał zrobić nie tęgie wrażenie - bo kiedy wyskoczyłam z naszego barłogu i taka trzesąca się z zimna usiadłam w kuchni pod ciepłą ścianą aby dokończyć ubierania się - pani Kowalska podała mi kubek gorącej kawy z palonej pszenicy i kawałeczek chleba i powiedziała że bym to dała braciszкови. Istotnie, obudzony ucieszył się dopiero teraz bardzo, nawet trudno by dochodzić czy z tego że mnie zobaczył, czy z tego kubka kawy i kawałeczka chleba ... Byłam ogromnie wdzięczna pani Kowalskiej, miała twarz pełną litości, ale byłam już na tyle rozsądna, że w tych warunkach litość może trwać tylko "dwa dni" - ona też ma troje dzieci i nie może ich "okradać", napewno płacili też bardzo wysoką cenę za zdobyci środków aby przetrzymać "dzieci" - więc tylko dzisiaj przyjąłam to "jedzenie" więcej... nie więcej nie przyjmę! Będę się broniła, ale nie wiem, dzisiaj jeszcze nie wiem co będzie silniejsze?

Pani Kowalska coś - niecoś o nas wiedziała
 - od Staszka - kiedy załatwiał z nią to
 mieszkanie. Chciałam jaknajprędzej wyjść
 - nie już nie wyjaśniać, ja ledwie już
 wciskałam swoją nogę do bucika, jakoś
 jeszcze zasznurowałam, wywinęłam skarpety
 i spojrzałam na sposób ubierania bucików
 przez Mietka, ubrał pończoszki, zawiązał
 je jakąś tasiemką czy sznureczkiem nad ko-
 lanami i z wielkim trudem wcisnął na swój
 je stopy buciki bez skarpetek - zapytałam
 go po cichutku czy mam mu je odszukać w
 tych naszych "rupieciach" - a on powie-
 dział że buciki już na skarpetki absolut-
 nie się nie wdziewają - no i jakżeż tu
 nie płakać, przecież przejdzie na tym
 zimnie parę kroków i już stopy w skarpet-
 kach na tym siarczystym mrozie przemarza-
 ją a co dopiero buciki na cieniutkiej
 zelówce i pończoszki - podarte już zresztą
 Mama napewno coś by poradziła, - pani Ko-
 walska właśnie brała się za robienie cze-
 goś na drutach - no pewnie, że długo nie
 "porobi" bo ręce marzną w tym nieopażonym
 mieszkaniu, ja teraz zanim powiązałam
 Mietkowi sznurówki z kawałeczków już po-
 rzadnie zmarzłam w ręce. Mietek się jesz-
 cze nie orientuje - ale do Cio-ci Lipy bar-
 dzo daleko, te ulice tutaj ciągną się w
 nieskończoność - a po tym, Wymyśliłam sobie
 że zanim go zaprowadzę do Mamy, muszę go
 zaprowadzić do "bani" - do łaźni - przecież
 jest taki "zapyziały", wiem, że nie ma
 takiego słowa w słowniku - ale tego sa-
 mego dnia kiedy dotarliśmy do Cio-ci Lipy
 Staszek już na nas czekał, bo trzeba było
 iść do niewiagodnie długiej kolejki do sto-
 łówki i też trzeba było stać na dworze,
 stołórkę - dokładnie już nie pamiętam, ale
 chyba otwierano o pierwszej i nadzieja, na
 to, że wkrótce wogóle coś będziemy jedli
 przygniatała wszystkie inne myśli - prawie
 że nie rozmawialiśmy - jeżeli ktoś - kie-

Agha

dyś cierpiał głód - to dopiero wtedy by zrozumiał nas dzieci, to ~~x~~ jest męczarnia. Wprawdzie te porcyjki stołówkowe nie na długo zaspakajały te nasze męczarnie głodowe, ale wprowadzały organizm z jakimś "orzeźwienie", bezpośrednio więc po tym "pseudo-posiłku" pobiegliśmy do tej "bania" a stamtąd już bezpośrednio do naszego "leku" u pani Kowalskiej, bo to już była "noc". Wyparowywane z nas ciepło - zamieniało się w szron, tak, że wyglądaliśmy jak bałwanki śniegowe - i tacy niedosuszeni kładliśmy się w te kamienne - zimne pierzyny. To był początek lutego, kończyłam czternaście lat ... Przed południem stanęliśmy razem w szpitalu przy Mamy Łódku, nie musiała się czuć najlepiej, bo widziałam z jakim wysiłkiem sili się na uśmiech - a wogóle to Mietka kiedy się nachylił chwilę przytrzymała i płakała, - po tym dała nam po kawałeczek u chleba zaoszczędzonego conajmniej z trzech posiłków. - ~~W~~ powinna była go zjeść, bo siły zdobędzie na wygojenie ran - ale coś tu po rozsądku! - kiedy Matka wie, że dzieci przemierają głodem. Staszek pocieszył Mamę, że jutro już ma wyznaczoną "spotkanie" w meldunkowym i spodziewa się zaraz - t.j. jaknajprędzej załatwić kartki na chleb, bo enkawudzistowski aparaczyk obiecał mu te kartki mimo, że nie ma pracy - ~~któ nie robotajet tot nie kuszajet~~, ale Staszek przecież codziennie pracował, sam dążył do tego - tyle tylko że "mistrz" u którego był jakby w terminie niczego mu nie obiecywał - owszem by-łaby praca przy wyładunku soli z wagonów na plac i jakiejś gliny, kto ma tęszą konstrukcję fizyczną podejmuje się tej pracy - Staszek mimo wysportowania był za niski i za szczupły no i te 18 lat - no! już drugi miesiąc ma 19-ście. Poza tym ustalił z Mamą co może sprzedać na bazar-

2 8
196

1944

rze żeby zdobyć pieniądze na zapłacenie mieszkania, kupienie chociaż worka kiziaków, żeby było czym zagotować wodę do napicia no i na oddanie długu. ¹ (teraz właśnie się dowiedziałam, że na tę całą "przeprowadzkę" ktoś mu pożyczył ileś tam rubli, no i teraz na stołówkę, żeby przynajmniej raz dziennie zjeść, a jak dosta niemy kartki to wieczorem się zagotuje wodę i z chlebem to będzie nasza kolacja - bo od południa do spania bardzo trudno wytrzymać z głodu. Przez dwa następne dni zdawało mi się, że najgorsze za nami - tymczasem nowe smagnięcie było tuż! Staszek - powróciwszy z "meldunkowego" wysłał Mietka do Mamy, a mnie odtworzył rozmowę z sowieckim enkawudzistowskim aparaczykiem. - powiedział on po namyśle, że niestety, ale on tu w "gorodzie" nie może zezwolić na zameldowanie trojga "dzietiszek" bo wnet pomrzecie z głodu i swojej Matce nic nie pomożecie - a jeżeli wam zabierzemy waszego "bratyszku" do "dziet-gomu" ~~do domu dziecka~~ to będzie wam lżej i jeżeli się na tę propozycję zdecydujesz to wówczas możesz liczyć, na pozwolenie na zameldowanie - liczę, że będziesz rozsądny i oddasz swego "bratyszku" - wiążą się z tym kartki na chleb i ~~dobrze nie pamiętam, ale chyba jakiś "kusoczek" mydła.~~ Staszek dodał po namyśle, ^{coś tam} ja mu tego nie powiem - ... chyba wrócimy do Dżok-Kuduku... gdyby na moich wówczas dziecinnych plecach zostawały ślady nie na grubej przecież skórze - to od takich raptownych smagnień i razów miałabym szereg otwartych ran. Tak i tym razem skurczyłam się z bólu, ~~zasyczałam~~ - a potem już poprostu bolało, bo wrócił Mietek i trzeba było przy nim "grać" - a mnie się chciało wyć z bezsilności i też nie wiedziałam co trzeba w tej sytuacji zdecydo-

wał, Staszek po tej rozmowie już do tego tematu nie wracał, ja ze dwa dni nosiłam to w sobie, - Mama ciągle się dopytywała czy już mamy kartki na chleb, bo wiedziała, że nic nie jemy ponad tę zupkę stołówkową, ja nie Jej nie mogłam powiedzieć o nowym ciocie jaki nas spotkał i na samą myśl jaka we mnie dojrzewała, że to jednak musi się stać, że właściwie już niema nawet alternatywy ogarniała mnie rozpacz. Bóg wie dokąd-by go wywieźli, czy on to zniesie? czy wtedy... czy już kiedykolwiek wróci ... żeby być przynajmniej razem, bo do ... Polski? ... nie

8 takie myśli trzeba absolutnie odwracać toż to myśli niemal samobójcze, pocóż ta męka? niekończące się piasmo udręk spadające na słabiutkie barki dzieci. Może

Mama by coś doradziła - ale jakże Jej mogłam powiedzieć widząc jak się wije z bólu - tak cierpiała po amputacji stóp i ból z dnia na dzień się nasilał. Kiedy siedzieliśmy koło Niej, albo staliśmy - widziałam niejednokrotnie jak wkłada do ust zaciśnięte palce... gryzła je z bólu! Nazajutrz błagalnie spojrzałam na Galę, bo Mama była prawie że nieprzytomna - Gala powiedziała mi, że doktor Iwan Iwanowicz zdecydował dalszą amputację ponieważ zgangrenowanie się posuwa ku pięcie. Nie wiem ile lat stoi ten szpital - ale wiem, że od czasu rewolucji mija 25 lat a tej świetlanej przyszłości z głooszonych od rana do wieczora haseł - ani słyhu! Jak na szpital - ba! jak na chirurgię to na oko widać, że jedyne lekarstwo jakim ten oddział dysponuje to "rivanol" - cały czas Mamie przykładają te mokre gazy w tym niedopalonym - znaczy niedogrzanym pomieszczeniu toż to od rany chłodem wionie ... no i w tej sytuacji dalsza amputacja, też wiadomość nie łatwa do zniesienia. Przy Mamie zachowywaliśmy się nienaturalnie spokojnie - a wytrzymać było już niesposob

10/11/11

tak też przy dowidzenia do jutra - bariera puściła i rozplakaliśmy się wszyscy niemal w głos z Mamą włącznie i ja tegoż wieczoru powtórzyłam Mietkowi rozmowę Staszka z sow. aparatczykiem NKWdzistowskim, to wszystko się odbyło już kiedy położyliśmy się, - tzn. żeby nie siedzieć w zimnie wleźliśmy pod pierzynę, Pani Kowalska zorientowawszy się, że spod pierzyn wydostaje się odgłos szlochania dopytywała się - ale nie byłam wstanie niczego jej wyjaśnić. Ja jakoś zasnąłam ale czy Mietek zasnął? tego nie wiem! dzisiaj dopiero mogę powiedzieć, że pewnością zasnął, bowiem wyobraźnia dziecka - za dwa miesiące skończy 11 lat - nie sięga głęboko żeby różne skutki - różne warianty głęboko rozpatrywać. W ciągu najbliższych dni zachowywaliśmy się wobec siebie tak, jakby tej rozmowy nie było... nawet myślałam, że on zapomniał o tej rozmowie. Tymczasem po paru dniach, znów wieczorem "w pierzynach" (bo tak nie było możliwe wysiedzieć ani się gdzie usadowić, bo wszyscy Kowalscy już się wieczorem gromadzili i nasz azyl to były tylko pierzyny na naszym barłogu) Mietek więc - jak powiedziałam zupełnie nieoczekiwanie zaczął ze mną rozprawiać, że do Dżoż-Kuduku absolutnie nie ma sensu wracać, bo tam pracy dla Staszka nie ma - tu Mama leży, chora jest bardzo ciężko - teraz jeszcze ta powtórna operacja - dla Niej jedyną pociechą jest to, że się tu do Niej przychodzi, że nas codziennie widzi, że wie i jakby brała udział w tym co się z nami dzieje. Jak pójdę do Domu Dz. to tam dostanę jedzenie, Was zameldują, dostaniecie kartki na chleb - bez którego nie ma istnienia, a może mnie się trafi jakaś praca, może Staszek znajdzie pracę

AGHAN

za pieniądze, a teraz w lutym znów wracać do Dżok-Kuduku nie! nie! za nic! tam nie - zupełnie nie nas nie czeka... to był rozsadek godny dorosłego człowieka i podejrzewam już bardzo wygłodzonego, ale co "z tym" dalej zrobić? Jak teraz to przekazać Mamie? Siostra Gala znów nie kazała nam przynajmniej dwa dni przychodzić do Mamy - a my chociaż nie w szpitalu przeżywalismy następną operację Mamy. Gala przygotowywała nas, że ta operacja nie wiadomo co przyniesie, bo dalsza amputacja to szerokie znaczenie dla nas, którzy bardzo upraszczaliśmy sprawę, poprostu znaczyło, że kalectwo, że cierpienie Jej przede wszystkim znaczenie się pogłębia... ile razy w łzach tonąc zapytywałam Boga dlaczego? !! Bóg pomóż mi uruchomić dziecięcą ufność, bo zbliżam się do krawędzi... za chwilę już wracałam myślą do tego momentu - kiedy błagałam Boga żeby... żyła! - a teraz zamiast wdzięczności robię wyrzuty... ale wy... ludzie... co dookoła mnie... wy się mnie nie dziwicie, przecież sama nie wiem skąd mam tyle hartu - przecież to co mnie spotyka może doprowadzić do zupełnego pomieszenia rozumu. Kiedy po tych dwóch - czy trzech dniach przyszliśmy do Mamy - wyglądała bardzo źle, była zmęczona, słaba - nawet nie mogła rozmawiać - a doktor Iwan Iwanowicz powiedział nam że jest wyczerpana bólem, a zniesienie bólu niszczy człowieka. No cóż pociecha to dla nas prawie żadna, znów były świeże rany, otwarte, krwawiące, bolące.

Pomimo swego wielkiego cierpienia za dwa dni Mama ledwie coprawda mówiąc, ale wróciła do kartek na chleb, wtedy Młotek jakby wykorzystał moment przybliżył swoją twarz do Mamy i powiedział, że jeszcze nie mamy, bo on rozważa propozycję czyby

1941/42

nie pójść w Diet-dom i odrazu jednym
tchem wyrzucić z siebie, żeby Mama nie
miała czasu na przemyślenie : że dosta-
nie tam pimy - a w tych buczkach już
ma bardzo ciasno, że jedzenie trzy razy
dziennie i że w cieple będzie - a właś-
ciwie nic się nie zmieni bo to tu na
miejscu. (lepiej Ja tak stopniowo oszuki-
wać) Mama bardzo posmutniała, ale jak
mi się wydawało to ta wiadomość nie "zwa-
liła Jej z nóg" tak jak ja to sobie wy-
obrażałam. Przez następne dni widywałam
się z Mamą codziennie... i w piątek pro-
sto ze szpitala Mietek poszedł do tego
wyznaczonego punktu zbornego - w sobotę nie
przyszedł do szpitala - ale w niedzielę
przybiegł do Mamy już "odstawiony" jak
"ruski pacanionok" - jak mały rosjanin
Mamie się wszystko zgadzało - to co mówił
że będzie na miejscu, że jest tam ciepło
no, że nie najgorzej. Mama się zupełnie
nie orientowała, że większość tych dzie-
ci to okragłe sieroty i małoletni przes-
tępcy, ciekawe jak on się znajdzie w tej
hołocie, przecież dozór nie dopilnuje
wszystkiego pomimo, że wiadomo jaką tam
utrzymują dyscyplinę. Ale o tym już mó-
wiliśmy między sobą - a Mamie narazie
oszczędziliśmy jeszcze tego głębszego
stopnia wtajemniczenia o funkcjonowaniu
instytucji Diet-domów w sowietach. (Gdy-
by wcześniej znała - była wtajemniczona
w tę sprawę - to taka wiadomość by Ja
dobiła. Staszek też przyszedł, bo to
niedziela i właśnie do południa sprzedają
te rzeczy, które z Mamą uzgodnił - (jak
się w duchu dziwiłam, że w tych naszych
fachmanach możnabyło jeszcze coś znaleźć
do sprzegania) - no i teraz Mamie opowia-
dał, że poszedł natychmiast aby zapłacić
za "kwaterę". - ale pani Kowalska pienie-
dzy nie przyjęła, tylko prosiła abyśmy

Agda

sobie poszukali nowej kwatery, bo oni się zorientowali, że jest im za ciasno - zresztą mniejszą o powód ... poprostu nas nie chcieli! Mieli dość swojej nędzy - a tu jeszcze my ze swoją się wciskaliśmy - po co mieli patrzeć na nasze znękanie - życie bez matki i bez ojca. Ten stan rzeczywiście komplikował sytuację z zameldowaniem - no i przede wszystkim chleb! opóźniała się znów sprawa chleba! a już ~~już~~ wydawało się, że tak blisko! a teraz jeżeli Mietka wywozą - to nie będzie on znał naszego adresu, uzgodniliśmy za zgodą Cioci Lipy i Szury, że Mietek będzie pisał na ich adres. Znow - szczególnie Staszka czekało żmudne szukanie nowej kwatery. To jednak mnie tak nie pochłaniało - jak myśl, jak Mamę przygotować na to, że Mietka wkrótce wywozą z Pawłodaru - w nieznanym kierunku. Nigdzie ani mapki żeby się chociaż cośkolwiek zorientować w tej "terenowej" sytuacji. Mietek mi powiedział, że już pozwolili z terenu dzieci i że spodziewają się, że na dniach już ich wywozą z tego "punktu zbornego" tak więc już ostatnie dni się widzimy. To było trudne - ale jak patrzyłam na niego, że będzie za chwilę w ciepłym pomieszczeniu, że ma na nogach pimy, że za chwilę dostanie tam miseczkę zupy z kwałeczkiem chleba, a tu nawet nie wiem czy Staszce starczy abyśmy raz dziennie zjedli ten "obiad" w stołówce, a tam jednak te trzy razy dziennie coś przekniesz i mam nadzieję, że dozór nie pozwoli aby te dzieci żywcem wszy zjadły - no i że na tyle dozór nie rozkradnie opału aby te dzieci spały w kompletnej zimnicy - snując te myśli, byłam chwilami pogodzona z tym faktem. W niedzielę Mietek przyszedł do Mamy ostatni raz - Mama była ehora - t.j. czuła się źle, była bardzo obolała Mietek patrzył tak na tę męczennicę dłuż-

1944

szy czas - na tę twarz ze złuszcającym się czarnym naskórkiem, na te oczy prawie gasnące, rozpłakał się przytulając się do Mamy, ale Ona nie wiedziała, że to jest jego z nią pożegnanie. Mama też płakała, a o mnie to już nie ma co mówić ja miałam tylko krótkie chwile w ciągu dnia w których nie płakałam. Narazie wszystko odbyło się jak w poprzednie niedziele. W poniedziałek już Mietka wywieźli, a ja musiałam przygotowywać jakieś kłamstewko, aby usprawiedliwić go, że ani w tę ani w następną niedzielę nie przyjdzie już do niej do szpitala. Aparatczyk który Staszewski proponował aby oddać Mietka do Dzieci-domu upominał żeby się z nim nie kontaktować na punkcie zbornym, gdyż innym dzieciom byliby przykre, bo to są przeważnie sieroty, żeby więc go "dobrze" zrozumieć i zastosować się do tego. Nie widziałam nawet potrzeby aby tam chodzić bo codziennie się widywaliśmy - no a teraz to już koniec. Mamie już w połowie tygodnia przebąkiwałam, że byłam u Mietki że jest przeziębiony i każą mu leżeć. W najbliższą niedzielę wyglądała go, ale to że nie przyszedł możliwie zniosła. Na następną też nie przyszedł - to jeszcze też jakoś ... ale już następnego dnia mnie męczyła, czy już mu lepiej czy utrzymuje się wysoka temperatura i już płakała, że to może być gruźlica - ja.. wypaliłam! że dzieci-dom przeniesli z Pawłodaru w teren i że narazie Mietek nie będzie mógł przychodzić - okręcałam też że mu się tam nawet podoba, ma zajęcia, ma jakieś jedzenie, ma pimy i pikowaną kurtkę - kufajkę i ciepłe pomieszczenie. Mama wpatrywała się we mnie - co dziwne - jakby z pogardą, że bredzę, że to nie ce^{mu} aby sprzedać dziecko, no w każdym razie coś takiego było w tym Jej spojrzeniu który odbierałam jako wyrzut - jak moge!

A po dłuższej chwili - jakby już pogodzona z pełnymi łez oczami zdawała się zgadzać ze mną i jakby do siebie szep- tała - tak! tak! razem byłoby wam niez- wykly trudno, zamilkła i łkała ... Naza- jutrz kiedy przyszedłam już Gala wyszła mi na spotkanie i i mówiła, żebym się nie przestraszyła, bo Mama dostała wysokiej temperatury, chwilami nawet traci przy- tożność, - majaczy "znajesz? Mieczysław waszego zowiot!" - mówiła Gala - ~~Mietka~~ ~~waszego woza~~ - Moje zdejmowanie płaszczy chyba trwało moment, wleciałam - przy- padłam do Niej, ale zdawała się mnie nie zauważać - jęczała cicho...oczy miała zamknięte, to rozchyliła nieco powieki śledziłam Jej każde poruszenie, - ~~nie!~~ ~~nie!~~ - to niemożliwe! - Boże! Ona będzie żyć! prawda? Nie zabierzesz mi Jej - gdybym się mogła unieść wyżej, Boże możebyś mnie prędzej usłyszał!! Moje przerażenie nie miało granic. Czukałam, że tracę grunt pod nogami, że się zapada tracę panowanie, pamięć - to wogóle jest bardzo trudne do określenia to co się ze mną zaczęło dziać - ale wszedł doktor Iwan Iwanowicz - poprostu powiedział sta- nowczo - wstań i narazie wyjdź, muszę twoją Mamę zbadać. A na korytarzu ...był Staszek, nawet powinienam się nieco zdziwić bo przecież nie codziennie przychodził - ale teraz właśnie jest...po dłuższej chwili doktor podszedł do nas i powie- dział, że wywiązało się ciężkie zapale- nie płuc, ~~no ty tak nie rozdrażniaj się~~ - ale ty się tak nie denerwuj, uśmiechnął się do mnie - jutro już będzie lepiej... Nie da się zapomnieć lekarza, jego słów, jego uśmiechu - który w takim momencie jest dla człowieka wypatrującego na jego twarzy nadziei - co tu mówić, jest prawdą dziwnym balsamem. Poprosiłam, żebym mogła

1944

zostać przy Niej - powiedział ty idź spać
 nie tu po tobie! Tutaj zostanę - ja!
 Chore z tej sali, później mi opowiadały
 że lekarz sam siedział przy Niej, że oso-
 biście mierzył Jej temperaturę, badał, ~~na~~
~~robił~~ - tzn. kładł kompresy, badał puls
 okrywał, coś tam Jej kazał - ba! prosił
 żeby połknęła, śmiały się nawet, że się
 do Niej zwracał! - "pani Koralewicz" a ki-
 dy Mama odzyskiwała przytomność i płakała
 - no to już koniec... już do Polski nie
 wrócę ... bardzo, bardzo słabną ... -
 a doktor do Niej - "a ja po co tu sie-
 dzę! - wrócisz! oczywiście, że wrócisz
 pani Koralewicz do tej swojej Polszczy"-
 tak mi opowiadały chore z tej sali kiedy
 rano byłem już w szpitalu. Siostra kaza-
 ła mi usiąść przy Mamie i wlewać Jej do
 ust po żyzeczce gorącej wody - pomalutku
 ale staraj się aby ciągle była mocno go-
 rąca i żeby mniej więcej taki garnuszek
~~z~~ wypić, siedziałam więc i czuwałam
 przynosiłam tę wodę z dyżurki, bo stygła
 bardzo szybko - ach! żeby tak cytrynka!
 marzyłam - co tam cytrynka, żeby zwykłe
 jabłko ... powinienam absolutnie to odno-
 tować jako rzecz niezwykłą, że Siostra
 rano przyniosła mi jakąś pigułkę i kaza-
 ła mi ją rozdrobnić żeby przy połykaniu
~~Uważaj - upominaj mnie - żeby Mama nie~~
~~zachlebniała - żeby się nie zachłysnęła,~~
 Wkrótce też przyszedł doktor z pielęgniar-
 ką - pielęgniarka niosła koc, oboje Ma-
 mę unieśli - poprostu "usadowili" podpie-
 rając poduszkę kocami - doktor nie tylko
 że mnie nie wyprosił - ale nawet kazał
 mi przy tej "operacji" poduszkowej uno-
 sić Mamie lekko ~~do~~ góry nogi - stopy -
 - teraz już kikuty - żeby nie urazić ich
 przy przesuwaniu, ~~Mamy~~. Boże - jakie te
 kikuty zakrwawione - toż niemal mokre,

AGHAN

Oczywiście to Jej nie ziębi? - i jak mogłam najdelikatniej zapytałam pielęgniarki, a pielęgniarka ~~jak mi się może zdawało~~ ale odpowiedziała mi z wielkim współczuciem, że nie chcemy teraz odrywać tej gazy, żeby Jej nie męczyło, założenie takiego nowego opatrunku to długa i męcząca "sprawa" w tym stanie tego robić nie można - ~~ale~~ kiedy dodatkowo przykryłam te kikuty, pielęgniarka przechodząc już to zauważyła i zdjęła, że tak nie "nada" - nie trzeba, otwartą ranę ciężaru nie znosi, ~~jakoś~~ tak mi powiedziała - i gdybym "to" co wyżej opisałam, miała opowiedzieć, to byłyby dwa zdania - że Mietek poszedł "w prijut" - a Mama po drugiej operacji była w ciężkim stanie, ale te dwa zdania nie oddałyby wielkiej mojej tragedii, którą mój młody organizm nasiąkał, przeżywał godzinę po godzinie, a tak że nie oddałyby serca i poświęcenia tego ^Rdoktora-rosjanina i życzliwości pielęgniarek - ~~którym~~ jeszcze dzisiaj wyrażam swoją głęboką wdzięczność i najwyższy szacunek - to jest moje - im podziękowanie. [Taki stan utrzymywał się przez parę dni, ale te zabiegi owocowały - a po paru dniach pielęgniarka rano powiedziała mi - ty powiedz swojej Mamie, żeby w nocy spała, bo ona ile razy wejdę coś szepce i szepce. Powiedziałam jej, że modli się - a chore z tej sali zdumiewały się, że mało z nimi nawiązuje rozmów tylko ciągle jakby Jej było śpieszno do modlitwy, że ona też tak może się długo szczególnie na tych swoich "karalikach" tak nazywały różaniec - który niemal stale trzymała w swojej dłoni. Ta modlitwa Mary budziła u otaczających Ją w szpitalu ^Rrosjan prawdziwy respekt. Lekarz - Iwan Iwanowicz poprostu wależył o Jej życie, które wisiało już jak mi po tym powie-
dział na cienkim włosku - dzięki serdecz-

1941

ne i chwala Mu za to! Jak spadła tempera-
tura, to przychodziła słabość - wtedy za-
sypiała często, no teraz żeby to jedzenie
trochę pożywniejsze ... żebyśmy mieli pieniądze, to kupiłabym na
bazarze masło, jajka - ale to już było
niemożliwe. Staszek właśnie "dopytał" się
o nową kwaterę i musiał ją naprzód opła-
cić. Tym razem było to miejsce w kuchni
- taki tunelek między ciepłą ścianą która
przebiegała przez środek kuchni a ścianą
zewnątrzną domu - jakieś półtora metra
szerokości i dwa i pół długości, niecałe
cztery metry kwadratowe, ile rubli trzeba
było za to zapłacić nie pamiętam, pamię-
tam tylko że to było przy ul. Gorkiego
i że u "ruskich" - wieczorem Staszek z ko-
legą przewiózł tutaj "rzeczy" - duże słow-
wo. A zima utrzymywała się - i syberyjski
mroz też. Ile razy spojrzałam na termo-
metr przy szpitalu - to myślałam nawet, że
że jest zepsuty, bo rtęć nigdy nie podno-
siła się powyżej 25 stopni tylko niżej
pomimo, że słońce świeciło codziennie.
Pod koniec lutego w szpitalu i na tym sa-
mym co Mama oddziale znalazła druga ofia-
ra syberyjskiej zimy - Polak, niemłody,
bo pewnie 30-letni pan - chociaż Mietek
twierdzi, że Mama mu opowiadała o nim, ale
że mówił Mamie, że ma 22 lata, - ja się
poddałam bo mnie wtedy "tak" się widziało
Ten pan nazywał się nieco śmiesznie bo
Marszałek, a mnie kazał do siebie mówić
po imieniu - Rysiek, - on, na skutek cięż-
kiego odmrożenia stracił dłonie u obu rąk
Tak on cierpiał! - trudno sobie wyprost
wyobrazić - jak rozpaczał! - jednak moim
zdaniem, przynajmniej narazie, łatwiej mu
było zniesić tę swoją tragedię, bo nie był
przykuty do łóżka tak, jak moja Mama.
W krótkim czasie po operacji mógł się
przejsć "tu i tam" porozmawiać, rozpro-
szczać myśli. Często też zastawałam go przy

mojej Mamie - a Mama słuchała go z oży-
wieniem, bo posiadał - trudno nawet docie-
- z jakiego źródła - ale jakie to wówczas
- miało znaczenie, takie wiadomości, a on
często też opowiadał je przy mnie, że
włos się jeżył na głowie. Odizolowani
już rok od świata słuchałyśmy tego wszyst-
kiego z ogromnym zainteresowaniem. Dzień
siał domyślać się, że został wywieziony
znacznie później niż my. Wiadomości te
miały związek z naszym tutaj - losem,
a także z losem naszych zamilkłych nies-
pełna od roku deportowanych - czy intern-
owanych Polskich oficerów i żołnierzy
"września 39" - a przy nich zawsze myślę
o losie mojego Ojca, który już wtedy tj
4 kwietnia (1940 r!) kiedy Go sowięci za-
bierali - nie był w wojsku, a iluż było
takich ! jak mój Ojciec. Poza tym ja się
jeszcze wtedy nie orientowałam o rozmia-
rach niszczenia narodu Polskiego przez
Związek Sowiecki - a Rysiek właśnie nam
to wszystko przedstawiał. Powiedział nam
że jest pewne, że wszyscy zostali zamor-
dowani, a szczególnie wysoko wykształce-
na kadra oficerska i wojskowi wysokiej
rangi - nie ma od nikogo już wiadomości
więc wszyscy tam w okolicy twierdzą, że
całe obozy uległy zagładzie. Co do nas -
naszego losu, wyrażał się bardzo sceptycz-
nie. Mówił, że w całej tej okolicy wscho-
dniego Kazachstanu jest bardzo dużo Pola-
ków i nadchodzą coraz nowe transporty, że
warunki w jakich się znajdują - to pogra-
niczne unicestwienia, że to że on jest
tutaj w tym szpitalu to prawie cud - bo
to co mu się zdarzyło nie było w zasięgu
interwencji człowieka wogóle, to było
pustkowie, a w grupie Polaków w której
przebywał panuje głód i choroby. Szedł
przed siebie, żeby się wydostać, może
znajdzie jakieś zajęcie dla siebie, bo
z tym wiąże przetrwanie. Trzeba się imać

Aghar

jakiejkolwiek pracy żeby zdobyć środki
 na jedzenie i w drodze po te "środki"
 to właśnie go spotkało ... i co teraz?
 Ilekroć dobrnęliśmy do tego tematu -
 rozmowę przerywał wstawał i odchodził.
 A kiedy następnego dnia zorientował się,
 że już jestem uporana z czynnościami, któ-
 re i przy Mamie i na tej sali wykonywa-
 ła, aby przypodobać się pielęgniarkom
 za to, że mnie tolerowały, ba! ja tam
 się zadomowiłam ... więc znów przycho-
 dził Rysiek i przekazywał nam wiadomości
 których tutaj całkowicie oderwani od świa-
 ta byliśmy - jako Polacy pozbawieni, a co
 nas ogromnie ciekawiło. Rysiek mówił więc
 że Niemcy opanowują Europę jak lawina, że
 narazie oporu żadnego, dobierają się do
 Anglii - a sojusz sowiecko - niemiecki
 tymczasem kwitnie, goszczą się, utwierdza-
 jąc swój sojusz! - sowieci więc nie obawia-
 ją się niemieckiej potęgi, która waz-
 wrasta z dnia na dzień w miarę panosze-
 nia się w zajętych przez siebie krajach!
 Te ożywione wizyty, polowania tutaj w
 Sowietach to na naszą zgubę! Innym znów
 "razem" mówił, że zanim ich tutaj przy-
 wieźli już "tam" - t.j. w Polsce chodzą-
 ły słuchy, że w Londynie utworzył się
 Polski Rząd Emigracyjny na czele którego
 stanął Generał Władysław Sikorski, że już
 jesienią w 1940 roku upominał się tych
 którzy zostali bezsprawnie uprowadzeni
 jako Polscy żołnierze - Polskiej regular-
 nej Armii walczącej w obronie Ojczyzny
 przeciwko napaści niemieckiej we wrześniu
 - pisał ponoć jakąś notę do Rządu Sowiec-
 kiego, a w niej m.in. wypowiedział się,
 że nie zgadza się z zaborem połowy Polski
 przez Sowietów, jednak Sowietów są tak
 "pewni siebie" przez te układy militarne
 z Niemcami, że głos jakiegos tam Generał
 Sikorskiego - kraju, którego nie ma ...
 nie ma! ??? - nie tego pojąć nie można

Agnar

ale nawet ja już rozumiałam, że o tę "kowarną korporację" złożoną z "izbranników" partyjno-enkawudzistowskich - pseudo proletariackich trudiaszczichsia, że o ten mur to się poprostu rozbije jak kropla wody w czasie upału, a wysłuczawszy tych "kwestii" stawałam się dojrzalsza prawie z godziny na godzinę, na w drodze do "kwatery" na Gorkiego rozważałam co ja? co ja? powinienam ze sobą w tej sytuacji zupełnie beznadziejnej poczęść. Staszek ma przynajmniej jakieś zajęcie od rana do późnego wieczora - ciągle liczy na to, że ten "maścier" do którego tak pilnie chodzi i na jego "konto" pracuje, któregoś dnia mu oznajmi, że ocenia jego zdolności i sumiennosc i wyjdzie z propozycją zatrudnienia go - dzisiaj sądzę, że gdyby Staszek nie był Polakiem tak by się zapewne stało, ale "maścier" się poprostu bał konsekwencji z jawnego kontaktu ze "sosłanymi". W każdym razie poszło już do skutku nasze zameldowanie w Pawłodafze i "pożyczylismy" w związku z tym kartki na chleb. Staszek te 80 dkg chleba odbierał, mówię "odbierał" gdyż nie mogę sobie sobie przypomnieć czy wraz z oddaniem ekspedientce talonów - trzeba było coś płacić i tę moją porcję pszenno-razowego gnieciucha zostawiał u Cioci Lipy a ja wracając ze szpitala codziennie tam zachodziłam, porozmawiałam, zabierałam chleb, codziennie też oczekiwałam wiadomości od Mietka - ale jak na razie takiej wiadomości nie było. Natomiast zazwyczaj spotykałam tutaj grupkę Polaków - bo u Cioci czuli się swobodnie, ale i tak co z chwilę ktoś z obecnych tutaj Polaków a także i Ciocia Lipa raptownie otwierali drzwi, wychodzili na dwór aby spojrzeć czy nie ma kogoś podsłuchującego pod oknami albo poprostu kogoś "kręcącego się"

1944

8 w każdym razie na każdym kroku była atmosfera niepewności następnego "kroku" - i strachu, bowiem tutaj niewinność nie istniała, każdemu można było wszystko "wymówić" i bez dowodów "udowodnić"!

7 Tak - właśnie już zbliżała się wiosna bo to połowa marca, śniegi tajały, a wieczorem ścinał to rozmiętosezone błoto mroźny mróz, że trudno mi było iść w tych moich "polskich" sznurowanych - już o zupełnie cienkiej podeszwie bucikach, nie wspominając o całym czasie skurczonych palcach, bo przez rok widocznie stopa mi urosła, zresztą wogóle wyrosłam - przecież płaszcz ten mój szkolny granatowy był ciasny i "kusy" i coraz mniej mojej "odzieży" nadawało się do ubrania, i pomyśleć, że to wszystko się działo w moim organizmie wygłodzonym już teraz do granic możliwości t.zn. do wydarcia komuś jedzenia, ale ... nie było komu. Mama też ledwie, że utrzymywała się przy życiu na tym co tam w szpitalu otrzymywała, tylko w czasie tej wielkiej gorączki kiedy nie mogła przełknąć - Boże! to ja się tym posiłkałam, teraz nie śmiałam nawet Staszka zapytać dlaczego nie "każe" mi przychodzić do stołówki w południe, a tu gospodyni "kwater" dopominała się, abyśmy się jeszcze "dokładali" z opakiem, więc Staszek kupił w tym i w następnym tygodniu po worku kiziaków, ale ciepła nie było "widać", więc gospodyni ciągle się dopominała o ten opak. Co Staszek je, za co kupuje opak, z czego zapłacił za tę "kwaterę" już nie miałam pojęcia - a nawet się ży aby w to wniknąć, gdyż ze szpitala wracałam obolała, stawał się ze mnie taki młodziutki wrak - rana pod nosem jątrzyła się niesamowicie, a ponieważ ciągle płakałam musiałam wycierać i dotykać tę "okolicę", Działo zrazu mnie przeraziły

bo przy jedzeniu chleba ~~(z kłopotem)~~ (z kłopotem!) bardzo mnie bolały - kiedy się zainteresowałam dlaczego, widok ich był przerażający - zsiniake opuchnięte - a po paru dniach bieleły tuż przy zębach i odpadały i odsłaniały korzenie zębów. Ciocia Szura - do której się z tym zwróciłam - jak do felczera - powiedziała, że to skorbut - to znaczy ona powiedziała "eto cynga"! no i poza tym kiedy siedziałam, to nie odczuwałam - ale kiedy musiałam przejść ten porządny szmat drogi do - albo ze szpitala, nogi odmawiały mi całkowicie posłuszeństwa, szczególnie ~~ta~~ część od kolan do stóp i z tym do kogo? U Cioci Lipy spotykałam tylu Białaków - jeżeli komuś z nich się "odsłonię"? - Ciocia Szura z całym swoim zaangażowaniem - nie mogła stale mnie mieć na uwadze, chociaż poświęcała mi jej dużo, chociażby te skraweczki mydła, wtedy miały nieocenioną wartość, ta miseczka zupy wieczorem od czasu do czasu - to ~~były~~ bytowości nie do zapomnienia i nie do odwdzięczenia. Do Pawłodaru napływało coraz więcej Polaków - nie mam nawet zielonego pojęcia jak i z czego utrzymywali się jeszcze na powierzchni - a przecież razem w tej sytuacji nie stanowiliśmy żadnej związanej ze sobą społeczności - a wprost przeciwnie każdy się czuł ~~nim~~, że coraz bardziej otaczali go "swoi" - jak na bezludnej wyspie, co za zjawisko - jakaż kowarność (przewrotność) sytuacji. W szpitalu byłam przez parę dni znacznie krócej, z jednej strony zdążyłam się zorientować, że Mama jest za szamba na wysłuchiwanie rozmów, jest rozdrażniona dostatecznie moją sytuacją, Staszka brakiem wiadomości od Mietka, z drugiej strony - miałam trochę jeszcze opału i koniecznie musiałam się odważyć wyprać te wielkie powłoki. Wszystko ~~✓~~ a żeby to odbyć trzeba było pożyczyc, t.zn. uniżenie

1944

wyprosić - najpierw wiadra z nosilkami żeby przynieść wody z Irtysza, (aresztą cały czas nosiłam wodę z Irtysza, bo tu innego źródła nie ma) - z tym, że po mieście jeździł taki "wodowóz" i od niego np. Ciocia Lipa kupowała wiaderko wody dziennie, ale od czasu zamieszkania przy ul Gorkiego - to było znacznie bliżej Irtysza, z wodą już, z wiadrami na nosilkach szłam ok. pół godziny, bo to się idzie pomału, a także chodząc jeszcze po lodzie gdzie były skupiska wiklinowe, w czasie zimy wyeinane na opał - tam sobie uzbierałam wiązaczkę takich odpadów gałązek, z których - za Mamy przykładem miałam po [spaleniu] ich zrobić taki "ług" zalać tym ługiem te "plachty" i gotować. Wiadra i "tas" - (tak nazywali miednicę metalową, której się ogromnie brzydź - ale nie miałam innego wyjścia) - więc to pożyczyła mi gospodyni, a od Cioci Lipy przytaskałam taki zapomniany przez Nią sagan, który cały czas widziałam w sieni i zdawał mi się dla nich bezużyteczny, pożyczyła mi go bez szemrania. Ta męka, bo to miętoszenie najpierw jednej poszwy, a później - po paru dniach drugiej - było upiornie ciężkie i trudne ręce skąbe, miejsca mało, ale sama jeszcze starałam się to robić na tym skrawku który wynajmowaliśmy, bo z tym wielkim szmaciakiem nie chciałam się "obnosić" bo się bardzo krępowałam tego brudu, - tego swego ubóstwa. Staszek przyszedł aby mi pomóc rozwiesić "to-to" w przylegającej ciemnej-komorze- do domu, ciemnej komorze. Taki cykl z jedną powłoką trwał trzy- cztery dni. Efekt był ponad moje oczekiwania, oczywiście, że to nie była biel- ale ja tę różnicę widziałam. Tak, rozpoczęłam życie dorosłej kobiety, wysegregowawszy swoje rzeczy, co do pra-

1940

nia, co do ew. sprucia, czy cerowania;
 następnie też powyjmowałam z tłumoczków
 Staszka rzeczy, "rzeczy" to już właściwi
 niestosowne określenie do tego co w tych
 tłumoczkach się znajdowało, jeżeli była
 tam jeszcze z jedna albo dwie jego koszu-
 le to już nic padało. Ale jak on sobie
 radzi - przecież nie angażował mnie do
 prania dotąd absolutnie niczego dla sie-
 bie, owszem tu przychodził, ale spał tak
 jak przed tym - tzn. tam gdzie się z tymi
 kolegami "umieścił". Tymczasem po tym
 moim praniu sprawa "mieszkania znów wi-
 siała na włosku, bo gospodyni ciągle mi
 coś kwestionowała, nawet że korzystam
 z jej światła - a przecież dlatego, że
 świecili w kuchni i tam przesiadywali
 to ja nawet z tego swego kącika nie wych-
 dziłam. Po ciemku - prawie, że zdejmując
 z siebie kolejno "zaczni", bo nie
 można już tego nawet nazwać odzieżą - po
 omacku obmacywałam palcami wszystkie
 szwy i zagięcia raz przy razie dusiłam
 wszy i gnidy, a one nie wiadomo skąd do
 następnego wieczora się namnożyły i już
 w ciągu dnia tak dokuczały, - przecież
 gryzły człowieka żywcem, wypijając, tzn,
 żywiąc się moją - tak resztką mojej krwi
 ale wazom to obojętne - dopóki jeszcze
 człowiek żyje - zipie, one go nie opusz-
 czają. Czochrałam się już nawet "w biały
 dzień", zresztą inni też! tu nie ma krę-
 pacji, bo jak długo można znieść jeżeli
 wesz się "przypnie" do ciała i gryzie i
 ssie! Ja nie mogę w to uwierzyć, że ta
 masa wszów do dnia dzisiejszego została
 wypłeniona - nie! stamtąd się je nigdy
 nie zdoła wypłenić - to plaga! to nie
 wiem czy nie gorsze od szarańczy! to
 jest - jakie szczęście, że mogę napisać
 "to było" przy tym głodzie i chłódzie
 jako trzecia udręka nie do zniesienia

1944

Uporawszy się "z grubsza" z tymi tłumocz-
kami znów biegłam do Mamy. ~~To okropne~~
~~ale~~ Nie znalazłam Mamy w najlepszym sta-
nie. Niepokoiło mnie ogromnie to, że je-
żeli miesiąc- półtora temu ożywała
się na mój widok, to teraz była niemalże
obojętna, albo zaczynała płakać, na mój
widok. Zdawało mi się, że nieuchronnie
zbliża się... aż trudno to wypowiedzieć
... kres! Nie rozmawiała, Boże! ja nie
wiedziałam, że nie ma na to siły! Tak
dobita wracałam i wyjąc po drodze z roz-
paczy, ale do Cioci Lipy i Cioci Szury
~~(to jest zdrobnienie od imienia Aleksand~~
~~ra)~~ wstąpiłam. Zostałam dwie nieznajome
Polki, które już prawie, że wychodziły,
a tonąc we łzach dziękowały Cioci Szurze
za "coś-tam" - a Ciocia Szura powiedziała,
aby chwilę poczekały, bo ja idę w ~~ty~~
tym samym kierunku. Dowiedziawszy się, że
nie ma od Mietka wiadomości, wyszłam
z tymi paniami, nie śmiejąc się nawet
zapytać dlaczego tak bardzo rozpaczają,
~~coraz więcej Polaków było u kresu...~~
Kiedy im nieco paroksyzm minął - opowie-
działy mi rzecz straszną, że koleżance
z którą mieszkały, umarły wczoraj obie có-
reczki śmiercią głodową. ~~Najpierw~~ Nie da-
ło się w nie wmówić tego czarnego gnie-
ciucha, który my jedliśmy i nawet tego
już nie zauważaliśmy, - a one tak się
zagłodziły, że nic z tego co im ich mat-
ka dawała już nie mogły przełknąć, pani
dodała - Boże! przecież ta moja koleżan-
ka nie miała im co dać! - one nie chciały
tu "mieszkać" ani tu jeść - nie przełknęły
to doprowadziło do całkowitego wyniszcze-
nia. ~~To~~ była kwestia paru godzin - jedna
po drugiej, - obie suche, same kosteczki
obciążnięte skórą, leżą razem na deskach.
Jutro jest pogrzeb - właśnie dostały ~~to~~
od Cioci Szury jakieś prześcieraćło czy
kawałek płótna - ona dla Polaków się sta

1944

ra być pomocną. Ta pani powiedziała, że-
 bym przyszła, niech będzie parę osób, mo-
 że nie będzie się czuła taka samotna, al-
 ja oczywiście poszłam z samej solidarnoś-
 ci. Nie potrzebowałam nawet szukać tego
 domu w którym mieszkały, bo już tam było
 sporo osób - Polaków. Nie bardzo wie-
 działam jak się "znaleźć", ale doszła do
 mnie ta wczoraj poznana pani i zaprowa-
 dziła mnie do mieszkania, nie śmiałam
 oponować - poszłam zupełnie posłusznie
 i ... do ... dziś widzę leżące obok sie-
 bie dwa trupy dziewczynek chudych jak
 szkielety, obie przykryte płótnem i tak
 je pochowano - bez trumny. Ich mama -
 pani Szulcowa - ~~czyż mogłabym zapomnieć~~
~~- nazwiska takiej zbolełej matki - szczup-~~
~~lutka niewysoka, klęczała głowę swoją~~
~~mając opartą o nogi dziewczynek. Kondukt~~
~~- jeśli użyłam tu właściwego słowa - szedł~~
 wolno i dobrze pamiętam, że wszyscy płá-
 kali- dotarłwszy do cmentarzyska, pocho-
 wano je bez ceremonii. Samo cmentarzysko
 leży dość daleko za miastem, wszyscy wra-
 cali razem - obie panie z którymi się
 wczoraj poznałam zabrały panią Szulcową
 z cmentarza, bo zdaje się, że o własnych
 siłach z cmentarza nie dotarłaby do swo-
 jej kwatery. Mamie nie opowiedziałam te-
 go wydarzenia, widziałam też, że Mama
 ma do mnie wyraźnie żal o to, że teraz
 kiedy dzień już jest dłuższy, ja już
 wychodzę po obiedzie, a nawet przed obia-
 dem, żeby nie miała skrupułów. Powie-
 działam Mamie, że porządkowanie zabiera
 mi wiele czasu i żeby się nie martwiła
 jeżeli zdarzy się, że przez kilka dni
 nie będę mogła przyjść, ~~no~~ to Mama po-
 kiwała głową, że tak, że oczywiście ro-
 zumie i płakała, ~~za~~ Staszek jak na moje
 odczucie przychodził za rzadko - był wy-
 tkumaczony i przez Mamę był zaaprobowa-

Aghw

ne całkowicie powody dla których nie mógł przychodzić. Rozważałam "to" i nic z tego nie pojmowałam. Przecież zdawała sobie sprawę z tego, że to wszystko co znoszę jest ponad ~~ponad~~ moje siły. A kiedy przychodził Staszek ~~i tak w biały dzień go widziałam przy Mamie~~ - myślałam, że jego mózg zamiera, chudziutki, blady, oczy "na tyle głowy" - znów myślałam, że jestem niesprawiedliwa, bo on zasługuje na duże współczucie. Ze szpitala nasze drogi jak zawsze się rozchodziły, ~~42~~ ~~z~~ zisiał, kiedy jak zwykle zapukałam do domu "Cioc" - pani Szura wprost wybiegła mi na spotkanie! - Leszka mam dla ciebie pracę, przyjmują tam właśnie młodocianych - tak więc następnego dnia niedospawszy z wrażeń, biegłam na drugi koniec miasta stąpając w tych polskich buciczkach po ostro zamiarznionych grudkach, ~~w dzień roztopionego śniegu~~, a kiedy dotarłam w pobliże wskazanego mi przez Ciocię Szurę adresu - nie mogłam odszukać domu ponieważ nazewnątrz nie było żadnych "oznak" mającego się tutaj znajdować przedsiębiorstwa - dopiero dopytawszy, dotarłam do celu. To był budynek chylący się ku ruinie - oddawna opustoszały - a z rozwalającej się w jednym narożniku okrągłej wieżyczki można było wywnioskować, że to resztki minaretu, ~~a tam~~ ~~był tu kiedyś meczet~~. Pomieszczenia duże (nie do ogrzania ~~- pomyślałam~~) ale ja, koniecznie chciałam pracować - wiązałam z tym zajęciem i przetrwanie... Boże! żeby nie tak - jak te dwie siostrzyczki!! a więc znów chcę żyć? - jakżeż się to we mnie szybko zmienia... no właśnie narazie pragnęłam abym tylko została przyjęta i cieszyłam się, a kiedy powiedzieli mi "zawtra przychadzi" i dali mi talony na dodatkowe 20kg chleba, na najbliższe

Agla

6 dni. Tak też nazajutrz stawiałam się do pracy, nie spodziewawszy się, że to się za parę dni skończy. Praca była taka "akurat" dla mnie. Dziwne! - ale ktoś tu zainicjował "produkcję lalek" - to było zupełnie z sensem pomyślane, nakłady prawie żadne, robociźna? - chyba też... i z początku wszystko szło. Kobiety około południa przynosiły uszyte ze skrawków materiału "tułów", "ręce" i "nogi" - i czekały - a my 15sto, 16sto latki usadowieni w rzędzie, przy workach z trocinami z drewna poustawianymi przed nami na ziemi wsypywaliśmy je przez pozostawiony otwór do tych "anatomicznych woreczków" i podawaliśmy tym kobietom, one zaszywały te otworki i łączyły ręce i nogi z tułowiem, i te "korpusiki" przekazywały następnym do przyhocowania głowy, a same brały plik skrawków i szły do domu - i w domu przygotowywały następną "partię" "woreczków" ... i od początku! Przez parę dni ogromnie mocowałam się z głodem, w drodze zjadałam kawałeczek chleba przeznaczonego na śniadanie i chociaż był o parę deko większy, to jednak nie na długo zaspokajał głód. Wracałam stamtąd na tyle późno, że do stołówki już nie było po co iść, - to ~~jedno, a drugie~~ ^{a poza tym} ~~że Staszek już od paru dni nic mi proponował.~~ Chyba po trzech tygodniach okazało się, że "produkcja" musi być wstrzymana gdyż brakuje gazet-makulatury do wyrobu "główek" - tak więc się "fabryczka" rozleciała. Najdziwniejsze że nie pamiętam swojej zapłaty, a doskonale pamiętam rozdawanie nam dodatkowych talonów na 20 dkg chleba - bo pracującym przysługiwało ... 60 dkg! chleba, - wiem, że już o tym wspominałam, ale dobrze, że nie macie dzisiaj pojęcia co jest "być głodnym". Czułam się znów mocno przygnębiona - ale Ciocia Szura też! - już miała na-

dzieję, że mnie uratowała - okropnie po cichutku psioczyła na tę "rzeczywistość". Teraz znów zobaczyłam Mamę "w dziennym świetle" - ale to co zobaczyłam nie napało mnie już nadzieją. Moja - najcierpliwsza z cierpliwych - Mama, kręciła głowę, jęczała, cierpiała okrutne męki, już nie do zniesienia, traciła przytomność miała odleżyny na piętach, nie wiem czy to był jeszcze skutek odmrożenia, czy też to, że przeszło trzy miesiące leżała w jednej pozycji i trzymanie nóg stale w tej samej pozycji tzn. oparcie na piętach - było tego przyczyną. Już dzisiaj doktor Iwan Iwanowicz wcale się do mnie nie uśmiechał, ani nie żartował, ani nawet nie uspakajał - znów przy mnie "pobadał" te pięty, i zazwyczaj mówił nie płacz, wszystko będzie dobrze, a dzisiaj kiwa głową i powtarza: "niecharaszo... niecharaszo... i po chwili coś przebąkiwał: twoją Mamę czeka nowa operacja i to chyba wkrótce...". Z jego stwierdzenia zrozumiałam że między twardą skórą na pięcie a mięśniem nastąpił wysięk, gdyż odmrożenie zaatakowało całą stopę, ale są przypadki samoistnego wysuszenia się takiego wysięku, ale tutaj już nato nie będziemy czekać - oni mają taki sposób mówienia "in gremio" (nie będziemy,) bo serce długo takiego bólu - cierpienia nie zniesie. Już byłam na tyle "w temacie" że perspektywa trzeciej operacji pod narkozą w tak krótkim czasie, przy takim wyniszczeniu organizmu - właściwie nie rokuje nadziei. Musiałam już... już wyjść, bo znów ogarnęła mnie wielka rozpacz. Już nawet nie zwracałam uwagi na to że ludzie się oglądają, zresztą nawet nie wiem... ja się topiłam we łzach, bo bez Niej - ja nie "istnieję". Następnego dnia zdawało mi się, że już jestem wypła-

kana po ostatnią kzę - i bezwzględnie muszę iść do szpitala, bo stan Mamy jest bardzo ciężki, o czym wczoraj wieczorem powiedziałam Staszкови u Cioci Lipy, - bo tu na Gorkiego niechętnie przychodził, - Tak więc z całą zmobilizowaną na nowo dziecięcą ufnością modliłam się a dochodząc do bramy szpitalnej już nawet liczyłam na następny "mały cud". Najpierw jeszcze przytomna wstąpiłam do Gali i dopytywałam się: jak będzie trzymała nogi po zoperowaniu pięt - Gala mi odpowiedziała, że tylko "to" wstrzymuje Iwan Iwanowicza od natychmiastowej operacji, ale przez parę następnych dni "nie prychadi" - czego jej nie mogłam obiecać. Wytrzymałam półtora dnia, biegłam po południu wręcz naosle. Jednak stało się! Mama była już po operacji, bo nogi były na czymś podwieszane w powietrzu - Ona sama - trupio blada i nieprzytomna. Przyszedł Staszek - postać chwilę, otarł łzy i poprostu ... zaraz odszedł. A ja stojąc jak niemal przy katarfalku płakałam jakby "za Nią" dobrze, że tego nie widzi, gorzej! dobrze, że tego nie czuje! Toż to jak sztylet w serce! Nasze miejsce w tej chwili jest tutaj! i tylko tutaj przy Niej... jak mógł odejść ani wtedy - ani po latach nie zrozumiałam. W następne dni - kiedy byłam przy Niej - jak świadek Jej fizycznego bólu - już były chwile kiedy wołałam, aby któraś z nas już nie żyła. Wtedy płakałam już przy Niej i nad Nią. Nie wiem skąd się bierze w człowieku tyle łez, ja się wstydziałam podnieść swoją twarz aby spojrzeć na kogokolwiek. I znów stał się ten "mały Cud" . Moja Mama... żyła, - Wprawdzie było to okupione w dalszym ciągu wielkim i ciężkim cierpieniem, odtąd w każdym razie wiedziałam już że pięt nie można absolutnie sobie lekceważyć, bo ich bolesność

może doprowadzić człowieka "na skraj"
wytrzymałości. Tak więc rany z obcięcia
3/4 stóp były zupełnie otwarte i co tem
raz kiedy wisały w powietrzu było widoc-
ne - były broczące - a do tego doszły
otwarte rany pięt bez żadnej powłoki -
mięso! poprostu skóra z pięt została zdję-
ta. W takich to już okolicznościach - jak
sobie uzmysłowiałam wówczas - mijala właś-
nie pierwsza rocznica naszej deportacji
- był kwiecień 1941 roku! To dopiero rok!
- a my strzępy ludzi, pogranicze unicest-
wienia a jako rodzina prawie, że się roz-
padliśmy, no ja w każdym razie zależę
tylko od istnienia ~~życia~~ mojej Mamy, nie
wiedziałam jak dalece Staszek rozważa tę
kwestię. Aleksandra Afanasjewna - Ciozia
Szura coraz częściej i mocniej przemawia-
ła mi do rozsądku, że jeżeli nie przesta-
nę płakać (~~ale jak ja mam to zrobić~~) to
rana na górnej wardze obejmuje już - ata-
kuje już nos - może się przeorać w coś
znacznie gorszego, bo to już teraz nie
wygląda najlepiej. Ale jakżeż się ustrzec
od płaczu - właśnie - chociażby dziś!!!
Staszek - teraz codziennie przychodził
na "Gorkiego", ażeby się dowiedzieć ode
mnie co z Mamą - przychodził bardzo póź-
no, a może mnie w tej ciemnicy wydawało
się, że to już tak późno, bo przecież on
wracał z pracy - dzięki niej chyba zapo-
mina o głodzie i zachowuje zdrowy rozsą-
dek. Tak więc czekając na Staszka -
wystarczyło przymknąć powieki, aby przy-
wołać na pamięć kwietniowe dni sprzed
roku. Jak na jawie - w tej ciszy, sły-
szałam łomot w drzwi i drżenie szyb od
uderzeń dłonią w okna. Mieszkaliśmy ...
jeszcze przed rokiem w Tarnopolu przy ul.
Korzeniowskiego u Państwa Trojaków, zajmo-
waliśmy dwa pokoje z kuchnią na parterze
a gospodarze zajmowali piętro. Czwartego
kwietnia (1940 roku !!!) w nocy, to czas

8
żerowania szakali - sowieccy bojcy zaczęli łomotać w nasze okna - usłyszawszy to , gospodarz musiał otworzyć drzwi wejściowe no i w nasze drzwi - otworzył im Ojciec, Weszko "trzech" - dwóch było umundurowanych w czapkach z tym przekomicznym piorunochronem i z karabinami. Bojcy "postępowali" za cywilem, który jakby im torował drogę. Stanisław Koralewicz - to wy ? !!! rzucił bardzo służbowo jeden z bojców - Ojciec jeszcze nie zdążył nawet otworzyć ust - a cywil kiwnął głową tak! to on! najwidoczniej był tutejszy i znał Ojca - teraz od niechcienia rzucił "zberajsia - pidesz z nany", jeszcze ~~przed~~ przed momentem domyślaliśmy, że przyszedł po Staszka - bo masowo ostatnio sowieci aresztowali młodzież polską, motywując to przynależnością do polskich organizacji - a jakichże powinni byli należeć na polskiej ziemi? nieprawdopodobne prawda !! Ojciec ubierał się powoli i spokojnie, był poważny, przygnębiony - Mama bez słowa podawała Mu co trzeba do ubrania w takiej sytuacji, a także przygotowywała do teczki "co trzeba" - bojcy tymczasem przeprowadzali dość formalną rewizję, bo już byli dostatecznie u siebie przekonani o tym , że właściwie nawet nie potrzeba pretekstu aby "wyrok" został wykonany. Otwierali naprawdę szafki, szafy, szuflady ale nie wyrzucali ich zawartości na podłogę - nie pamiętam czy Mama zapytała pod jakim zarzutem jest nakaz rewizji i aresztowania - chociaż byłoby to bezcelowe - bo oni nie potrzebowali się tłumaczyć z aktów przemocy - ani wtedy - ani do dziś !!!!! Wiedzieli, że na kresach nikt dla nich nie będzie "błagonadziożnyj" - przychylny - lojalny - to Polacy patriotów! Łatwo więc było taką listę przestępstw spreparować spodziewałem się, że przy pomocy podszeptów i nie trudno się domyś-

leć czyich - "nkwdziści" pracowali więc pełną parą. Zresztą wszystkie środki do zniszczenia Polaków były dobre i należało je angażować - tak więc Niemcy na zachód od Bugu, a Sowieci na wschód od Bugu dokonawszy czwartego rozbioru Polski przystąpili natychmiast do niszczenia Polaków. Ojciec ubierał już - płaszcz - Mama podała mu ten podbity kołuchem! i wreszcie teczkę tego już co tam włożyła, nie wiem - a szkoda! bo to ciągle jeszcze warto wiedzieć! - no i już bojcy skierowali Ojca do wyjścia, Mama zapłakała głośno - Ojciec cofnął się od drzwi i Uściskał mocno nas i Mamę najdłużej - no i tyle ... i nie ma wiadomości żadnej do dziś... co było potem? - potem codziennie Mama chodziła dowiadywać się czy gdzie jest, czy mogłaby coś podać, czy mogłaby uzyskać widzenie? - no już trudno o wyszukawszą perfidię... właśnie widzenie i podanie paczki wyznaczyła na ...nono ...no no właśnie na 13 kwietnia, bo w tym dniu w nocy byliśmy wyznaczeni już przez nkwdzistów do wywiezienia! W mieście słyszało się, że w okolicy dworca kolejowego gromadzone są duże ilości bydłowych wagonów - mówiło się "znów będą Polaków wywozić" - nie można również pominąć faktu, który okazał się w skutkach bardzo dla Polaków groźny. Po trzech - czterech miesiącach "szarogęsienia" się na naszych ziemiach porozlepiano w mieście obwieszczenia, że w jakimś tam terminie należy złożyć "papiery" - wyszczególniono jakie: więc metryki urodzenia, ślubu, dyplomy, świadectwo wyuczonego zawodu, certyfikat przynależności państwowej, dokumenty emerytalne do "pasportnego biuro" gdzie zostanie dla każdego obywatela założona ewidencja i następnie każdy otrzyma sowiecki pas-

port - już jako "grażdanin sowieckiego gosudarstwa" - już jako obywatel sowieckiego państwa. Tak zupełnie niewinnie, pozbawiali Polaków tożsamości - a Mama otrzymała zawiadomienie, że "sowiecki paszport" należy odebrać w "paszportnom stole" ... 13 kwietnia (1940 r.) jak również złożone tam dokumenty - a nas 13 go kwietnia wywieźli i pozbawili nas więc wszystkich dokumentów - ale i przyjemności przyjęcia "sowieckiego grażdanstwa" ... a coraz bardziej przypierani do muru w 1956 r., w 1968r., w 1970 r., w 1980 tłumaczyli się poprzez nasze partyjne organa, że Polaków wywozili w przededniu wojny ... a owszem też! też! - ale akcję wynarodowienia ziem polskich i wyniszczenia Polaków podjęli od chwili wkroczenia do Polski! i wówczas o wojnie jeszcze nie było mowy, bo sojusz z Niemcami wręcz kwitł! - wiem, że się powtarzam, ale sowieci powtarzali wywołanie - opracowując co parę miesięcy następną listę Polaków. Kiedy siedzieliśmy już na tobożkach w wagonie - obok innych, wagon wypełniał się "skazancami" - tyle osób, a taka cisza przynębiająca cisza - trzeba było widzieć twarze tych ludzi - te zszokowane twarze matek, które się nie odzywały, a myślały wyrwały się stąd do swojego domu z trudem "postawionego", do swojego miłego mieszkanka, chociażby jeszcze raz wejść - na chwilę, na chwileczkę ... może zabraknie jakieś miłej zdjęcie... obraz, "pamiątkę od ...", serwetę, firankę, książkę, album sukienkę, kolczyki ... bo ja wiem co?? coś co chcę mieć przy sobie - jak w domu - coś co kocham, co znosikam tu całe życie gniazdko lepiłam dla siebie, dla rodziny - ale muszę robić to co "przenoc" mi każe ... może tak myślały? ... a może jeszcze inaczej? Ponownie się ocknęłam z tej

ze swojej zadumy nad tym wszystkim - jak trudny był dla nas ten cały drugi 1940 rok i mijające już cztery miesiące 1941 roku wydają się zupełnie niemożliwe, - no, że to jeszcze - żyjemy! - ja tu sama na ul. Gorkiego - ale oto i Staszek - mówi, że wraca z "bani" jest cały spocony więc po- będzie ubrany, żeby się nie przeziębć i wtedy sobie uzmysłowiałam, że nie dziwne go, że ciągle się śpieszy - on sam wszyst- ko "robi koło siebie" i jeszcze o mnie w jakimś tam stopniu się troszczy - a przecież po nim też łażą wszy, gniewają się we włosach w odzieży, gryzą, łażą po ciele, po poduszce - przecież on też musi być zmuszony jakoś to tępić - właśnie też wraca z kaźni... a w Polsce - w Ko- ninie spotkałam zupełnie nielicznych Po- laków, którzy coś by wiedzieli o tych "wywiezionych przez sowietów na Syberię Polakach"! Staszek wysłuchawszy mojej bardzo smutnej relacji "jak dzisiaj zna- lażłam Mamę" też bardzo posmutniał - zamyslił się, ale po chwili już kiedy "miał się do wyjścia" - powiedział mi na odchodnym, że rozważa propozycję ko- legi, żebyśmy zamieszkali "u niego". Wynajął u kazacha - opuszczoną lepiankę - bo w mieście i takie były! - i proponu- je abyśmy zajęli dla siebie jedną izbę - a on będzie mieszkał w drugiej, Staszek twierdził, że to będzie dla nas znacznie korzystniejsze, bo ten kolega za tę le- piankę płaci niewiele - no i z tym opa- łem nie będziemy tacy "nękani" jak tu. Poza tym z chłopcami z którymi mieszkał musi się rozstać, bo ich stamtąd wyrzuca; kazaczka, bo nic jej nie płacą! i no i się nie meldują! a już tak długo mieszkają pół roku, że dłużej bez zameldowania ona się boi ich przetrzymywać - bo Staszek jest zameldowany na Gorkiego - razem ze mną. Co do mieszkania, wogóle się nie

wypowiadałam, ja nie wiedziałam, nie miałam żadnego wyobrażenia co w tej sytuacji należałoby zrobić - tak też poszłam za Staszkiem kiedy późnym wieczorem po paru dniach poprzemieniłam z kolegami te już bardzo szczuplutkie nasze tłumaczki. Doskonale sobie zapamiętałam, że w izbie było lodowato, że ten kolega swoją izbę nie opalał całą zimę, a my też nie mamy rubli ażeby kupić chociaż trochę opału. W sumie było piekielnie zimno - i na noc się wogóle nie rozbierałam, tylko przykrywałam pierzyną. Byłam z dnia na dzień słabsza, ulgę sprawiało mi leżenie a co najważniejsze - spanie, ciągle chciałam tylko spać, dużym wysiłkiem woli dźwigałam się z barkogu - a było to już żelazne kółko, które w tej izbie zastaliśmy a co do którego "ten kolega" nierobił sobie pretensji. Przez parę dni kołdra spełniała rolę siennika, a po paru dniach Staszek przyniósł jakąś sztywną płachtę i kiedy ją podścieliłam pod kołdrę to już było mi znacznie wygodniej spać, bo już się tak nie zapadałam między te szeroko rozstawione szczelbelki. Staszek przeprowadził się tutaj ze spaniem dopiero za parę dni z tym swoim siennikiem, a tymczasem na podłodze rozkładał starą cienką kaszmę - zupełnie nie wyobrażalne, że on taki skłonny do przeziębienia do kaszlu - to znosił, przecież temperatura tej izby nie odbiegała wiele od temperatury na dworze. Mama, chociaż bardzo słaba - coraz żywiej już rozpytywała mnie np. dlaczego wczoraj nie przyszedłam, chciała dokładnie wiedzieć czy co. Jadałam - czy chodzimy do stołówki w duchu za dobry omen - tymbardziej, że Iwan Iwanowicz znów się do mnie uśmiechał "wiernuś nasz Mama!" wróciła nam Mama! odczytałam to, że niebezpieczeństwo pewnie zostało zżegnane? ale myślę o tym jeszcze bardzo nieśmiało. W drodze ze

szpitala - jak zawsze, wstąpiłam i dzisiaj do pań Afanasjewnych. Miałam cichy żal do Cioci Lipy, że mimo, że jej opowiedziałam, że bardzo mi trudno znieść to zimno w tej "nowej" chacie - to Cioc² Lipa nie zaproponowała mi żebym u nich spała - zorientowałam się, że już nas "palaczków" miała po dziurki w nosie. Ciocia Szura natomiast miała większy dystans "do sprawy" - bo prawie, że byłam gościem w domu, ile razy więc ją spotkałam wysłuchiwała mnie w skupieniu, wiedziałam jej szczere współczucie i pragnienie udzielenia mi pomocy - wniesienia jakiejś zmiany, czułam, że mój los spędza jej sen z powiek. I w ostatnim dniu kwietnia pani Szura z niescierpliwością czekała na mnie - z nową wiadomością: - którą podjęła bez zbytecznego wstępu: słuchaj - powiedziała - zgadałyśmy się dzisiaj na dyżurze z moją koleżanką o tobie (Boże i o mnie!!) i wiesz co! ona byłaby skłonna ciebie przyjąć "za życie i ew. ubranie" - do pilnowania czy jak wolisz opiekowania się jej dwojgiem dzieci - podczas gdy oni oboje z mężem są w pracy. Jej praca wiąże się z dyżurami - musiałabyś poprostu u nich stale mieszkać. Pewnie dzisiaj doznałabym ukłucia, że tylko tyle moja praca może być warta - "co jedzenie", bo przecież odzieży nikt nie jest w stanie zniszczyć na sobie przy takiej pracy, to ją zostawię! więc trudno to ująć w koszt pracy, ale to dziś - a wtedy ... już nie miałam ani chwili do zastanawiania. Staszek tę wiadomość skwitował stwierdzeniem: no sama widzisz, że w tej sytuacji - w tej "chwili" nie ma żadnego wyboru - a napewno będzie ci tam lepiej niż tu - no już szczególnie w tym "mieszkaniu" - ¹/₄ dla mnie też to ogromna ulga nie myśleć, że

przemierasz głodem i nie poradzić na to nie potrafisz. Potem sprawy potoczyły się bardzo szybko - pani Szura zaprowadziła mnie, zarekomendowała - (jak służącą przed wojną) ale i nie można się dziwić bowiem miała mnie przyjąć pod swój dach i zostawić ze mną swoich dwoje dzieci - dwóch synków. Andżelika Nikołajewna przyjęła mnie bardzo sympatycznie - aż się w "głębi" dziwiłam, bo wyglądałam wręcz odrażająco. Smutna, zapyziałą, chuda - z tymi krwawiącymi dziąskami, z wielką wysiękową raną na górnej wardze, nos obolały w strupach - w sukience i ciasnej i krótkiej, dziwne! że rosłam mimo takiej nędzy - też i z płaszczyka granatowego polskiego - zawszawiona od głowy po nogi! Prosto już tam zostałam! Andżelika Nikołajewna była lekarzem - specjalistą jak się wkrótce oskuchałam - specjalistą na od "brucelloza" - ledwie, że zapamiętałam ale jakoś nigdy nie dociekałam co to za choroba. Najpierw zajęła się ona, moimi rozjątrzonymi ranami i przynosiła mi jakieś mazidła i systematycznie opatrywała mi te moje strupy. Po kilkunastu dniach wszystko to "poschodziło" - no tu miałam warunki do mycia! tak, że wkrótce byłam "jak nowa Leszka!" Natomiast zupełnie nie zdawałam sobie sprawy z tego, że tak przeżyję zmianę "stroju". Toż nie do wiary - nawet nie potrafisz tego określić, to coś w rodzaju "więziennego stroju" - jakbym weszła w inną skórę, która do mnie nie jest w stanie przylgnąć - jakbym ten ubiór "robił" ze mnie rosjankę! - to było nie do zniesienia. Byłam tak skrzepowana tymi drelichami, że zdawałam sobie, że w nich nie pokażę się na ulicy. Niemniej sytuacja była przymusowa - zupełnie bez jakiegokolwiek wyboru - przecież w sumie dookoła mnie było czysto, ciepło i nie by-

łam głodna. Andżelika Nikołajewna była z dystansem - ale odgadująca moje pragnienia, kiedy szłam do Mamy - a było co-raz rzadziej już nie codziennie, tylko w "wychadnoję" - dawała mi w miseczkę jakiś domowy makaron - (łapsza), smażone takie ich "pierożki" - czy nawet zupę, co miała, to znaczy... wiedziała, że tego pójdę, więc mi przygotowywała wcześniej. Mama potraktowała tę moją "służbę" jako kolejne nasze "ugnębienie" i upokorzenie. Wkrótce jednak przystała na taką sytuację. do pracy byłam zawsze przychylnie przypasabiana, no i też już nie cierpiała, że chodzę głodna, że dotkliwie dokucza mi zimno i że już tak nie gnębią mnie wszy, to znaczy nie takie ułości, bo tam się nikt od nich nie jest w stanie wybronić. Chyba też ta moja nowa sytuacja miała jakiś wpływ i na zdrowie Mamy. Czuję się już mocniejsza - to już był maj więc mijало pół roku - nie przebywania w szpitalu - ale leżenia! z tym, że w ostatnich odwiedzinach zauważyłam, że już może zmieniać pozycję leżenia. Z twarzą już zeszła całkowicie ta czarna skorupa strupów, ręce zupełnie wybielały - zastawałam Mamę przy najzłotniejszej pracy. Pielęgniarki przynosiły Jej codziennie całą stolicną gazy i takich różnych drewniek do owinięcia wata, wacików i Mama to w ciągu dnia "przerabiała" na elementy niezbędne przy operacjach i przy opatrunkach pooperacyjnych, przy zabiegach. Jak patrzyłam na te sterty tych przez nią wykonanych "nawet nie wiem jak to nazwać" - to mocno się dziwiłam skąd i jak się potrafiła nauczyć robić tyle "wacikowych" dziwulagów. Dopiero teraz - po pół roku mogła mi opowiedzieć jak doszło do tej tragedii - tego strasznego odmrożenia. Przyszedł też ten drugi kaleka - Rysiek i tak oboje, bo Staszek

Volmer

nie miał tyle czasu, żeby przy Mamie dłużej posiedzieć, ciągle mu coś "wypadło" i musiał zaraz iść, a Mama do tych jego zajęć wdnosiła się z wielką wyrozumiałością (ale jak np. nie przyszedłam w niedzielę, bo Andżelika Nikołajewna miała "dziżurstwo" - to Mama robiła mi wymówki w rodzaju "no już jesteś całkowicie pochłonięta innym domem", że to już Matka mnie nie obchodzi!). - Ciekawe czy miała poczucie "winy", że nie jest w tym miejscu sprawiedliwa? - a mnie było jednocześnie i przykro ... i miło, że Mama na mnie czeka (ja... myślałam wtedy, że chyba najbardziej!) Czułam, że staję się inna - było mi znacznie łatwiej, nie byłam taka smutna, ugnębiona, zdaje się, że nawet uśmiechałam się i nabierałam dla ludzi życzliwości. Rysiek zdaje się odczytał jako mrugnięcie w jego kierunku bo jak tylko przychodziłam to zaraz też się zjawiał i nie zostawił nas nawet na chwilę, a kiedy to "coś" spostrzegłam byłam znów spięta i poważniałam - a kiedy jeszcze dowiedziałam się, "że z tobą można fajnie porozmawiać" - to niby ze mną - np to już byłam zupełnie nienaturalna. Zupełnie jasno wiedziałam, że w "nic" nie mogę się angażować - a skoro moje serdeczne współczucie dla kalectwa jest - czy mogłoby być inaczej odczytywane - to dla mnie jest to sygnał, bo usposobienie mam "serio" i w żadne tam takie zabawki z tyle lat starszym ode mnie panem absolutnie nie mogą wchodzić w grę. Tutaj na wygnaniu, nie potrzebuję żadnych "adoracji" - nie chcę żadnych przyzwyczajęń, dodatkowych cierpień, tęsknot. Muszę się "sterować" na niechęć... choć! Te wszystkie stwierdzenia tak przy okazji swego rozpoczętego piętnastego roku życia - a ujawnione akurat przy tej akurat - okazji.

Mama właśnie już coraz pewniej radziła sobie z bolesnością tych kalekich nóg żeby tylko jaknajmniej absorbować sobą pielęgniarki. Jak tylko potrafiła, coś bie pomagała i podkładała różnej wielkości wałeczki pod ścięgna przy kostce, tak żeby te obolałe pięty były cały czas w powietrzu - zająrzędam pod te "zwały bandażów" - to na piętach narastała błona, - coś jakby białkiem mięso posmarować - a te amputowane stopy! - to utrzymujący się "żywy" przekrój - nie zaciągający się nawet najcięższą błoną. Nie wiem czy pamiętała nawet, że przed paroma dniami skończyła 44 lata ... i lepiej żeby sobie tego nie uświadamiała, że już została obciążona kalectwem - z którym - jeszcze nikt z nas nie ładuje sobie sprawy jak sobie poradzi, trudno nie dodać w tym krańcowym prymitywie syciowym jaki tutaj dookoła się rozgrywa. A dzisiaj - tak jakby to sobie sama zaczęła przypominać "jak to by było" - kiedy w ten feralny wtorek 17-go grudnia (1940 roku) poszła do pracy. Dzień był pogodny i jeżeli można było być z czegoś zadowolonym - to właśnie kiedy sobie uprzytomniła jaki to smut drogi ma do przejścia - właśnie była "zadowolona", że nie ma wiatru, bo wówczas ten siarczysty mróz połączony z wiatrem zapiera dech, że przed "staniem" do pracy już zmęczenie usuwa człowieka z nóg - pewnością też osłabienie - z głodu - miało tu swój "udział". A po pracy - to już była "głęboka noc" - kiedy zbierała do torby wszystko to "dziś" dostała więc "trochę" sera, troszkę maślanki, litr mleka i czekała jeszcze na chleb. Ta fosjanka - "maszyniści" u której Mama miała "metę" - odradzała Mamie czekać na chleb, że to "jutro sobie odbierziesz !" - mówiła, ale Mama wiedziała

"swoje" - dzieci czekają ... Boże przecież rano nic nie mają tylko ten kawałek chleba i to mleko, nie mogą ich tego posiłku pozbawić - przecież z tym czekają na mnie aż do wieczora. No więc zapakowawszy do torby "te datki", ruszyła w drogę jeszcze przed 21szą - trzymając banieczkę z mlekiem i torbę w jednej ręce, bo drugą mimo rękawiczek trzeba było mieć wolną aby ją grzać za pazuchą na zmianę - mówi, że bardzo się śpieszyła bo mgła gęstniała. Do naszego baraku droga wiodła przez "czysty step" - no więc właściwie nie było wydeptanej drogi ani ścieżki tylko Nana tak szła codziennie "naprzekaj". Codziennie bardzo tę drogę "przeżywała", bo ogromnie się bała wilków. Po pewnym czasie, kiedy już na wyczucie czasu wiedziała, że powinnym się zarysowywać kontury baraku w którym mieszkaliśmy - a niczego takiego jeszcze nie było, przystanawszy nie dostrzegła we mgle właściwie niczego, więc szła dalej w pewnym miejscu znów się zatrzymała i wydawało się Jej wówczas, że poszła "za daleko" zawróciła i kiedy po jakimś czasie nie dojrzała żadnych "znajomych" oznak Dżoł-Kuduku, dotarła do głębi jaśni, nieprawdopodobne konstatacja: zbłądziła! no ale stać na jednym miejscu do rana niepodobna, a iść? dokąd iść? w którą stronę? Groza tego stwierdzenia wznagała się w miarę utwierdzenia się w niej! Trzeba było przemawiać sobie do rozsądku, który nakazywał nie przystawać tylko - chodzić więc szła w "jakimś tam" kierunku - przed siebie... coraz bardziej zmęczona, coraz bardziej zniechęcona, co sprawiało duży spadek sił - zahęć ukucnięcia - a może by przysiąść poprostu tak na ziemi - nie! nie! to pewna śmierć! - a tam dzieci! więc szła ... jak długo tak błędziła nie wie! Straciła poczucie czasu - a właściwie to

1941

jakby się zatrzymał - bo noc trwała...
i trwała... i zdawało się, że nigdy już
nie nadejdzie świt. Zdało się, że potrze-
ba jakiejś nadzwyczajnej wyobraźni, aby
odczuć jak może się czuć człowiek w noc-
nych ciemnościach, we mgle utrudniającej
poruszanie się, w dodatku na zupełnie
nieznanym terenie, na mrozie, który już
paraliżuje, z trudem stawia się następny
krok - analogię do tego wydarzenia zna-
lazłam w tragedii jaka wydarzyła się w
zimie w 1980 roku, kiedy to trener z gru-
pą młodzieży poszedł na treningowy marsz
w góry - zbłądzili - i w tę jedną noc!!
zginęło - zmarło kolejne trzech najstar-
szych chłopców - dojrzałą wyobraźnią
oceniali sytuację i to wraz z dotkliwym
zimnem - mrozem! ich równocześnie parali-
żowało. To co przeżywała w tę noc moja
Mama na tym stepie - jest dla mnie prawie
że nie wyobrażalne - może trochę na po-
czątku, ale w miarę upływu czasu - no
grudniowy ranek mógł nastąpić - nastać
dopiero za 10 godzin licząc od wyjścia
z "maszozawodu" - jakaś to pociecha na
takim bezdrożu! Tak idąc "przed siebie"
doszła do jakiegoś terenu, gdzie pod śnie-
giem wyczuwało się grząskość i nogi co
chwilę zapadały się, aś trafiły na wodę
pod tym śniegiem - przemarznięte nogi, do
których przesiąkała woda przez wojska, bo
była w "walenkach" - te nogi ... nie na d-
ługo mogły jeszcze posłużyć do chodzenia
- z rąk, które sztywniały spadły rękawice
ki, nie mówiąc o torbie czy banieczce -
starała się sztywniejącymi palcami prze-
bierać pamiątki różańca - a na drętwieją-
cych policzkach zamarzały strużki łez.
A Ona krok po kroku im bardziej słabła
tym bardziej "dążyła"!! Nie wiem co mówi-
ła swemu Bogu w tę noc, którą resztki
świadomości oceniały już jako ostatnią -

- jakimi słowami domagała się wejrzenia z litości... nawet nie jestem pewna czy nawet wtedy ... dla siebie ...! nigdy się nie dowiedziałam czy w tę noc ani na tej chwili nie zachwiała się Jej bezgraniczna ufność... właśnie mówiła, że coś się zaczęło rysować we mgle - a kiedy jakoś dotarła do tego miejsca, więc nie ... to nie były oczekiwane domostwa zanurzone w cieniu nowy i mży - to były stogi siana. W świadomości odnajdywała ten teren - tak to już było поближе Иртыша, no! no! przecież to bardzo daleko od Дзюл-Кудuku, czy to możliwe żeby uszła taki szmat drogi. Znowu coś się zdarzyło co zaczęło pochłaniać Jej uwagę - oto cisza nocna niesła echo zmagania się człowieka z "zaprzęgiem", bez zastanowienia też zaczęła wzywać ratunku i zatrzymała się, wołała, ile jeszcze miała sił - a kiedy znów chciała iść w kierunku skąd te "odgłosy" dochodziły, zorientowała się, że nogi już całkowicie odmówiły posłuszeństwa, że bezwładnieje, - i dała się teraz słyszeć tętent kopyt końskich po zmrożonej ziemi i nawoływania, a po chwili jakby wszystko ucichło... ach to były chyba najaczenia - to "światliki" nic innego! ale jeszcze zaczęła wołać - no i ... I tętent się ponowił i człowiek na koniu zbliżał się i wreszcie dotarł... do Mamy. Zszedł z konia, wlokąc się w długim kożuchu a drugi taki strzep trzymał w ręce a ty co tutaj - wilki ciebie napadły, cośtam mówił do Mamy, rozpoznała po "narczczu", że to kazach, - ty co zamarżała Mama odpowiedziała mu, że zbłądziła, że tak idzie od Дзюл-Кудuku! no co to była za rozmowa - to ja już sobie wyobrażam, bo znam "rosyjski" mojej Mamy... no a kazach znów po swojemu kalecząc "rosyjski" powiedział, że tu bardzo niebezpiecznie

bo wilki podchodzą do koni i w pobliże stajni z wożami które są niedaleko stąd i ludzi się wcale nie boją! Trzeba się z tym załadunkiem siana uwijać, żeby się do koni nie zbliżyły - bo konie potrafią uciekać i "roznieść" cały zaprzęg, ach! więc Mama zdażyła ich usłyszeć w tym czasie - raczej powiedzied zdażyła ich tu "uchwycić" - tymczasem kazach narzucił na Mamę ten kożuch i trzymając jedną ręką konia - a jedną ręką Mamę, a raczej za kożuch przy szyi - niemalże już Ją ciągnął. Teraz dopiero droga wydawała się się bardzo długa, Mama spodziewała się że wrzuci Mamę na wóz i już nie będzie musiała iść, bo też już i nie mogła, prosiła kazacha żeby Jej pozwolił "na wóz", ale kazach był nieubłagany - "tak zaraz zamierzysz"! No i zarysowało się kazachskie zabudowanie dobrze już Mamie znane z Kżył-Kuriana - tu mieszka "Kara-ulszczyk" - stróż co pilnuje tych stogów siana... nieprawdopodobne! już nie wspominając o tym, że był rozespany w domu, to nasuwa się pytanie czy wogóle kiedykolwiek go tu widział nocą - zresztą przed kim? latem tu woda, bo Irtyś tę część zalewa - a teraz zimą mróz, przestrzenie, kto tu dotrze! ale nie ma w tym ustroju bezrobocia?!!! - musiałam tę swoją uwagę tu wtrącić! - ~~Ja~~ kazach podprowadził Mamę pod chatę, zastukał w okienko przy siemi - drzwi (wrota?) otworzył starszy już kazach coś tam burmocząc pod nosem, a ten zsunął z Mamy kożuch wtrącając Mamę do izby powiedział coś w rodzaju "masz tu zamieszkuju" - cofnął się wsiadł na konia i odjechał - "tak się rozstałam z prawdziwym moim wybawcą". "Stary" wpuszczył Mamę do kuchni - w palenisku przy ziemi karzyły się jeszcze ki-ziaki. Przyszła kazaczka - prawdopodobnie

żona tego starego - przetarwszy parę razy
oczy przysiadła na podłodze naprzeciwko
Mamy i dobrą chwilę przypatrywała się Ma-
mie, za chwilę wstała kiwała głową z po-
litowaniem i ścieląc Mamie derkę na podko-
dze przy "kuchni" biadała "ojojoi!czto
zdziełał!!! - (tak mówili jak Kali) Mama
zrazu szczęśliwa, że jest już "pod dachem"
po chwili wiła się z bólu, ręce, twarz
a szczególnie nogi łamały. Poprosiła ka-
zaczkę o miseczkę zimnej wody - kazaczka
do dziwne zrozumiała i podała. I chociaż
ciąż się przyglądała, że obie ręce Mamy
nie mieszczą się w tej maleńkiej miseczce
- większej nie podała. Mama jak mogła tak
obie ręce zanurzała w tej zimnej wodzie
i dotykała nimi twarzy - ale to nie wiele
pomogło. "Wszystko" było zdrętwiałe i
skostniałe. No - a już koniecznie trzeba
byłoby zdjąć walenki - chwilę się mocował
ła, ale ręce już były niezdolne do wyko-
nania - czy do pokonania takiego wysiłku
bardzo bolały, zaniechała więc tej "ope-
racji" - a stary kazach, rankiem zoba-
czywszy na Mamy nogach "pimy" - rozka-
zał: "snimi pima"! - zdejmij walenki!
a Mama wtedy powiedziała mu, że nie może!
Przysiadł więc, próbował, ale były mokre
i chyba przymarznęte do nóg - tak, że
absolutnie nie "schodziły" - nie wiele
się zastanawiał odciął nożem cholewki, a
następnie też nożem porozcinał je aż do
palców i wtedy raptownym szarpnięciem
zerwał resztę tego obuwia z nóg ze skórą
szczególnie z boków stóp włącznie. Palce
już puchły i siłniały, ba! czerniały!
Kazaczka coś tam Mamie podała do jedzenia
Wkrótce Mama się zorientowała, że nie mo-
że się poruszać o własnych siłach, tego
samego ~~dnia~~ dnia - we środę to jeszcze na-
ciągała Mamie kazaczka na nogi te obcięte
pimy i wyprowadzała Mamę "na dwór" - ale

we czwartek, już kazaczka zwróciła się do męża - i on Mamę wyprowadzał. Teraz z godziny na godzinę ból stawał się dotkliwszy - puchła twarz, ręce i nogi - wszystko jednocześnie siniało i czerniało. Mama mówiła, że bała się wydać głoseńszego "ajku" - aby Jej nie wyrzucili. Tak jak w pierwszym momencie myślała, że dach nad głową, ciepło, to będzie "wszystko czego pragnie" - to po tych dwóch już dniach cierpienia i patrzenia na swoje ręce i nogi, bo twarzy nie widziała - chciała nie żyć... zresztą chwilami to wydawało się Jej, że to już jest Koniec! bo prawdopodobnie z bólu traciła przytomność. Mobilizowała się jednak w sobie i chciała jakoś zaradzić temu nieszczęściu więc kazachowi tłumaczyła, że dzieci Jej są w Dżoł-Kuduku, żeby jakoś im dać znać a kazach na to kiwał głową i w kółko powtarzał "daleko! o! daleko! - tutaj nikt nie przychodzi, bo w pobliżu nie było domów, ani osiedli, Tak więc ani oni, ani tym bardziej Mama nie wiedzieli co mają począć - a tu Środa, czwartek, piątek ciągnęły się w nieskończoność i na wydestanie się stąd nie było sposobu. Może nawet dla nich sprawa nie była aż tak skomplikowana - ileż Mama w końcu mogła z tym w tym stanie wytrzymać - dzień może dwa... i .. umrze! Na tych przestrzeniach nie ma mowy o tym, żeby komuś dać znać - żeby wezwać lekarza - o takim czymś to nawet nie mają pojęcia! Tutaj rządzi zbieg okoliczności - czy też "przypadek". Ale ja to go co uratowało moją Mamę - nie nazwę po imieniu, Właśnie w piątek przed zupełnym zapadnięciem zmroku do chały zapukał zbiegnięty, poprosił, że jest w drodze z Pawłodaru i czy może się "zagrzać" - a z mowy... tej nieudolnej odrazu można było rozpoznać Polaka ... ! prawda, że to nie do wiary? - a jednak... tak było!

toż to aż wypowiedzieć trudno! - tak i wszedł młody chłopiec Polak. Wszedł rakiem z Pawłodaru i zdążył "do domu" do matki na "uczastok" niedaleko Dżoż - Kuduku. Kazachowie - małżeństwo, jakimś cudem "odeczytawszy" kwestię, zgodzili się go przenocować i w dalszą drogę wyszedł bardzo wczesnym rankiem kiedy jeszcze się nawet nie rozwidniało - bo musiał złożyć z drogi aby dać mi znać o Mamie - i jeszcze przed nocą zdążyć dojść na ten swój "uczastok", - to filia, czy też oddział. Tego chłopca rozpoznałabym wśród tysiąca! W piątek stan już był widocznie krytyczny - bo kazaczka widząc, że Mama już zupełnie na nogi stanąć nie potrafi, przyniosła Mamie blaszankę - że Mama załatwiała się "w mieszkaniu" ! U nich jest to wyczyn absolutnie ewenementalny - ich bowiem obyczaj nie pozwala się załatwiać w pomieszczeniu, w którym się je . To co ci kazachowie uczynili dla Mamy, było wyrazem ich ogromnego dla Niej współczucia i litości - a ja nie pamiętam ... czy im nawet podziękowałam! Teraz ... więc ściskam ich oboje, ale znając ich nie wiem jak zdobyli się na tyle życzliwości - a jeżeli są już na tym świecie - to Panie... proszę ... dopuść ich do oglądania Twojej Świątkości! W niedzielę 22 grudnia 1940 roku około 13 godziny zabrałam Mamę od nich do bolnicy do Pawłodaru. Od tego momentu mija pół roku - i ja z "bolnicy" wracam właśnie "do pracy". Andżelika Nikołajewna niekiedy zwracała mi uwagę, żebym w szpitalu nie przesadywała tak długo, gdyż nie pozwoli mi iść w następną niedzielę - jednym słowem, zaczęła przykręcać śrubę! Andżelika miała lat... bo ja wiem może 38 a może 36, była kobietą zgrabną, niewysoką, szczupłą i bardzo zdolną. Sama dla siebie szyła, prala, prasowała, cerowała, gotowała

była rezolutna i rozmowna - kazała mi się przyglądać jak prasuje, jak myje, bo te czynności będą musiała wykonywać. Często potrafiła wyrazić swój podziw na dokładnie posprzątany "dom", bo tak w środku to wszyscy byli przekonani, że Polaczki to takie "wielkie panie", że wszystkie prace domowe ktoś tam za nie wykonywał. Poza sprzątaniami nosiłam wodę - z Irtysza do prania to była duża odległość - jakieś 900 m - nie mówiąc o tym, że powrotna droga z napełnionymi wiadrami wiodła mocno pod górę - tak, że wiaderka na nosilkach trzeba było mocno przytrzymywać aby się nie huśtały. Wodę natomiast do jedzenia - nosiłam od sąsiadów zupełnie blisko, może 70 m. Ponadto ubierałam dzieci i się z nimi bawiłam - wkrótce umiały śpiewać "kólecko siem krenci". Wszyscy zwracali się do mnie imieniem - nieco je zruszczając - per Jeleszka, bo u nich jest w "obiegu" imię Jelena, chyba to jest od naszego Helena, ale to żaden w końcu problem. Ten drewniany "dom" na wysokim podmurowaniu - o wielkiej jednej izbie i tejże wielkości sieni, kupili niedawno, usamodzielniając się tym samym od rodziców - u których dotąd mieszkali no starszy syn ich miał chyba 6 lat a młodszy ze 3 latka. Dobrąwszy do następnej niedzieli - Andżelika Nikołajewna niepomna już swojej srogości - znów coś mi tam uszykowała dla Mamy do szpitala. Ze Staszkiem spotykałam się już tylko w szpitalu i od niego dowadywałam się co pisze Mietek. Z Ciocią Lipą i Ciocię Szurą już się zupełnie nie widywałam. W tę niedzielę Staszek też w szpitalu "nie zabawik" więc zaraz po jego odejściu przyszedł Rysiek aby opowiedzieć nam historię swego kalectwa. Z jego relacji zapamiętałam tylko tyle, że ich - t.zn. jego z rodziną, wywieśli - jakby to już krócej powiedzieć, to

"tutaj" ich przywieźli już późną jesienią. Zetknięcie się z tym co tutaj im sowieli "zgotowali" było dla niego szokiem - wiedział, że apatia na nic się nie zda jest młody, więc może siły mu pozwolą aby stamtąd się wyrwać - uciec. Kiedy zamiar dojrzał, wyruszył w piękny zimowy słoneczny dzień. Tutaj wyobraźnia ^{też} na nic się nie zdała, bo zostanie - tam ~~gdąś~~ ^{gdzieś} ich "arzucono" - czy też ta wyprawa w ciężki mróz syberyjskiej zimy była niemalże jednakowym ryzykiem, a ucieczce przyświecał jakiś cel - chęć ocalenia siebie a może nawet jakimś cudem swoich bliskich. W drodze nastąpiła zmiana pogody - "przyszędł" huraganowy zimowy wiatr - taka zawieja - tutaj wszyscy określają to słowem "priszło buran" i ten buran zdaje się że tak mówił Rysiek ó trwał 5 dni, aby iść nie starczało sił, zresztą wtedy to już zupełnie nie wiadomo dokąd, tak więc aby się jakoś ratować, zdołał wydrążyć w nawianym śniegu taką ziemiankę i w niej przesiedział - co zupełnie niewyobrażalne ale tak było te pięć dob - całkowicie bez jedzenia w cienkim polskim paltociku - na dworze! uratowało go to, że tę ziemiankę wydrążył tuż przy drodze po której szedł i następny przypadek, że po tym "buranie" - przejeżdżał tą drogą jakiś konwój ciężarówek z drewnem do stacji żelaznej drogi w Pawłodarze, ale czy to było do Pawłodaru jeszcze 300 - czy 500 km nie wie i takim cudem zostało mu uratowane życie, natomiast Iwan Iwanowicz już nie mógł uratować mu ręk - ściślej dłoni u obu rąk. Patrząc na niego, bardzo mu współczułam - toż to wielka tragedia tego młodego chłopca. Kierowcy którzy trafili na jego ziemiankę na drodze, obiecali, że dadzą znać jego rodzinie - i chyba słowa dotrzymali, bo mówiła mi Mama, że chyba

jego matka i siostra zabierały go ze szpitala. Na dworze było już coraz cieplej, i Andżelika Nikołajewna w każde sobotnie popołudnie i niedzielne angażowała całą rodzinę w "działkę" - tutaj określenie było zbliżone do naszego "basztan" - oni mówili "bachcza" - pole arbuzowe. Czułam się w tę bachczę poprostu zaprzęgnięta - nie cierpiałam tej całej "wyprawy", a co najgorsze czułam, że ta "bachcza" - ta działka - będzie mi towarzyszyć przez całe lato, zdaje się, że Andżelika Nikołajewna tym swoim hobby uszczęśliwiała na siłę wszystkich pozostałych. Trudno! - skuzenie komuś - to jakby nie wtercić - to niewola! Tak więc kiedy wyruszyliśmy wszyscy, to wiadomo, że konieczna jest woda do picia - nie mówiąc o wodzie do podlewania dołków w które będą wrzucone ziarenka arbuzów, wieźliśmy garnek "supu" - bez zupy nie było wyprawy, kawał brzentu, który się napinało na tyczkach też wiezionych, aby "zrobić nieco cienia przy odpoczynku i posiłku. To wszystko układałyśmy na wózku - takiej dwukółce pchanej za dyszel. Kawał to było drogi do tej działki - godzinę trzeba było iść w jedną stronę - wiadomo, że dzieci daleko nie uszły, tylko wchodziły na wózek. Gdybyż to jeszcze koła miały opony jak przy rowerze, możeby wtedy było łatwiej go pchać względnie uciągnąć, ale koła były ze zwyczajnego płaskownika i wżerały się głęboko w rozjeżdżony takimi samymi wózkami piach - bo amatorów takiej bachczy jak się zorientowałam było wielu, ale dla mnie to nic wspólnego z rekreacją nie miało. Zorientowałam się, że mąż Andżeliki migał się od tej rekreacji jak mógł. Pracował jako "gław-buch" główny buchalter w jakiejś instytucji - i ciągle "musiał" pracować dłużej - a często i ... w niedziele, chociaż wracał z pracy dobrze

podpity. Z początku bardzo się go bałam
ale Andżelika zauważywszy to, zapewniła
mnie, że "wierbiński" jak go nazywała
jest pogodnego usposobienia i napewno
z jego strony nie grozi mi żadna przykr-
rość. Na mnie robił wrażenie człowieka
zupełnie sympatycznego, okazało się też
że "nie durnego" - a żeby uzyskać moje
zaufanie - jak mi się zdawało : t.zn.
odsłonił przede mną swoją prawdziwą twarz
znajesz Jeleszka we wsiom mirie dziełaju
iz kanfiet ga...o! - a w naszym sowiec-
kom raje iz ga...a konfiety! - włosy mi
się zjeżyły na głowie kiedy to usłysza-
łam na własne uszy! Ani słówka się na to
nie odezwałam, a jeżeli to prowokacja?
Bałam się - jeszcze była Kamczatka i Maj-
kain-Zołoto, te złowieszcze widma kopalni
wisiąły nad każdym kto śle spojrzy a nie
już jeżeli powie! Przeróżające warunki
w jakich tam ludzie musieli pracować roz-
powiadane były głośno - kopalnie tonęły
w błocie, ludzie pracowali w zimnej lodo-
watej wodzie, bez właściwej odzieży i obu-
wia - skoszarowani w warunkach więzien-
nych na pustkowiu, że jakiegokolwiek próby
ucieczki z góry skazane na fiasko! Groź-
bą "Majkain" - wymusiliby na człowieku
wszystko - tak jak i torturami. Jestem
bardzo ciekawa na ile się tam zmieniło
do dzisiaj? W głębi wydaje mi się, że nie.
Ale czy to tylko ja nie mam wątpliwości
że sowietci mają na swojej ziemi takie
za - kątki, w których się "tonie" i gi-
nie bez wieści i znaku! Tymczasem... u
Mamy bywałam rzadko, jednak udało mi się
w ostatnią niedzielę maja, paniętam, że
wiatr wiał bardzo silny, więc Andżelika
nie zdecydowała się wyruszać na Bachczę.
Mama pokazała mi drugi list Mietka, który
naszym cichym zdaniem dotarł do Pawłodaru
na ulicę Frunze 'go do Cioci Lipy - a

a Staszek zostawiał je u Mamy - ponieważ ze Staszkiem wogóle się nie widywaliśmy. Z "drewnianej" treści listów pisanych po rosyjsku - nic nie wynikało, właściwie... wynikało wiele! - przede wszystkim to, że pisze pod "cenzurą" - pod strachem! np. "że rebiata niczewo - że chłopaki owszem nie najgorsi - że praca nie ciężka - że bardzo chciałby wiedzieć kiedy Mama już wyjdzie ze szpitala, nietrudno się było domyśleć, że z tym wiąże swój powrót. Mama jeszcze nawet nóg z łóżka nie spuszczała, ale psychicznie była już znacznie "lepszą" - znała adres, wiedziała gdzie jest Mietek, a w sytuacji w której znaleźliśmy się zimą - to ta w której teraz się znajdowaliśmy (mówię o Mietku i o sobie) nie była gorsza! - i Mama z tych realiów zdawała sobie doskonale sprawę, była trochę "pogodzona" - i to wpływało na poprawę Jej zdrowia. Po tygodniu znów jakoś udało mi się wejść do Mamy i o dziwo! zastałam Ją z opuszczonymi z łóżka nogami i mimo, że przez bandażę sączyła się krew - Mama tak je trzymała, bo doktor Iwan Iwanowicz polecił aby kilka razy dziennie opuszczać je na parę nawet minut, musimy teraz pracować nad "pokorzeniem inercji nog" - nad pokonaniem bezwładu nóg - a ja widząc tę sączącą się krew miałam ogromne wątpliwości czy te otwarte rany pozwolą Mamie chociażby na utrzymanie się w pozycji stojącej, przecież krwi nie ma z czego przybywać - a taki ubytek to osłabianie całego organizmu, no tyle to każdy zrozumie, prawda? [Teraz W czerwcu zdarzało mi się, że Andżelika Nikołajewna pozwalała mi "na wychodne" w ciągu tygodnia, nawet bardziej mi to odpowiadało aniżeli tylko w niedzielę. I oto zastałam Mamę pochyloną przy taboreciku - nawet nie wiem dlaczego tak spieszcłam - przy po-

mocy którego posuwała po ziemi te swoje kikuty i tak przeszła przez całą długość tej sali szpitalnej - i mówiła mi, że jutro spróbuje sama dojść do ubikacji. Dopiero po dwóch tygodniach - kiedy wyrwałam się jakoś do Mamy, dowiedziałam się jak się skończyła ta "wyprawa do ubikacji". Na piętach popękały te cieniutkie błonki i to znów spowodowało, że Mama musiała leżeć, a nawet nie wolno było Jej opuszczać nóg w obawie przed krwawieniem. Rany ropiały co sprawiało, że do tego smrodku muchy ciągnęły że hej! Przedwczoraj uczuła w pewnym momencie jakby raptowną ulgę szczególnie w jednej nodze - ustało "rwanie" towarzyszące zapaleniom i ropiejącym ranom ale też jednocześnie spostrzegła strużkę krwi już ściekającej z opatrunku, łatwo było Jej to zaobserwować, gdyż nogi były cały czas ułożone wyżej - no i bez przykrycia, bo te otwarte rany nie "znosiły jakiegokolwiek ciężaru. Ponieważ sama nie miała możliwości zapobiec sączeniu się krwi już na pościel, zawołała pielęgniarkę - pielęgniarka zaś na miejscu zdjęwszy gazę ze zdziwienia aż "wrzasnęła" - w gazie przylegającej do "mięsa" kotkowała się garść małych białych robaków - pewnością od muchy! - mięso rzeczywiście - śmiała się pielęgniarka oczyszczone lepiej niż "czerez pierewiazku" po zabiegu opatrunkowym - z ropy i wydzielin... Mama się bardzo tym przeraziła, mówiła, że z godziny na godzinę oczekiwała zakażenia - no, ale zakażenia nie było - więc lekarzowi nic o tym nawet nie wspomniwały, chociaż winy przecież w tym niczyjej by nie było. Wszy oczywiście w bandażach się trafiały - i nikt w tym nic dziwnego nie dostrzegał, ale żeby duża mucha, tego jeszcze tu nie było, jak zapewniała pielęgniarka. To

opowiedziała mi Mama w błyskawicznym tempie, abym się zorientowała. dlaczego zastaje Ją "leżącą plackiem" - tymczasem z głośnika radiowego zupełnie nieoczekiwanie zapowiedziano przerwanie programu i dał się słyszeć patetyczny ton spikera który "cedził" wieść ścinającą "ich" znóg "Grażdanie sowieckiego sojuza - dzisiaj nad ranem niemieckie wojska, bez wypowiedzenia wojny przekroczyły granicę sowieckiego sojuza i już w strefach przygranicznych trwają zacęte walki i są ofiary. Zanim oprzytomniałyśmy z wrażenia - już był następny komunikat: "ot sowieckiego inform-biuro..." i tu następowały wiadomości jakie w związku z napadem Niemiec na sowieety, podjęło sowieckie prawicelstwo, "wsio dla fronta! wsio dla pobiedy!" W powrotnej drodze "do domu" w myślach nie posiadałam się ze szczęścia - ale tutaj już nauczyłam się hipokryzji tak dużego formatu, że do mieszkania wszłam bardzo poważna ... no i oczywiście zastałam łkającą przy głośniku Andżelinę Nikołajewną, która na mój widok porwawszy się z krzesła ... ścisnęła mnie i powtarzała Jeleszka! - Wajna!! Wajna!! - a ja z poważną miną na twarzy myślałam swoje "a dobrze wam tak! - przecież bez wojny niszczyliście wszystko dookoła swoimi decyzjami, nie trzeba pożogi!!! i ludzi!!! i zabytki i wszystko co na "drodze"... aż po zniewalanie umysłu ludzkiego !!! - ale że by nawet głowę - głowy dotykała ... to i tak nawzajem się nie zgadnie o czym myślimy - co za odkrycie !!! i jaka w tym mądrość i zasługa Stworzyciela !!!

Późnym wieczorem wysłuchiwałam przemówienia Stalina. Jakież było moje zdziwienie kiedy wieczorem wrócił z pracy "wierbiński" i przy Andżelice zaczął się wygłupiać - "no cóż... wreszcie trzeba będzie strzelać

Bo innej okazji nie będzie - tylko ta kiedy dostaniemy broń... i parę razy zypnął w moją stronę ... Boże jak się bałam żeby się przypadkiem nie zdemaskować, że chyba pojmuję "te intencje". Przez jakiś czas "inform-biuro" nie informowało nic o "odstąpieniach" - aż wreszcie nie było widocznie już sposobu na ukrycie nagiej prawdy - że Niemcy szli jak lawina: opór był widocznie słaby. Po latach historycy ujawnili, że kiedy Marszałek Żukow donosił Stalinowi o tym tragicznym wystąpieniu Niemiec wobec Sowietów - Stalin wyprosił go twierdząc, że tego do wiadomości nie przyjmuje, niestety wkrótce jednak musiał uwierzyć! Dziwne - że aż tak zaufała Niemcom? Czyżby między zbrodniarzami istniało aż takie zaufanie! Jakoś udało mi się urwać i pobiegłam do Cioci Lipy - tam oczywiście jak zwykle "zgromadzenie Polaków" - coraz to więcej Polaków napływało z "terenu" do Pawłodaru - Boże dobrze, że tu przyszłam i razem z nimi mogłam się cieszyć z tego co się sowietom zdarzyło! w głębi - co tu dużo mówić - chociaż nawet trudno było precyzyjniej określić co z tym wiązaliśmy, może wracając jakaś nadzieja ... powrotu! ale niech też odcierpią za naszą krzywdę! - tak mniej więcej myśleliśmy do czasu, kiedy to coraz jaśniej zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że front nie jest "obsadzony" ze strony sowieckiej tylko przez dowództwo i prawicielestwa, żołnierzy rekrutujących się z naboru tylko enkawudzistów i partyjniaków, - mobilizacja ~~ogólna~~ ^{masowa} setki tysięcy mężczyzn - a także chłopców którzy nie byli w partii i szli się bić "za ruską ziemię!" Tak właśnie 21-szy czerwiec 1941 roku zmieniał naszą sytuację - butni nkwudziści, którzy dotąd nie byli łaskawi dostrzec nas i Polaków w swoim otoczeniu, a było nas na ulicach coraz

więcej - zupełnie nieoczekiwanie pokorneli, byli łaskawi rozmawiać, przy zameldowaniu nie stawiali warunków - właściwie trudno byłoby określić czy ta bardzo widoczna zmiana - stosunku do nas Polaków była następstwem rozmów jakie przeprowadzał w Moskwie ze Stalinem - przybyły niezwłocznie po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, - nasz przedstawiciel Polskiego Rządu Emigracyjnego Generał Władysław Sikorski, czy też sama tragedia jaką niesie wojna - upokorzała ich, stawiała na kolana, bo ich niewielkie zasoby nie starzały w czasie pokoju a co dopiero w stanie militarnego zagrożenia - więc bez pomocy z zewnątrz "nie dadzą rady" - i to coraz jaśniej pojmowali. Po tygodniu czy dwóch - komuni-
katy ... "od sowieckiego inform-biuro..." były dla nich łobowe, bo donosiły, że po ciężkich bajach naszej wojska odstąpi-
li miasta i tu wymieniali nazwy większych i małych miast. Niemcy byli cały czas w natarciu - a oni tłumaczyli to zaskoczeniem. No! no! - a dwa lata temu we wrześniu ileż było komentarzy, że Polska nie była przygotowana, a to nie taka jak należy była ilość wojska, a to że nie było sprzętu - znaczy broni! - a że to nasz rząd nieudolny - a gdybyśmy się uciekli pod skrzydełko sowietów to kto wie? - rzeczywiście kto wie - bo już teraz jest każdy wie! każdy słyszy - jak to tutaj gdzie wszyscy byli "udolni" gdzie wszystko kwitło i grało no i ... co nie było czym odeprzeć natarcia niemieckiego. A tyle było gadania, że wdaliśmy w złe sojusze ... istotnie, sojusze zawiedły, cokolwiek by nie mówić, ale też na własne oczy zobaczyliśmy co dałby nam ten sojusz - a ponieważ piszę post faktum, to już nawet skutki są nader od-czuwalne, bo jednak do takiego sojuszu

do 200
i inwent.
70

doszło i kraj nasz znalazł się w sowie-
kiej zaciśniętej pięści i przez pół wieku
wyciskającej "z nas soki" - na "Zachodzie"
określali że Polska jest za "żelazną kur-
tyną" - i nikt nigdy by nie przypuszczał,
że sami, bez pomocy niczyjej ją uniesie-
my - stał się prawdziwy cud - oto na
Stolicy Apostolskiej w Roku Pańskim 1978-
zasiadł Polak !!! Polski Biskup z Krakowa
Karol Wojtyła !!! Świecie ? Imundzie !!!
czy wy to rozumiecie ... czy to do was
dociera Polak - Papieżem !!!!!!!! to
czym - to stało się dla naszej ukocha-
nej , umęczonej na miarę Ukrzyżowanego
Polski - Ojczyzny mojej- nie sposób prze-
cenić ... a kiedy jeszcze jako Papież
przybył do Polski ze swoją pierwszy wisy-
tą która przypadła w Święta Zesłania Du-
cha Świętego - i podczas mszy św. wygło-
sił homilię - a kończąc ją wypowiedział
znamienne zdanie o którym wiedziałam już
odrazu, że jest ziarnem - nasieniem rzuc-
nym w ojczyzną ziemię : niech Duch Święty
zstąpi i obłiczy^{obliczy} ziemię i po małej chwi-
li przerwy - dopowiedział jakby do siebie
- tej ... ziemi ... (!!!!) - i stało się
obudzili się "apostołowie polscy" jakby
żywcem z wieczernika i przełamali swój
strach i dążyli ... a ja obezwładniona
strachem - ich wszystkich bym na rękach
nosiła, a teraz kiedy to piszę już nota^{ta}
trzymam w swoim mieszkaniu, a teraz kiedy
jestem na 209 stronie jest już w Polsce
Rząd - coprawda koalicyjny - ale już "
Niekomunistyczny" - po 45 latach , ale
jednak zawróciliśmy z drogi która nas
wiodła - Boże co ja mówię - którą nas so-
wieci wiodli na swoim "powrózku" do nikąd
Nie dziwo że się ludzie, ~~xx~~ Polacy, że
zachowują się jak "wyrwana afazja", że
piszę co mi tylko ^{na} pamięć przychodzi...
bo nareszcie się nie boję , nie ...!

wy nie jesteście w stanie w to uwierzyć
a tym bardziej zrozumieć ... ja się nadal
boję... ale teraz już jestem stara, więc
spodziewam się, że męczenie już by długo
nie potrwało... ale zastanawiam się jak
sowieci zniosą - znaczy ta korporacja
prawicielstwo-partia-ankawude, ciężar
tych zbrodni! ten ciężar po tylu latach
zła i pewnością "stosów" nie będzie
ale sam fakt, że "mówię o tym" daje mi
wielką satysfakcję - i na tym tę koniecz-
ną dygresję kończę. [Wracam do mojej relac-
cji: jak już mówiłam - teraz "ujrzeliśmy"
na własne ~~o~~ oczy co dałby nam ten sojusz
- jeżeli ten sojusz miałby być militar-
nym oparciem dla nas - jak to sugerowali
po wojnie peperowcy - to dlaczego nie po-
kazą tej swojej "siły" teraz na sobie
a tu na naszych oczach rozgrywał się praw-
dziwy dramat - Niemcy nacierali z godzi-
ny na godzinę, trawili czołgami ich
wsie i miasta, Rosjan traktowali jak lu-
dzi z pogranicza "yetti" - pora więc było
zabrać się w sobie, obudzić z zaskoczenia
Wiemy, że obudzili się dopiero na przeło-
mie 42 - 43 w następstwie układów i ogrom-
nej pomocy Stanów Zjednoczonych Ameryki
które szły swoje konwoje z bronią, żyw-
nością - co tu dużo mówić szły z pomoc-
nymi drogami oceanicznymi od północnej strony.
Wrzeka Europa! ba, Afryka - płonęły morza
i oceany! i nie trzeba! - nie można!!!
zapominać, że Niemcy zwyciężali! - i snó
koniecznie dodam, że nie takie kraje jak
nasza Polska! A tu na rosyjskiej ziemi te-
raz trwało piekło - to było naprawdę auten-
tyczne piekło. Komunikaty codzienne głosi-
ły "nasze wojska odstąpiły miasto X i re-
jon XI - i tak było codziennie! W tym ods-
tępowaniu - krył się nie tylko brak broni
wkrótce byłam wręcz pewna, że również bra-
im "motywacji" do obrony "zdobyczy rewol-
ucji" i dobytku z pogranicza ubóstwa.

Do walki na śmierć i życie porwali się
- mówię o zwykłych żołnierzach nie partyjnych których ponoć zagrzewały do walki "rozkazy Stalina" - tych "zwykłych" porwała do walki nienawiść kiedy podczas natarcia udało się im odebrać z rąk niemieckich jakiś "rejon" i kiedy zobaczyli studnie wypełnione powrzuconymi ^{nie} tam zwłokami dzieci, wypalone do piwnic wsie i osiedla, zwłoki ludzi - rosyjan, swoich braci powdeptywanych w błoto gąsienicami czołgów, i tych co padli z zamaltretowania. Dokładnie pamiętam na początku lipca "wierbiński" - mąż Andżeliki otrzymał kartę mobilizacyjną - się stawić następnego dnia na punkt zborny na dworcu kolejowym, ale jeszcze poprzedniego dnia zdążył się porządnie "wstawić" i wykrzykiwał może nawet za głośno chodząc po mieszkaniu, uśmiechając się przy tym szyderczo i idziom strzelać! Jeleszka idzie zaszczyścić rodzinę... kakuju rodzinę? etot narazm ani imienują rodzinę? pust ja dastanu wintowku... ja budu strzelać no wintowku obiernu nazad... rozumiesz nazad! włosy mi się jeżyły od samego słuchania - pewnie, że rozumięłam, zresztą czułam dobrze, że tylko ja go rozumiem, i dlatego do mnie mówił - wtedy nie wiedziałam jeszcze, że "w winie prawda" - ale przez te półtora roku obcowania "z nim" nauczyły mnie, że do nikogo, ale to absolutnie do nikogo nie można mieć zaufania - ale może on tak czuł - a ja... nie ani be, ani ce, a przecież powinnam dać do zrozumienia wtedy, że myślę tak samo! uśmiechnąć się - i właśnie coś powiedzieć coś aprobowującego... przecież odkąd się temu "teatrowi" przyglądam coraz bliżej - to jestem coraz pewniejsza, że "to-to" się nie ostoi, a jednak te giłniane nogi utrzymały tego kolosa już 72

lata - ale jednak Bóg pozwolił mi docze-
kać i patrzeć jak się to sypie. A wtedy
głęboko się zastanawiałam ilu jest takich
"wierbickich" w sowietach. Jakby w sukurs
moim myślom - w Pawłodarze pojawili się
"nowi" ludzie - Andżelika Nikołajewna
mówiła w domu, że izgnali izmienników
rodziny - deportowali zdrajców ojczyzny
byli to ormianie, czeczeńcy, gruzini, czu-
wasze i Niemcy. Oni sami zresztą mówili
o tym głośno i otwarcie, że sami poddawa-
li się całymi wsiami, rejonami - Niemcom
Nielicznym udało się pozostać w samym
Pawłodarze, bo ci co więźli w wagonach
swoją cały dobytek łącznie z krowami i
koźmi byli rozsyłani - rozsypywani po
tym całym szerokim stepie w suły. Te nies-
mierzone przestrzenie utopia każdą ilość
zesłańców. Tymczasem w Pawłodarze robiło
się coraz ciadniej - ale od Polaków!
Na ulicach już słychać było polską mowę.
Dla tubylców - którzy przyjmowali już te-
raz bez zastrzeżeń Polaków pod "swoją dach"
było niezłym źródłem dochodu, bowiem ni-
czego się właściwie od "gospodarza" nie
wymagało, pluskwy syplące się wprost do
gardła nie obniżały wcale "czynszu".
Od Andżeliki Nikołajewnej też się dowia-
dwałam, że im "na posesji" szpitalnej
zarekwirowano magazyn, który trzeba na-
tychmiast opróżnić, gdzieś tam rekwirowa-
no większe domy, baraki, zadane place
składowe i wszystko to na hasło "wale dla
frontu" musiało być opróżnione w natych-
miastowym trybie pod warsztaty, fabryki
broni oraz inne uczreźdzenia, które
nadchodzą do Pawłodaru z terenów zagro-
zonych ewentualnym zajęciem przez Niemiec-
kie wojska, i właśnie stamtąd ewakuują o-
sie "da". Wydawałoby się, że w tym cha-
cie - o nas zupełnie zapomnieli, i moż-
by nawet ... gdyby nie to, że wkrótce
przybyli tu przedstawiciele naszego Imię-
racyjnego Rządu - z Londynu i powołali

"do życia" ... nie do wiary Polską Delegaturę i Pawłodar dla nas Polaków stawiać się z dnia na dzień taką Polską Wysepką na tych bezdrożach. Wkrótce też do pracy w tej Delegaturze zostało zaangażowanych kilka dziewcząt może 20-21-22 letnich, bardzo żółowatam, że nie jestem starsza mogłabym się tam jakoś "wcisnąć". Wraz z przybywającymi do Sowietów - przedstawicielami Emigracyjnego Rządu z Londynu - napływały i do nas na te odległe tereny do poruszanych po tych bezkresnych przestrzeniach Polaków - nowe informacje - ~~ba!~~ nareszcie jakieś wiadomości i to dla nas Polaków ogromnie ważne. Kiedy wpadłam do Cioci Lipy słuchałam tego co nas sobie przekazywali z rozdziawioną buzią : że już jest konkretnie wiadomo, że 30 lipca (1941 roku!) t.zn. w miesiąc po wybuchu wojny niem.-sowieckiej został zawarty Układ Polsko-Sowiecki i podpisali go Wł.Sikorski i Majski - no i w oparciu o ten Układ już 14 sierpnia (1941 r) więc może to widać aby Sowietci nie skapali tego - zawarto Umowę Wojskową no i w oparciu o tę Polsko-Sowiecką Umowę wojskową postanowiono, że na terenie Sowietkim zostanie zorganizowana Polska Armia pod polskim dowództwem podlegającym rozkazom Emigracyjnego Rządu Polskiego w Londynie. Polacy między sobą mówili, że chyba Sowietci teraz w czasie "odstępowania" stracili zupełnie głowę i "idą" na wszystkie "ustępstwa" - do których nie byłiby zdolni gdyby ich sytuacja nie była taka katastrofalna. Takie Układy dawały im nadzieję na wsparcie bojowe - zasilenie linii bojowych ludźmi i sprzętem. O! "oni" chyba narazie się godzili na to polskie dowództwo, ale prawie, że jest pewne, że już wtedy obiecywali sobie, jak się ta Polska Armia uformuje, podejmie działania wojenne przeciwko Niemcom u boku Armii Czerwonej

- niebawem zagarną ją pod swoje komuni-
 styczne skrzydełko i wezmą na lep swoich
 demagogicznych hasań i przemożnych wpły-
 wów. Natomiast było pewne, że nasi Polscy
 Przywódcy obiecywali sobie podjąć walkę
 na śmierć i życie o wyzwolenie Ziemi Pols-
 kiej - naszej Ojczyzny spod obu okupacji!
 Na Głównego Dowódcę Rząd Polski powołał
 generała w stanie spoczynku Stanisława
 Hallera, który we wrześniu został zapędzo-
 ny do niewoli sowieckiej - no i teraz
 władze sowieckie nie potrafiły podać ani
 miejsca pobytu "takiego tam" ani też
 wogóle odnaleźć generała Hallera i spra-
 wa się przedłużała - nominację na dowód-
 cę powstającej Armii Polskiej, otrzymał
 też właśnie wypuszczony z więzienia na
 Burtykach w Moskwie - generał Władysław
 Anders. Dostał do dyspozycji jednocześ-
 nie też z nim wypuszczonych z sowieckich
 więzień pięćdziesięciu oficerów, doszła
 też grupa 36 oficerów z generałem puł-
 kownikiem Berlingiem wypuszczonych z wię-
 zienia nieco wcześniej - no i dotarło tu
 już kilku oficerów z Londynu. Generał An-
 ders swoją działalność rozpoczął od nie-
 ustępliwych rozmów z władzami sowieckimi
 o niezwłocznie uwolnienie jeńców polskich
 z obozów i łagrów. W ciągu sierpnia (41r)
 cztery razy 16-go, 19-go, 26-go, 29-go
 spotykał się z generałem Pamfiłowem, wyz-
 naczonym przez sowieckie prawicielestwo
 do prowadzenia z nim rozmów. Blaczego tu-
 taj to wstawiam - a to dlatego, że chcę
 aby przy każdej okazji, tak więc i przy
 tej rozsyłać szczegółowe wiadomości o
 tamtych dniach, o tamtych ludziach, któ-
 rzy w mojej pamięci zapisani są głęboko
 jako ludzie "Honoru" i bezprzykładnej
 solidarności żołnierskiej, to jest mój
 hołd dla nich - no i generał Pamfiłow
 wykrętnie oświadczył, że sowieckie prawi-
 cielstwo posiada dane, że na terenie ZSRR

znajdą się około 20 tysięcy polskich jeńców wojennych - razem szeregowych i oficerów łącznie., ale nieustępliwość generała Andersa oraz dowody - chociażby tylko przemówienie ministra Mołotowa które wygłosił w Wierchownym Sowiecie 2 listopada -1939 roku-!!! w nim chwalił się przed światem swoimi sowieckimi sukcesami, że 200 tysięcy polskich jeńców wzięto do niewoli - a w rok później w pierwszy rocznicę zagarnięcia ziem Polskich - Krasnaja Zwiezda 17-go września 1940 roku donosiła, "że 200 tysięcy polskich jeńców, w wyniku powstałych walk na tych terenach - wzięto do niewoli ale nie tylko, przecież istniały listy przesyłane strzępki, kartki i przede wszystkim też żywi jakimś cudem świadkowie, że Polscy jeńcy znajdują się w Starebielsku, Kozielsku, Ostaszkowie - bo trudno było dochodzić Pawliszczew-Boru, gdyż stamtąd wogóle korespondencji żadnej nikt nie otrzymał - no a generał Pamfiłow, że "o takich obozach jeńческих nigdy nie słyszał" !!!! no proszę ? czyż można było się wstrzymać i nie napluć mu w pysk!? Ale generał Anders widocznie się jakoś wstrzymał i nadal z nim "pertraktował". No i w kolejnej rozmowie - Pamfiłow sobie przypomniął, bo się przed tym porozumiał z Wierchownym Sowietem co ma dalej temu "palaczkowi" mówić - no więc powiedział że istotnie takie obozy były - ale już w 1940 roku je zlikwidowane, przenosząc więźniów po kilku, czy kilkudziesięciu - do różnych obozów pracy - tak że sprawa odszukiwania ich nie rokuje wyników - istotnie!!! już wtedy, żadne poszukiwania nie mogły dać żadnych rezultatów. Tędyż obdarzone Pamfiłowa - to wręcz partyjny nakaz - niech się wije... niech robi co chce ... musi jakoś wybrnąć i racja mus być po stronie sowietów!!! Bo któżby prze-

wiedzieć mógł przy takim braterskim -
przyjacielskim "układzie" Ribbentrop
- Mołotow, że kiedyś - ~~któś~~ ^{ktos} będzie się
dopytywał, dochodził o takie tam! ...
200 tysięcy "polaczków" - żołnierzy pol-
skich - ale koleje losu nie były na długo
zaskawe dla Sowietów i teraz nieoczekiwa-
nie... i pokornie! musieli wysłuchiwać
uporczywych dociekań generała Andersa -
polskiego generała - nieistniejącego kera-
ju - a tu jeszcze ^{jego} przytaczanie ich włas-
nych informacji i publikacji - to oczy-
wiście kładły ^{ona} Pamfłowa na kolana! - i ge-
nierał Pamfłow zobowiązał się dokonać
przeglądu obozów na terenie całego Zw.
Sowieckiego "że być może coś się jeszcze
Polaków znajdzie" - a dla udobruchania
21 sierpnia 41r - w równo dwa miesiące tr-
wania wojny niemiecko-sowieckiej, umoż-
liwiono generałowi Andersowi lot do oboz-
w Gрязowcu i dopiero !!! w tym dniu so-
wiecei zdjęli tu strażę obozową. Istotnie
"coś" się jeszcze znalazło, ale to ciągle
nie zadowalało Polskiego Przywódcy Gene-
rała Andersa - a cierpliwość ma swoje
granice! Ale - póki co - już we wrześniu
(41r) pozbierana przez generała Andersa
z wielkimi trudnościami kadra oficerska
- przystąpiła - pod Kujbyszewem do orga-
nizowania Wojska Polskiego, a ściślej -
dwóch pierwszych dywizji piechoty - i od-
tąd nie odnotowywano jakiegokolwiek nap-
ływu oficerów. Te swoje wstawia piszę tu
z dwóch powodów - pierwszy: to ten, że
tylko co drugi Polak (jeżeli i to!) wie
dlaczego generał Anders wycofał się ze
swoją Armią z Sowietów - a drugie i to
opierając się na dokumentacyjnym opraco-
waniu tego okresu przez Społeczny Insty-
tut Pamięci Narodowej im Józefa Piłsud-
skiego w Gdańsku w 1981 roku, utożsamiam
się dokładnie tak z jego treścią, że mo-

mentami odczuwan go tak jakbym w jego reagowaniu brała udział - ale głównie to chodzi mi o to aby jakimi tylko można - drogami - mój syn - jego dzieci - i jego znajomi i moi "młodzi" przyjaciele dowiadywali się z co przynieśli ze sobą sowieci weiskając nam w 1939 roku nóż w plecy i "czego" przez tyle lat nie można było ujawniać. Proszę więc Społeczny Instytut Pamięci Narodowej im J. Piłsudskiego w Gdańsku o wybaczenie... bo i tak już nie będę sobie mogła odmówić aby jeszcze parę Waszych informacji tutaj nie dodać. Pomimo tak dużego skrepowania tym "ruskim strojem" - taka popielata drelichowa spódnica i nieco przydrągawa i wąska - a dotąd

3801
1
12

tuż jeszcze w takim czynie nie chodziłam i jakaś bluzka tegoż szarego pokroju... Kiedy tylko mogłam biegłam do Mamy do szpitala i do Cioci Lipy. Mamę już teraz zastawałam siedzącą na taboreciku no i oczywiście modlącą się - na mój widok budziła się, przyglądała się na mój "strój" - na mnie jak na kogoś obcego, zdaje się że ten "strój" Ją też parzył. Nie byłam sobą - byłam ogromnie skrepowana - nawet chyba upokorzona. Mama jakby mnie wyczuwała, pocieszała mnie, że jak tylko wyjdzie ze szpitala to "coś" mi chociaż w rękach uszyje. Jeszcze trochę - mówiła - jeszcze trochę. Papytałam też Mamy, dlaczego inni chodzą o kulach - a Mama ciągle z tym taboretą przed sobą - cała pochylona ku przodowi - suwająca powolutku te "resztki swoich stóp po podłodze. Powiedziała mi, że doktor Iwan Iwanowicz mówi, że o takich kulach nie ma mowy, że poruszanie się w pozycji zgiętej ku przodowi, odciążając stopy, oparcie się rękami o taboret daje zupełne poczucie bezpieczeństwa - oraz możliwość usiad^{siad}nięcia na nim w każdym momencie, gdyby się Mama poczuła źle ze zmęczenia. No i przy kulach Mama podnosi-

żeby stopy do góry, bo zetknięcie ich z
 podłogą jest bardzo bolesne, więc wołała
 by je unosić do góry - tak, że Mama do
 tego co zalecał doktor Iwan Iwanowicz
 odnosiła się z bezgranicznym zaufaniem
 - a on oczywiście ^{dotyczy} dostrzegał u Mamy prze-
 możną wolę "pokonania" swego kalectwa
 i to współbrzmienie dawało już jakieś
 rezultaty - obiecywał, że jeszcze miesiąc
 - dwa i chyba wyjdzie ze szpitala! Boże!
 ale dokąd? tak czy inaczej nie mogłam
 się doczekać tego momentu - często to se-
 bie jakoś wyobrażałam w marzeniach, że
 zaraz wrócę do Mamy - znów będziemy ra-
 zem! - ale jak pomyślałam i się głębiej
 zastanowiłam, to "być razem" w tej sytu-
 acji było wręcz "luksusem" - niektórzy sę-
 bie ^z pewnością nie będziemy mogli pozwo-
 lić. No i wracałam do domu Andżeli - któ-
 ra teraz sama stawiała czoła "życiu" -
 i jak narazie mnie nie wymówiła. Ta myśl
 - wprowadzała pewien niepokój, bo co bym
 wtedy zrobiła? Byłam więc po takich kon-
 statacjach znacznie pokorniejsza i praco-
 wałam ze zdwojoną energią. Starłam się
 wyciszyć i przygotować do rozpałki "pie-
 cyk" - to takie "coś" zajmowało niemal
 czwartą część całego pomieszczenia to co
 robiłam to w ich języku brzmiało, że
 "miałam podtopić pieczone" - i ktoby na to
 wpadł że "topić" to palić w kuchni lub
 w piecu, przynieść wody, do gotowania
 wodę przynosilkam od sąsiadów, a w tym
 czasie wychodził z mieszkania młody rosje-
 nin, przypuszczam, że syn sąsiadów i sia-
 dał na schodkach swego domu, - Ponieważ
 to się powtarzało domyślałam się, że ciekaw
 jest "swojej sąsiadki" - wydawało mi
 się, że jest starszy ode mnie i nie bar-
 dzo pojmowałam dlaczego aż tak uważnie
 mi się przygląda i obserwuje. Gdzieżbym
 dała po sobie poznać, że dostrzegam cokol

wiek "dostrzegam" - potem już spotykałam go przy furtce - jakby czekającego - bo po wodę chodziłam w określonym prawie że czasie. No ale któregoś dnia poczekał przy furtce i "przemówił" - dziewczeczka dawał poznakominsia - pewnie z zaskoczenia czerwona się zrobiłam jak burak - poszłam prosto przed siebie bez słóweczka. Następnego dnia "zrobił krok do przodu" - jakby zupełnie nie zrażony tą moją wyniosłością, przy furtce zastąpił mi drogę i ... no skąsy jak ciebia zowut? a ja ... nieco się zawaławszy odpowiedziałam "Lenka" a on rękę do mnie wyciąga i powiada a mnie "Saszka", czyli się "pozna komiliśmy". Wraz jak dojrzał, że siedzę wieczorem przed domem "na krylecsku" ale - to nie tłumaczy się "na skrzydełku" tylko na schodkach przy ganku - to zwyczajnie - prosto przybiegał, przysiadł się i rozmawialiśmy. Wreszcie znalazł się ktoś - kto chce ze mną porozmawiać! - o! jakież było mi to potrzebne, ja chciałam - pragnęłam rozmowy, - no a jeszcze muszę dodać że Saszka okazał się nie dumnym chłopcem. Nie powiem, że zaraz na wstępie ustaliliśmy ty nie ruskaja? prawda? - no oczywiście, że nie! ja Polka! słuchaj a dlaczego ty "tu" jesteś? powiedziałam mu, że jestem tu z rodziną to raz... a dwa - to jest nas tu osiedlonych Polaków osiem tysięcy, no i wtedy wyszła na jaw jego wielka ciekawość, której zaspokojenie oczekiwał "z pierwszej ręki". - rzucił mi pytanie - co ty osiedlonych... a dlaczego? tym "co ty" - wprowadził mnie w zdumienie - czyżby "oni" nas podejrzewali, że przybyliśmy tu z własnej woli! - słuchaj! dlaczego my Polacy tu jesteśmy, lepiej ode mnie wytłumaczy ci twój ojciec, gdyż jak wiem jest człowiekiem obrazowanym - wykształconym. Wiedziałam to od Andżeliki Nikołajewny - kiedy dawała mi różne "instrukcje" -

i wówczas ^{am, in.} powiedział: uzgodniłam to z Aleksiejewym, że po wodę do gotowania będziesz chodziła do ich studni na ich podwórzu zgodzili się bez żadnego zastrzeżenia - to porządni ludzie, on jest inspektorem szkolnym a ona nie pracuje, dzieci mają "pożenione" oprócz jeszcze jednego syna który kończy "dziesięcioletku". Saszka najprawdopodobniej był dociekliwy i widocznie poruszył ze swoim ojcem - najpewniej czerwonym po czubkach włosów - sprawę zesłanych Polaków. Saszka przekazując mi rozmowę z ojcem - mówił mi, że ojciec niechętnie mu odpowiedział i bardzo wymijająco, czy nie widzi- ilu też-teraz ludzi tu do "nas w Pawłodar" przywożą... o nie! nie pozwolę skrewić "polskiej sprawy" - przynajmniej on niech wie! wyjaśniłam mu, że chociaż nas nie było widać w Pawłodarze, to jednak "soskali" nas tutaj już w kwietniu minął rok a nie teraz jak tych "izmienszczyków" waszej ojczyzny, - a nasze ziemie zostały przez wasze prawicielstwo - znaczy na rozkaz waszego prawicielstwa zagarnięte a nas tutaj "soskano", - prawie, że nie wiedział co ja mówię, ten problem nie mógł do niego dotrzeć i zadał mi np. takie pytanie czy u was - w Polsce - uczą po rosyjsku, bo widzi, że nie może sobie radzić z językiem - też nie bardzo mi wierzył, że sama się nauczyłam, z konieczności, a najwięcej tutaj u Andżeliki Nikołajowny. Jeszcze tam widocznie z ojcem rozwijał ten temat, bo znów mi powiedział, że dokładnie nie zna przyczyny zesłania tu Polaków, "no wria by ich tutaj nie taszczyli" - a więc znaczy była przyczyna - tylko, że partyjny pan Aleksiejew bał się widocznie w swoich "kożach" wspominać - bał poruszać taką sprawę - no a jeżeliby go ktoś zaczął podejrzewać, że na na tę sprawę spojrzeli

nie "odchylone" od tego jakie zostało z góry w partii ustalone, to czekały go za to bardzo przykre konsekwencje - pod koniec sierpnia miałam coraz mniej czasu "na kryleczko", bo już się zaczął zbiór kawonów - arbużów i trzeba było je już stopniowo z bachezi przywozić. Obie więc z Andżelą ciągnęłyśmy ciężki wózek, bo obok arbużów, sadziliśmy dzieci - nie mogły podołać tej pieszkiej wycieczce w obie strony. W pierwszej dekadzie września trzeba było już całkowicie uprzątnąć działkę, bo zaczynają się przykre wiatry i znacznie krótszy dzień. Jeszcze kiedyś Staszka mnie "upilnował" - i z kopyta "dawaj... budziam drużyd! - nie bardzo wiedziałam, że to jest wręcz zwyczajowy zwrot, zapytałam - na czym by ta drużba miała polegać, wyjaśnił mi, że właśnie nie tylko on by tu przychodził na kryleczko - ale przychodziłabym do nich do domu ma dużo książek (?), płyt, patjefon, rebiata przychodziła "potanecować" - powiedziałam, że to poprostu niemożliwe, podziękowałam za miłą propozycję i uśmiechnęły się zamknęłam sprawę. Od tam spotkawszy się już tylko przypadkowo - też z uśmiechem mówiliśmy sobie "zdrastwuj! - cześć!

[Któregoś dnia - wróciwszy z dziećmi - zastałam Staszka... przeraziłam się nieco, bo nigdy tu nie przychodził. Wyjaśnił mi, że wpadł na parę minut (oczywiście!) żeby omówić ze mną "jak to będzie" po wyjściu Mamy ze szpitala - gdyż ten moment jest już bliski... Na jego usilne prośby Ciocia Ida zgodziła się, aby u siebie "przetrzymać" Mamę dopóki nie znajdziemy kwatery jak to się tu mówi i dopóki się wszyscy niepozbiemy - Tak więc Staszek nastawał żebyśmy natychmiast stąd odeszła i zajęła się zorganizowaniem miejsca dla Mamy. Andżela - usłyszawszy to - wyraziła swój absolutny sprzeciw i powiedziała, że

słyszec o tym nie chce - byloby to nieu-
czciwe z mojej strony zostawic ja z dziec
mi na zima. Wiosna tego młodego synka
posle w "sad" - no do przedszkola, bo
jakiś tu w Pawłodarnie "sad" - gdzie niegdzie
jakaś samotna topola. Nie mniej-
urlopowała mnie na 3 - 4 dni do uszykowa-
nia Mamie miejsca. Staszek z tej chaty
od kolegi przyniósł to swoje żelazne kół-
ko, jakimś gigantycznym wysiłkiem skie-
ciliśmy jakiś siennik, już nie pamiętam
dokąd chodziliśmy po tę trawę czy siano.
W każdym razie było to najważniejsze, bo
wiadomo było, że Mama po wyjściu ze szpi-
tala chodzić jeszcze nie będzie - tym-
bardziej że przekrój rany jak narazie nie
zaciągał się nawet błonką - poprostu zu-
pełnie otwarta rana, tyle tylko, że pięty
były coraz lepsze i już na tej "skóreczce"
mogły utrzymać kikut nogi z ciętarem ciąż-
ką przelany na taboret. W takim stanie
Staszek "odebrał" Mamę ze szpitala.
Doktor powiedział, że w czasie jego prak-
tyki lekarskiej g nie było jeszcze przy-
padku aby pacjent przebywał na chirurgii
nieprzerwanie 9 miesięcy - zaznaczył to
jak Staszek zauważył - z naciskiem, że
segnając się z Mamą, jako pacjentów nie
mówi doświadczenia - czyli do zobaczenia,
ale ~~praszczajetsa~~ - czyli się segna. Iż się
kowali sobie nawzajem szczerze, no wyobra-
żam sobie tę Mamę komiczną rusczyznę
- no to był Jej jeszcze jeden wdzięk w
tym kaleczeniu języka. Nie byłam przy tym,
ale przybiegłam na drugi lub na trzeci
dzień do Cioci Lipy, no więc już szpital
"się skończył", teraz Mamę zastałam na kół-
ku. Myślę, że potrzebowała mnie tutaj wię-
cej niż kiedykolwiek - ale nie mogłam być
długo, bo samo dojście trwało pewnie ok.
pół godziny. I to musiałam też brać pod
uwagę, nie mogłam się narażać mojej "ohle-

bodawczyni" - a Ciocia Idpa szczebiotała z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami że jak Franciszka przysłała ze szpitala to zamiast tutaj z ludźmi porozmawiać szperała i szperała w tych swoich tłumoczkach, aż w jaszczyku - to skrzynka! znalazła "statuju" - wystawiła ją na stół i ... stała na koleni - to znaczy uklękła molila i płakała, długo, długo - długo - długo, pieczęchodził wobrażenie, na nikogo nie zwracała uwagi - i teraz też mało rozmawia, nawet w nocy pierzebrasywałam - pruerzuca - karaliki i molitsa! Nie takiego czegoś jeszcze w życiu nie widziałam. Uspokoiliłam ją, że Mama na taki "sposób na życie" i żeby nie miała Mamie na złość, że nie chce rozmawiać. - Mama języka nie zna - i rozmowa sprawia Jej wielką trudność - w każdym razie! szukajcie sobie kwatery, bo Mama spodziewa się Mieczyka, - spodziewa się Mietka, no według mnie to obie upraszczały sprawę, bo jeszcze nie wiadomo jak z tym Mieczykiem postąpią, obawiałam się, że sprawa może być skomplikowana i przedwczesne są te nadzieje na jego powrót. Akurat przyszedł Staszek - ze zdumieniem obserwowałam jak się pośpiesznie rozbierał i wziął wiaderko z brudną wodą wyniósł je na dwór - i następnie poprosił Cioci Idpę o drugie, a Mama mi wyjaśniła że zamierza jutro jakoś tak na siedząco parę rzeczy przeprać, wydusić poprostu w wodzie i wysuszyć, bo przecież mydła ani na lekarstwo! - Staszek więc poszedł po wodę do Irtysza. Nie śmiałam nawet zapytać czy coś jadła. Mama była na łasce u tej kobiety - Rosjanki o gołębin sercu, - jakżeby mogła powiedzieć kiedykolwiek coś złego o tych Rosjanach - ludziach "z sercem na dłoni" pełnym niezwykłego współczucia dla naszej nędzy i cierpienia

1944

Nie zdawałam sobie sprawy wówczas z tego, że tylko ludzie, którzy przez to przeszli osiągnęli taki "stopień" wrażliwości - to przecież też zranieni, bez żadnej nadziei na zmianę losu, podczas kiedy my Polacy taką nadzieję odyskivaliśmy, ale aż trudno jest to wypowiedzieć, że przez "Niemców". Mama nie dawała spokoju i Staszek napisał zaraz do Dziś-Domu podanie w imieniu Mamy, że zwraca się z prośbą "o zwolnienie" Mietka z i powrót "do domu" bo i jak tu inaczej się wyrazić. To co się zdarzyło przeszło granice wszelkiego oczekiwania - Mietka w jak tylko można sobie wyobrazić, najkrótszym czasie przyswiosła konwojentka - wychowawczyni i przekazawszy go Mamie za pokwitowaniem - odjechała. Mietek - Boże jakżeż on zdziwiał - jakie nawyki sobie przyswoił, pewnie że trzy dni rozmawiał tylko po rosyjsku, ale po tych paru dniach znów mu się język wyprostował - na polski. Jego powrót jakby Mamę ożywił - niemal od momentu powrotu - on stał się Mamy "nogami", -czy ja to dość zrozumiałe precyzuję! Od rana do wieczora na nogach - ta chudzinka zażęła wiało wszystko to co było konieczne i potrzebne - Staszekowi pozostało tylko przytąskanie wody z Irtyza. Jednak na Mietka "barkach" spoczywał główny ciężar tych wszystkich czynności "wodę przynieść - wodę wynieść". O korzystaniu z ubikacji w podwórzu nie było mowy, szczęście, że Ciocia Lipa przynosiła oko na "wiadro" bo wychodzenie po schodkach z domu w podwórze, to byłoby dla Mamy wielka męka każdorazowo - cała wyprawa - i sama tego by nie pokonała, ale widzieliśmy, że Ciocia Lipa z każdym dniem gorzej Mamę i Mietka znosi, a przybiegając co parę dni do mnie - ~~zadawała~~ mi relacje szczegółowe co u "nich" i co u "nas" - t.zn. Polaków, w mieście.

Do mnie ledwie się mógł wyrwać - bo zaraz z rana biegł - sając jednocześnie niemal dwie kolejki. W jednej trzeba było oczekiwać codziennie na chleb bowiem kartki były realizowane każdego dnia na określoną "rację", więc tę mękę trzeba było odbyć codziennie! - tzn w większych rodzinach mogli się "zmieniać" - ale Mietek musiał sam - codziennie tę długą kolejkę odstać - najpierw się czekało zanim przywiozą - a później zanim dojdzie kolejka do lady. Tą drugą kolejkę zajmował - jako że były niedaleko "siebie" - do stołówki - tu też! to jest nie do określenia długość kolejki, bo pół miasta się tutaj stożowało - prawdziwe "zbiorowe żywienie". To już oczywiście, że im wcześniej się tę kolejkę zajęło tym wcześniej wracało się z obiadem, a organizm był tak wygłodzony i "wyposzczony" - że ciężko było dotrzeć do tej południowej pory na tę cieniutką zupkę i parę łyżek kaszy z pszoną z łyżeczką oleju zwanego w tym języku "masłem". Mama też miała dzień wypełniony pracą - tak na siedząco prała i, koszule, powłoczki, zaszywała, przyszywała, (też dla mnie) przygotowywała jakieś ubranie - bo to było "na mnie" - będą musiała zostawić, gdyż była to odzież Anieli do butów włącznie. Nic już dla siebie do ubrania nie miałam w tych naszych tkumoczkach - ani sukienki, ani pończoch, ani co najważniejsze ładniejszych meśców-butów, bo sukienkę to Mama mi jakoś przerobi - z dwóch, jedną, ale buty? Czy ja nie za dużo wymagam? - Mama - ten nasz "mózg" już o wszystkim myśli, nad "wszystkim" czuwa i kieruje! Czekaliśmy bardzo trudna sprawa - jak tu znaleźć w tym coraz większym "tłoku" Wolaków w Pawłodarze - jakąś kwaterę, a Ciocia Ida coraz wyraźniej dawała do zro-

zumenia, że o przezimowaniu "u nich" nie ma mowy. Stosunki się psuły między nimi w tym nieładzie, w tej ciasnocie i brudzie a z każdym dniem narastał, bo Mama jednak nie mogła sobie poradzić z opanowaniem "sytuacji" - a tymbardziej, że co parę musiała leżeć, aby i nogi i cała szaba - żeby wypocząć.

Sen - czy jawa?

Otuchą - dla nas Polaków, było już samo istnienie Polskiej Delegatury w Pawłodarsku a co dopiero jak już zauważalnie przejawiać poczęła swoją działalność - i to na dobre !!! Przede wszystkim dokonywali spisu - rejestracji wszystkich Polaków przebywających i w Pawłodarsku i w całej "obłasci". Przygotowano do wydania Polakom "dowodów tożsamości" - i to na jakim papierze - toż to był "pergamin" - nie do zdercia. Arkusz A-4 podzielony był na trzy części - i dowód ten brzmiał w języku polskim, rosyjskim i angielskim Dowodu tego strzegłam przez lata szyki jak śrenicy oka, - ale wracając "do sprawy", bo "sprawa" dowodów tożsamości dla nas Polaków tutaj w Kazachstanie nie była taka błaha - w tej chwili wszyscy byli "anonimami" - bez "papierka", nie wspominając już o tym haniebnym czynie sowietów pozbawiających nas Polaków zamieszkających w sześciu wschodnich województwach - Polskę wkrótce po okupacji tych ziem, Obywatelstwa Polskiego!!! ot tak jednym pociągnięciem pióra - w dodatku, zabierając nam niemal wszystkie dokumenty - ale o tym już wspominałam - tak z tymi Polskimi Dowodami poczuliśmy się mocniejsi - Dowody takie otrzymywaliśmy my - t.j. już piętnastolatki. Delegatura zajmowała się też już wypłacaniem zapomóg - które jeżeli pamiętam wynosiły 10 rubli na "osobę" (dziecko i dorosły) miesięcznie, ale nie potrwalo to długo - Delegatura też organi-

zowała sierocińce, ochronki dla chorych i starszych, stołówki, komplety podstawowego nauczania - pomieszczenia były wynajmowane, ale do obsługi zgłaszały się osoby kompetentne i pracowały społecznie. Zapowiadano, że już są w drodze "Dary z Ameryki" !!! - żywność i odzież ... Polska Armia pod Kujbyszewem powstawała - generał Anders wzywał Kłaków z rosyjskiego terytorium aby zgłaszali się do wojska. Mam Staszka podanie o przyjęcie do Wojska - ci co mieli "lata" takiego podania nie potrzebowali - cała ta ich młodzieżowa grupa z tak wielkim entuzjazmem śpieszyła do tego wojska, przecież wiadomo było, że idą znów na wojnę ... dzisiaj kiedy sama mam dorosłego syna - absolutnie w dalszym ciągu nie potrafię zrozumieć Mamy, która najmniejszym sprzeciwem nie osłabiła jego patriotycznego porywu, a przeciwnie jeszcze go podniecała mówiąc, że dla Ojczyzny żadna ofiara nie jest za duża. Nie mogę się powstrzymać od własnych refleksji - ja bym broniła ... jak i dzisiaj ostudzać młode - gorące zapędy, chociaż wiem, że prawda jest po ich stronie! ale dla Ojczyzny ... to jest ta moja wytęskniona Ojczyzna? - toż macocha byłaby życzliwsza i pozwoliłaby wylać "na swoją pierś" prawdę o cierpieniach, o tułaczym losie, o głodzie i mrozie przyjętych pod swój dach i dzieci ... a tu ... do dziś znikoma część współbraci tej samej "matki-ojczyzny" wie że w XX wieku sowieci też popędzili Polaków na Sybir. Wszyscy po zrepatriowaniu zamknęliśmy usta, nawet szeptem bojąc się komukolwiek o tym mówić - żeby znów nie znaleźć się "tam"! Swojego syna dopuściłam "do szczegółów" dopiero kiedy ukończył studia - czy to dziwne... tu musiał żyć! a ja zatruję go - tak jak zatruto mnie od młodości - a teraz kiedy to piszę to też nie jestem wolna od lęku, czy dokończę

1944

Nie! nie zrozumiecie tego! Opowiadali nam
 łącznicy z Kujbyszewa, że na punkt zbor-
 no-organizacyjny gen. Andersa ciągnęły nie
 tylko szeregi młodych - gotowych do walki
 za Ojczyznę, ale... też... całe rodziny.
 Kto wie, gdyby nasza Mama teraz nie była
 tak dotkliwie okaleczona - ooo! napewno
 Jej by nikt tu utrzymał. Staszek dopiero
 w grudniu kończył 19 lat - ogromnie się
 obawiał "o swoje przyjęcie", - no! ale kie-
 dy otrzymał wiadomość, że Dowództwo Pola-
 kiej Armii wyraża zgodę na wcielenie go
 do wojska - trochę, to wszyscy byliśmy
 pozbawieni wyobraźni ... - bo Staszek
 skakał z radości i ścisnął napotkanych
 kolegów. Mama co prawda nie tak entuzjasty-
 cznie, ale też okazywała mu zadowolenie
 z takiego "obrotu sprawy" - ... a może
 w głębi podejrzewała jednak, że tu został
 to beznadziejność, przypuszczam, że Mama
 mimo wszystko traciła nadzieję na nasze
 "uratowanie się stąd" i pragnęła żeby
 przynajmniej jedno "z nas" nie utraciło
 takiej szansy. Te myśli nie były nawet
 takie pozbawione podstaw - bo ci łącznicy
 nie ukrywali, że generał Anders ciągle
 jeszcze toczy rozmowy w sprawie zaginio-
 nych bez wieści tysięcy polskich żołnie-
 rzy oraz dezakceptacji przez Rząd Emigra-
 cyjny wschodniej granicy polskiej - i co-
 raz jaśniejszym się dla nas stawało, że
 to się dla "nas" - dobrze nie skończy.
 Tutaj znów zima zbliżała się szybkimi kro-
 kami. Nie tylko Mama - ale chyba wszyscy
 swoje zapomogi przeznaczali na zakup kie-
 ziaków, żeby nie zastygnąć zupełnie. A już
 już nieocenioną pomoc stanowiły przydzia-
 ky mydła - choć w ilości o wiele za małej
 - i duszenie wszów w dalszym ciągu poch-
 łaniało i tak każdą wolną chwilę. Mietek
 dość często wpadał do "mnie", bo chodził
 na komplety nauczania które odbywały się

w izbie wynajętej przez naszą Delegaturę i to właśnie odbywało się w pobliżu Żmnie (pokożano tylko komplety od 1-szej do 4-ej klasy) na ul. Pierwomajskiej. Dzielił się ze mną wiadomościami - tak oto z Londynu jako Attaché ^{p. przybył} Pan Lickindorf i Pan Romer - mówili, że to brat kartografa Eugeniusza Romera ze Iwowa, jako stały Przedstawiciel Rządu Polskiego w Londynie. Przyglądali się z bardzo bliska naszej wegetacji, aby się zorientować w jaki sposób nam pomóc. Pracownicy z Delegatury wprowadzili głośno nie rozprowadzili wniosków jakie ci Wysocy Przedstawiciele wyciągnęli ze swoich obserwacji, ale z tego że wkrótce odjechali, aby osobiście "dać świadectwo" mówić samo za siebie. Wraz z ich powrotem do Pawłodaru spodziewaliśmy się ... że nie pozwolą nam zastępnąć w mrozy i umrzeć z głodu. Rozmiary pomocy, jakiej wymagaliśmy były nie do spełnienia. Mietek przyniósł mi też wiadomość, że przyszła do Mamy pani Błaszowska - nasza znajoma z Tarnopola - i zaproponowała Mamie pokój izby którą zgodziła w domu u Kazacha przy ul. nie pamiętam, bowiem nie byłaby w stanie opłacać całości, a do spódky byłoby znacznie łatwiej. "Pokój" miał z 18 m² i dwa "oglinowane" okienka na stałe. Mama zgodziła się, bo już dłużej nie można było nadużywać dobroci i cierpliwości Cioci Idy. Wszystkie ciężary przeprowadzki poniósł oczywiście Mietek z pomocą pani Błaszowskiej. Odtąd zamieszkali(śmy) u Kazacha Bajtysza i Salimy. Teraz kiedy w mroź ssałam do Mamy - myślałam sobie, że to ubranie i obuwie, które mnie tak sparażło" - było dla mnie w mroź dobrodziejstwem. W zeszłej zimy biegłam do szpitala w polskich buciczkach i granatowym płaszczyku - a przez wiosnę, lato i jesień zupełnie się zmieniłam, teraz byłam już dobrze zaokrąglonym podłatką, Mietek też pod-

róśk - obserwowałam, że Mama nie nadała sama z tym łataniem, przerabianiem i ~~prz~~przeszywaniem, co mnie bardzo przerażało bo jeżeli nadejdzie dzień, że odejdę od Andżeli i oddam jej to co na mnie - to tu z ubrania nie mam nic i liczyłam, że Mama mi "coś" przygotuje. No teraz znów ta "przeprowadzka" po której Mama musiała kilka dni leżeć w łóżku. Przyszłam aby zobaczyć tę naszą nową kwaterę. W zimie wcześniej robi się ciemno - a nie było czym świecić - trafiłam więc na "obrazek" - jak pani Błaszowska swoją część pokoju właśnie zamieniała na legowisko. Stertę worków i sienników ułożoną na dzień w pryzmę sięgającą sufitu - rozkładała teraz z całym "celebransem" żeby nie było szpar między tymi workami i siennikami, bo od ziemi "ciągnie", to przykrywali wyswiechtanymi kocami, ~~no i~~ tak teraz już włączali się w ten "rytuał" wszyscy - bo pani Błaszowska miała trzy córeczki i dwóch synów - tak, że postanowiła zajmować akurat pół pokoju, nawet zastanawiałam się jak wyjdę stąd, i nad tym jak oni tak długo wytrzymają w tym legowisko, ale co mieli robić? zimno i ciemno. Wiedziałam, że nie ~~polubię~~ polubię tej kwatery. Kiedy znów wpadłam w dzień biały, nie było co prawda legowiska, ale też przejść było trudno, nasza połowa nie była lepsza, bowiem Mama wszystko musiała mieć wokół łóżka - w zasięgu ręki z jakimś tam szaflikiem w którym wiecznie się coś moczyło. Teraz już mieliśmy dwa łóżka - Mamy łóżko miało jakiś siennik to drugie narazie jeszcze nie było przystosowane do spania - gdyż trzeba było zdobyć coś twardego aby położyć na te żelazne żerdki - narazie poustawiane były na nim tobołki a Mietek spał na tych ~~dw~~ dwóch kuferkach, w pobliżu miał okno, które bez przesady pokryte było 40cm war-

stwą zeszniałego lodu i światło się przez nie, nie przedzierało - na naszej "połowie" panował poprostu cały dzień półmrok. Okienko przy połowie pani Brasz-kowskiej miało cieńszą pokrywę, bowiem jak zaświeciło słońce, to lód tajał - i to okienko dawało światło. Staszek wreszcie zdobył kopciškę - przy której Mama jeszcze "pracowała" wieczorami - a rano każdy miał sadzę dookoła ust i nosa - no ta sadza nie była bez znaczenia dla ścian rzeczy i włosów na głowie. Uprzedzałam Andżelikę Nikołajewną, że zbliża się nasze święto - Рождество - bo tak mówią na Bo-że Narodzenie i będę chciała być z rodziną, nie umiałam wytłumaczyć jej, że chcę być na Wigilii - duże słowo naprawdę ale właśnie chcę być razem. No oczywiście jak jej o czymś takim mówiłam, to zaraz była zła, wyajdywała ile to jest jeszcze "rzeczy" do zrobienia - no ale jak już widziała, że jestem bardzo smutna - zgadzała się. Zima syberyjska była w całej "kрасie" - mróz zapierał dech, a do Ma-my miałam ok. 40 min. drogi. Mama seszła z łódka. Nogi-kikuty, bo tak wyglądały - miała poowijane grubo bandażami i z wierzchu okutane kawałkami kozucha, uciego z Ojca starej pelisy. - Mama tymi kawałkami kozucha robiła sobie coś w rodzaju butów - i nadal poruszała się przy pomocy taboretu, - ale skąd się on wziął u nas nie mam pojęcia. Tej wigilii mieliśmy po kawałeczku opłatka z naszej Delegatury. Mama ugotowała zupę i ponad to pszenicę - niby, że "kutję"! tę naszą wigilijną potrawę. To była znów nasza Wigilia - bo byliśmy znów razem - naprawdę druga bez naszego Ojca, ale jesteśmy z Mamą. Przy dzieleniu się opłatkiem - do tego też się rozpłakaliśmy, Mama powiedziała, że chociaż na odległość dzielimy się z Ojcem, bo dla Niego nie było większego święta ponad

Wigilię, jeszcze nie zdawaliśmy sobie tak jasno sprawy z tego, że to jest ostatnia jego Wigilia z nami w czasie której siedzi i przebywa obok Mamy. Chyba był bardzo zuroczony tym, że już wkrótce się stąd wydostanie prawie jak z "przedpiekła" - a my... kto wie na co tu jesteśmy skazani, może na pozostanie... toż włosy się jeżą od samych myśli. Może Ojciec nasz w tym momencie też o nas myśli, pewnie tętni, choć na chwilę "dobiec uściskać się serdecznie - Boże! gdyby teraz zobaczyć Mamę - zapłakałby nad nią - nad Jej dalszym losem gorzkimi łzami toż Ona zawsze lekka jak ptak - nieprzesypiała w domu ileś tam nocy, bo dnia nie starczało - aby uświetnić Święta, urządzić Wigilię, obowiązkowo przyjąć gości a teraz, ledwie się porusza nie odrywając stóp od ziemi, wychudzona, zaniedbana, gorzkniejąca, ale jak zawsze ożywiona przy modlitwie tak i teraz ^{Mama} zwracając się do naszej nieodłącznej towarzyszki - figuarki Matki Boskiej z lurd, załamany głosem mówiła "błagamy Cię Matko nasza - abyśmy nie stracili nadziei na powrót do Polski" - to bardzo mi utkwiło w pamięci i ilekroć byłam na krawędzi... aż nie mogę tego wypowiedzieć -... tak! na krawędzi desperacji, pamiętałam jak Mama zwracała się do Boga - abyśmy nie stracili nadziei - na powrót do... Polski! i też się tak modliłam. Po tych rozczulających nas chwilach - Mama rozpoczynała dzielenie zupy. Tak! musiało być równo, jak zwykle tak i teraz zupa była mierzona "chochelką" - wszyscy prowadziliśmy oczami każdą chochelkę do swojej miseczki musiało być równiutko - stary - młody - dziecko! tak było u wszystkich teraz! No i właśnie jak to jest z tą sprawiedliwością? Po zupie zdaje się, że była jak jakaś rybka - a potem "kutja" - to były

wręcz przysmaki nigdy już nie pozbędę się z podniebienia smaku tych delicji ... chciałoby się jeść... i jeść... a tu niestety... Boże czy pozwolisz abyśmy się jeszcze w swoim życiu najedli ... do syta! - każdy z nas chodził z tym - nosił to pytanie w sobie i z nim zasypiał. Też nie wiem skąd - ale na "zakończenie" była herbata. Staszek śpieszył się do siebie - tam z młodymi czuł się, tam się przyzwyczaił. Mnie Mietek musiał kawałek odprowadzić, chociaż żał mi było go wyciągać na taki mróz, ale Staszek się śpieszył... więc musiał Mietek. Mama właśnie ze względu na Staszka i na mnie, że musieliśmy "iść" - zaczęła to "gotowanie" wcześniej, i też skończyła wcześniej aby pani Błaszowska mogła swoim dzieciom też ugotować, - ale co oni mogli tam "przygotować - przyrządzać na tyle osób? nie mam pojęcia, ale jak obserwowałam to wszyscy wokół tego byli zajęci i z niecierpliwością do garnka zaglądali i na nas uwagi nawet nie zwracali. O wspólnej wigilii nie można było - w tych warunkach - nawet wysuwać propozycji. My na kuferku mieliśmy nasz stół - oni widzieli jakąś deskę sobie "przystosowywali" - toż to prawie "przyjęcie" - sześć osób i no i ta "nasza" zgłodniałość tutaj. Mietek - gdzieś od połowy drogi się wrócił - a ja na dalszą część drogi "urządziłam sobie" wieczór kolęd. Śpiewałam sobie głosem którego nikt nie słyszał ba! nawet się nie domyślał - a ja śpiewałam swoje kolędy - nasze kolędy, ciepłe, miłe i piękne. Odtąd ta moja "dla siebie" propozycja zadomowiła się we mnie na dobre. Tak przypuszczałam, że po "kolacji" Błaszkowski już kolędy śpiewali razem - Mama zapewne już weszła do łóżka bo widziałam, że jest zmęczona i nogi miała bardzo zziębnięte

1941/42

Mietek porządkował - ale też śpiewał, wiem, że bardzo lubiliśmy śpiewać kolędy Wigilia - 1941 roku w Kazachstanie dobiegała końca. W tych zimnych lepiakach, wynędzniali, zgłodniali, zawszawieni - w wieczór wigilijny każdy Polak połykał grube krople łez musiał zaśpiewać swoją pieśń domagającą się litości nad naszą Ojczyzną "wspieraj swą siłą wszystkim wioskę z miastami" ! - Pobłogosław!! Dzieci Angeliny Nikołajewny były dla mnie ogromnie sympatyczne, czekały aż wrócę i żebym opowiedziała jak było, - nie puszczając, że tak polubią te moje "bajki o moim kraju - o jego tradycjach - no ale nie dokończyłam, że dzieci czekały na mnie żeby mi też uświetnić moje święto i wręczyły mi "podarok" - no jakże mogłaby zapomnieć co w nim było ... malutkie mydełko i aluminiowy grzebień Odczułam to że Andżelina Nikołajewna docenia mój stosunek do dzieci i że nawet jest mi wdzięczna taki "podarok" to prawie wyróżnienie. W Sylwestra - Andżelina poszła do przyjaciół "wstrzecać nowy rok". Tak dobiegł końca 1941 rok. Już zaraz po świętach Mama starała się przygotować dla Staszka - na drogę - co było najniezbędniejsze, bo wiadomo było, że go umundurują, a to co na nim - to wyrzucą za siebie "i spluną"! Pan Lickindorf i Pan Romer znów przywieźli nieco wiadomości - o tym że lada dzień przyjdą powołania dla całej grupy tych młodych chłopców i rzeczywiście, w połowie stycznia (1942 roku) pożegnaliśmy Staszka - Mama zachowywała się przy nim tak jakbyśmy przez niego dotarli do jakiejś drogi, którą "na skróty" - dojdziemy do Polski. A przez parę dni po jego wyjeździe - jak zwykle odchrowała to rozstanie - całymi dniami gorąco się modłać - mocno płakała.

1942

No i teraz zajęła się mną - przerobiła mi sukienkę i coś tam mi uszyła, że tak powiem "pod spód". Sprawa, która spędzała Jej sen z powiek - to obuwie dla mnie. Pod koniec lutego powiedziała, żebym już uprzedziła Andżelinę, że muszę już wrócić "do domu" - bo Mama załatwia mi pracę w przedszkolu, które ma być "otwarte" jak tylko nadejdą "dary" z Ameryki. Delegatura załatwia już pomieszczenia na magazyny. W moich wyobrażeniach nie mieściło się jak ta "pomoc" z Ameryki będzie wyglądała. Od Przedstawicieli - którzy znów na jakiś czas przybyli do Delegatury, dowiedzieliśmy się, że Generał Anders "idzie mocno" - 28 stycznia (42r) doręczył kolejną notę z jednoczesnym przedłożeniem coraz obfitszych danych - no teraz już list imiennych z nazwiskami i rangami polskich oficerów jego nieustępliwość w tej kwestii była zdumiewająca - znał - poznał już "ich" dobrze w więzieniu będąc, że albo teraz - albo nigdy .. byli wśród naszych i tacy którzy uważali że jest zbyt natarczywy - niestety upłynęło dużo czasu zanim przekonali się, że postępowanie Generała Andersa było godne najwyższego szacunku, aprobaty i poparcia w jego nieustępliwości. Jeszcze 3 grudnia (41r) w czasie spotkania Stalina, Mołotowa - Sikorskiego, Kota, - Sowieci zgodzili się na podwyższenie porcji żywnościowych dla Polskiej Armii z zadeklarowanych 44.000 porcji na 96.000 porcji ale coś tego punktu dotychczas nie dotrzymali - więc w swojej nocie Generał Anders przypomniał, że de facto Armia Polska otrzymuje dotąd tylko 30.000 porcji - tym samym nie wykonują - i ryzykować może na śmiało, że nie zamierzają wykonywać swoich zobowiązań. Wszystkimi one pozostają narazie w sferze deklaracji. Sprawa żywności - nie należała do błahych - i

8 Jan

liczebność wojska bowiem osiągnęła 75 tys. żołnierzy, a prócz tego wokół obozów wojskowych zgromadziło się ok. ...40 tys. cywilów - przeważnie kobiety i dzieci, które uznano, za rodziny wojskowe i żywiono je z uszczuplenia tych dostarczanych 30.000 porcji dla Wojska. W świetle tej sprawy uzyskanie żywności dla przede wszystkim przedszkoli, sierocińców i domów - opieki chorych miało bardzo nikłe szanse. W końcu marca pożegnałam się z Andżeliną Nikołajewną. Dziękowałyśmy sobie wzajemnie i rozstaliśmy się zachowując dla siebie wzajemną sympatię - a ja wielką wdzięczność. Moja Mama, wiośnią próbowała "wypraw" poza mieszkanie - coraz, dalej! coraz dalej! - i tak o kosturze dotarła do Delegatury - tam "wyrobiła mi papiery" że doskonale znam tę pracę, że już od 5 klasy byłam "zastępową" mam tzw. podejście i że kierowniczka na pewno ... będzie ze mnie zadowolona. Takich dziewcząt do tej pracy zgłoszono się kilkanaście, a potrzebne były ... dwie & gdyż "środkami" na te wszystkie cele były ogromnie szczupłe. Przedszkole organizowała 22 letnia Irena Szatunówna, które posiadała kwalifikacje przedszkolanki, zdobyte w profesjonalnej szkole w Warszawie i ona poszukiwała dwóch młodych dziewcząt - i nie ukrywała, że z predyspozycjami. Nie posiadałam się z wdzięki kiedy Mama z zapomogi - na początek w kwietniu odkupiła mi od Polki jakieś "meszty" - no i wtedy już mogłam osobiście pójść do organizatorki przedszkola. Przeżyłam tę wizytę ogromnie - i bardzo stremowana, bo byłam zaniehbana i w mowie i w obyciu - stanęłam przed panią Ireną. Po "dzień dobry" - pani Irena spojrziała na mnie z wyrazem zdziwienia. Aaa! to ty? I widywałam ciebie na tamtym końcu miasta jak wracałam do domu

buty?

1942.

i z przyjemnością obserwowałam z jakim wdziękiem nosisz wodę... byłam czerwona po czubki włosów i zupełnie odebrało mi mowę, bowiem to powitanie przeszło moje wszelkie oczekiwania. Irena dokończyła, a - jednak twoje przyjęcie uzasadniam chorobą Mamą, a która się bardzo za tobą wstawiła. Pani Irena - dodała, że jeżeli mogłabym to żebyś się postarała wziąć udział w próbach - w przygotowaniach do "akademii" którą pragniemy zorganizować dla uczczenia Konstytucji 3 Maja. Te próby odbywają się na świeżo zdobytej przez Delegaturę - okazałych rozmiarów posesji - nowowypudowanej i przez władze miejskie jeszcze nie zagospodarowanej i tu powiedziała mi - określiła gdzie ta posesja się mieści. Trafić nie było trudno, gdyż na tę z próbę ciągnęło "pół miasta Polaków" jak do Polskiego Domu! Organizatorzy - sami się wyłonili, i oni skłiknęli Polaków i jednym zaproponowali śpiew w chórze innym recytację. Pani Irena, do której nieśmiało doszłam - trzymała w ręce skrzypce i zaproponowała mi abym się dołączyła do grupy "chóru". To był mój "pierwszy krok" już jako 16-latkę w nowe otoczenie, zetknięcie się z rówieśnikami - to było prawie tak jak w Polsce - pewnie nie tylko ja, ale wszyscy nasi stawiali się tu na oznaczony czas - biebli - to był taki odizolowany ze wszystkich stron - jak wysepka na morzu - Polski skrawek ziemi, no i wydawało się, że "oko sowietów" tu nie ma wglądu! Nadszedł "Dzień" - akademia była cudowna - miała charakter ogniska harcerskiego. Na tę akademię przybyli "ktoś" z Polaków w Pawłodarze. Widzowie ustawili się półkolem - a w punkcie na deskach ustawiony został chór - a występy odbywały się na jego tle. Były dwa "sola"

skrzypce

skrzypcowe - bo oprócz pani Ireny, jeszcze
 - oże ktoś ... tutaj przywiózł skrzypce!
 W powietrze wzbijał się głos chóralnego
 śpiewu - polskich piosenek... tutaj!
 - nadzedł trzeci maj - w kwieciu brzo-
 gaj - tak radośnie biją dzwony, lecz przy-
 nę szczęścia tony, na nasz wolny ... na
 nasz wolny kraj ... (a Polski nie ma!)
 leś piosenka, leś ... Sławę ! Duchu! nie-
 miłość Boga, miłość Kraju - pracy, wiary,
 obyczaju, w naszych sercach - nieś! - to
 była mi zupełnie niezmienna piosenka, jak
 Wilija naszych strumieni rodzica - dno
 ma złociste... i niebieskie lica - pięk-
 na Litwinka co z niej czerpa wody - ma
 dobre serce i piękne "jagody" - potem
 Halinka Jbhówna - a ktośby jej to zapom-
 niał ! - jak wyrecytował "Fortepian Szo-
 peny", wtedy sobie postanowiłem , że się
 nauczę też na pamięć tego wiersza.... ale
 tycia za mało! - pamiętam też piosenkę
 o jesiennych mgły... skwitł aster krzew,
 i dziwnym smutkiem wieje z szarych ról...
 wieje z szarych pól - a pamiętam w wioś-
 nie ! było tak radośnie ! było tak ra-
 dośnie gdy pieśni swych noc nucił słowik
 w noc... czarowną noc ... - wszyscy sta-
 li zastygli, zaszuchani, głodni piękna
 naszej mowy, naszych pieśni - ktośby wte-
 dy "oczyma duszy" nie widział rozkołysa-
 nego "Zygmunta" na Wawelu - Echo od
 Karpat - niesie ton... w Zygmunta uderze-
 no, z wieży wawelskiej zagrał dzwon...
 drży Ziemi Polskiej kono ... a tu snów
 wiersz którego jakiego strzępki błakają
 się w mojej pamięci , bo wszystkim żay
 z oczu się polaży - ... nie ma Polski ...
 nieprawda !! być musi !! muszą Orły
 zabłyśnąć na Polakich Szteandarach !!!
 Boże ! jak dobrze nam tu być!! - wyjdzie-
 my wszyscy stąd silniejsi ... nie do odje-
 żowania , że nie ma tu mojej Mamy ...
 Jej byłyby te "Hormony" ogromnie potrzebn-
 e.

8
 2.
 20

1942

A np piosenka - O Polski Kraju święty
 - warowny Domie nasz - o jakiś niepojęty
 ty dla nas urok masz, potężna w Tobie si-
 ła - żywota wieczny źródło - O! Polsko
 moja miła - o drogi Kraju mój! - a niedu-
 ży chłopiec kończy wiersz Marii Konop-
 nickiej - i stanie nad tym Krzyżem znak
 tęsknoty gwiazda ... żeby mógł znaleźć
 tułaczy ptak, drogę do gwiazda... był,
 też "koncert Jankiela" - pod koniec
 urywek poematu Mickiewicza - ... o Ty
 co do zdrowia mnie powróciła cudem ...
 tak nas powrócisz na Ojczyzny kono ...
 - Tam! to brzmiało jak modlitwa - każde-
 mu się kolana gięły aby przy tym wierszu
 klęczał ... no i koniec, teraz wszyscy
 będą śpiewali razem - słowa najpierw
 podaje pan ze skrzypcami - Witaj majowa
 Jutrzenko - co świeciłaś nam nad Krajem
 i w Zimową Noc Niewoli - wiosną pachnia-
 łaś i majem - i teraz śpiewają te sło-
 wa wszyscy! - Witaj dniu Trzeciego Ma-
 ja który wolność nam zwiastujesz! pierze-
 ka już ciemiężców zgraja! Polsko dzisiaj
 tryumfujesz! witaj maj! Cała akademія
 miała w sobie ten patos przez wielkie "P"
 który kresowiacy noszą w sobie od kolebki
 Organizatorzy, którym wszyscy ze łzami
 w oczach dziękowali - obiecywali, że te-
 raz to tak ad hoc ... - ale na 11 listo-
 pada to my tu sobie przygotowujemy boom!
 Nikt nie był na tyle przewidujący, że
 sowieci ten wulkan ugaszą wiaderkiem wody
 Ale swoją "Wiosnę" - w Pawłodarze, Polacy
 mieli! - Niebawem nadeszły z Ameryki
 wagony z żywnością i odzieżą. Nie wiem
 czy znalazłabym słowa które mogłyby prze-
 cenić niezwykłość i dobrodziejstwo tego
 faktu - a także czy ludzie, którzy tam
 w Ameryce pośpieszyli natychmiast ze swo-
 im darem dla nas - dowiedzieli się jakie
 znaczenie miała ta ich pomoc. - Może dzie-
 kują choć wykrzyknąć tak głośno aby do

tych ludzi dotarło - wdzięczność i pamięć o dobroci tych ludzi - zachowałam i zaprzekałam dzieciom; to było coś "z prasykwiowej mamy z Nieba" - Ta pomoc znacznie przyspieszyła "otwarcie" sierocińca, przedszkola, domu opieki i w nim stołówek z której korzystali ~~zyszytali~~ wszyscy. Już nie mówiąc o tym, że i ja - się poprostu ubrałam, dostałam dwie sukienki pewnie ze cztery bluzeczki, dwie spódnice - zimowy płaszcz z wielkim kołnierzem ~~chyba z zabry, bo w takie pany - bućki~~ podczochy i parę drobiazgów, które już były w tym wieku niezbędne, Nie wiem jak inni - ale ja to "ubranie" - przeżyłam bardzo głęboko jako nieocenione dobrodziejstwo, byłam przecież "goła" - to co mi Mama przerobiła już długo by nie pociągnęło, zresztą to już były zachmany - wszyscy już byli w zachmanach - przecież te rzeczy nosiłam przez dalsze kolejne cztery lata - bo później nic już znikąd!!

Bardzo już zniecierpliwiona - doczekałam się wreszcie otwarcia przedszkola. Pani Irena zajmowała się dziećmi - uczyła wierszyków, piosenek - a dzieci naranie siedząc na podłodze na amerykańskich kocach z otwartymi busiami wysłuchiwały jej cudownych opowiadań i bajek. Któregoś dnia - a było to już po ustaleniu ilości dzieci, pani Irena podzieliła je na dwie grupy 22-25 "osobowe" i jedną grupę dała pod pieczę Zosi - ~~nazwiaka nie pamiętałam~~ a drugą - mnie, pani Irena zaś jak się mówi czuwała nad "całością". Było widać, że miała już koncepcję organizacyjną tego przedszkola znacznie wcześniej obmyśloną - np. mimo, że były dzieci i trzy- i siedmioletnie - nie podzieliła dzieci na grupy wiekowe, co dopiero później mi się wyjaśniło - tak więc całość tworzyła "gromadę suchową", a w niej dwa zastępy suchów. Modlitwa i "apel" całej gro-

mady" odbywał się z udziałem pani Ireny - z "wielkim hymnem" - „suchem być to rzecz nie mała” - wszyscy o tym dobrze wiedzą - oczka jasne, busia śmiała i t.d. no i po tej podniosłej uroczystości, rozpoczynaliśmy zajęcia w grupach - zastępach. Jeden zastęp nosił nazwę "Kwiatki" ze swoją herbową piosenką - „lubie wszystkie kwiatki, bo je Pan Bóg stworzył, w lasach i na polach w bukiety ułożył - a tam ponad rzeczką co wije się kręta, niezapominajka otwiera oczka - jeszcze wczesna wiosna, jeszcze chłodny ranek, a już w ciemnym lesie zakwita sasank, a za nim przylaszczka wychyliła się z pąka i mleczem się śliskim złożyła cała kępa ... i t.d.

Trzeba było przed tym dzieciom opisywać te kwiatki - bowiem nie pamiętały lub też nie widziały ich jeszcze na swoje oczy. Drugi zastęp to były "Krasnoludki" i też miały swoją piosenkę. - krasnalki my! krasnalki my! - wesoły sobie - mały lud! jesteście tu - jesteście tam ... figielki różne mamy - lecz ciemny las już wzywa nas, bo pracy w lesie mamy moc! - krasnalku chodź! krasnalku chodź! bo nam tu ciebie trzeba! - Bawiałem się więc z dziećmi w zabawy, które pamiętałam z dzieciństwa z półkolonii i z zuchów - ale to co na zajęciach wspólnych wyczyniała z dziećmi Irena a trzeba dodać w warunkach skrajnie prymitywnych - to absolutnie zasługiwało - aby jej to "uwypiklić". Pamiętam - chociażby taki wierszyk "Dla mamy", od pierwszego wersetu, i pierwsze czytanie było już odpowiednio modułowane z nadaniem mu "mimiki" włącznie - a które to "szczegóły" są przez dzieci doskonale podpatrywane i naśladowane - no więc chciałabym zatrzymać się na tym - jaki był efekt tego wierszyka "Dla mamy" o którym wspominałam. Szkoda, że zapamięta-

Łam tylko końcówkę - ... a kiedy spojrzę
 w mamine oczy... to ... małe serce mi nie
 wyskoczy!! - A kiedy jeszcze pani Irena
 przykazała dzieciom, aby bardzo zmęczonymi
 cierpieniami ~~z~~ swoim mamom - ^{przed} przed spanie-
 niem żeby objęły swoją mamę i powiedzia-
 ły jej ten wierszyk - to nazajutrz...
 mamy biegły do przedszkola razem z dzieć-
 mi i dziękując pani Irenie ocierały z
 oczu spadające łzy, jak grzech - ścisnęły
 ją, uśmiechały się ~~z~~ zyczliwie. * One nie
 miały nadziei, że to jej wynędzniałe dzie-
 cko, dziczejące - potrafi z takim uczu-
 ciem powiedzieć jej - matko - wierszyk!
 Pewnością to, co ja tu teraz "wypisuję"
 będzie się wydawać "małe" i śmieszne, ale
 ja noszę w pamięci tę moją pierwszą pra-
 cę "na serio" - jako pracę wyższej użyte-
 czności i wysoce mnie satysfakcjonującą.
 - Chociażby tylko przywołać te chwile - kie-
 dy układaliśmy te piosenki - hymny...
 Kiedy obserwowałam Irenę w czasie jej
 pracy - była absolutnie pochłonięta tym
 co robi - toż to było "zjawisko" - no ona
 sama już była niepospolita! - jasna cera
 wielkie niebieskie oczy - granatowo czar-
 ne włosy, ale pomijając urodę - to był su-
 sam wdzięk, takt i subtelność, - co tu du-
 że mówić Irena zauroczyła nie tylko mnie
 - ale dzieci, ich mamy, no i Romka.
 Delegatura "wytrząsnęła" też dla Polskiej
 Placówki - ~~tielęgę~~ - furę - nie to jednak
 nią to samo - więc tielęgę ze szkapiną
 a furmanik nią Romek, nazwiska tego stu-
 denta nie zapamiętałam. Odległości tej
 Polskiej Placówki od miasta były znaczne
 więc ta tielęga była nieoceniona jak ~~zresztą~~
 zresztą i jej woźnica - który był na każde
 de zawołanie "przywieźć" - "odwieźć" -
 "zawieźć", no a każdą wolną chwilę prze-
 siedział w drzwiach naszej "przedszkolnej
 szopki". Przedszkole zajmowało dwa po-
 mieszczenia magazynowe, bez okien i bez

podłogi - klenisko - a światło wpadało przez całą szerokość wrót które musiały być cały czas otwarte, - ale były upały - to jakby tak musiało być. Delegatura znów "wyczarowała" dla przedszkola nowe stoliki i krzeselka. Pomieszczenia te sprzątałyśmy same codziennie po odejściu dzieci. Pamiętam, że miałyśmy kłopoty z odesłaniem dzieci do domów - dzieci nie chciały odchodzić - przez kilka dni "po pożegnaniu" wychodziły za bramę i tam siadały lub stały z nosami przyklepionymi do płotu, czekając - mówiły - jak pani posprząta to nas zawoła! Praca mnie pochłoneła, nie liczyłam godzin. Po sprzątaniu, przygotowywałyśmy pomoce i program na dzień następny. Odgadywałam myśli kierowniczką, pochłaniałam jej uwagi, nauki - których nam z Zosią udzielała. Mijał nam czas teraz tak szybko. Odżywałam psychicznie - Mama miała lżej, bo oboje z Mietkiem dostawali i parę rubli zapomogi i obiady, no i trochę odzieży. Wszyscy - zaś szczególnie ci którzy byli - tworzyli Delegaturę - po tej pomocy amerykańskiej zaczęli "wyglądać", - zdarzyło się w wagonie z odzieżą kilka spódniczek granatowych w "sześć klinów" - kilka białych bluzeczek i ta ilość starczyła aby wszystkie dziewczyny w Delegaturze "nosiły" się jednakowo i Irena też, ubierały się codziennie w ten sam "strój" i na dodatek jedna z dziewczyn kupiła wszystkim t.j. sześć nikiforkowych broszek - śuczki z drewna - czarne żepki i odwłoki a brzuszki zielone, i tak paradowały, wydawały mi się takie doczesane i doprasowane no i jeszcze broszkami przystrójone. Jak chciałam już być starszą żeby tak się z nimi przyjaźnić i ubrać. Irena z racji swego charakteru pracy musiała się często kontaktować z Delegaturą - to też stamtąd przynosiła nam często

wiadomości, których gazety "nie publikowały", tak więc i teraz - w początkach lipca - no! no! już lipca - po ostatniej bytności w Delegaturze - podzieliła się z nami wiadomością, którą przekazywała tu na "polskiej placówce" - jej pracownikom z pewnym niepokojem: nasz ambasador St. Kot znowu nie otrzymał żadnej odpowiedzi na swoje memorandum - 19 maja wręczone sowieckiemu prawicielstwu. Memorandum podtrzymywało żądania podane - w polskiej Nocie, jeszcze w styczniu br. (42r.) i równocześnie powiadamiało, że dotąd strona sowiecka nie wywiązała się z zadeklarowanych porcji żywnościowych dla wojska, ani nie podała miejsc - gdzie są w dalszym ciągu więzieni setki polskich żołnierzy - Irena teraz podkreśliła, że ignorowanie oficjalnych pisemnych not i memorandum ambasadora nie może być tolerowane, bowiem nie udzielenie odpowiedzi w dyplomacji, w cywilizowanym świecie jest wogóle nie do przyjęcia - to tak abyśmy o takich prawidłach wiedzieli. A tu do Pawłodaru nadeszły wagony z żywnością - część została rozproszona po "obłaskach" a część zwożono do pomieszczenia tuż obok naszej przedszkolnej szopki - tłuszcze, kartofle w proszku, ryż, makaron, budyń, fasola, kasze, mleko zagęszczone w puszkach, kakao, i przyprawa do zup w butelkach jak flakoniki - przejechawszy tyle świata żadna nie była rozbita! - a wogóle była nadzwyczajna w smaku. Nie potrafię już sobie przypomnieć, czy chleb, który nam łaskawie dawali - tutaj do przedszkola był w ramach kartek - czy też była to dodatkowa kromka. Można było już zauważyć że dzieci teraz po dwóch miesiącach uczęszczania do przedszkola "wydobrzały", były znacznie mniej łakome, bo na początku panie - które gotowały - nie mogły ustalić ilości, bo dzieci (i nas) nie

można było nasycić. No i tymczasem młodzielowy krąg znajomych się rozrastał, szczególnie dzięki dokładaniu do tego reki Ireny. W każdą sobotę - a zdarzało się, że i częściej, zapraszała do "siebie" jakieś 12 - 14 osób na popołudnie "przed chatą". Irena ze swoją mamą mieskała u bardzo sympatycznej Rosjanki w ni niedużym drewnianym domku - szczelnie ogrzonym. Na podwórko - "przed chatą" - Rosjanka pozwalała wynieść ze swojej izby ławki i stolik pod patefon - tak patiefończyka pilnie strzegła no swoich parę płyt. Irena natomiast przynosiła też swoje - zdołały z mamą zabrać i dotąd je ochronić, trzy lub cztery płyty - z których jedną zapamiętałam na całe życie - to była ^{du} ~~była~~ Marija Gunoda, od tego czasu to była płyta którą bym też ze sobą woziła. Tymi zaproszeniami Ireny - czułyśmy się z Zoszą wyróżnione, my dwie 16 latki, bowiem reszta towarzystwa była około i po 20 stee. Było słuchanie koncertu z obu stron płyty, były tańce do upadłego na podwórkowym klepisku, były dla "odpoczynku" zabawy towarzyskie - bardzo, bardzo miłe i nie przesadzę nic, jeżeli powiem że się między nimi rozwijałam. Okres tej Polskiej Wiosny w Pawłodarze wspominam ze wzruszeniem i serdecznością. Mama - prała mi i "prasowała" - służyła jak tylko mogła - bo "pracuję" i muszę "wyglądać" - no może teraz mogła być o tym mowa, dzięki darom amerykańskim - ale jeszcze dwa miesiące temu !!!?

No i jeszcze tego - mam nie podkreślić! o którejkolwiek godzinie bym nie wróciła - moja Mama nigdy nie zrobiła mi najmniejszej wymówki, wyrzutu, nie okazała mi nawet niezadowolenia. To wcale nie było tak, że o tym nie myślałam, że tego wtedy nie doceniałam - to mnie z Nią jeszcze

bardziej wiązała - jakbym wyczuwała, że tego dla mnie pragnęła - i całym sercem była przeze mnie w "swoim świecie". - Często w nocy śpiąc opowiadałam Jej o "sprawach" - bo rano znów wychodziłam, Ona cieszyła się z mojej pracy i te spotkania bardzo popierała, była zadowolona że się organizujemy, dyskutujemy, tańczymy - bo Moja Mama - to była aktywna społecznica, a teraz - większość czasu musi przeleżeć w tym barłogu, bo inaczej trudno to było nazwać, bałam się żeby nie nadszedł moment buntu ... Mama jednak częściej musiała leżeć snując, by to się wydawać mogło, tak więc wszystko musiała mieć w pobliżu siebie - nie! nie leżała beczynnie, sama te prania i szycie zadawała być może to w ochronie Ją od "najgorszego". Był już sierpień. Upały oskazywały i dzieci i dorosłych, trudno się do tego klimatu było przystosować, często kiedy dzieci wyprowadziłam poza posesję "na spanie" - też się przy nich zdrzemnęłam. Ani na terenie tej "polskiej placówki" - ani nawet w zasięgu pola widzenia nie było - nie, że drzewka, ale ani krzaka - to też dzieci brały koce - a miałyśmy ich dużo, i układały się na nich pod płotem, od północnej strony tam gdzie płot rzucał trochę cienia. Idąc do pracy - wciskały się do uszu wiadomości z głośników o sytuacji na sowieckich frontach. Ta wojna już trwa rok - a Sowietci nadal tylko się bronią - a Niemcy ... a Niemcy w dalszym ciągu nacierają! Również wpadłam do uszu, że Anglia w oparciu o układ z sowieckim prawicielstwem z maja tego roku, zobowiązuje się do wzajemnej współpracy w wojnie z Niemcami. Tutaj też powinienam powiedzieć, że o zobowiązaniach się Ameryki do dostaw sprzętu wojennego Sołtom dowiedziałam się po zakończeniu wojny, bowiem na takich tyłach jak tajga,

czy Kazachstan nie było sensu mieszać ludziom w mózgach, że o własnych siłach wojny nie wygrają. Natomiast rzucało się "w uszy", że ich ulubione wprost magiczne słowo "imperializm" - jest conajmniej teraz używane jako co piąte - a do wybuchu wojny - pewnie co drugie... Już raz wspomniłam, że rozróżnialiśmy ten naród jako "rosjan" - i "sowietów" - a nasi pracownicy Delegatury i innych polskich placówek, którzy z racji swej pracy mieli kontakty z ich urzędami - zauważali oni, że daje się to odczuć jak sowioci zaczynają nam okazywać swoją niechęć i krytycznym okiem spoglądają na to panoszenie się Polaków w Pawłodarze, bo w "obłasci" skupiska Polaków były rozsiane i pogubione w obszarze - a tu napłynęła taka liczba Polaków, że na ulicach słyszano się polską mowę z jej odmianami kresowskiego dialektu. Nie przebrzmiało jeszcze w Pawłodarze echo Memorandum z 19 maja - a już dotarła nowa wiadomość że ambasador St Kot prze..."sprawę polską" uparcie już teraz do przodu! ... przeczekawszy te trzy tygodnie przyjęte "w urzędowaniu" i nie doczekawszy się od Sowietów odpowiedzi - znów ponowił pytania 13go czerwca br (42r) - no i ... tym razem nadeszła odpowiedź. To co otrzymał pan ambasador - to właściwie nie była odpowiedź in concreto - to był "unik" który przekraczał wszelkie perfidne chwyt w dyplomacji - to była notatka pod nazwą "aide-memoire" - czyli uzupełnienie, no powiedzmy powtórzenie na piśmie ~~tego~~ już wcześniej złożonego ustnie oświadczenia - a potocznie to się nazywa! "wnawia - jak w niemca chorobę"... bo przecież takiego oświadczenia dotąd nie było - ale coś z tymi naleganiami gen. Andersa - i St Kota trzeba było zrobić - wybrnęli więc takim środkiem - jak "aide

↓
-memoire : a w nim, że już przecież wyjaśniali polskim przedstawicielom, że brakujący oficerowie (o żołnierzach to nawet ~~sława~~ ani słowa!) - to uciekinierzy z obozów jenieckich i zapewne zostali wyniszczeni chorobami ... a naciskany przez gen Andersa (i chwala mu za to!) nasz ambasador, ostatecznie wystąpił 8 sierpnia br (42r) jeszcze o dostarczenie przynajmniej list - spisu polskich oficerów, żołnierzy - jeńców wziętych we wrześniu przez stronę sowiecką - i wówczas pełnomocnik sowieckiej wierzchośzki powołany do wyjaśnienia tej "sprawy" - towarzysz Andriej Wyszynskij - był chyba wtedy "generalnym prokuratorem" i on stwierdził i podał do wiadomości naszemu ambasadorowi - że takich list - niema !! - a ja tutaj sobie pofolguję i dopiszę dalszy ciąg tej notatki ze swojej głowy - ... takich list nie ma! - i nigdy nie było - bowiem w świecie cywilizowanym i kulturalnym pilnuje się aby ani jedno nazwisko wojennego jeńca - żołnierza! - obrońcy swojej Ojczyzny nie zaginęło - ale o nas właśnie chodziło o to - aby śladu po nich nie pozostało - zresztą to taka błahostka, że ktoby się w to u nas zagłębiał. Sowiecka Wierchószka z generalissimusem Stalinem na czele jest do "wyższych rzeczy" powołana - a nie tam żeby waszemu Kotu wyjaśniać gdzie są polscy oficerowie i żołnierze. - Owszem !!! my zainteresowanie nimi przejawiliśmy w odpowiednim momencie, kiedy to wszyscy się zgromadzili we wrześniu 1939 roku z tej strony Bugu - no! no i tam ich osaczyliśmy, połapaliśmy, broń i amunicję odebraliśmy, co niepokorniejszych zaciukaliśmy po drodze - a resztę zapędziliśmy w kamasaty aby tam ich ignoić i pomordować. Teraz już ... t zn. od tego czasu dobiega trzy lata !!! - trzy lata ... - to teraz

8
39

↑

możecie nam teraz !! - wiecie co?
no bo i co nam możecie zrobić ? no pyta-
my ? i co nam za to ~~musicie~~ zrobić ?
no ... właśnie ! ... - przestańcie więc
nudzić. No a już ten wasz niepokorniejszy
Anders - toż jego nastojczywość -natarczy-
wość jest już nie do zniesienia! niech
on nam zejdzie z oczu ... po dobroci ...
bo nie ręczymy My z nim nie chcemy
rozmawiać. A coż to jemu tak chodzi o
tych kilkuset polaczków oficerów i żoł-
nierzy - jeńców ... i szuka ! i dopytuje
się i męczy naszych komisarzy! - a u nas
nie ma zwyczaju spisywać tych co są przez
naczeni na ... no wiecie ... wy to nazy-
wacie wymordowaniem. Cha! cha! cha! toż
nam na takie spisy papieru by nie starczy
żo- no bo i w więzieniach i gosudarstwien-
nych(umaliszonnych)uprawleniach łagieria-
mi - to poprostu my nazywamy G-U-Łagi,
w obozach w kopalniach eee! my z tego
wybrniemy , bo my się specjalizujemy w
(doktrynalnym) przeinaczaniu faktów ...
i światu tak wyjaśnimy ! że "owca będzie
cała" - a zfeszta , my się ze światem nie
liczymy - z nami w tym względzie nikt nie
"wygra" - tymbardziej , że nasza komuna
wcześniej czy później zaleje świat! My
nie będziemy się z tego co robimy przed
nikim rozliczać ani przed nikim odpowie-
dać. Pewnie , że wam ! "palaszkom" marzy
się, że zmuszeni zostaniemy do dania sa-
tisfakcji za te wszystkie nasze jak na-
zywacie " zbrodnie" - ale wolne żarty!
możecie namwiedziecie co ? .. no to co
najwyżej.... ! Anders nudzi, docieka, opo-
wiada, że są konwencje które określają
postępowanie z żołnierzami w mundurach
i z bronią - grozi , że każda zbrodnia
będzie pomszczona! ... bzdury, nas Sowie-
tów to nie dotyczy, bo nam niczego się
nie da udowodnić - dlaczego? bo wszyscy

będę milczeć - my im to tutaj u nas wypa-
limy - nikt nie zaryzykuje - no Anders
też już wie co to jest "strach" - tak!
my się rządźmy swoimi prawami - wzoruje-
my się na Drakonie!. no i właśnie Anders
zamiast uformować wojsko, przecież na na-
szym terytorium i tak jest "z kogo"...
włączyć się z nami do walki przeciw wspólnemu
wrogowi przy "ramieniu" naszej czer-
wonej armii - to on wynajduje, że nie
zwiększyliśmy porcji żywnościowych dla
"jego" armii - a przecież zadeklarowaliśmy...
przecież wszystkiego nie można brać
na serio, któryś z komisarzy z tym "wys-
koczył" - noż oczywiście, że to prawda
że u nas wszystkiego wiele - ale dopóki
Anders się serio nie zadeklaruje, że "jego"
wojsko będzie przy naszym "ramieniu" wal-
czyć... my - waszych dotąd zebranych
żołnierzy i ten dookoła nich biwak rodzin
- karmić nie będziemy - ot co!!! Będzie
mi to wybaczone - bo to jest chwila mojego
"oczyszczenia". A "rozmowy" faktycznie
po tej nocy z 8-go sierpnia (42r) zosta-
ły przerwane i od tej pory z dnia na dzień
stosunki polsko - sowieckie i tak nie na-
lepszę - pogarszały się. Dywagacje Pola-
ków były takie, że Stalin ze swoją "wier-
chószką" zorientował się, że dłużej ta-
kiego "niedoinformowania" gen. Anders
nie zniesie - "oni" zaś nie mogą się
przyznać do tego "co zrobili" z taką ilo-
ścią Polskich oficerów i żołnierzy - było
więc coraz jaśniejsze, że gen Anders ze
"swoją" armią do walki przy "ramieniu"
czerwonej armii nie przystąpi i dalsze
tworzenie i formowanie się armii polskiej
na sowieckim terytorium - nie było już
możliwe - i nawet nie proponował kiedy
gen. Anders złożył sowietom oświadczenie
że walka ramię w ramię z narodem który..
i tu nazwał! "rzeczy" po imieniu -

370
pozbawił życia w tajemniczy sposób tylu polskich jeńców - ani nawet... nie można dociec co kryje się w tych odpowiedziach dawanych "półgębkiem" i "od niechcenia" w "sprawie" dla nas niezwykle ważnej i poważnej - porozumienie nie rokuje już żadnych rezultatów i w tej sytuacji on gen Anders - podejmuje decyzję - że uformowaną do dziś polską armię - pod Kujbyszewem, wycofuje z granic sowietów, tym bardziej, że decyzji tej już nic nie może złagodzić - bo wiadomość o przechwyceniu uzbrojenia nadesłanego z Anglii dla armii polskiej i lekarstw - już tylko utwierdza nas w słuszności powziętej decyzji. Generał Anders do końca sierpnia 1942 roku zakończył ewakuację "swojej" armii - do Persji. Wtedy już tak na bieżąco nie byliśmy "doinformowywani" - bo nasi rządowi delegaci cały sierpień przebywali w Pawłodarze. Wycofanie polskiej armii z sowieckiego terytorium do Persji miało swój wydzźwięk oczywiście i w Pawłodarze, bo oto też dokładnie w ostatnich dniach sierpnia (42r) do Delegatury Polskiej w Pawłodarze wtargnęło kilku mężczyzn przedstawiających się, że są z enkawude i milicją, i ustnie przekazali obecnym decyzję sowieckiej wierzchozki o zamknięciu, rewizji - i przerwaniu działalności polskich placówek - na skutek ujawnienia na ich terenie działalności dywersyjnej w stosunku do państwa sowieckiego - Pracownicy tych placówek zajmowali się działalnością szpiegowską i kontrrewolucyjną (którego to słowa używali do przykrycia swojego bezprawia) szczególnie sprzyjała temu sieć kontaktów jaką prowadzili gospodarz attache Lickindorf i gospodarz Romer. Nasz Attashe - pan Lickindorf - akurat obecny w Delegaturze, zażądał aby cała grupa która tu wtargnęła natychmiast opuściła

teren Delegatury, bowiem działalność Delegatury tylko zastrąceniem ambasady polskiej może być odwołana. Zamknięcie może nastąpić po uporządkowaniu, wyprowadzeniu i likwidacji akt i spraw. - a w odpowiedzi na to swoje oświadczenie usłyszał, że ambasada "daleko" - czekać nie będziemy na takie tam formalności, bowiem działa tutaj na terenie Delegatury organizacja pod nazwą "zielone żuki" - (otót to!) i trzeba natychmiast przerwać działalność takich wrogich elementów. - a na jej czele stoją przybyli z Londynu pod pretekstem polskiego przedstawicielstwa - obaj panowie. - i dodali też oczywiście ustnie, że w tej chwili zostaje on - pan Lickindorf aresztowany i ci oto członkowie tajnej antyradzieckiej organizacji "zielone żuki". Działalność Delegatury od tego momentu zostaje zamknięta a pomieszczenie opieczątowane a w ciągu najbliższych kilku dni zlikwidowane. Pan Lickindorf uśmiechając się pobłaźliwie - panowie wolne śarty ja przecież i pan Romer posiadamy dokumenty o nietykalności osobistej, ale nie tylko... bo również i Ksiądz który przybył tutaj przedwczoraj z naszej ambasady w Kujbyszewie - na co sowieccy enkawudziści oświadczyli, że te papierki dla nich znaczą tyle co zeszłoroczny śnieg, a gospoda niech przyjmą to do wiadomości że jednocześnie odbywa się rewizja w ich kwaterach - a służba milicyjna już doprowadziła w kajdankach (w czipach) pana Romera, a wnet to uczyni z Księdzem, bo też poszli po niego na waszą "polską płożasadkę" - a wam, gospodin Lickindorf teraz właśnie je też nakładamy no i pądzioncie w mieście z nami. Polacy - interesanci, którzy byli świadkami tego "zajęcia" co się biegli, aby nas na "placówce" uprzedzić "co się święci" i że lada moment będą tutaj po Księdza - nie było ani

chwili do stracenia - a więc stało się!
na co się przygotować? co się znów tutaj
"odagra"? A tu u nas w przedszkolu już
wszystko przygotowane do mszy św - ołtarz
- ksiądz w szatach liturgicznych, Przyje-
chał do nas - do Polaków tutaj deportowa-
nych, aby nam poprzewodzić w drodze
do wiary i myśli nasze zwrócić w stronę
Chrystusa - a dzieciom pokazać misterium
mszy św. - była to dla nich - znacząca, mia-
ła to być dla nich niezwykła uroczystość
pierwsza msza św w ich życiu - ale nieste-
ty, do mszy nie doszło. Bezspornie bę-
dzie rewizja - ołtarz więc był w ognie-
niu oka zlikwidowany, rozebrany a szaty
i "naczynia" liturgiczne oraz pozostałe
rzeczy Księdza były już w walizce, Ksiądz
tuż przed ich wkroczeniem na "placówkę"
w ubraniu magazyniera wyjechał na furze
Romka poza bramę, i szczęście, bo przy bra-
mie zostawili dwóch milicjantów - a "resz-
ta" ich weszła w głąb i rozglądając się
doszli do grupki "naszych" i rozpytywali
o Księdza ... My tymczasem błyskawicznie
w milczeniu się porozumiewając - wzrokiem
rozścieliłyśmy koc na ziemi i szybko na
środek tego koca postawiliśmy walizkę
przykryłyśmy dwoma kocami - jedna z nas
cały czas "pracowała" nad odwróceniem uwa-
gi dzieci od tego "koca", na tę przykry-
tą kocami walizkę posadziłyśmy na środek
dwoje dzieci i wówczas Irena zwoływała
dzieci, że idziemy na spacer i Kasię i
Marysię wynieśliśmy za bramę na kocu - tak
więc kto żyw koca się uczepił, dzieci za-
reagowały autentycznie i wśród zgłębku
i śmiechu przebrnęliśmy przez tę już strze-
żoną bramę i wynieśliśmy z dziećmi tę
księżą walizkę poza teren "placówki". No
była to dla nas wielka sprawa - wiedzia-
łyśmy napewno, że w walizce są "rzeczy"
dla nas "święte" - i że wraz z rewizji
wszystko to na oczach dzieci byłoby roz-

8} rzucone po przedszkolnym klepisku, albo i gorzej, bowiem każdemu "sacrum" wypowiedzieli wojnę. A swoje "sacrum" Stalina i Lenina już dostatecznie sami zbyszczeszčili, tak się w tej walce zagalopowali! Tak więc za pośrednictwem Romka walił za dotarła do Księdza i Ksiądz najbliższym pociągim im umknął - wydaje się, że mógł zdążyć ^{zanim} ~~razem~~ rozesła "wici" - a my byliśmy radzi, że nam udało się "ich" przechytrzyć. Kiedy następnego przyszłyśmy do pracy - w bramie stała milicja, - no my już wiedziałyśmy ze szczegółami jak się odbyło aresztowanie pana Romera pana Lickindorfa i te wszystkie rewizje. Dziewczyny - pracownice Delegatury - no te "Mielone żuki" - czyli kontrrewolucja - też zostały aresztowane - dlatego też Irena z dnia na dzień spodziewała się aresztowania i tego żuczka... zdjęła... Tak trwało tydzień albo i dłużej. Żywność już nie nadchodziła - poprostu jakby "uciął". - ~~po cichu~~ między sobą, domyślałyśmy się, że przechwytyją. Od pewnego czasu Irena za pośrednictwem Delegatury ubiegała się o pomieszczenie dla przedszkola już na okres jesienno-zimowy, bo od jakiegoś 20 września absolutnie nie można byłoby prowadzić zajęć - przecież ten barak był w "jedną deskę". Namyslała się przez parę dni i wreszcie postanowiła że sama pójdzie do wydziału - bo Delegatura już oczywiście nie istniała. Tam też dowiedziała się, że od 1 października przedszkole będzie przeniesione do domu - znaczy do lepianki przy ul. Gorkiego i że od tego dnia już będzie prowadzone pod innym ~~rukowództwem~~ - kierownictwem! No - dla mnie to był wstrząs i solidarnie postanowiłyśmy też zrezygnować z pracy! Irena przemówiła nam do rozsądku, że dla dobra dzieci musimy zostać - jak długo się da, ^z pewnością oni zadbają żeby nie

trwało to zbyt długo i o nas też będą pamiętało. Tak nieoczekiwanie nastąpiło nasze rozstanie z Ireną. Obiecywaaliśmy sobie, że będziemy przychodzić - się razić. Później jednak... okazało się że baliśmy się tej nowej, że ktoś doniesie o tych naszych kontaktach i zostaniemy pomówione, że chodzimy "ją" krytykować, "wypłakać się na ramieniu". Zresztą cały czas czualiśmy się jak śledzone i podpatrywane w czasie zajęć z dziećmi. Pod koniec września enkawude zawiadomiło polskie rodziny u których zostały zdeponowane rzeczy Polskich Przedstawicieli imigracyjnego rządu - żeby rzeczy tych panów dostarczyli na stację kolejową na jakąś tam godzinę. Wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy i stacji kolejowej zebrała się pokaźna grupa Polaków. Obu panów pana Romera i pana Jackindorfa przywieziono na stację w więziennych ubraniach z ogolonymi do skóry głowami, - tutaj pozwolono się im przebrać w swoje ubrania i takich ogolonych dyplomatów doprowadzili do pociągu, - a nawet mieli ich podobno eskortować do granicy żeby się nie wrócili i znów nie wszczęli swojej wywrotowej działalności. W ciągu października i listopada tę polską posesję - oazę - całkowicie zlikwidowali, sierociniec gdzieś przenieśli w głuchy teren, resztki żywności zmieścili się już w zupełnie małych magazynkach, wszystkie polskie "stołówki" już polikwidowane. Czuliśmy, że biorą nas na "muszkę" - a kiedy tylko nadarzyła się okazja i wytykali nam, że walczyć ramię w ramię z nimi - to nie chcieliśmy tylko żeby oni wywalczyli nam Polskę i za nas sięstawiali - że polaczkisprzedawczyki, uciekli do Persji, najpierw obiecywali, że jak tylko otrzymają od nas pomoc to utworzą armię - no i co ? takie

to wy wraǳnyje palaki, doktrynalna unię-
jętność przeinaczania faktów już z miejs-
ca odwróciła kota ogonem i rozprzest zani-
niała taką oto wersję - czyż dla przeię-
ciętnego rosjanina nie była ona do przyję-
cia? no właśnie! To są szkody - które
napewno zostały zapomniane. Nowa kierow-
niczka Rosjanka - ale my się jej bałyśmy
jak "scwietki" - więc nowa kierownikanka
zapropomowała, że jeżeli kogoś byśmy mia-
ły znajomego i zaufanego - to chętnie by
go zatrudniła do palenia w tym żelaznym
piecyku - bo już teraz trzeba by palić w
nim przez całą noc, żeby pomieszczenie
się ^{nie} wychładzało. Oczywiście, że matych-
miast pomyślałam o Mietku i nazajutrz go
przyprowadziłam "do pracy", na już 33 lat
- zawsześ tu się naje - pomyślałam, a do
roboty - pierwszy! Okazało się, że jeden
Mietek to za mało i przyjęła drugiego ta-
kiego chłopca, chyba 15-latek Leszek Niem-
czynowicza. Obaj w ciągu dnia jechali sam-
kami na porośnięty wikliną brzeg Irtysza
rąbali tę i sankami zwozili, tu już na
miejscu to łamali, cięli nożami na drobne
kawałeczki aby do tego malutkiego żelaz-
nego piecyka weszły no i tak tym całutką
noc palili - to była "słoma" - tego trzeba
było sobie zabezpieczyć w ciągu dnia spo-
ro - tak więc cały dzień byli na mrozie,
ale już mieli zajęcie i ... jedzenie!
Nieprawdopodobne jakąś ono tutaj miało
cenę! Po odejściu dzieci - na zmianę -
porządkowałyśmy tę izdebkę. Bardzo lubiłam
kiedy po odejściu dzieci przychodziła ma-
ma Leszka i druga pani z którą razem miesi-
kały - pani Zubieńska i wykorzystując
ten ogień w piecyku coś tam sobie dla swo-
ich synków pitrasikiy - no i sobie razem
porozmawiałyśmy. Później przychodził też
jej syn Andrzej, a potem Andrzej z kole-
gą Zygmuntem a Zygmunt z koleżanką Basią
- później zostawała Zbąia i przychodził

ogromnie wesoły chłopiec rudowłosy Tadek a później ... jeszcze się schodziło ... guzo nas młodych - ale baliśmy się, że nas kiedyś nakryje kierowniczka i snów zrobi z nas "wywrotowców kontrrewolucyjnych" - dlatego zachowywaliśmy się cicho a okna zasłanialiśmy kocami - a światło dawał nam piecyk. Jak tylko nastał wieczór zimowy - to jedno po drugim przemysłaliśmy się do przedszkola. Baliśmy się - ale dążenie młodzieży żeby być razem było silniejsze. Nawet w Wigilijny wieczór (1942r) - a może szczególnie wtedy - też się wszyscy "pozbiieraliśmy" - nie wiem czy inni też tak to "odbierali" - ale dla mnie te nasze spotkania w otaczającej nas smutnej beznadziejności są do dziś czymś niezapomnianym. W marcu przedszkole pędziło resztkami - bo a kiedy żywność z darów amerykańskich się skończyła - kierowniczka powiedziała, że nie może uzyskać żadnych subwencji na to przedszkole i wobec tego jest zmuszona placówkę zamknąć. A wogóle to coś się zaczęło dziać wokół "sprawy polskiej", a do Kachstanu to zwykle docierało jak "ruchy tektoniczne" ziemi - tak to kojarzę, że fale tu przynosiły odgłosy tego co tam w Europie się działo. Przecież wcale nie wiedzieliśmy, że Niemcy natrafili na niemieckie groby polskich oficerów w Katyniu - a zwołana tam międzynarodowa komisja publikowała materiały i zdjęcia w gazetach i aktach - a wówczas 14 kwietnia (43r) gen. Grot-Rowecki wystosował do Londynu depeszę: Naczelnny- Wódz - Pod Smoleńskiem Niemcy odkryli grób kilku tysięcy naszych oficerów wymordowanych w marcu i w kwietniu 1940 roku - tu podawał szczegóły z gazet, nazwiska i przedmioty znalezione przy - w bestialski sposób pomordowanych. Odzew był taki, że Rząd emigracyjny podjął próbę powierzenia

1943

Sprawy Katynia - Międzynarodowemu Czerw-
 wonemu Krzyżowi - a w reakcji na to So-
 wieckie Prawicielstwo - 25 kwietnia 1943
 zerwało z Polskim Rządem stosunki dyploma-
 tyczne gdyż Polska dyplomacja prowadzi
 na szeroką skalę zakrojoną akcję antyra-
 dziecką, w tym świetle sprawa polska am-
 basada opuściła Kujbyszew - no i "już ko-
 ta żeśmy odwrócili ogonkiem do przodu"
 opublikowaliśmy spreparowane odpowiednio
 strzępy no i znów wyszliśmy "cało" -
 ale ja jestem niecierpliwa więc znów
 swoją kwestię dokonczę: każde dziecko wie
 że w procesie norymberskim listopad 1945
 październ. 1946 na !!! życzenie strony
 radzieckiej - zbrodnię katyńską włączono
 do procesu i do aktu oskarżenia przeciw
 głównym hitlerowskim zbrodniarzom wojennym.
 Ze strony sowieckiej brał udział
 prokurator Rudenko i on postawił w tej
 sprawie swoich świadków przywiezionych
 z Moskwy. Natomiast uczestnicy Międzynaro-
 dowej Komisji badającej stopy trupów w
 dołach wykopanych w katyńskich lasach
 w 1943 roku nikt nie odwołał swojej opi-
 ni o sowieckim autorstwie zbrodni - nie!
 nie! jeden odwołał - to był bułgar uczest-
 nik tej komisji, nawet specjalnie inda-
 gowany przez władze swego kraju - Szwaj-
 car Naville zdecydowanie podtrzymał swoje
 orzeczenie z 1943 roku - a jego rząd był
 skłonny manipulować - namówił Naville'a
 aby jednak przykleił to Niemcom... i tak
 oskarżenie Niemców o zbrodnię katyńską
 nie miało dla Sowietów pomyslnego skutku
 - gdyż Międzynarodowy Trybunał po "powa-
 niu się" na zespół dokumentów dotyczących
 odkrycia grobów oraz depozycji z ławy
 oskarżonych - wyłączył: "casus katyń"
 z aktu oskarżenia przywódców Trzeciej
 Rzeszy, a prokurator Rudenko "zapomniał"
 temu zaprotestować w terminie! Kiedy w
 1984 roku stałem przy murze zankowym

i z góry patrzyłam na Norymbergę - przy
bezsilności kapały mi z oczu - dlaczego
dotąd nikt nie zrobił jeszcze użytku z
akt tu się znajdujących w archiwum pt.
"casus katyń" - dlaczego pozostawiając
te akta - odłożone w procesie wojennych
zbrodni niemieckich - dlaczego dotąd nikt
z tych niezależnych "imperialistycznych"
państw nie chwycił tych akt w rękę i nie
krzyknął z całych sił - "a kto...wobec
tego?" - chyba nie dożyję tej chwili!
dlaczego się tak boją Sowietów - a nas
co tu z nimi musimy żyć" - mówią to ko-
laboranci - a co się mam na księżyc wys-
strzelić ... skąd chleba naszego powsze-
dniego mam wziąć dzisiaj ... a może i ju-
tro? No to znów jest mi nieco łatwiej!
A po opuszczeniu polskiej ambasady -
Sowieci znów nas wzięli na celownik i
to "z grubej rury". Tak więc zaraz w kwe-
tietniu ni z tą ni z ową wyszło zarzą-
dzenie, że Polaków obowiązują nowe zamel-
dowania. - a może inaczej... zameldowania
mają się opierać tylko i wyłącznie na
"pasporcie" wydanym przez tutejsze władze
w maju br (1943 r) - dotychczasowe zamel-
dowania tracą "moc" - i gospodarzom którzy
bada przetrzymywali Polaków "na dotych-
czasowych warunkach" grzy "sztraf" i
Strach i popłoch padł na Polaków. - Dopie-
ro po paru dniach okazało się, że Polacy
wzywani są do enkawude, otrzymują imienne
"powiastki" i po kilku stają przed Dużym
Knutem tam informują ich, że poprzednicy
tłumaczyli się, że posiadają dokumenty
"tożsamości" niedawno wydane przez Delega-
turę Polską na mocy obopólnego porozumie-
nia - ale im o takich dowodach osobistych
nie wiadomo i bolsze o tom gawędzić
nie budziem! "Pasport" sowiecki miał być
wydany wzamian za podpisanie się
zrzeczenie się obywatelstwa polskiego, -
na podstęp był taki, że pierwsi których

1943

to spotkanie nie zorientowali się o co chodzi, bowiem nie wszyscy byli "czytaty" w języku rosyjskim: w enkawudzie powiedzieli te dokumenty - wydane przez Delegaturę są nieważne, a taki "pasport" teraz jest potrzebny do zameldowania ... a tu ... trzeba się podpisać ... i kropka. Dopiero kiedy wezwali takich którzy ten cały arkusz przeczytali ... i odmówili podpisu zaczęła się awantura! Wśród pierwszych którzy odmówili złożenia swego podpisu na tym podstępny akcie była m.in. Irena Skatunowówna ze swoją Matką! i one też wśród pierwszych zostały za to zatrzymane i uwięzione, a żeby też dokończyć to od nich dostała list po rosyjsku pisany Rosjanka u której mieszkali - z... Kamczatki...! - gdyby nie to, że w ten sposób dały znać "o sobie" - którzyby się dowiedzieli o ich istnieniu. "Paszportyzacja" jak Polacy tę "akcję" nazwali - była dla nas niezwykle okrutną represją - pozbawiającą nas jakiejkolwiek nadziei na powrót do Polski. A teraz - światu - pokazą "czarno- na białym" że sami Polacy się zrzekli swego obywatelstwa. Codziennie nie stawiła się grupa wezwanych kobiet - bo przecież jak już niejednokrotnie to podkreślałam, że były to same kobiety i matki z dziećmi - i one nie ... podpisywały, ~~W~~ szły do więzienia !!! No cóż za sarkastyczna zemsta - dopiero po latach wyjaśniły się powody tej zemsty - a wtedy nam nie było wiadomo, ani dlaczego Anders wycofał "swoją" armię ani co było powodem zerwania stosunków dyplomatycznych i likwidacji ambasady polskiej. W ciągu kilku dni zamknęli około 100 kobiet, niejedna zostawiła na "ulicy" swoje dziecko lub dzieci na łasce niekiedy znajomych - ale częściej "losu". Idąc do więzienia były pewne, że ich dzieci wró-

ca - nie będzie nikt miał wątpliwości, że są tu Polakami! Wszyscy, którzyśmy tam byli wiemy, że kobiety te z więzień nie wypuścili. Później dzieci tych uwięzionych kobiet zabierano do "pryjutów", bo nikt nie mógł się podjąć opieki, - ba! opieki? też już nie mieliśmy absolutnie co jeść. W moim mniemaniu - ta ofiara Polskich Kobiet X - zasługuje aby nawet po latach zaliczyć ich "Czyn" do wysoce Bohaterskich. No a one - jeżeli - nie zostały w tych więzieniach zupełnie zgnojone i wróciły ... to słowem nawet o tym nikomu nie powiedziały, bo miały już teraz wszystko do stracenia - tego poraż drugi - nie! to nawet ani pomyśleć! Doszło też "do nas" - że tam gdzie były większe skupiska Polaków - były wręcz masowe wtrącania do więzień - zresztą dobrze byłoby aby każdy przeczytał wspomnienia z więzienia żony poety lwowskiego która nie podpisawszy aktu zrzeczenia się obywatelstwa polskiego znalazła się jak i opisuje wśród bardzo licznej grupy takich patriotek. I znów zdarzyło się "coś" - co też dech zapierało. Akcja została nagle przerwana, tłumaczyliśmy sobie to na swój sposób, że muszą się uporać z tym masowym zapełnieniem się więzień, - co jakby nie było to biorą je na "swoją garnuszek" - nie mówiąc o dzieciach zabieranych do pryjutów - więc spodziewaliśmy się, że jak się z tym uporają ruszą znów do ataku. Ale akcji nie wznowili - a dopiero po latach znów połączyłam fakty które dały mi odpowiedź - dlaczego nagle wstrzymano paszportyzację. Co - żeby nie powiedzieć - ale ja jestem o tym święcie przekonana, że kilkakrotna osobista interwencja Wandy Wasilewskiej u samego Stalina - który spoczątku nie chciał nawet słyszeć o jej przerwaniu - dopiero przy trzeciej interwencji gdzie powiedzia

8 } za Stalinowi : jeżeli tego nie "prekrocinie
nie będziemy już dla Polaków absolutnie
wiarygodni i dalsza działalność Polskiej
Zwicy nie może liczyć na zrozumienie, a
już coś tam podobno knuli - że znów się
wzmacnia i zorganizują armię polską - no
więc ja podkreślam, że przerwanie tej
okrutnej akcji wiąże stanowczo z Wandą
Wasilewską - i nigdy jej nie "opluje",
chociażby to wszyscy uczynili - że co?
że komunistka ? ... a czemu nie! jeżeli
naprawdę była przekonana, że występuje
przeciwko upokorzeniu i pogardzie czło-
wieka... jej książki to znów nie taka
fikoja. No - bronię jej! No a w Pawło-
darze - gospodarze u których mieszkali
Polacy przynaglali z tym przemeldowaniem
- Poprostu zwykły przypadek, że pani Błasz-
kowska - z którą do spółki zajmowaliśmy
jedną izbę, na własnie miała Antosię 7lat
Stasia 11lat, Teresę 14 lat, Marysię 17lat
Temka 19 lat - co ona powinna byłaby zre-
bić wraze takiego wezwania - co powinna
byłaby zrobić moja Mama - z otwartymi
ranami na obu kikutach, może by mi ktoś
teraz odpowiedział? co? - więc nie dziw-
cie się, że wówczas niotaliśmy się dzień
i noc - jak postąpić! Podaliśmy dwa przyk-
łady - ale mogłabym dziesiątki ich przy-
toczyć. To, że enkawude jak się już po
tygodniu przekonaliśmy - całkowicie za-
przestało wzywania Polaków - przeżyłam
jak "mały cud", - Oczywiście zarządzenie
obowiązywało i coś trzeba było przedsię-
wziąć - tymbardziej, że nawet już kartek
na chleb nie wydawano na inny niż "pas-
port" dokument. My z Mietkiem już prze-
żyliśmy "rozproszenie" rodziny kiedy Ma-
ma była w szpitalu i więcej nie chcieli-
byśmy czegoś takiego przeżywać i kiedy
jeszcze Polacy trawili między sobą co
zrobić - moja Mama po nieprzespanej nocy

powiem - bo i tak nikt nie zgadnie co wymyśliła - otóż następnego dnia po nieprze-
spanej nocy ... kazała ... nie! nie mnie!
starszej! ... a Mietkowi, aby poszedł po
"pasport". Jezus! Maria! Jakaż byłem mu
wdzięczna, że się zgodził sam tam pójść.
Mietek po powrocie wszystko dokładnie
opowiedział, że podpisał tylko! odbiór
tego pasp^ortu... i zawsze był o tym przekonany.
A czyż miał kto taką rozumną Matkę
jak ja. - oszczędziła mi, przemyślała spr^o-
wę i oszczędziła mi takiego upokorzenia!
Przecież - gdyby mi kazała - pewnie, że
musiabym pójść, bo już żadnego wyjścia
nie było, a tak chociaż kartki na chleb
dostaniemy - t.sm. ja już nie dostanę, bo
nie figuruję w Mamy pasporcie - ale jak
się okazało to mieli nas tam razem "ujęty-
tych" i mnie też w tym Mamy pasporcie
"wykazali" - tak że zbieg okoliczności
spowodował, że nie musiałam tam iść.
Swoją "dowód osobisty" - strzegłam jak
żrenicę oka. Mama "pożywiona" czy odżywia-
na nieco w czasie tej Polskiej Wiosny
Kasachetańskiej, która trwała zaledwie
pół roku - zdobyła też z darów jakieś
obuwie na swoje nogi. - pewnie, że były
o parę numerów zawielkie ale o to chodzi-
ło - Mama wyścielala je w środku, tu gdzie
palce twardo ^upuchala sznatami i mimo, że
otwarte rany były bardzo bolesne - mówiła
że to jest nie do opisania kiedy do tych
ran dotyka coś twardego - jednak usiłowa-
ła chodzić o lasce, a nawet wychodzić.
Ciagle musiała przemyślać nad jakimś
posiłkiem, żeby przyżyć dziś - a może i
jutro. Już nic nie mieliśmy do sprzedania
- Mama trzymała swoją obrączkę ślubną, jak
mówiła na najczarniejszą godzinę ... i
wtedy właśnie poszła sprzedać obrączkę,
spodziewała się dostać za nią parę rubli
aby zaraz zapłacić za mieszkanie, bo
kazach - Bajtyz był bezwzględny jak w mo-

porę nie dostał tych swoich rubli, to kiedyś Mamę zastała na łóżku na dworze wyciągnął Mamę z łóżkiem na dwór - znaczyło to że nas wyrzuci z kwatery. Rozmowa z nim była żadna, można było go tylko "ugłaskać" datkiem herbaty - ale ileż tej herbaty musielibyśmy mieć - a tu z darów troszkę tylko jeszcze mieliśmy. Kartki na chleb - dostawały tylko osoby pracujące i jał-już-wspomniakiem inwalidzi - tak że z tego korzystała moja Mama. Przypominam sobie, że Kossjanka, która kupiła od Mamy tę obrączkę prawie z litosci - zgodziła się zapłacić część w rublach ponadto chyba dała ze dwa wiaderka maki oraz ileś tam jajek - po które stopniowo chodziliśmy. Srodki z obrączek nie starczyły więc na długo. Coraz bardziej dawał się odczuć głód. Trzeba było popatrzyć tak z boku jak odbywało się dzielenie chleba na porcje - no nas była trójka to trwało znacznie krócej, ale teraz kiedy nie pracowałam częściej przyglądałam się jak to się odbywało u Braszekowskich to jest prawie groteskowe - ale te dzieci kłóciły się o każdą okruszyną którą by jeden drugiemu zagarnął, braki porcje w jedną i drugą stronę i ważyły w rękach to był codzienny kulminacyjny punkt dnia! Tomek i Marysia zatrudnili się przy sadzeniu kartofli! Braszekowska - jeszcze bardzo młodą wiośną "wyniuchana" taką wiadomością, że tworzy się tutaj takie chłopskie gospodarstwo - które zamierza wiośną tego roku posadzić na stepie w okolicy Pawłodaru - trudno w km określić co to znaczy "okolicy" - no właśnie eksperymentalnie posadzić olbrzymi kłosa kartofli - i ona załatwiła im tę pracę, - nie trwało to długo, ale do połowy czerwca zawsze z tych paru ukradzionych kartofli mieli codziennie zupę i z tym chlebem jakoś przetrzymywali. My z Mietkiem byliśmy

my bez pracy - chociaż usilnie jej szukaliśmy. Głód i bezczynność były już nie do zniesienia. Nastały już dni, że oprócz chleba z wodą - nie - już zupełnie nie nie jedliśmy. Taka sama sytuacja była u naszych współlokatorów Błaszczewskich, ~~na~~ te młodsze dzieci siedziały cały dzień na jednym miejscu - apatycznie wybijając wszy w ubraniu, no i w głowie. My z Mietkiem wychodziliśmy i rozpytywaliśmy o pracę z uporem "maniaka" chociaż praktycznie to takiego wyzysku chyba nie było wtedy nawet w kapitalizmie - żeby za pracę nie dostać nawet szeląga - tylko ciągle za "talerz zupy" - a teraz ... co zrobimy teraz? Z głodników cały czas jeszcze brzmiały echa zwycięskiej bitwy pod Stalingradem - że wreszcie nastąpił przełom w tej wojnie sowiecko - niemieckiej, a tu na tyłach zachęcali do inicjatyw, żeby wszystkimi siłami pomagać frontowi i no - że właśnie przejęty takimi nawoływaniami - staruszczonek Kabanin zaczął organizować coś w rodzaju ogrodnictwa - pod gołym niebem. To "gospodarstwo" podlegało miejskiej targowii - (handel) - dowiedzieliśmy się, że tam przyjmują Polaków. Stawiliśmy się z Mietkiem u "Dzieduszki" - przyjął nas oboje i zaprowadził do pracy. Okazało się, że bardzo mało orientowaliśmy się w "okolicy" Pawłodaru. Mietek miał więcej o tym pojęcie, bo w te rejony jeździł z Leszkiem po ten "opał" po te witki wiklinowe na Irtyszu. I w tym rejonie Pawłodaru była spora połać ziemi przy Irtyszu - nisko - coś w rodzaju wyspy otoczonej teraz dość wysokimi krzewami wikliny i wodą z Irtysza wciskającą się "szczelinami" - strumykami w ląd. Na mnie zrobiło to wrażenie niemal oazy. Było już dobrze zielono i wilgotno. Zaraz nieba nie się lało a my przesadzaliśmy, plewiliśmy

a przede wszystkim podlewaliśmy grządki nosząc w rękach po dwa wiaderka do najdalej szej części wysypki wodę. Tutaj w zaciszu dzieduszka "zaprowadził" - jak nas informował - odmianę ogórczyków, i rzecz najważniejszą, żeby udało mu się wyhodować kilkanaście nasienników - wówczas byłaby nadzieja, że ta odmiana się w tym klimacie zadomowi i można będzie tę uprawę rozpowszechnić. Sprawa o tyle wątpliwa że wszyscyśmy, nosząc tam wodę - wykradali spod liści niemal każdy podrośnięty ogórek, dzieduszka był zupełnie bezsilny wobec tego zjawiska. Podobna sytuacja była z cebulą - po każdym wyplewieniu grządki ubywało jej znacznie. Radość naszą była wielka, gdyż dostaliśmy... drugie kartki chleba. Nikt się nas nie pytał... a nam się nie śpieszyło... "a wyznaniem" no - przyszło poratowanie! Co do "wynagrodzenia", to nikt nie mówił o tym nie mówiło - nie wypadało! Codziennie taki szczerzyk zapisywał nas - drżeliśmy że jak te świstki pogubi... to rzeczywiście o żadnym wynagrodzeniu nie będzie mowy. Tutaj jednak nie o zapłatę chodziło tylko o... chleb. Jak ktoś nie stawiał się do pracy to potracano mu za ten dzień chleb !! Ale - po miesiącu dostaliśmy zaliczkę, po 10 czy po 15 rubli, no wyrównania... oczywiście nie było! - my z Mietkiem pracowaliśmy bardzo ciężko i rzetelnie. Codziennie byliśmy przydzielani do innej pracy. W samym środku lata ja zostałam przydzielona do kopania dołów - a były kopane dwa jednocześnie - rzekomo na zadołowanie ziemniaków, które z tych pól doświadczalnych tutaj zostaną przywiezione i tu będą przechowywane tylko jako sadzeniaki, bo jak dzieduszka mówił, daj Boże żeby się chociaż tyle udało ochronić od kradzieży. Z pracy wracaliśmy późnym wieczorem i później już byłam bar-

dzo znękana upałem, wysiłkiem, że nigdzie już nie wychodziłam - i kontakty się zupełnie urywały. Zupełną niespodzianką było zawiadomienie które dostał Tomek, że zostaje wcielony do tworzącej się polskiej dywizji. Okazało się, że nie tylko Tomek ale prawdopodobnie wszyscy Polscy chłopcy którzy teraz mają po 19 lat. Pani Błaszowska, która niejednokrotnie wypowiadała pod adresem gen Andersa, że to człowiek "bez serca" - zabrakł "swoich" i się stąd ulotnił - a nas zostawił tutaj na pastwę losu - teraz kiedy jej syn właśnie dostał kartę powołania - była pełna otuchy, że znów znalazł się ktoś kto będzie się za nami wstawiał, że teraz znów się nam polepszy, że ci ludzie co należą do tych "Patriotów" to z pewnością nie tacy... oni nie zawiodą! * Moja Mama musiała tego wysłuchiwać - bez oponowania, gdyż tutaj prawdziwy powód ewakuacji armii Andersa nie dodarł. Po paru dniach - kiedy pani Błaszowska odprowadziła do wojska Tonka usilnie dowiadywała się dokąd tych chłopców zawiozą - urywanych, zaskłyszanych szeptów i wiadomości - trudno było wyłowić co jest prawdą a co plotką. W największym skrócie - możnaby to tak streścić, że ugrupowanie Zw. Polskich Patriotów jest prokomunistyczne, sądząc po przynależności grupy inicjatywnej - i że oni uzyskali zgodę na utworzenie polskiej dywizji mającej mające u boku armii ozerwonej - oczywiście walczyć przeciwko hitlerowskiemu najeźdźcom przy pomocy materialnej i kadrowej pomocy sowieckiego - no i później, że już od 8 maja (43r) tworzy się ta pierwsza dywizja pod dowództwem generała Z. Berlinga że to jest gdzieś w Sielcach nad Oką. Ale do-
tąd dopóki byliśmy razem z panią Błaszowską - chyba do końca 43 roku - to musiała się bardzo rozczarować - bo pomocy nie

otrzymała. Jej los - i jej rodziny był zupełnie tragiczny - ona sama gdzieś wychodziła codziennie - żebrzała, aby chociaż raz dziennie tym dzieciom coś dać przekąską. Ugnębienie głodem było ponad wytrzymałość - a w nocy - żeby chociaż mocno zasnąć i trochę przynajmniej się zregenerować - to niestety nie dały nie tylko wszy - ale masowa inwazja pluskiew która pojawiła się w tej izbie - pluskwy spadały na nas z sufitu - jak się już porządnie ściemniło - sabieraliśmy te nasze poskania i kładliśmy się przed chata - tak na "rosdrożu" - bo żadnego ogrodzenia przy tym domu nie było. Mama nie mogła się kłaść na ziemi - więc sastała w łóżku i ... często oka nie zmrugała. A my z Mietkiem rano do pracy - do ciężkiej pracy. Już na początku września "dziaduszek" zmontował ekipę do kopania kartofli - i od razu oznaczył, że tam będziemy spali - że codziennie nie będzie się ludzi dowoziło i przywoziło, bo to byłaby taka strata ... kartofli, że do kopców już nie byłoby czego zasypać. Ale tam będziecie jedli tyle kartofli ile zechcecie - nie mogłam w to uwierzyć, że znów po trzech latach poczuję w ustach smak kartofli !! Nas przywieźli ciężarówką a tam już zastaliśmy zaprzęg "wołowy" który ciągnął jakiś "pług" - w każdym takim prymitywnym urządzeniu które wywracało ledwie dostrzegalną radlinę - bo ziemia już się zrównała - ponieważ nikt tych kartofli tutaj nie okopywał. Kiedy parę radlin było wywróconych, co najmniej ze trzy osoby porzuciły zbieranie kartofli i zajęły się obieraniem ich - kartofle obrane ładowały w głębokim kotle - większym aniżeli garnek do gotowania białizny - po napełnieniu tego kotła - kartofle gotowały się tak długo dopóki się zupełnie ale to zupełnie nie rosgotowały - dotych-

1943

czas czuję smak tej przepysznej kartof-
lanki. Przez te dziesięć czy dwanaście dni
ogromnie się pożywiłam - około jede-
nastej pierwszy kocioł się dogotowywał,
a na późne popołudnie już przygotowali
następny. Spaliśmy w tym co chodziliśmy
pamiętam tylko, że miałam z sobą coś do
przykrycia i nie poza tym, - że coś że
chyba i szczoteczkę do zębów - o nie! już
u nas wykorzeniali te burżujskie nawyki.
Tam właśnie zdarzyło mi się widzieć dziw-
ne zjawisko - bo w nocy "wyskoczyłam"
"za barak" - i na horyzoncie nad samą
ziemią zobaczyłam gwiazdę z promieniami
i ona zachowywała się tak jakby nią ktoś
motał. Dłuższy czas myślałam o tym zja-
wisku jako o "komecie" - ale czy ja wiem
- nikt tego "zjawiska nie potwierdził"
bo "za barak" nie wybiegaliśmy grupami.
Do Pawłodaru wróciłam zadowolona, bo
pożywiona i jeszcze woreczek kartofli
zresztą nie tylko ja każdy ukradł dla sie-
bie. Mama przywitała mnie z niezbyt za-
dowoloną miną, bo na moje imię i nazwisko
przyszła "pawiestka" - bardzo podobna do
tej którą dostał Tomek, - przeglądaliśmy
przewracaliśmy ją na wszystkie strony co
to może być - pawiestka przyszła już pa-
rę dni temu i Mama zdążyła się wywiedzieć
że nikt z Polaków poza mną takiego cze-
goś nie otrzymał. W pawiestce był podany
termin stawienia się do - przetrzymując
na nasze - do urzędu miejskiego. Termin
właściwie minął - bo mnie nie było.
Następnego dnia - pełna niepokoju posz-
łam - stawiałam się na wezwanie! Byłam
prawie przekonana, że to pomyłka i że
za chwilę się wszystko wyjaśni. Ale to co
się wyjaśniło - też przeszło wszelkie
oczekiwania. Sowiecki czynownik na wstę-
pie zauważył, że stawiam się przed obli-
cze po terminie - to ja bardzo grzecznie

wyjaśniłam, że pracuję w "podsobnym chosiajstwie" i dopiero wczoraj wróciłam z "uczastka" gdzie kopaliśmy kartofle, - czynownik spuścił nieco z "absolutnego tonu" - dając mi do zrozumienia, no... twoje szczęście! - ta pawiestka to nie innego jak karta mobilizacyjna - wszyscy a raczej wszystkie dziewczęta, które taką "kartę" otrzymają zbiorą się za parę dni, a dokładnie 30 września (1943 r) i wówczas otrzymacie od "wojennoho komendanta" odpowiednie instrukcje. Musiałam nie tego wyglądać, bo zaraz dodał - nie wolnujsia - nie denerwuj się dziewczeczka, w naszym kraju została powołana instytucja: szkoła przygotowująca młodocianych do zawodu metalowca - po takiej szkole - po takim przeszkoleniu pójdziecie do fabryk i zakładów i tam zastąpiacie mężczyzn którzy muszą iść na front. Szkoła ta w skrócie nosi nazwę FZO - fabryczeskoje - zawodskoje - obrazowanije. Dodał jeszcze, że od 1 października, będziemy tam otrzymywać kartki na chleb i wyżywienie i resztę nam powiedzą na zebraniu organizacyjnym. - byłam tak zaskoczona i oszołomiona tym co usłyszałam, że nie potrafiłam wykrztusić z siebie ani słowa. Po naradzie rodzinnej - postanowiliśmy, że te kilka dni jeszcze poczekam, pójdę na to zebranie i wtedy już się zorientuję o co chodzi - w każdym razie już samo słowo "mobilizacja" tu wchodziło w grę - a w czasie wojny to nie przelewki. Przez te kilka dni zdążyłam się nieco uspokoić - przyzwyczaiłam do tej myśli, że jeżeli się okaże, że trzeba będzie wyjechać to wtedy pokażę Mamie ~~swój~~ świadectwo lekarskie i to mnie od tego wybroni - ja już nie chcę się z Mamą rozstawać - to wykluczone. No i nadszedł dzień tego spotkania organizacyjnego - stawiałam się w wojenkomacie - i... rozejrzawszy się po twarzach i po ... no

obrazowanije

tak po wszystkich zebranych dziewczętach już odrazu się zorientowałam, że stało się to czego zupełnie nie przewidziałam że jestem jedna - jedyna Polka wśród nich nie zastanawiając się teraz ani chwili - jeszcze zanim się to zebranie organizacyjne rozpocznie sprawę wyjaśnię - i będzie po wszystkim ... weszłam do "gabinetu" - jakiegoś tam Dużego Knuta i on wysłuchawszy mnie - oświadczył ironicznie się uśmiechając, że moje tłumaczenia niczego nie zmienią - wy Polaki znani jesteście z tego, że się od współpracy z nami uchylacie... no a Andersa to ty pamięasz? - no tak i znaj! że teraz już sobie na takie preniebreżycielstwo - lekceważenie nie pozwolimy - to, że akurat i ciebie Polaczku powołali, to jeszcze tym bardziej będziemy stać na stanowisku żebyś się w tej szkole znalazła - no wy się ciągle uchylacie od współdziałania z nami, ale teraz już koniec - zapamiętaj! nie zwolnimy ciebie od tego obowiązku... - i wtedy oczywiście już się na dobre rozplakałam - Duży Knut powiedział mi, że rozmowę naszą uważa za zakończoną - a wypakać się mogę już na zewnątrz - a resztą kończyć kwestię Duży Knut - dostaniecie pełne wyżywienie - Będzie jak oni tym wyżywieniem wymachiwali człowiekowi przed oczami - dostaniecie odzież - a oprócz tego będziecie się uczyć zawodu i nie widzę w tym nic strasznego. Chciałam mu wyrzeczyć, że ja nie chcę się uczyć zawodu ślusarza, że w naszym kraju nie ma takiego zwyczaju, że sama jedna jedna wśród nich - czuję się pokorzona, a to, że nie mam wyboru - toż to przecież gwałt! Tak to przyjął. Jeszcze ... jeszcze nie dałam za wygraną - może jeszcze Mama się zwleczce i pójdzie mnie obrenić - toż to nie do zniesienia same Rosjanki i Kazaczki i ja - jedniusia Polka?

Wyszłam. Teraz musiała już sama zdecydować -- w tej sytuacji nie było mowy, żeby nie pójść na to zebranie organizacyjne. Przecież Duży Knut zaznaczył mi na wstępie, że pawiastka ta jest jednoznaczna z kartą mobilizacyjną -- a ta ma moc nieodwoalną -- kto wie jakie skutki sprowadzikoby to na mnie. Tak więc od października znalazłam się w "szkole metalowej" -- to znaczy będę musiała stawiać się codziennie do szkoły "na zajęcia". Moja rozpacz i rozdzieranie szat jakby się sprawdziło. Chyba oprócz Chrystusa drogą krzyżową -- przeszłam właśnie ja...

Pierwsze spotkanie odbyło się w zakładach remontowych części metalowych dla kolejnictwa -- które to zakłady miały być w przyszłości naszym zakładem pracy. Przyszłam na to spotkanie w swoim płaszczu sinowym z darów amerykańskich. Płaszcz miał futrzany kołnierz, który Mama mi obcięła nieco i uszyła mi czapczkę i zarękawek, żeby mi tak ręce nie marzły. Miałam też sznurowane długie buciki -- też z darów! cieszyłam się nimi bardzo -- tylko ubolewałam, że mają taką cienką podszewkę. Dziewczyny obcinały mnie spod okiśnięciem pewności w tym stroju wyglądałam na ówa -- trzy lata starszej od nich i zresztą zupełnie odmiennie -- no i czułam się tutaj wśród tych 30 -- 40 dziewcząt -- fatalnie. Mężczyzna, który "trzymał słowo wstępne" -- przedstawił się jako opiekun grupy -- no był starszy -- może 26-27 lat. Jedną nogę włókł -- poruszał się o lasce. Ubrany był w wojskowy szynel -- długi po pięty u dołu obcięty i nigdy! nawet chyba po powrocie z frontu wyświechtany w okopach -- jeszcze nie był prany, ba! nawet czyszczony... no i on oznajmił nam oczywiście... że tonem... nie znoszącym sprzeciwu, że od jutra na "cieoritu

1943

na "teorię" będziemy przychodzić aż na "mostostroj" - to jest na bardzo dalekich peryferiach Pawłodaru - idąc cały czas w kierunku północnym i "trzymając" się Irtysza. Miejsce będzie bardzo znaczne bowiem są tam cztery baraki murowane i kilka domów mieszkalnych. W jednym z baraków będzie "obszcze-życie" - to znaczy bursa i która z nas chciałaby tam na miejscu zamieszkać - niech się właśnie teraz zgłasza ...- tak na "oko" z trzydziesto czy czterdziestoosobowej grupy nie zgłoszono się do zamieszkania w tej bursie może siedem osiem dziewcząt łącznie ze mną i to przeważnie Kazaczki. Dalszy komunikat głosił, że zajęcia rozpoczynąć się będą o godz. 7 rano - a nieprzybycie na zajęcia względnie spóźnienie będzie równe wykroczeniu przeciwko łamaniu dyscypliny wojskowej i także karane, że wkrótce otrzymamy też kufajki i spodnie watowane oraz piny, - walenki. Kończąc tę swoją mowę, rzucił "czy jesteście waprośy?" - zgłosiła się dziewczyna z jakimś zapytaniem, ale mnie głównie "uderzył" jej zwrot poprzedzający pytanie: "tawarisze politruk" ...acha!! więc to tak! wysoważa się więc przede mną perspektywa nowego ciągłego strachu i przemocy. Zakończono zebranie - i wszystkie się gdzieś rozeszły... wsiękły. Ja natomiast poszłam wzdłuż ul. Lenina do samego końca miasta i miałam iść dalej aby dzisiaj jeszcze zbadać teren. Dalej ciągnęła się polna dróżka już w zupełnym pustkowiu - nie wiem jak długo szłam - ale w moim odczuciu to było dość długo - wróciłam się jednak, bo ta droga w biały dzień przerażała i nic nagle nie dojrzałam, żadnych baraków. Teraz więc dokładnie zdałam sobie sprawę jak wcześnie trzeba będzie wyjść z domu żeby dotrzeć "gdzieś-tam" - do tego mostostroju, tymbardziej przerażające było to,

że już nie mieliśmy wogóle zegarka, ani też nie było zegarka u Błaszczowskich. Mama siedząc w tym swoim barłóżku - z oniemieniem słuchała mojej relacji - nic, już zupełnie nic pomóc mi nie mogła tylko cicho powtarzała tej zimy już nie przetrzymamy, teraz październik i jak już zimno, to jak ty w te mrozy nocą... tak daleko, - już na tyle byłam zorientowana że to około dwóch godzin trzeba iść w jedną stronę - no ale jak to będzie w nocy, jak się zorientuję, że już powinnam wyjść - Mama też teraz tylko o tym myślała, przypominam sobie, że w nocy Mama mnie obudziła... że pewnie już trzeba wstać. Zupełnie posłusznie ubierałam się pod pierzyną nawet nie pytając skąd Mama wie, że już trzeba wstawać... rozważałam tę kwestię i domyślałam się, że niemożliwe żeby cokolwiek zasnąć mogła! Ona za mnie - za swoje dziecko ... czuwała! Tak jak tylko to może Matka! Tak więc nie wyłaząc spod pierzyny ubrałam się cały czas zupełnie po ciemku, gdyż cała izba była uskana barłózkami ze śpiącymi w nich "ludźmi" - cała rodzina Błaszczowskich, no już teraz bez Tomka, ale specjalnie luźniej na podłodze niebyło no i my powciskani w ten chaos-bezład, nad którym już nikt nie panował. O żadnym krztałaniu, myciu, czesaniu nie było mowy. Na odchodnym przytuliłam głowę do Mamy - poczułam na jej twarzy mokre strużki, a ja napięta jak cięciwa łuku wychodziłam samiuteńka w głęboką noc w daleką drogę. Na ulicy ni żywego ducha - kiedy już doszłam do tego miejsca skąd wczoraj się zawróciłam, bo w biały dzień byłam sama iść - teraz w nocy postać chwilę... nie! nie było wyjścia muszę iść sama w tę czelność. Wydawało mi się, że idę "wieki" - droga była faktycznie bez końca aż wreszcie coś się ciemnego rysowało, i to dojrzałam już kiedy byłam zupełnie

blisko - to były budynki, czy baraki, obojętne w każdym razie wreszcie dotarłam do zabudowań. Nie wiedziałam wprawdzie czy to rzeczywiście tutaj - ani świątynki - ani znaku ludzkiego istnienia. Doszłam do pierwszego z brzegu budyneczku, przystanęłam i pomyślałam, że stąd się nie ruszę aż się rozwidni - no tak - ale jak się rozwidni to przecież będzie już siódma godzina, a jeżeli wtedy się okaże, że to nie tutaj... ale teraz już było mi wszystko-jedno, przecież nawet nie wiem czy istnieje jeszcze dalej jakaś droga - stałam pod murem baraku cały czas nasłuchując i wypatrując w ciemnościach sama nawet nie wiem czegoś kogo. Boże! czyż nie zlitujesz się nade mną ... czyż codziennie będę tak - jak w tej chwili, toż to zamieranie - skróć mi tę noc, ... i jednak ... "Świątko w tunelu" - w tym momencie doleciało do mnie echo - odgłos rozmowy i coraz wyraźniej rozpoznawałam głos dziewcząt, aż wreszcie i sylwetki ich. One dopiero teraz zbliżały się do tego miejsca - przy którym ja już tak długo stoję - tak! to było tutaj - nie podeszły do mnie, tylko zatrzymały się w tej swojej grupce opodal. Miałam Dzień w październiku rozpoczyna się około 6,30 - jeżeli czekam ze dwie godziny i tutaj czekam też pewnością nie krócej niż półtorej godziny - to z domu ... wyszłam pewnością około trzeciej - nie! tego się nie wytrzyma, tymbardziej, że listopad - grudzień tuż i zaczyna się ta siarzyste urozy. Czeka mnie codzienne wychodzenie "na Oko" - no a jeżeli się spóźnię? nawet nie będę o tym myśleć. Żadnej Polki - jakżeż oni tak na mnie "wpadli" - nie inaczej tylko z "rejestrów" tego przedszkola, bo przecież pół roku trzymali nad nami pieczę. Nadszedł politruk i otworzył drzwi tego baraku, w którym przygotowywane pomiesz-

czenie noclegowe, był tu już żelazny ma-
ły piecyk, poustawiane były łóżka z sien-
nikami. Politrak - kazał nanosić kizia-
ków i rozpalić ogień ... i czekać tutaj
na niego, aż po nas przyjdzie. Dziewczeta
znalazły ten opał i rozpaliły ogień - ja
siedziałam na uboczu i się nie "udziela-
łam", - byłam tym ~~gł.~~ wszystkim zmęczona
przerażona i "dobita", - dziewczeta poroz-
siadały się na łóżkach grupkami - ja opar-
łam głowę o krawędź łóżka i tak jak one
wyczekuję dokąd nas ten politrak stąd zap-
rowadzi. Słyszę - jak dziewczyna mówi
- ty panota zajmij się piecykiem - nie
podniosłam głowy i nie ruszyłam się.
A następna wtedy - co burżujko w domu
robili to za ciebie łakieji - lokaje ,
no to wszystkie w śmiech. Któraś pośbieg-
ła do mnie i wyrwała i zarękawek - wtedy
podniosłam głowę i zobaczyłam jak go rzu-
cają górę - spada im na brudną podłogę
znowu go ponoszą , śmieją się , przyglą-
dają mu się i szydzą! "potrzymaj tupańską
muftę", a inne wrzuciły to w piec - niech so-
bie stamtąd ją wyciągnie - ale wreszcie
któraś z nich wzięła się na odwagę i dosz-
ła do mnie przymrużając oczy zapytała: a
długo jeszcze trzeba ci mówić, żebyś doło-
żyła do pieca - pewnie nie potrafisz,
przyznaj się, wstałam spojrzawszy na nią
powiedziałam do niej, że znacznie więcej
potrafię aniżeli ty - do pieca dołożyć to
nie sztuka. Wtedy podeszłam do piecyka -
zdejęłam fajerki i nałożyłam do środka ki-
ziaków - wróciłam znów na brzeg łóżka i
znów głowę oparłam o poręcz. Dziewczyny
zaczęły czymś we mnie rzucać - na podłogę
obok mnie leżyło już parę ich czapek - te-
go było mało, zdejmowały rękawiczki i szal-
liki i celowały mi w głowę (patrzecie pa-
nota spie - wreszcie zdarzyło się coś nie-
oczekiwanego - zdejmowały walenki i rzuca-

ży na mnie, póki jakiś but upadł obok, zastanawiałam się jak mam zareagować, co ja mam "z tym" zrobić - kiedy następny but już był lepiej wymierzony i trafił we mnie - postanowiłam w momencie - poprostu uciec! Wstałam i biegłam do drzwi - chciałam nie płakać, ale wyś - krzycheć z rozpaczą z upokorzenia - a na mnie leciały pimy - spodobało się im to, że wreszcie mnie dotknęły do "tywego" - a drzwi się mi przed "nosem" otworzyły i uchyliłam się odruchowo na bok - tak więc buty poleciały na politraka. Sytuację odczytał, bo wcale nie była dwuznaczna - wyjaśnienia nie wymagała - ba! politrak... wyjaśnienia się nawet nie domagał, mimo, że został ugodzony, przeszedł nad tym do "porządku" - Boże!... gdzie ja jestem? jak ja to wytrzymam, przecież nawet Mamie nie powiem - toż to wręcz więziennicze obyczaje. Politrak ze spuszczoną głową nakazał przejść do sąsiedniego baraku - do sali w której stały już stoły i przy nich ławki. Najpierw dostałyśmy po garnuszek rozgotowanego owsa w którym nie brakowało kusek wąsów" - i garnuszek mleka, po czym na tych samych stołach odbył pierwszy wykład - dostałyśmy też zeszyty i ołówki - ażeby zapisywać ważniejsze sformułowania.

Mogto - stroj!

Po tym wykładzie - wyjaśnił nam, że teren ten nazwą swoją przyjął od "przymierzania się" w tym miejscu do budowy mostu na Irtyszu, tutaj podobno rzeka jest największa - ale co z tego - jak tu jest mocno rwąca - co przez to krótkie lato postawili jakąś konstrukcję to zima skuła to grubym lodem - a wiosną wszystko poszło - połyneko połamane lodem z Wielką Wodą. Dziecko by się zorientowało, że do budowy mostu na takiej rwącej olbrzymiej rzece, trzeba byłoby niezwykle mocnych konstrukcji metalowych aby się ostały pochodowi

lodów i śryżu zanim Irtysz stanie. Tego dnia najbardziej to sobie zapamiętałam, i nic poza tym, bo byłam tak zmaltretowana, że o skupieniu nie mogło być mowy.

Boże? - trzymaj mnie za rękę - dlaczego dzisiaj wypuścisz mnie ze swej Ręki?

W południe była znów jakaś zupa z kawałeczkiem chleba - i politruk powiedział, że na dzisiaj to dosyć - możemy iść do domu, pozostaną dzisiaj już tutaj tylko dziewczyny z sierocińca - ewakuowane z Europy z Gomela na Białorusi i one już tu będą nocować - a było ich ze 14-ście, a dziewczęta z Pawłodaru, które zgłosiły się że chcą tu zamieszkać - to już od jutra też będą mogły pozostać w "bursie". Dzisiaj cała ta Pawłodarska grupa wracała do miasta i szła przede mną. Już się ściemniało kiedy dobiegłam do domu. Jakżeż mnie korciło żeby Mamie to całe upokorzenie odtworzyć, ale ograniczyłam się tylko do "drogi"- jedzenia - i informacji o mostostroju. A Mietek? - w dalszym ciągu pozostawał pod "skrzydełkiem" dziadusi z tym, że przekazał on Mietka do pracy w stajni z wołami pociągowymi - pracował przeważnie po 12 albo i więcej godzin, jak na niespełna 14-letniego chłopca to praca była napewno za ciężka. Po powrocie z pracy już nawet nie miał siły mnie wysłuchać - zasypiał jak się to mówi "na stojąco", ale zasypiał nie tylko ze zmęczenia, ale i z osłabienia. Mama przed jego powrotem z pracy rozpalała ogień w kuchenku i coś mu w garnuszku przygotowywała - ale już naprawdę nie wiem co - i z czego - a co Ona sama jadła to już wogóle nie wiem. [W nocy Mama znów mnie obudziła i powtórzyło się wszystko tak wczoraj - z tym, że ja już wiedziałam, że nie idę do nikąd. Na "wykładach" pilnie uważałam, ale zdawało mi się, że "terminy

którymi operuje wykładowca są dla mnie nie do zapamiętania: węgiel - spław - stanok - żelaznyje dietali - i jeszcze takie-tam różne - dotąd jeszcze tych określeń nie słyszałam, ale muszę się skupić, bo znów się zaczęła nade mną znęcać te ... i wyśmiewać, o nie do tego nie dopuszczę! Szczególnie miałam kłopoty z zapisywaniem - trochę po polsku a trochę po rosyjsku. W powrotnej drodze do domu większość kosjanek też już została na mosto-stroju - a do domów będą pewnością szły tylko na "wychadnoj". Kazaczki szły przede mną - a kiedy już "wsiadły" w swoje ulice, jedna z nich uszedłszy jeszcze trochę, przystanęła i na mnie zaczęła - no jeszcze wczoraj postanowiłam sobie, że do końca się do nich nie odezwę a dzisiaj ... już umówiłam się z kazaczką że jutro lekko zapuka do "mego" okna ... i pójdziemy razem! Przez moment przynajmniej rozpierała mnie radość, toż stało się coś co pozwoli Mamie usnąć - przecież takie Jej czuwanie nas obie doprowadziłoby do jakiegoś rozstroju nerwowego, no i te przestrzenie nie będę pokonywała samotnie. W listopadzie zaczęły się mrozy i wiatry. Czekałam się z każdym dniem słabsza - niedobór snu odbijał się na moim organizmie gorzej niż głód, a że nieszczęścia chodzą parami to pod stopą zaczęły mi się robić kużajki. Usadowiły się - bo to była taka "kolonia" - z zagłębieniu przy lewej pięcie. Bolesność wzrastała z każdym dniem, bo i ich rozmiary ciągle się powiększały i wszereły i wwyż. Doszło do tego, że lewą nogą stapałam opierając się wyłącznie na palcach, musiałam więc chodzić wolno, i kazaczka zrezygnowała z mojego towarzystwa tymbardziej, że zimno było piekielnie więc szła szybko jak tylko mogła. No więc ja - któregoś dnia się

spóźniłam, no i oczywiście widowicho... na takim komunistycznym "apelu" następnego dnia politruk wytknąwszy mi niesubordynację wyznaczył mi karę - polegała ona na naniesieniu wody do kuchni z Irtysza. Trzeba natychmiast dodać, że odbywało się to w karkołomnych warunkach i dlatego stanowiło karę dla każdego... a coż dopiero dla mnie z takim "lękiem do wysokości". Przy tym mosto-stroju brzeg Irtysza był tak stromo wysoki jak co najmniej czteropiętrowa kamienica. Do tego brzegu a raczej w "powietrzu" była ustawiona drabina - nie to były takie schody jak to z podwórza na strych z poręczą z jednej strony - całość teraz na mrozie i trzeszcząca, chwiejąca się i oblodzona... Stałam bardzo długo, przeżywając wewnętrzne skurcze, nęki i opory zanim zdecydowałam się postawić nogę na tej "drabinie" postawiwszy nogę - nie było już odwrotu bo już następni schodzili, a ci na dole czekali aż "ta partia ludzi zejdzie" - innym szło "to" - niemal bez oporu! a ja - widocznie byłam bardzo niezdarna - no więc zeszkłam. A teraz każdy zaczerpnąwszy wiaderkiem z przerębla wodę - już ustawił się pod drabiną - teraz pod górę z ciężarem i lewą nogą na palcach - między schodami widziałam próżnię i przepaść bo "od tyłu" schody nie były zasłonięte całość trzeszczała tak jakby za chwilę miała runąć - do dzisiaj nie wiem jak ja z tym pełnym wiadrem wody - stale popędza na przez kolejkę pnącą się do góry z dwoma wiadrami zawieszonymi na nosilkach - jak doszłam po tym oblodzonym szkle na górę na sztywniejących ze strachu nogach. W "kuchni" spodziewali się, że nanoszę tyle wody ile potrzeba - ale zaniósłwszy to wiaderko powiedziałam, n - bo idąc do kuchni pomyślałam sobie, że już drugi raz

1443

nie zejść - nawet żeby mnie mieli za to zabić, poprostu rzucę się z tego brzegu i będzie po koszmarze! ... a co Mama? co by zrobiła Mama, gdyby Ja o ^{tym} powiadomi-
li, a może Ona liczy, że mogę być Jej podpora - a Ona ... czyż nie broniła się w tę noc przed śmiercią? - tak! ale ja absolutnie już więcej nie zejść... i wtedy - błysnęła mi myśl - żeby poszła do ambulatorium, bo właśnie "takie coś" mi tu mignęło po drodze ... i pokazała tę nogę! Kiedy właśnie zaniosłam wodę i kucharka podawała mi następne wiaderko próżne - powiedziałam, że narazie idę do ambulatorium - i znów był "mały cud"! - Pielęgniarka obejrzawszy tę olbrzymich rozmiarów kużajkę, zawołała "wracza" - lekarza a lekarz - wytrzeszczył oczy: jak ty chodzisz dziewczyno! - powiedziałam, że na "prostym" to cały czas na palcach, ale dzisiaj muszę nosić wodę z Irtysza po tej "lestnicy" - drabce bo sję spóźniłam i mam karę - "wracz", okazał się nadzwyczaj sympatyczny i napisał mi "sprawku" zaświadczenie, że nie mogę ze względu na chorą nogę - wspinać się po schodach, ale też do czasu wydania następnego orzeczenia lekarskiego nie mogę nosić żadnych ciężarów, a co kilka dni - pokazać się w ambulatorium. Tam mi czymś smarowali to tak jakby świecą pokapał - a w ciągu grudnia i stycznia wykruszyły się stamtąd korzenie kużajek - wyglądało to jak igły patefonowe i po kużajkach śladu nie było. Grudzień włókł się bardzo. Kiedy do cierałam o świcie do tego mosto-stroju na termometrze przeważnie utrzymywało się powyżej 30 stopni - a w dzień, szczególnie słoneczny, temperatura podwyższała się i powrót mimo, że po zachodzie słońca był już znacznie łagodniejszy. Z tą odzieżą i z tymi pinami - oczywiście skończyło się na obiecance - i chodziłam w tych

swoich długich sznurowanych bucikach z darów amerykańskich, które przy łydkach były cieplejsze niż od podeszwy - toż to cienizna - jak w nocy szłam środkiem ulicy, bo była lepiej utarta aniżeli przy domach - to skrzywienie "pod nogami" było daleko słyszalne w tej nocej ciszy. Nogi po pół godzinie zupełnie mi sztywniały z zimne i przy kolanach i w stopach codziennie płakałam z bólu i już zawczasu doznając skurczu ze strachu, że mi odpadają ręce i nogi - postanawiałam sobie, że zanim się ta ulica nie skończy wcisnę się po cichu do czyjejs tamtej sieni, przysiadę - usnę i.... mówili, że to lekka śmierć. Najgorzej już było kiedy wiatr huraganowy niemal mną miotał, wtedy zziębnięcie dochodziło do zenitu a mną wstrząsały jakieś drgawki - nie mogłam nie mogłam już wydawało mi dalej żyć... nie miałam władzy w rękach, ani nogach - płacz był moim sprzymierzeńcem a moim hymnem który mi się po głowie plątał: nie płacz jużdziecino, płacz znów pozostawiał ślady na mojej twarzy, co prawda strupów pod nosem nie miałam - ale wydawałam się sobie przygnębiona, stara i brzydka - nie sądzę aby ktoś inny odnosił lepsze wrażenie. Dodatkowa męka - to było wracanie późnym popołudniem do tego naszego chlewika, bo Mama podczas mrozów wogóle nie wstawała z łóżka, spodziewam się, że musiała też się przespać, bo codziennie w nocy mnie budziła - siedziała wtedy przykryta z głową włącznie i w ręce trzymała różaniec. Wprawdzie od początku już się dziwiłam jak Mama "miarkuje" to moje wstawanie w głębokiej nocy, ale jednak doszłam jak Ona wiedziała kiedy mnie obudzić - doszłam do niesamowitego wniosku - Mama znała czas, odmówienia jednej cząstki różańca... ile więc razy... ile więc cząstek różańca musiała odmówić

1944

zanim mnie obudziła? --no a potem jak ja już poszłam i zamknęłam za sobą drzwi -- czyż nie myślała o mojej męce... a potem znów trzeba było czuwać żeby Mietek nie zasnął -- nie ! to jest niewyobrażalne do jakiego stopnia poświęcenia są zdolne Matki ... tak oczywiście , że mówię o prawdziwych -- bo wyrodnym nawet słowa nie warto poświęcić -- Moja Mama była mi najprawdziwszą Matką! Szczególnie moja! Najpewniej dla Niej -- a może i dla swojej -- byłabym niepsprawiedliwa... a Błaszowska, a te co wykazały tyle głębokiego patriotyzmu -- często pozostawiać dzieci te co poszły do więzienia -- a jeżeli stanął ... wróciły -- to mocno "zdziestkowano" to z myślą o Nich ... nała możliwość żebym się pomyliła -- to z myślą o Nich dzisiejszy Prezydent Polski -- generał Jaruzelski postawił ten szpital -- Szpital Matki Polki -- Mietek jest tego samego zdania, to niemożliwe, żeby zapomniał -- On dał dowód, że pamięta jakich karkołomnych "chwytów" musiały tam dokonywać Matki aby ich dzieci przeżyły!.. Ja do dziś nie wiem co Mama jadła wtedy w dzień -- dopiero wieczorem Mietek przynosił chleb i mleko -- wtedy Mama zwlekała się z tego barłogu swego, owijała nogi -- i sunąc się szła do izby gdzie mieszkali kazachowie -- Bajtyszowie, bo tam było to palenisko kuchnią zwane, -- najpierw rozmrażała mió seczkę z lodem, żeby Mietek mógł się umyć a potem coś mu gotowała na tym mleku -- które przynosił. Mama -- ze swego garnuszka nie omieszkała się ze mną podzielić.. o nagrzewaniu izby zupełnie nie było mowy. Potem -- wracała pani Błaszowska, cały prawie dzień chodziła sobie tylko wiadomymi drogami -- i zebrawszy coś domyślałam się, że wśród Rosjan, też wieczorem "podtliła" ogień i coś tym dzieciom gotowała. Conajmniej troje dzieci na xxx

zmianę codziennie leżało - chorowało. Tego roku - t.zn. 1943 go Boże Narodzenie było mimo wszystko lepsze od tego w 1940, kiedy to Mama leżała w szpitalu - a my w kompletnej rozsypce - teraz już zupełnie głodni, zawszawieni, ale... przy Mamie. W "wychadnoj" - miakani przez Mamę przygotowaną "świeżą" odzież - parodia! i po powrocie z kaźni, oporządzałam się wyczesując wszy z głowy - obcinając paznokcie, przynosiliśmy wodę - jeżeli Mietkowi udało się mieć wolne - bo on pracował "w świątek - piątek" - i tak jako tako odwszawiona - rozpoczynałam znów od poniedziałku nową stację swojej drogi krzyżowej. Pewnie gdzieś w pierwszych dniach stycznia - po powrocie, zastałam Mamę niemal w rozpaczy - płakała mocno, że już dłużej tego nie wytrzyma. Bajtysz znów wyciągnął Ją z kółkiem na dwór, bo zalegamy z "czynszem" - tłumaczenia, że to nie prawda - na nie się zdały, bo był nie do przekonania. Te parę rubli Mietkowej zaliczki zawsze Mama przetrzymywała na zapłacenie tego "czynszu" - to znaczy po położwie z panią Błaszskowską - a skąd ona wydobywała te ruble - tego nie wiem, i nie będę zgadywać. W każdym razie po powrocie dopiero pani Błaszskowskiej - razem z dziećmi wnieśli Mamę z powrotem do izby - i pani Błaszowska godzinę klamała Bajtyszowi, że nie zalegamy - ale zagroziła, że zaraz wszystkich z rzeczami powyrzuca na ulicę. Wreszcie się udobruchała, że po niedzieli dostanie pieniądze. Mama dała pani Błaszskowskiej spodnie od ubrania Ojca - które dotąd wogóle nie wchodziło "w grę" jeżeli chodzi o sprzedanie, to ubranie było zwinięte w "kuferek" i czekało na Ojca... teraz narazie pani Błaszowska miała sprzedać w niedzielę na bazarze ... spodnie. Kiedy regulowały za ten czynsz wbijały mu do głowy, że to jest zapłacone z wyprzedzeniem, ki-

wał głową, że rozumie - ale wiadomo było, że jeżeli zabraknie mu herbaty - znów będzie nas maltretował, bo wtedy był zupełnie niepo czytalny. W pogodne noce - już tak byłam rozpatrzona z "w Niebie" że orientowałam się po "nachyleniu" gwiazd czy muszę przyśpieszyć, bo już jest późno, czy też mogę iść nieco wolniej, no i po księżycu też już się orientowałam. W każdym razie skupiłam wszystkie swoje siły i uwagę, aby się nie spóźnić, bo politruk tylko na to czekał - nie mógł mi darować tego nie noszenia wody. Był nie tylko taki zbyt serio - jak na swoje lata ale też i za bardzo zgryźliwy, - wogóle nie zdarzyło mi się kiedykolwiek widzieć żeby się uśmiechnął - owszem sarkastycznie, tak! No i miał taki swój zwyczaj podczas wykładu - wyjmował nogę z buta - takiego wojskowego - zimą gołą nogę bez skarpetki, pogrzał ją przy piecyku - ~~potem~~ potem drugą, pomasaował sobie jeszcze stopy - no tak przy nas, i wkładał je z powrotem do buta. Ten demonstracyjny dowód zahartowanego "sowieckiego czełowieka" wcale nie wzbudzał we mnie wzoru do naśladowania. W połowie stycznia politruk zebrał nas i zaprowadził "do мастierskich" do zakładów, które mają być naszymi macierzystymi warsztatami, tu będziemy się już kształcić praktycznie. Te warsztaty naprawcze pracowały dla reserwu kolejnictwa które w wojnie ogrywa prawie najważniejszą rolę. Do tych "warsztatów" - można było wejść tylko posiadając specjalną ^{do}przepustkę - nas prowadził politruk i nikt naszej obecności nie kwestionował. Przez parę dni, po kilka godzin przyglądaliśmy się pracy ślusarzy, - bo wtedy to była jeszcze epoka "kamienia żupanego" - ręcznie wykonywali takie prace, które teraz byłyby nie do pomyślenia. Z "warsztatów" miałam już o połowę drogi bliżej, ale coś

1944

kiedy politruk zajęcia warsztatowe umieścił w godzinach popołudniowych od 14ej do 17 ej. Prace wykonywane przez majstrów ślusarzy wydawały mi się ⁺zupełnie prymitywne, że ja nawet ~~przez~~ bez dłuższej praktyki mogłabym tę pracę wykonać. - ale skoro inne się kwapiły - to ja wcale. W każdym razie to stanie przy nich uważałam za szczyt nudy i męki. Taka dobita wracałam do domu i tylko stale marzyłam o spaniu - żeby przy tym ślusarzu na stojąco nie zasnąć. Styczeń miał się ku końcowi kiedy wracając do domu zastawałam panią Błaszkwską leżącą w łóżku - dopadło i ją. Zachorowała ciężko - prawdopodobnie na zapalenie płuc, bo miała zdaje się do tego skłonności - zresztą nie wiem. Jej dzieci bezradne - i moja Mama też jej w niczym nie mogła pomóc czy ulżyć... to straszne ... a ona umierała temperatura utrzymywała się - w chacie zimno zresztą już wspominałam, że woda była zamarznięta w czymkolwiek została pozostawiona - a ona musiała wstawać aby się załatwić. Zupełnie nie do wiary, ale po tygodniu temperatura opadła, ale pani Błaszkwaska oszalała! Kiedy już wszyscy my się pokładli spać - ba! pewnie nawet i nieco zasnęli, pani Błaszkwaska zaczęła się modlić - wydumywała treści modlitw i wygłaszała je z wielkim patosem jakby na scenie. Inicjując te improwizowane tasiemcowe modlitwy budziła najpierw swoje dzieci i kazała im za sobą powtarzać słowa które wypowiadała i jeżeli nie słyszała np. Teresy to nie wystarczyło żeby siedziała - kazała jej stać i odmawiać za sobą te modlitwy na stojąco - i to samo było z Tosią czy Stasiem. Dzieci nie chcąc matki rozdrażniać jeszcze w nocy... robiły posłusznie co kazała. Uporawszy się - zniewoliwszy ^zswoje dzieci, dobrała się do nas budząc nas głosem teatralnym i do-

nośnym Leszka.... Mietek módlcie się ze mną nie śpijcie... czuwajcie i^{ty} takie tam... - no i kazała nam usiąść przy tym poza tym groziła "karą boską". Mama moja prosiła ją, błagała żeby się modliła po cichu - ale to jeszcze sprawę pogarszało i wywoływało wręcz odwrotny skutek. No te pierwsze trzy... noce, było jakoś do wytrzymania, ale po tygodniu już się zupełnie słałam na nogach, bo tego snu i tak miałam za mało. Pani Błaszowska natomiast powtarzała to swoje dziwactwo w każdą noc i kiedy się do mnie "dobierała" już teraz byłam i nieposłuszna i niegrzeczna, prosiłam aby się ciszej "modliła" i aby dała mi święty spokój - tego po tobie należało się spodziewać chodząc do nich już kilka miesięcy, już ciebie ci komuniści przerobili, ale pamiętaj, że Pan Bóg Ciebie pokaże - ja jestem głosem nieba słuchaj tylko mnie... i takie tam i tp... i td. ... - no po tygodniu powiedziałam Mamie, że jeżeli jeszcze dzisiaj rozpocznie te nocne przedstawienie - to nie odpowiadam za siebie, czymś ją trzasnę - byłam na granicy wytrzymałości, bo mnie jeszcze w dzień czekały i zdarzały się "rzeczy" do granic wytrzymałości psychicznej, a to zmęczenie do "fizyczne". W nocy - wstrzymywałam się aby nie wstać i w czasie tych tyrań nie udusić jej własnymi rękami. Tylko moja Mama - wiedziała jaki jest mój stan! i że to jest już nie do wytrzymania i trwa nadal - "pozbiierała się" jak to określałam - z kółka i w ciągu paru dni znalazła dla nas "kąt" u Kosińskich. Warunki w jakich się znajdowaliśmy tak wpływały na nas, że stawaliśmy się w stosunku do siebie - nieludźcy! Przeprowadziliśmy się natychmiast. Spewności że był już luty - 1944 roku - Boże! to już tyle lat my tutaj jesteśmy? 1940:1941:1942:1943: no i 1944! Zamieszkaliśmy w kuchence, tam i więcej gotowano i popros

1944

chatę ogrzewano - było więc znacznie cieplej i przestronniej - trudno się dziwić, że pani Błaszowska bardzo się na Mamę obrażała. A ja... jak dotąd nie przeziębivszy się tej zimy ani razu znów szłam w nocy do mostostroju. Odcieży nadal nie otrzymaliśmy - ale... wraz z sukcesami na froncie doszło i tu na "tyłach" do sukcesu... bo dostawaliśmy po kawałeczku mydła! dobre i to! - no teraz u tej rosjanki z myciem też było już znacznie swobodniej i Mama i Mietek byli przecież zawszawieni ponad wszelką wytrzymałość, - ale żeby to zrozumieć trzeba by mieć niezwykłą wyobraźnię - jak to się znosi, jak to się wytrzymuje. W ubraniu wszy! w głowie wszy! włosy pozlepiane gnidami co się je "wybije" "wyłapie" - znów są! rozmnażają się z niepospolitą szybkością są więc przy człowieku w "niepospolitej" ilości. Mama jednak tutaj bardzo zajęła się tępieniem ^{wszów} - przez "przeszukiwanie" i gotowanie tej odzieży która dotykała ciała. Mamę teraz też zastawałam przy maszynie - Rosjanka miała maszynę i Mama jej coś tam też szyła i katała - a ona to nam wliczała "za czynsz" - to było duże dla nas dobrodziejstwo. Po pięciu miesiącach tego chodzenia na "teorii" bez żadnego "odpytywania" - politruk oznajmił nam, że od dziś wprowadzi nas do "cechu tokarskiego" i będziemy się przyglądały pracy wykonywanej na tokarkach przez mistrzów tej profesji. Tokarze pracowali na trzy zmiany, ale nas "uczeków" nie miało to dotyczyć, a "mastiera" którym nas przydzielono też mieli do czasu naszego "wyzwolenia" pracować na jedn. t. zn. dzienną zmianę. Politruk idąc z całą grupą dziewcząt - kolejno pozostawiał swoją podopieczną tokarzowi - przedstawiając ją: Olga Gucewa - a to mastier

mierzewicz

Jurka Kowalow - no i kiedy doszła moja "kolej" - przy maszynie stał starszy od politruka mężczyzna, nawet zupełnie sympatyczny - i politruk przedstawił mnie "zapomnij" - eto Lenka Karalewicz palaczka - nieomieszkał - a to Saszka Sawin. Zostałam. Kiedy politruk się już od jego maszyny znacznie oddalił - Sawin dobiegł do niego i coś mu tam w zdenerwowaniu klarował, wymachiwał - i wrócił zły... ba! wściekły, nic się nie odzywał - ani mi nic nie "wykładał" - nie przypuszczał, że w duchu jestem mu za to wdzięczna. Kiedy tak stałam bezczynnie, przyszło mi do głowy, że jeżeli tu dookoła trochę pozamiatam i zetrę te grube warstwy kurzu i poukładam te żelastwa na tym szerokim parapecie to czas mi jakoś sejdzie, bo tak stać to nie do zniesienia. - Zapytałam czy mogłabym się zająć porządkowaniem a Sawin ledwie odburknął "kak chcesz"! Więc chciałam. Zdjęłam płaszcz i robiłam to co zamierzyłam. Za dwa, trzy dni - jak Sawin się oddalił - do kolegów porozmawiałem, a "nóż" doszedł do końca "detalu" - potrafiłam wyłączyć maszynę - a nawet i cofnąć i puścić nowy "wiórek". Doczyściłam z nułów tę jego maszynę, wióry do kosza, "noże" wg potrzeby do danego "detalu" - dookoła zaistniała "kulturka". Któregoś dnia przy naszej maszynie zatrzymał się politruk i powiada do Sawina, że od jutra przechodzę do Wowki Siemionowa na tę dużą tokarkę - a Sawin, coko? a dlaczego? to? - a politruk ... zupełnie nieoczekiwanie ... aż przecież klócił się kiedy ci ją przydzielili, że jej nie chcesz - i żebym ją od ciebie zabrał - niepamiętasz? Sawin zrobił się czerwony, ale rezonu nie stracił: - noże nawet, uśmiechnął się - ale to było dawno! - no

ale teraz już jej nie oddam! Ja się od pierwszej chwili domyślałam, że mnie nie chce - więc teraz uśmiechnęłam się przyjaźnie do politruka, że bardzo chętnie przejdę na tamten "stanok" -bo tak nazywali tokarki. Wowka Siemionow -no! no! po-
dał mi rękę: zdrastwuj Lenka...pomyślałam no ale się po tym politruku nie spodziewałam, pewnie wyrobił mi tu markę - i tak już zostałam przy tym "stanku" i przy nim mnie egzaminowali. Miałam swoją ambicję - i ciągle mi się wydawało, że wg mnie (o śmieszności!!!) będą oceniać Polaków - wogóle! Po tym egzaminie dostałam papiery "prafieśja : tokarj". Już w kwietniu coś przebąkiwali, że "mastierskije" w niedługim czasie powrócą do Tuły, gdyż stamtąd na czas działań wojennych zostały ewakuowane, tutaj do Pawłodaru. Ta wiadomość jakoś zupełnie mnie nie zaniepokoiła, a nawet myślałam, że wreszcie - jak mastierskije się reewakuują wyswobodzę się spod przemocy tego wojennego nakazu. To były przebąkiwania - a to co w tej sprawie oświadczył nam politruk oaskowicie pod-
eięło mnie - gdyż z oświadczenia wynikało że wraz z mastierskimi zabiorą do Tuły i nas, gdyż mężczyźni idą do wojska,- Nie pamiętam jak dotarłam do domu" - już nie wyobrażałam sobie żadnych rozstań z Mamą i Mietkiem to raz - a drugie, że jeżeli pojedę z samymi Rosjanami - to ktoś mnie jedną Polkę kiedykolwiek odnajdzie! Oni wszyscy Polacy są tutaj co by powiedzieć w skupisku razem chociaż porozsiwani po obłasci - a co będzie ze mną - znów rozpa-
czałam bez umiarkowania - oni być może na-
wet kiedyś wrócą ... a ja? pewnie nigdy,
no ale ~~nie~~ i tak tego nie zrozumiecie - to tak na stronie do tych którzy ewentualnie przeczytają to co napisałam - ale Mama tym co mówiłam była też - tak jak ja ~~bardzo~~

prof. tokar'

zdrusgortana, Postanowiła - i sama wybrała się do Dużego Knuta w Enkawude. Interesantów było dużo. Kolejka była conajmniej trzydniowa - musiała się więc bardzo, bardzo poświęcić aby jakoś dotrzeć - dotrzeć przed to "oblicze" aby mnie wybronić przed tym wyjazdem. Kiedy już do niego dotarła ... odesłała Mamę z tą sprawą do "wojenkomatu". Mama i tą drogę pokonała - ale wojenny komendant - jak Mama relacjonowała tę "wizytę" później - odniósł się do Niej z piedestału swojej funkcji - cara-boga - i ... bredził niesamowitości podniesionym zrenszą tonem, że palaki ciągle "im" rzucają kłody pod nogi - podczas kiedy "oni" za nas nadstawiają pleców w tej straszliwej wojnie - bo front już się zbliża do Lublina, palaki ciągle się oddegnają od współpracy z "nimi", no a to... że nas tutaj tylko pozwolili w przewidywaniu wojny (Boże - czyż to nie wymagałoby od nas pałaczków przynajmniej trochę wściekłości dla poczynania sowieckiego prawicielstwa- wojna trwa, rezerwy zawodowe są konieczne, waszą "doczkę" w szkole IZO przyuczyliszy do zawodu i niech się od pracy nie uchyla - ona pojedzie do Tuły ... i nie "nastawajcie", bo to się, może dla waszej "doczki" skończy - i dowiedzenia! zakończył swoją mowę jak zwykle strachem i groźbą. Mama jeszcze wieczorem nie doszła do siebie po tych bredniach, których chciała wysłuchiwać i nawet nie zdążyła im zaprzeczyć - bo rozmowa została zamknięta. Mama mówi, że te "odwracania kota ogonem" - odebrały Mamie głowę. Nic już nie możemy począć - musisz jechać... powiedziała. Dziwne, że Kazaeski-fazeówki, zostały przeniesione do jakiegoś zakładu tutaj na terenie Pawłodaru, a ja - jedna, z jankami musiałam jechać. To było w maju.

Teraz już na drogę nas "zuniformizowali"
 - wreszcie w majul dali nam wiatowane a
 spodnie i kufajkę oraz czapę. Wreszcie
 przyjdzie mi przywdziać ten niewolniczy
 strój. Jednak moja - niezastąpiona !!
 Mama sdażyła mi jeszcze doszyć do kufaj-
 ki futrzany kołnierzy i takiego trochę fu-
 terka do tej czapy - no i ... zaraz by-
 łam "inna" nie jak "masa". Szczególnie
 ta czapa ze sztancy - to znaczy w jej
 pierwotnym stanie parzyła mi głowę -
 dopiero po przerobieniu nie była taka
 chamska. Dostrzegłam, że Rosjanki-faze-
 ówki robiły w moim kierunku jakieś tam
 małe kroczki - to tutaj, tzn. jeszcze w
 Pawłodarze starałam się to ignorować, a
 teraz zadałam sobie sprawę z tego, że
 zostaję sama, samiuteńka. Coś trzeba
 będzie wymyśleć przecież nie mogę być
 samiuteńka... ciągle jestem zamana, prze-
 mocą zamana. Tymczasem matierskie pu-
 toszaki. W czasie remontowania i od-
 transportowania naszym na stację kole-
 jową - nas angażowano i już traktowano
 jako "regularnych" pracowników. Niebawem
 ustalona została konkretna data odjazdu
 - a to znaczyło, że nasze rozstanie jest
 przypieczętowane i trzeba było się li-
 czyć z tym, że możemy się już nigdy ~~nie~~
 "nie zebrać" - ta myśl, aczkolwiek może
 i przedwczesna, ale stała się cierniem
 w mojej świadomości i wprawiała mnie w
 stan absolutnego odrętwienia. To znaczy
 pamiętam jeszcze, że obok "sztabu" do-
 rosłych pracowników - odjechało nas tym
 pociągami "specjalnym" około dwudziestu
 kilku dziewcząt. Dziewczyny - fazeówki
 które jak wspominałam - w większości "po-
 chodziły" z Gomela z "domu dziecka" -
 wręcz się radowały z tego obrotu sprawy
 dla nich to był już powrót prawie, że do

"domu" - a dziewczyny Rosjanki z Pawłodaru zgodnie uważały, że już można się im w życiu nie trafić okazja "pobywania w świecie" - jak określały tę europejską część Rosji. E Dookoła mnie w wagonie toczyły się żywe rozmowy i dyskusje, gdybym się włączyła - lody spewnością by stopniały i byłoby mi lżej. Walczyłam ze sobą, że już jutro się włączę do "nich" - ale mijało "jutro" - a ja nie... tylko chciałabym wrócić... i tak było do czasu przebrnięcia pociągu przez "ucho igielne" t zn: przez tunel kolei transsyberyjskiej w górach Uralu. Ożywiło mnie nieco już wrażenie samego krajobrazu po tej stronie Uralu, a świadomość tego, że po 1.500-set dniach mam już poza sobą Kazachstan i Pawłodar, że odległość od tych terenów liczy się nie na setki - ale tysiące km, świadomość tego powinna była mi przynieść ulgę... Powinna była, ale nie przynosiła bowiem moje towarzyszek-fezeówki przypominały mi przy wszystkich możliwych okazjach swracając się do siebie - o mnie - per "sosłana" - ta zesłana. Np. podczas rozdzielania chleba w drodze - czy posiłku mówiły do siebie - podaj tej "sosłanie" albo - "sosłana" jeszcze nie dostała i - i chyba słusznie! bo moje zesłanie trwało a to, że byłam już - na dobrą sprawę - w europejskiej części Związku wcale nie przybliżało mi drogi ... do Polski. ~~Słabo~~ Panicznie się bałam tego, że kiedy się rozpłaczę - będzie tak samo jak wtedy - kiedy chodziłam do Mamy do szpitala, nie mogłam opanować płaczu. Dni były bardzo długie, więc z całą uwagą śledziłam i przyglądałam się krajobrazom przybranym wiosenną szatę - a byłam spragniona widoku zieleni i kwitnących drzew i łąk. W Kazaniu - odłączyli nas od tego "specjalnego" pociągu i doczepili do osobowego - a z rozmów obok mnie prowadzonych

wynikało, że do Moskwy powinniśmy dojechać za dwie doby - w sumie więc ta podróż - przejechanie tych 4.000 km będzie trwało 10 dób. Do Moskwy, przyjechaliśmy po południu - na dworzec Kazanaskij i z tego dworca musieliśmy się przetransferować na dworzec Kurski. Na "Kurskim" zakomunikowano naszej grupie, że pociąg do Tuły już odszedł - a następny pojedzie dopiero jutro w godzinach popołudniowych dzisiaj się poprostu spóźniliśmy - nocować będziemy tutaj na dworcu, trzeba ustalić coś w rodzaju warty przy rzeczach - bo jednak każdy jakiś tam "jaszczyk" ze sobą miał. Kiedy już się ta "kotłownia" uspokoiła - z wielkimi oporami, ale jednak zdobyłam się na "przemówienie" do dziewczyn i zapytałam czy będą tutaj siedziały, czy też wyjdą "popatrzeć" na Moskwę, bo gdyby nie wychodziły, to chciałabym zostawić przy nich swój "jaszczyk" - o dziwo... zgodziły się, więc zostawiłam i odeszłam - ale dopędziło mnie kilka dziewczyn i powiedziały, że chciałyby pójść ze mną, jeżeli oczywiście "nie wzrasta" nie opamiętam będę oponować - czy coś w tym sensie - nawet byłam zadowolona. Pieszko - "oblatywałyśmy" prospekty jak to oni nazywają - a ja sobie zamyślałam, że muszę... - wcale nie wiedziałam jak i przez kogo... muszę dotrzeć do jakiegoś Polskiego Przedstawicielstwa, do tego Związku Patriotów Polskich - czy ja zresztą wiem - no do jakiegoś "Polskiego Urzędu". Biegając tak ulicami Moskwy - zainteresowałam się takimi budkami ustawionymi na rogach ulic w których siedziała sobie jedna osoba - przechodnie podchodzili do tych "budek" i nie kupując - nie płacąc - np. zamieniwszy z osobą z budki parę zdań - odchodzili, przystanęłam i przysłuchiwałam

się - no, to było prawdziwe odkrycie! to były "budki informacyjne" - podeszłam i zapytałam o adres "polskiego przedstawicielstwa" - ~~no to w tym momencie przyszło mi na myśl~~ - aby tak się zapytać ... a tymczasem pani z budki po momencie namysłu odpowiedziała - "władzimirowski pieraułok" no i numer domu - ale już go nie pamiętałam. "Pezeówki" które mi towarzyszyły były wyraźnie zaskoczone, może zdziwione, że tutaj w Moskwie dopytuję się o jakiś "urząd". Do wieczora było jeszcze sporo czasu więc tak bez celu i bez planu przemierzałyśmy te porujnowane ulice - to nie były "ślady wojny" to były zrujnowane i domy i jezdnie. i ... ludzie - wyglądali ubogo i ^{byli} mocno przygaszeni, smutni. Pezeówkom spodobało się to, że nie siedzimy na dworcu kolejowym więc zaproponowały mi, że jeżeli nie będę miała nic przeciwko temu - to jutro też mi potowarzyszą. Nie tylko, że nie miałam nic przeciwko temu, ale się nawet z tego cieszyłam, bo ohodzenie samej po tych ruinach było przykre, - a też nie należałam do najodważniejszych. Wogóle - ta możliwość dotarcia do Polskiej Placówki tutaj, bądź - co bądź w samej stolicy ożywiła mnie na tyle, że dziewczyny mówiły że mnie ^{były} "poznają" - a ja wiązałam z tym "spotkaniem" z Polakami, którzy "coś mogą" wielką nadzieję na wydostanie się stąd i powrót do Mamy - wszystko jedno gdzie, tam gdzie Ona - tam i ja. Tak, że przez te kilka godzin nocnych przemyśleń widziałam siebie, już w powrotnej drodze do Mamy - prawie, że nie brałam pod uwagę tego... że Ona jest... w Kazachstanie cztery tysiące km stąd. Nazajutrz - dotarłwszy na "władzimirowski pieraułok" (to były jedne ruiny - ale znalazłam tę Polską Placówkę - to było coś w rodzaju Sztabu Wojskowego - trudności z wejściem

Finie (?)

1944

wreszcie pokonałam i zostawiwszy swój dowód w dyżurce - poszłam za żołnierzem na górę. Żołnierz wprowadził mnie do pokoiku kazał czekać - że zostanę poproszona. Za chwilę stałam już przed obliczem jakiegoś co najmniej generała - bo zupełnie się nie rozemnają (do dzisiaj) w rangach. Ten, jak mi się wydawało wysokiego rangi wojskowy - zapytał mnie, bo nikogo więcej ze mną nie było - "wy do mnie" następnie wysłuchał mnie bardzo uważnie i ... powiedział rozglądając się znacząco na boki - że istotnie sytuacja moja jest nie do pozazdroszczenia, bo po wielkich grupach Polaków - śladu tu nie zostaje, a coś dopiero po ... takiej jednej dziewczynie - Polce. Wiemy, że do zastępczych kadr w fabrykach i przemyśle przywiązują sowieci ogromną wagę - bo im to zwalnia mężczyzn zdolnych do udźwignięcia karabinu - a szczególnie te kadry zastępcze w resercie produkcji broni i kolejnictwa, podlegają tym samym decyzjom co cały resort to zn. Państw. Komitetowi Obrony i to związuje ręce - jak się na miejscu - w Tule rozstrzygniesz i dojdiesz do przekonania, że istnieje taka konieczność, przyslij wówczas nam tutaj swój adres, a my - powiedział - ja ci to obiecuję, jeżeli oczywiście jeszcze tutaj będę, załatwię ci powołanie do naszej Dywizji Kościuszkowskiej - nie innego nie mogę ci obiecać - w twojej... i mojej ... sytuacji. Sowietci przymają nas też na muszce i każdy powód jest dobry aby przypisać nam antyradziecką działalność. Przekro mi, że nie mogę nawet pozostawić na kłóce tutaj twego nazwiska, bo to dawałoby ci złudną nadzieję, że będziemy o tobie pamiętać ... to byłaby nieprawda! - jest wojna! Wychylił się za drzwi i zawołał żołnierza aby mnie odpro-

wadził do wyjścia! Doznałam + absolutnego wstrząsu. Jeszcze panowałam nad sobą aby się nie rozpłakać - ze względu na fezeówki, przecież widziały jak wskakiwałam po dwie schody na górę i byłam usmiechnięta, jak nigdy dotąd - a teraz muszę zachować - absolutnie muszę pozory. Nie mogę się skompromitować przed nimi - mimo, że nie zwierzałam się im po drodze po co tu dążyć, ale przecież one czegoś się pewnie domyślały. Nie płakałam, nadrabiałam miną, ale byłam doszczętnie zdruzgotana - wprost drogi nie widziałam przed sobą: a więc nie ...i nikt stąd nie może mnie "wyciągnąć" - coś mówił o "wcieleniu" do wojska, ja... do... wojska? nie! to wogóle nie miało sensu. - - dziewczyna ... do wojska! nie to wogóle nie wchodzi w grę! Od tej pory - tylko tyle, że moje nogi stapały po ziemi, ja wogóle niczego nie pamiętam - już w pociągu do Tuły były ze mną kłopoty, po dwie dziewczyny przytrzymywały mnie, bo trzęsłam się jak w febrze, a na miejscu już w Tule też nie byłam zdolna nie tylko do pracy, ale nawet do chodzenia i jeszcze co jakiś czas powtarzały się te ataki "febry". Dziewczyny przynosiły mi jedzenie z kuchni - raczej stożówki, i przesiadywały przy moim łóżku. Ale jednak po pewnym czasie zorientowałam się, że w nocy przeważnie przesiaduje przy mnie Tania i po cichutku tłumaczy do ucha, że muszę zacząć wstawać, chodzić, że tu jest ładnie, że nawet teraz jeżeli nie mogę spać to żebym z nią się przeszła po dworze. Posłuchałam jej... i ona podtrzymywała mnie i tak z nią odbyłam chociaż krótki spacer po powietrzu. Był już prawie środek lata. Kiedy Tania powtarzała ze mną te nocne spacerki - zapytałam czy ona też ma kłopoty ze spaniem - a

ona głowę nisko opuściwszy powiedziała - powiem ci, bo tylko wyślisz o swoich kłopotach - ja jak zasną - to musiam do łóżka, nie czuję! rozumiesz? nie czuję! Już cały siennik jest sgniły, kładę się z wieczora na krawędzi, a kiedy czuję zimno i mokro muszę wstać, w tym nie sposób leżeć. Odtąd zastanawiałam się jak pomóc Tani. W parę dni - ozdrowiałam! Tania pracowała tylko na dzienną zmianę - a pozostałe dziewczyny na trzy zmiany. I znów w nocy Tania opowiedziała mi, że Boris Aleksandrowicz Dabrowski, naczelnik elektrocecha po naszym przyjeździe ogłosił, że do tego "swego" elektro-cechu może przyjąć dwie dziewczyny, więc się zgłosiłam i poprosiłam aby do czasu kiedy wyzdrowieję nie przyjmował narazie nikogo - tak więc dla ciebie miejsce to trzymamy i czekamy tylko na twoją zgodę. - Zgodziłam się bez namysłu, chociaż nie wiedziałam jeszcze na czym polega ta nowa praca. Praca miała polegać na przewijaniu spalonych silników elektrycznych - specjaliści obliczali ilość i grubość takiego uzwojenia a my wykonywałyśmy formę tych zwojów i wkładaliśmy je do tych przegródek w silniku, wielkości były różne, i praca ta odpowiadała mi znacznie bardziej aniżeli praca tokarza i to na różnych zmianach. Tak więc rozpoczęłam nowe przyuczenie się do "zawodu". Boris Aleksandrowicz po kilku dniach zaakceptował mnie w tej pracy - powiedział, że się nauczę! To nie znaczy, że znów nie wydarzały się historie, które by mi nie zapierały dech w piersiach. Tania już była z tym obyta, a ja jeszcze później też. W tym elektrycznym dziale pracowali sami mężczyźni i tylko my dwie dziewczyny 17-latkę. Mężczyźni rozmawiali między sobą - wtrącając co drugie, słowo posilkowe - że cenzura by go nie przepuściła... a kiedy do cechu wchodziła kobieta np. z

innego działu - miała sprawę do załatwienia, doskakiwało do niej dwóch, trzech mężczyzn łapali, jak w szpony - ona piszczała niemikosiernie a oni ją "miotili" też chyba niemikosiernie - wtedy wydawało mi się ^{to} dziaczyną - chociaż głośno bałam się wyrazić swoją opinię. Tania mówiła, że specjalnie mnie nie uprzedzała - żebym znów w jakiś szok nie wpadła, a już wiedziałam, że "domowników" nie ruszają. Przyzwyczaiłam się i do "słów posiłkowych" i do "akcji". Szczególną pieczę nad nami roztoczył kierownik kadr - będący jednocześnie Sekretarzem Podstawowej organizacji partyjnej. Jemu musiałam oddać swój "dowód osobisty" otrzymany od Polskiej Delegatury w Pawłodarze. Jak już wspomniałam był napisany w trzech językach z fotografią. Bardzo się znów zaniepokoiłam tym, że mi zabrakł ten dowód - jedyny dowód mojej Polskości. Zdarzało się, że żona, Barisa Aleksandrowicza obsługująca olbrzymią centralkę telefoniczną musiała coś załatwić w mieście i zwalniała się u swojego szefa - męża, a Boris Aleksandrowicz posyłał mnie abym ją zastąpiła. Walentyna - bo tak miała na ~~kt~~ imię już wcześniej przywoływała mnie do siebie - do centralki i uczyła objaśniała. Kiedy już opanowałam arkana tych połączeń - mogła ze spokojem mnie zostawić na zastępstwie. Jednak widocznie nie uszło to uwadze Sekretarza i zadzwonił do Barisa Aleksandrowicza czy wie kto obsługuje centralkę - (podśluchiwałam tę rozmowę), a Baris A. tak wiem bo sam ją tam posłałem - a Sekretarz, że to nie odpowiedzialne, przecież wie jakie rozmowy się toczą, często wagi państwowej... a Baris A. odpowiedział - ja jej bolsze wówierjaju czym wam... i powiesił słuchawkę - a ja słysząc to zbaraniałam.

Fezówki, każde - ale to absolutnie każde niedzielne popołudnie spędzały w szpitalach przy chorych - rannych, bojcach. Pocięsały ich, rozmawiały z nimi, pisały im listy, - ja się w te wizyty nie zaangażowałam, poprostu nie uważałam to za stosowne, no jeszcze wtedy byłam spontaniczną. Sekretarz-Szewielow, odwiedzając nas na sali każdego ranka - bardzo chwalił dziewczyny za te wizyty w szpitalach i podkreślał im to jeszcze, że postępują po komсомolsku - a mnie się by wydawało, że zwyczajnie, po ludzku. Sekretarz nie był kontent z tego, że ja nie postępuję jak komсомо́łki! Sekretarz na jesieni wziął się więc za mnie. Któregoś dnia zadzwonił do odczu abym po pracy weszła do niego "w kabiniet" - i coś tak nawiązał: a co czytam, - a to czym się interesuję, - poza tym oznajmił mi, że są mu znane opinie krążące o mnie, że w pracy robię wielkie postępy, - że właśnie takich ludzi potrzebujemy. Jak się zapytał na samym początku co czytam, to mu powiedziałam, że przywiozłam ze sobą taki oprawiony zbiór młodzieżowych czasopism i nazywa się "Плomyk". Upłynęło kilka dni, o rozmowie prawie że zapomniałam - a Sekretarz się pofatygował do nas na salę i poprosił mnie o ten "polski журнал" - i niby, że to go przeglądając zabrał go ze sobą. Po kilku dniach znów "zaprosił" mnie na pogawędkę - ale już szurnął z grubszej rury - czy się opiewam, czy wiem coś na temat organizacji młodzieżowej - o leniniskim komсомоле. Mówię, że nie - w Polsce tej organizacji nie było - a no to on-Sekretarz mi wyjaśnił problemy tej organizacji - i jest przekonany, że zarówno program jak i założenia tej organizacji napewno mnie ujmą i mi się spodobają. Tak też w tym

1949

miejscu podał mi broszurkę -statut i zapewne już zawczasu przygotowaną gazetę "Komsomolską Prawdę" - przeczytaj tu o bohaterce Hoji Kosmodziemianskoj. Za parę dni znów kazał mi przyjść na "rozwierczik" - no i szedł dalej: czy już się zdecydowałam wstąpić do "leninowskiego komsomolu", że bezsprzecznie on mi to ułatwi - pomoże. Powiedziałam, że nie jestem jeszcze dobrze zorientowana w problemie to raz, - a po drugie, to w Polsce nie ma takiej organizacji. Sekretarz - widzę, że zupełnie się nie orientujesz w sytuacji: Polska już nie będzie taka jak przed wojną - teraz już ster państwa biorą w swoje ręce "masy pracujące" - i tacy ludzie jak ty będą jej potrzebni - przygotujemy ciebie tutaj, a jak wojna się skończy wyślemy ciebie z "doświadczeniem" - ze stanowiskiem nie, raczej miałyby to znaczyć z rekomendacją... a jak nie ... tu się uśmiechnął, to ja mam syna - komandira jest na froncie, jak wróci z wojny poznamim się na pewno ci się spodoba - może zostaniesz to też już byłabyś w "aktywie" - i takie tam androny musiałam wysłuchiwać. Tego jeszcze było mu za mało - to kazał mi przyjść na zebranie partyjne - żeby się przysłuchiwała. Zebranie odbyć się miało w godzinach pracy - i zauważyłam, że ani Boris A. ani Wala jego żona nie szli na to zebranie - to więc utwierdziło mnie, że nie wszyscy muszą jednak tutaj być w partii. Na zebranie - jednak poszłam zwyczajnie... ze strachu, na "referacie" wynudziłam się setnie - po referacie znów były takie "wstawki" - że siedziałam jak na tureckim kazaniu, ale jak się rozpoczęła "dyskusja" nad referatem no, to już była najprawdziwsza groteska wywlekali jakieś tam przekomiczne bzdury propagandowe, wygłaszali patetycznie

jakieś deklaracje - bez związku i bez sensu - w każdym razie mój mózg tego pustostrowia nie trawił i zareagował tak - ja jak już od bardzo dłuższego czasu zdarzyło mu się to po raz pierwszy - zaczęłam się śmiać, najpierw w "kułak" na sali, aż wreszcie musiałam salę opuścić, bo "pękałam" ze śmiechu - odebrałam to całe zebranie jako "teatrzyk" dla niedorozwiniętych i kiedy Sekretarz wezwał mnie na swój kolejny wykład "o kierowniczej roli partii" - zupełnie stanowczo odmówiłam słuchania i powiedziałam, że do komsomolu nie wstąpię, a z zebrania partyjnego też niewiele pojęłam i myślę, że szkoda "waszego" czasu. No to była iskra do dynamitu - podniósł się z krzesła i wykrzykiwał, że nas tylko Piłsudski interesuje że w "turnale" aż się od tego roi - ale żebym to sobie zapamiętała, że komunizm zapanuje na całym świecie - to ustrój przyszłości i będę musiała temu ustrojowi służyć, że swoim uporem niczego nie dowiodę i w tym miejscu wyjął z szuflady mój Płomyk i prawie, że mi go rzucił. No i pomyśleć - żebym go wtedy posłuchała - przez 40 lat nie żyłabym w takim ubóstwie - a dzisiaj ... jak inni rzuciłabym legitymację ... i ustawiłabym się po tej stronie "co trzeba"! A ja w środku jego furii - wyszłam, czy wy wiecie czym to pachniało? Ja jednak naprawdę nie rozumiałam, dlaczego był taki zawiedziony - ale jednego jestem pewna, że mu nie chodziło o mnie, aby mnie tą partią uszczęśliwić, ale żeby się pochwalił łowami. No i teraz dopiero trzymał mnie stale na "muszce". Sledził, wypytывał, co robię do kogo pisuję, gdzie chodzę z kim się zaprzyjaźniłam i o czym prowadzę z nimi rozmowy - a pewnego dnia przekonałam się - ba! byłem już pewna,

że w naszej sali mamy kablowniczkę. Przyznać oczywiście, że to był mój błąd - nie nie zaprzeczam, ale czyż można się od niego ustrzec szczególnie w młodości kiedy się jest spontanicznym nawet mimo przydeptania - strzeliło mi coś do głowy i napisałem balladę o naszym "dniu powszednim" naszym życiu i warunkach - i był w tym wierszyku taki-tam wersecik: i wdruch zajawlajetsza Szewiel - ej! dziwczaty zaprawlajcie (ścielcie) posciel! - dziwczata w podduwali (w popielniku) kartoszki iskali... idzicie wy! ... na h... ci-chońko szeptali! ... Tutaj muszę wtrącić malutkie wyjaśnienie, że zupki w stołówce podawane nam na śniadanie były wręcz głodowe, jeżeli jeszcze do tego by był kawałeczek chleba no to jeszcze, jeszcze - ale chleb swój - swoje porcje dzienne sprzedawałyśmy na bazarze, aby mieć kilka rubli, na kupienie czegoś-tam np. znaczka na list, biletu do kina, czy jakiegoś innego drobiazgu - bo całość naszego "ekwiwalentu" za pracę szła na nasze koszty utrzymania - odzież roboczą, kufajki, walenki, mieszkanie i pościel, jej pranie i stołóvkowe wyżywienie śniadanie, obiad i kolacja - wogóle to oddzielny temat "wykorzystywanie i odczłowieczanie" Tak więc dziewczyny kradły na pobliskich polach kartofle i skoro tylko otworzyły oczy zaraz wrzucały trzy-cztery kartofle do popielnika i zanim się ubrały kartofle przeważnie się w tym czasie upiekły - ja wprawdzie nie chodziłam kraść kartofle, ale płaciły mi nimi za to, że coś im np uszyłam, czy "zrobiłam" włosy - No i kiedy wśród ogólnego śmiechu dokończyłam "dzwiecznego" odczytania wiersza - już zostałam wezwana w "kabiniet" towarzysza sekretarza Szewielowa. No już wtedy musiałam wypić! Godzinę stałam na dywaniku u Sze-

wielowa - a on mi wolno, łobitnie i bardzo głośno tłumaczył w kogo to ja tę swoją satyrę wymierzyłam i tu wymieniał swoje zasługi złożone na ołtarzu najwspanialszego z ustrojów - sowieckiego komunizmu! Od tej pory znów wzmożł swoje prześladowania - mnie - o ten mój dowód osobisty: a może mi powiesz skąd ty wytrzasnął taki trój-języczny "dokument" nie ukrywam, że to pachnie szpiegostwem żebym ci więcej nie przypominał - chcę tu na biurku widzieć trzy twoje zdjęcia i wreszcie wszyscy nasi pracownicy będą mieli mieć sowiecki pasport. - I ja do reszty zgnębiona tym usłyszanym przed chwilą sformułowaniem, bo szpiegostwo i obłąd w sensie "zarzutu" panowało w tym kraju od lat wszechpotężnie i było ... nie do odparcia - więc mówię: że wszyscy Polacy otrzymali takie dowody osobiste w czasie porozumienia z Andersem, Sikorskim i prawicielstwem sowieckim zaraz po wybuchu wojny z Niemcami w 41r i Polacy przebywający w Kazachstanie się nimi legitymują i mnie jako Polkę to absolutnie wystarczy - a on wrzasnął, że nie prawda, że dawno już straciły swoją wartość i mnie nie "omamisz" - (rzeczywiście się tego nie spodziewałam, więc należałam do wtajemniczonych "wyższego stopnia". Nie upłynęło kilka dni - a on znów: no...? gdzieś fotokarteczki? - wysłuchiwałam tego ze spuszczoną głową i poprostu nie odzywałam się, ale też już na jego widok nie odpowiadałam za siebie - no i też wkrótce sobie ulżyłam - kiedy rano szłam do stołówki na śniadanie ... a za mną, ... Sekretarz Szewielow - obejrzałam się, nikogo ani przede mną, ani za mną - i jak charknę i plunę mu w twarz i w nogi. Za chwilę przeraziłam się tego co zrobiłam i nogi się podę mną ugięły. Nie miałam ani spokojnego dnia, ani nocy - i ciągle

wyczekiwałam semsty. AW tym czasie bardzo zacieśniła się moja przyjaźń z domem mego obecnego zwierzchnika - a szczególnie z jego żoną Walentyną. Będąc u nich w mieszkaniu - opowiedziałem im co ten Sekretarz ze mną wyprawia, a mój zwierzchnik Boris Aleksandrowicz dodał, że właśnie dzisiaj Sekretarz zadzwonił do Cechu i dopytywał się dlaczego ja nie jestem w pracy, rzeczywiście miałam takie po dwa dni w miesiącu wolne, za pełnienie całodobowego dyżuru przy liczniku zakładowym podczas którego zapisywałam co godzinę stan licznika i na tej podstawie ustalano zapotrzebowanie dla zakładu energii elektrycznej. Kiedy Boris A. wyjaśnił mu, dlaczego mam wolne - Sekretarz się zdumiał - a cóż to, nie macie odpowiedniejszego pracownika? - nie! zresztą zawsze do tej pracy kierowałam pracownika najrzetelniejszego. Dziwiłam się, że był taki odważny i w dodatku bezpartyjny. Jednak teraz Boris A. stwierdził, że sprawa nie jest błaża i powinienam pójść z nią do Naczelnego - bo ktoś to jest w stanie dłużej znieść, to raz - a po drugie to postępowanie Szewielowa może doprowadzić do najgorszego np. do aresztowania mnie pod zarzutem... przecież wiadomo, że mogą się opierać na insynuacjach i wydumaniu (no może już teraz są konieczne ale i to wątpię, bo przecież cały "aparatus" nie wystrzelił się na księżyc). Pobiegam - z postanowieniem, że już teraz - zaraz powiem Naczelnemu, no ale... jeszcze tuż przed wejściem do Naczelnego otworzyłam bez pukania drzwi do gabinetu Szewielowa na oścież i rzuciłam mu z progu: życzę, aby wasze dziecko tak skitało (tużało się, poniewierało) jak ja!! - stłumiłam głęboki szloch i weszłam do Na-

czelnego. Swoją skargę skupiłam głównie na szykanach z powodu mego "dowodu osobistego" i coś bąknęłam, że wojna się kończy - to wróć do Polski - to poćmój mi ma Sekretarz (jednocześnie kadrowiec) wyrabiać nowe papiery. Naczelnny słuchał mnie uważnie, a przy mojej końcowej "kwestii" uśmiechnął się pobłażliwie i wezwał sekretarkę: Kacja pozowicie Szewielowa, a kiedy Szewielow wszedł, nie odwróciłam nawet głowy, wtedy Naczelnny zażyczył sobie zobaczenia mego "dowodu osobistego". Szewielow przyniósł go i pokłżył na biurku przed Naczelnym - Naczelnny skinieniem głowy dał mu do zrozumienia, że nie jest teraz potrzebny i wówczas wziął do ręki mój "papier" i czytał... albo może przyglądał mu się uważnie parę chwil, wreszcie jakby głośno zauważył sprawę niebagatelną dla mnie wagi " dak ty z Ukrainy " ... - nie! szybko waresgowałam: ja Polka! - no i na to, też się pobłażliwie uśmiechnął, a chowając do szuflady najdrogocenniejszy dowód mojej polskości - powiedział, że mogę już iść i spokojnie pracować - teraz ta "bumaga" ten papier pozostanie w tym biurku. Już tego nie wiem, czy oni między sobą jeszcze o tej " bumadze " rozmawiali - ale odtąd Szewielow (już się sekretarz do mnie nie odzywał - tylko przy mijaniu się gdzieś na terenie zakładu rzucaliśmy sobie spojrzenia - ja pełne pogardy - a on "jeszcze mnie popamiętasz"...). Od tego momentu znacznie zhardziałam!

Powitanie nowego roku - fetowałam razem z Dabrowolankini - zarówno oni sami, jak i ich towarzystwo było niezwykle sympatyczne i wesołe, odczuwałam ogromną serdeczność jaką mnie otoczyli, całe towarzystwo było znacznie starsze ode mnie - najmniej z dziesięć lat. No a kiedy

1946

przebrzmiały już fety powitalne tego 1946 roku i ja spojrzałam "na siebie" - tak z dystansu, byłam już prawie-że "ruska". Całkowicie wtopiona w język, już brałam udział w ich uroczystościach i zdawałam sobie sprawę z tego, że im dłużej z "nimi" przebywam, zachodzą sytuacje zmuszające mnie do rezygnacji ze swoich nawyków i tradycji. "Olśniło" mnie spostrzeżenie, że swoją postawą, postępowaniem, zachowaniem, a może nawet i ubiorem - jakoś te "ruskie" dziewczęta zdominowałam. Kiedy np. z kupionych na bazarze skrawków białego płótna szyłam sobie kołnierzyki i obrabiałam je szydełkiem i tak w takim świeżym-białym kołnierzyku doczepionym do roboczej "rubaszki" - paradowałam codziennie do pracy, w której przecież miałam doczynienia z usmolonym żelastwem, to one najpierw szeptem między sobą mówiły: że nasza panota się wystrychnęła - a za tydzień, dwa, cała grupa tych dziewcząt wychodziła do pracy w białych kołnierzykach - a przy tokarkach miały jeszcze brudniejszą pracę. Codziennie zakręcałam włosy na noc, tak! oczywiście, że one też, jedna się wcześniej w to wciągała, druga później ale po jakimś czasie wszystkie już przykładały wielką wagę do uczesania włosów. Poprułam roboczą spódnicę, bo była suto marszczona i nie potrafiłam się w niej "pokazać" - przez dwa wieczory, ułożyłam materiał w rodzaj spódniczki plisowanej i te fałdy wszyłam w pasek, zaprasowałam no i już się zgrabniej "poczułam". Nie przesadzam, ale wszystkie one kolejno ślęczały nad pruciem swoich spódnic i naśladowały uszycie mojej, często prosiły o pomoc, jako, że już miałam w tym jakieś-tam doświadczenie. Już tutaj przy innej okazji napisałam, że kiedy byłam sama - jedna - Polka, to czułam na sobie

1946

skupioną "ich" uwagę, jakbym miała być odpowiedzialna za opinię jaką będą wystawiać Polkom, był to mój polski romantyzm zupełnie przyjemny - nawet powiem twórczy. W lutym 1946 roku zupełnie nieoczekiwanie dostałam z Pawłodaru telegram że Mama z Mietkiem wracają pierwszym transportem do Polski - nie martw się, Ciebie nie zostawimy! ... Oni wrócili ... - i zostawili! - ale coś innego mogli zrobić. Ledwie, że się znów po tym pozbierałam, ale wiele teraz już zawdzięczałam Dabrawolskim. Teraz właśnie podpowiedzieli mi abym się zaczęła starać o wyjazd "na Rodinu" na własną rękę, bowiem nie ma tutaj żadnego skupiska Polaków to i liczyć nie ma na co. Napisałam natychmiast "zajawlenije" do Kaganowicza ówczesnego ministra kolejnictwa - bo w tym resorcie pracowałam, opisałam swoją sytuację i że zostałam sama na obcej ziemi. Cały marzec, cały kwiecień minął i żadnej odpowiedzi nie było. A kiedy już zupełnie zwątpiłam w powrót, postanowiłam tę swoją drogę zakończyć desperackim czynem, właśnie na "podstacji z licznikami i otwartymi urządzeniami elektrycznymi do których to zostałam "dopuszczona" przez mego zwierzchnika Barisa A. Już nie mam co czekać - a tu zostać? - nie! nie to zupełnie niemożliwe... ja mogę być tylko w mojej wytęsknionej, najpiękniejszej, najukochańszej Ojczyźnie - Polsce! którą w swoich myślach oczekuję jak "świętość". I coś powiecie...? błysnął promyk nadziei - właśnie jak zbliżałam się do krawędzi. Dostałam wezwanie do enkawude w pierwszych dniach maja - co w pierwszej chwili odczytałam jako "sprawkę Szewielowa" i byłam prawie pewna, że już się z tego nie wyraskam - aż w enkawude!!! pokazują mi moje podanie i na nim adnotację Kaganowicza: "adpuścić na rodinu"

Starania jeszcze trwały około miesiąca i okazało się że ten ... swój największy dowód polskości przeceniłam! Pani Żulikowa - urzędniczka enkawude - która trzymała moją sprawę w swoich rękach zapytała mnie nagle! - a do kogo ty tam pojedziesz? - mówię, że do Polski - ja jestem Polka! oto mój dokument ... a ona swoje - to sobie zostaw, ja chcę wiedzieć kogo ty masz tam w Polsce, wyjaśniałam, że mam rodzinę w Polsce, Mamę, brata, krewnych... ale i to pani Żulikowej nie wystarczyło i mówi: a jeżeli ja ci nie uwierzę? teraz zmartwiałam - ach to tak! - ale przypomniałam sobie i mówię: ja mam list od Mamy, a ona uśmiechnęła się do mnie zupełnie przyjaźnie i zapytała a z jaką datą? - mówię, że pewnie z kwietnia i że nadszedł teraz niedawno, Mama i brat są w Poznaniu - pani Żulikowa kazała mi ten list nazajutrz koniecznie przynieść i nie mój dowód... o który tak drżałam, ale do akt dołączyła list mojej Mamy i już tego ci nie oddam powiedziała. Papiery wyjazdowe otrzymałam pod koniec maja i w pierwszych dniach czerwca - conajmniej piętnaście moich "ruskich" towarzyszek niedoli odprowadziło mnie na dworzec w Tule.

Do Polski - mojej wytęsknionej Ojczyzny wróciłam 13 czerwca 1946 roku - prawie jak zguba, odnaleziona przez św. Antoniego... i ... powinien być tutaj już KONI - ale niestety cierpieniom KONCA nie by Sowietyzm ciągnął się za mną i cierpienia jeżeli... dla mnie nie były bolesniejsze bo już od swoich! Nie ubyło ani łez ani cierpień. Przez conajmniej dwa lata - gdziekolwiek ubiegałam się o pracę, padało wstępne pytanie jakby wszyscy personalni byli umówieni: pani zza Bugu? - nie... powiadam, jak to nie! przecież akcent panią zdradza - aaa! akcent? jak to mnie

mmie zdradza - ja poprostu jestem z Podole - no więc właśnie dlaczego pani to stara się ukryć, że jest zza Buga - mówię jakby do siebie - no gdzie Podole, a gdzie Bug - no to już jedno mieli wyjaśnione, a teraz : a gdzie pani była w czasie okupacji ? - kryształowe oblicze politruków, wymagało kryształowego oblicza pwojej załogi, mówię , że w Kazachstanie. Dalsze pytanie zazwyczaj padało: to znaczy gdzie ? ... więc dodawałam - na Syberii... no już było dla nich czytelniejsza informacja, a kiedy zadawano mi następne pytanie "dlaczego się tam znalazłam" ? czułam ucisk w gardle i z ledwością już udzielałam kolejnej informacji że znalazłam się tam , na Syberii wskutek wywiezienia nas przez sowietów w 40ty roku, no ta informacja już wyraźnie wchodziła w to ortodoksyjne - partyjne myślenie ze swoim zamętem, to już nawet można było z wyrazu twarzy wynioskować: no! no! już ich napewno tak "za nic" towarzysze radzieccy by nie wywieźli... to już musieli być ... i kiedy zjawiałam się do przedsiębiorstwa po odpowiedź jak zwykle padała - niestety! pani podanie zostało załatwione odmownie.

Znikąd grosza pieniędzy. Teraz urodziło się takie pojęcie jak "minimum socjalne" - ale w czasie rozkwitającego sowieckiego wariantu socjalizmu - o niczym takim nie było mowy.

Przypomina mi się taka staro-rosyjska piosenka "kagda ja na poczcie służył jamaszczikom" - a końcowe słowa posłużą mi za zakończenie : nalejcie! nalejcie! skorcieje wina... raskazywać (opowiadać) bolsze niż mocz! - i ja też nie mam już siły aby dalej jeszcze ciągnąć tę opowieść.

A Mietek - no dobił mnie... wczoraj powiada, poszedłem po kwestionariusz aby się zapisać do Związku Sybiraków w Warsza

wie i wiesz co jest w kwestionariuszu
- że należy podać dwóch świadków! trzeba
mieć silne nerwy, nie ? oczywiście, że tę
"bumagę" - bo jakżeż inaczej o niej myś-
leć podarłem na strzępy i pomyśleć, że
"teraz" jest wydrukowana... widocznie
nie wypiliśmy jeszcze całej goryczy!
Dobrze, że Mama takiego - czegoś nie do-
żyła, prawda ? . ale ja doczekałam 20-sto
lecia Jej śmierci i swój "dytyramb" za-
kończę listem skierowanym do Klasztoru
OO Reformatów w Koninie przesłanym przeze
mnie na ręce Ojca Gwardiana:

Mam nadzieję, że Jego Wielbność, Oj-
ciec Gwardian Klasztoru Franciszkanów
w Koninie - zadośćuczyni mojej prośbie
i przeczyta mój "list" w dniu 4-go paź-
dziernika 1989 roku przed mszą św. po-
ranną i wieczorną.

Dzisiaj, bowiem t.j. 4-go października
mija 20-sta rocznica śmierci - świetla-
nej pamięci mojej Mamy Franciszki
Koralewicz i szczególniejszym powodem do
wspomnienia Jej imienia po tylu latach
właśnie w tym! kościele jest to, że 2
"mury" tego franciszkańskiego klasztor-
nego kościółka "przesycone" są Jej w nich
obecnością. Od chwili powrotu z wygnania
- z Syberii - gdzie znalazła się już w
1940 roku wraz z trojgiem nieletnich dzie-
ci, jako ofiara masowej sowieckiej depor-
tacji Polaków - Mama cudem powróciwszy
do Polski, bowiem niewiele już brakowało
aby tam na Syberii zginęła - okaleczona
nie tylko zewnętrznie przez amputowanie
stóp u obu nóg wskutek bardzo głębokiego
odmrożenia - jak już wspomniałam właśnie
nie tylko zewnętrznie ale i wewnętrznie
wierpieniem ponad siły - właśnie od ~~której~~
chwili powrotu do Polski i zamieszkania
w Koninie upodobała sobie ten klasztor-
ny kościółek i do niego ... przez dwa-

dzieńcia trzy lata przychodziła !! rano i wieczorem na msześw. i nabożeństwa... w upały, w deszcz, w skotę, w mróz i ... gołoleź - nadziawszy na te ortopedyczne buty jakieś skarpetki. Niejeden mieszkaniec tut. "starego Konina" jeszcze pamięta jak przemierzała miasto, bo mieszkała na jego przeciwnym końcu w pobliżu parku - i wału. Pochylona, ciężko oparta na laseczce jak wierny sługa dążyła do tutaj jak do "~~u~~-swego-d^omu" - do domu swego Pana i w tym kościele wielbiła Boga... "żarliwą modlitwą i swoją bezgraniczną wdzięcznością". Mama moja, Franciszka Koralewicz była gorącą czcicielką św. Franciszka - przez długie lata była w III-cim Zakonie św. Franciszka, a parę ostatnich lat jako - jego siostra przełożona - to był puls tej grupki osób, nie mówiąc już o wierności regułom zakonnym to był "rycerz" naszego kościoła i naszej religii. Jeżeli ktokolwiek, to - ja napewno, bo widziałam Jej nagie kikuty, że trzeba było żelaznej woli, aby dwa - a czasem i więcej razy dziennie wspiąć się na nich pod to klasztorne wzniesienie - mawiała, że żadna ofiara dla Chrystusa, dla kościoła nie rekompensuje łask, których doznaje Ona, kościół w Polsce (bo w Sowietach już był zupełnie zniszczony!) i sama nawet nasza Ojczyzna rozpaczliwie miotająca się w tej panoszącej się komunie. Wartości, których była wyrazicielką stawiają Ją w mojej pamięci niezwykle wysoko. Zmarła bardzo godnie - niezwykle cierpliwie znosząc cierpienia śmiertelnej choroby, przyjąwszy komunię św. i ostatnie namaszczenie z rąk ówczesnego O.Gwardiana tut. Klasztoru. Zmarła w dzień św.Franciszka - 4-go października 1969 roku w wieku 73 lat - mimo cierpień ponad siły-

jakie prawie całemu Jej życiu towarzyszyły - w pełni władz umysłowych. We wszystkim tym dopatruję się "znaku" dla Niej i jestem głęboko przekonana, że Pan przyjął Ją do Swojej Światłości -

Z ogromną życzliwością dziękuję Przewielebnemu Ojcu Gwardianowi za umożliwienie mi - za Jego pośrednictwem - wypowiedzenia tych paru zdań wyrażających cześć dla mojej - zupełnie niezwykłej - Matki, w dwudziestą rocznicę Jej śmierci.

... a wszystkim którzy zechcieli wysłuchać mojego "wypominku"

Szczęść Boże

życzy

Lesława Domańska z d.Koralewicz

Konin 26 września 1989 roku

© ARCHIWUM Wschodnie